

DOMY PRZY SZOSIE



Maria Boniecka

NA JARMARKU ODPUŁT STOWYM



BONIECKA
OPOWIEŚĆ O JUSTYNIE
CZĘŚĆ II I III

OPOWIEŚĆ O JUSTYNIE

CZEŚĆ I
SZKLANE KULKI
CZYTELNIK 1955

CZEŚĆ II
DOMY
PRZY SZOSIE

CZEŚĆ III
NA JARMARKU
ODPUSTOWYM

SPÓŁDZIELNIA WYDAWNICZA

C Z Y T E L N I K

1956

MARIA BONIECKA

DOMY
PRZY
SZOSIE



NA
JARMARKU
ODPUŁ
STOWYM

1956

C Z Y T E L N I K

Opracowanie graficzne
ANDRZEJ RADZIEJOWSKI

Redaktor: Marla Kulmińska
Redaktor techniczny: Alicja Piegat
Korektor: Halina Michalak

S. W. „Czytelnik”. Warszawa 1956. Wydanie I.
Nakład 10.205 egz. Objętość: ark. wyd. 18,25; ark. druk. 25,25. Odda-
no do składania 9.IV.56 r. Podpisano do druku 13.VIII.56 r. Druk
ukończono w sierpniu 56 r. Zakł. Graf. „Dom Słowa Polskiego”.
Zam. 2140. B-24 Cena zł. 12,80.

Papier druk. młt. kl. V, 70 g. 82×104 z Fabryki Papieru w Skolwinie.

MARIA BONIECKA

DOMY
PRZY
SZOSIE



ROZDZIAŁ I

Umiesz czytać?

— Tak..

— A pisać?

— Umiem z książki.

— A ile ty masz lat?

— Siedem, nie, osiem... nie... — Justyna zacina się i czerwienieje gwałtownie.

Matuśka wyjaśnia od siebie: ma siedem lat i cztery miesiące.

Pan kierownik sięga do szafki po cienką nie oprawioną książeczkę, odkłada pierwszą stronę i wskazuje dziewczynce górny wiersz.

— No, to mi poczytaj...

Litery są „pisane“, ani nad nimi, ani pod nie ma żadnego obrazka. Przez króciutki moment jest tak, jakby cały tekst, wypełniający stronę, podzielił się na znaki, a one zaczęły podrygiwać, skakać, uciekać sprzed oczu Justyny. Ale to zaraz mija i litery ustawiają się znów w słowa: „Anka na łące kwiaty zrywa, a mały Adaś odpoczywa“.

— A to? O, tutaj!

„Jaś obudził się bardzo wcześnie, wyjrzał przez okno do sadu i ujrzał...“

W małej, zastawionej stołem i szafami kancelarii, dusznej i ciemnej, słychać nikły szmer przewracanych kartek i głos Justyny. Pan kierownik siedzi na krześle obitym wyrudziałą skórą, matuśka na okrągłym krzeselku bez oparcia, a Justyna stoi obok stołu. W pokoju jest

dużo ciekawych rzeczy i oczy Justyny w czasie, gdy pan kierownik przerzuca kartki, wędrują po ścianach, oglądając kolejno wszystko z tą szczególną zachłannością, jaka cechuje spostrzegawczość dziecka. Za oknem rosną drzewa i krzaki. Nad głową pana kierownika wisi portret Kościuszki, nad matuśką — Henryka Sienkiewicza. Nazwiska te przeczytała Justyna bez trudu, bo litery były wyraźne, drukowane...

— Dobrze czytasz, moje dziecko, zupełnie dobrze. A liczenie? Umiesz rachować? A pisać?

— Tak, umiem w kaligraficznym kajecie, umiem stałówką i ołówkiem.

Pan kierownik jest wysoki, siwy, trochę przygarbiony, nosi grube szkła i nazywa się Klimczak. Jest bardzo dobry.

— Na imię masz Justynka? To ładne imię, drogie dziecko. Więc ty, Justynko, chcesz chodzić do szkoły?

Justyna kiwa głową na znak, że tak, że chce.

— Ale cóż, jak cię wezmę do drugiego oddziału, to jak to będzie? Tam są same duże dzieci, a chłopaki to chyba większe ode mnie. Co z tobą zrobić, moja Justynko?

Justyna nie bardzo wie, co to jest ten drugi oddział, ale chłopaków się boi, więc milczy.

Tymczasem wagi w zegarze opuściły się gwałtownie w dół i zegar zaczął bić. Justyna liczy po cichu, podwijając kolejno palce. Jedenaście mocnych, równych uderzeń.

Matuśka rozmawia z panem kierownikiem. Opowiada mu o Charkowie, o tym, że dzieci w ostatnim roku nie chodziły do szkoły, ale uczyła dziewczynki w domu. Pan kierownik słucha uważnie.

— Była pani w Rosji przeszło trzy lata?... i to podczas rewolucji? Słyszałem, że tam projektuje się wielkie zmiany, jeśli chodzi o szkolnictwo, że już powstały „Ludowe Komisariaty Oświecenia“... A w sumie, czego to

się dziś o Rosji nie słyszy? Coraz trudniej rozeznaczyć, gdzie prawda, a gdzie wymysł ludzki...

Wejście woźnego przerywa rozmowę.

Pan kierownik wpisuje jakieś słowa do grubej książki, następnie wstaje, podaje matuśce rękę i mówi łagodnie do Justyny:

— Możesz jutro przyjść do szkoły. O ósmej. Zapytasz się dzieci, w której sali jest drugi oddział, one ci pokażą. Do widzenia.

Justynka dyga. Wychodzą na mały korytarzyk i dalej przez ganek na podwórze.

— Tu poczekamy na Amelkę.

Amelka zdaje egzamin do piątego oddziału. Siadają na schodkach ganku i czekają.

Jest łagodne październikowe południe. Błade niebo wydaje się być bardzo wysoko, na płocie okalającym dziedziniec szkolny lśnią w słońcu rozsnute pajęczne nici, tuż za ogrodzeniem widać rozkopane po wybranych ziemniakach zagony. Naraz ktoś zaczął dzwonić dzwonkiem. Ostre dźwięki wypełniły sobą całe ciche dotąd i puste podwórze, i od razu ogłuszający, kotłujący się, okropny hałas buchnął ze wszystkich stron. Momentalnie z otworzonych nie wiadomo kiedy gankowych drzwi wypchnięta została na zewnątrz gromada dzieciaków. Matuśka zdążyła uskoczyć w bok ze schodków, ale Justynka zaplątała się w tłumie i znalazła się mimo woli na środku podwórza.

— Co to się stało? Czemu wszyscy tak krzyczą?

— Czy się coś przydarzyło w salach, które przed chwilą były tak ciche, że zdawało się, że są puste?

— Dlaczego na hasło dzwonka dzieci wrzeszczą i biegają jak oszalałe?

Justyna jest jak ogłuszona. Potrącają ją, popychają, depczą, ciągną za włosy i za sukienkę.

— Ty, malutka, te... smarkula, do ochrony przysłaś?

Chce się wydostać z ruchliwej, rozhałasowanej gromady, odnaleźć matuszkę i razem z nią uciec z tego okropnego dziedzińca, gdy wtem znów rozlega się dzwonek.

Gromady dzieciaków zawracają w kierunku ganków i przepychają się z pośpiechem do środka budynku. Fala gwaru opada, zanika, milknie.

Justynka zostaje sama na placu, przestraszona, zdziwiona, bliska płaczu.

— Chodź, córeczko, chodź, gdzieś ty się zawieruszyła?

Obok matuski stoi Amelka z błyszczącymi oczyma i uśmiechem na wargach.

Zdała! Wszystko było bardzo łatwe! Z geografii pytał ją pan nauczyciel o równik... gramatyka o podmiocie... I tu tak dziwnie, że jeden nauczyciel jest od wszystkich przedmiotów. To jest w ogóle zupełnie inna szkoła. Tu nie potrzeba żadnego fartuszka ani mankietów. Amelka patrzy na swoje białe, sztywno prasowane mankieciki — nic podobnego! Każdy jest inaczej ubrany, i są chłopcy... Zaśmiała się głośno, okręciła w miejscu na jednej nodze.

— A jedna dziewczynka... to jest garbata! — Przekrzywiła ramiona i wciągnęła między nie szyję.

— Już idziemy, Amelciu, nie mów tak dużo i tak głośno.

Wracają do domu. Z podwórka szkolnego skręcić trzeba w lewo ku szynom kolejki i tymi szynami iść prosto aż do rogu. Od rogu biegnie w prawo brukowana szosa, ale zostawia się ją z boku i idzie dalej wzdłuż szyn szerokim podjazdem z ogromnych, wystających kamieni aż do drewnianych żłobów, ustawionych rzędem pod ścianą parterowego, murowanego budynku.

Matuśka z Amelką przechodzą przez szeroko otwartą bramę i znikają w podwórzu, a Justyna siada na jednym ze żłobów, bo chce popatrzeć na wróble zlatujące gromadą do rozsypanego ziarna. Za jej plecami są drzwi szynku, nad którymi jaskrawi się szyld: R e s t a u r a -

cja — W. J. Kłosecki. Na drzwiach też wiszą blaszane napisy: „Wyszynk wódki i piwa“, „Na wynos i na miejscu“, „Zakąski zimne i gorące“.

W żłobach z wyjedzonymi przez konie krawędziami jest zawsze trochę siewki i owsa. Wilgotny obrok, przylepiony grudkami do chropowatych ścian, czeka na wróble. Te żłoby i prawie cały parterowy budynek z oknami o zielonych okiennicach dzierżawi restaurator, pan Kłosecki. Długi podjazd zamyka poprzeczna oficyna, stara, krzywa, pokryta szerniałymi gontami. W oficynie mieszka Kłajman — rymarz z bielmem na lewym oku, a w małym domku, schowanym w podwórzu, ogrodnicy — państwo Wiśniewscy. Oboje ogrodnicy są już starzy i mają dużo dzieci, ale już zupełnie dorosłych, najmłodszy syn nazywa się Donek i chodzi w długich spodniach i w szelkach. Naprzeciw bramy jest studnia. Grubo ciosane belki obrzeżają kwadratowy otwór, obok stoi wysoki żuraw, z uciepionym u drąga ciężkim drewnianym wiadrem. Można stanąć blisko ściany studziennej i pochyliwszy się nad nią spojrzeć w dół. Ciemne, połyskujące okno, nie, nie okno, szaroczarne lustro z odbitym nagle kawałeczkiem nieba; niebo jest takie jak nocą, ale nie ma na nim gwiazd, tylko białawe, malutkie chmurki. Można rzucić w głąb mały kamyczek... leci... leci... drobny krążek i zaraz już nic... nie ma kamyczka i nie ma śladu. Można też stanąć na dużym, wystającym ponad inne kamieniu, wyciągnąć ręce i dotknąć dna wiadra, wiadro zaczyna się kołysać, jest prawie zawsze mokre i z jego zamkniętej kolistą obręczą ściany spływają duże, chłodne krople.

Ale matuśka gniewa się „za studnię“.

— Potopicie się jeszcze!

— Można się poślizgnąć, wpaść i już!

— Albo wiadro może się oberwać, bo sznur jest przegniły!

— W ogóle nie podchodźcie do studni, to żadna zabawa.

— Zabraniam zbliżać się do studni, rozumiecie?

Matuśka się gniewa, ale czy można tak naprawdę nie zbliżać się do studni? w ogóle? nigdy?

Przecież to jest niemożliwe.

Tuż koło słupa od żurawia wkopano między kamienie bruku niskie koryto. Tu handlarze bydła poją krowy i cielęta, a furmani — konie. Wtedy to najmocniej kusi, żeby podejść do samej krawędzi studni i patrzeć, jak ściągane w dół wiadro rozłamuje gładką taflę wody, tłucze się przez chwilę po jej ustępującej miętko powierzchni i wreszcie zanurza się w czerności. Zaraz też ręce zaczynają podnosić oślizgły od wody drąg w górę... powoli, uważnie... Belka obciążona kamieniem zjeżdża coraz niżej, jest już prostopadła do słupa, pochylila się... wiadro rozchlapując wodę wyjeżdża powolusieńku z czeluści studziennej. Teraz woda trafia do koryta... Poją barany...

Pojenie baranów odbywa się zawsze rano. Baranami handluje Blacharski. Są takie śliczne: białe i czarne, mają cieniutkie, wysmukłe nogi i ciągle meczą. Stoją w gromadzie koło koryta i tłoczą się bezradnie... Bosy, brudny parobek Blacharskiego rozpycha je nogą albo bije batem.

Blacharski mieszka po drugiej stronie szosy w domach, które się nazywają „nad Wisłą“, a tu, obok szynku, między domkiem ogrodników a oficyną rymarza, dzierżawi murowaną szopę, w której zamyka swoje barany.

Albo czy można ominąć studnię, gdy przychodzą do niej z blaszanymi kubłami dzieciaki z „domów nad Wisłą“? Same żydowskie dzieciaki. Wtedy też nie można przyglądać się z daleka... Ustawiają kubły na nierównym bruku podjazdu i nie mogą sięgnąć wiadra. Włóżą na wystające kamienie, wspinają się, piszczą. Zdarza

się, że dzieciaki puszczają drąg i puste wiadro wyjeżdża ze studni z wielką szybkością, omija nieporadne ręce i uderzywszy parę razy o słup żurawia, rozhuśtane, zawisa na dawnym miejscu.

Donek ogrodników nienawidzi żydowskich dzieci.

— Eee, tam! Uciekajta, rabiny przekłete! Huzia! huzia!

Małe zostawiają kubek pod studnią i uciekają w popłochu aż na środek szosy.

Tu już są bezpieczne, bo za plecami mają „domy nad Wisłą“.

— Głupi „Macoch“! Miszygene!

— Donek-postronek!

Donek wygraża pięścią i z zemsty pluje im do kubłów. Na szosie podnosi się wielki wrzask.

Justyna boi się Donka, bo jest duży i naprawdę zły, sama matuśka tak mówi, a nawet i pan Wiśniewski, jego ojciec.

Tak! Koło studni dzieją się różne ciekawe rzeczy i nie ma sposobu, aby do niej się nie zbliżyć.

W tej chwili jednak wiadro nieruchomo tkwi na swym drągu, a obok koryt jest pusto.

Justyna siedzi na żłobie i patrzy na wróble. Jak one śmiesznie podskakują.

— Czy wróble umieją chodzić zwyczajnie? tak jak kury albo gołębie? Między kamieniami złocą się rozsypane ziarna, żdźbła słomy i klaki siana.

Szose od toru kolejki oddziela rów zarośnięty trawą i zielskiem. Po drugiej stronie są „domy nad Wisłą“. Z tyłu za tymi domami płynie rzeka. Brzeg jest zupełnie niski, płaski, piaszczysty. Woda sunie wzdłuż niego z cichym szelestem.

Wiatr niesie od wody mdły, mokry zapach.

Justyna nie może wdychać tego zapachu, musi zacisnąć sobie noski palcami. Ona w ogóle nie znosi żadnych

przykrych woni. I teraz odwraca głowę od drzwi szynku, aby nie wąchać wódki, piwa i bigosu.

Z szosy przez kamienny mostek, przecinając w poprzek szyny kolejki, skręcają dwa wozy, już są na podjeździe, zatrzymują się tuż koło drzwi restauracji.

W owym czasie dalsze przedmieścia Warszawy były przeważnie do siebie podobne, zaniedbane, nędzne, zamieszkałe przez biedotę, drobnych rzemieślników, sklepikarzy i wyrobników. Brak dogodnej komunikacji z miastem sprawiał, że wegetowały własnym prymitywnym życiem. Odcięte od źródeł energii, od fabryk i większych zakładów pracy przypominały zapadłe, prowincjonalne miasteczka.

Bardziej przewidujący finansiersi skupowali za bezcen ziemię na owych Targówkach, Pelcowiznach, Kamionkach i Czerniakowach, lokując w ten sposób pieniądze „na przyszłość“, ale na ogół nikt się tymi dzielnicami nie interesował i tak naprawdę w swych kalkulacjach dochodowych nikt się z nimi nie liczył.

Wzdłuż szosy wiodącej na Modlin skupiały się osiedla zamieszkałe przez ogrodników: Żerań, Wiśniewo, Henryków, Dąbrówka, dalej Jabłonna, Nowy Dwór.

Od wczesnej wiosny po środek zimy furmanki ogrodników przejeżdżały obok szynku Kłoseckich, zatrzymując się w drodze powrotnej u jego drzwi. Zwyczaj był ustalony i nikomu do głowy by nie przyszło, aby go łąć.

Kłoseccy mają dwie córki: Jankę i Ludkę. Obydwie są niskie, rudowłose, pulchne i piegowate.

Janka jest rówieśnicą — Justyny, Ludka — Amelki.

W tej chwili dziewczynki wyszły z bramy i wołają Justynę:

— Chodź z nami do szlachtuza!

— Chodź, idziemy po cielęcinę!

Ludka niesie koszyk, a Janka małą lalkę, „naguska“ owiniętego w kolorowe szmatki.

Szlachtuz był zupełnie blisko. Zaraz za rogiem stał parterowy budynek, drewniany, na wysokiej podmurówce, z małymi, okratowanymi okienkami bez szyb, takimi samymi, jakie były w wagonach, którymi się jechało z Charkowa. Budynek miał pośrodku duże drzwi, rodzaj bramy do przepędzania bydła, i z boku murowaną przybudówkę, w której stary Blacharski sprzedawał mięso.

Ludka mówi, że „w szlachtuzie zabijają zwierzęta“.

Ale to chyba nieprawda. Justyna nie może uwierzyć, że to mięso; „cielęcina zadnia“, „łopatka“, „wątróbki“ to są zamordowane śliczne barany z szopy koło studni i łagodne cielęta o wielkich, smutnych oczach. Blacharski ma ręce powalane krwią i skórzany, sztywny fartuch też cały w rudych plamach. Uśmiecha się do dziewczynki i wypytuje o „mamunię i tatunia“ i ani się domyśla, że Justyna się go boi. Gdy wracając dochodzą do rogu, rozlega się ostry gwizd. To kolejka rusza ze stacji. Dziewczynki przystają i naśladują sapanie lokomotywy:

— Szyy... py! szyy... py!

Na podwórku matuśka trzepie pościel. Tak wszystko zawilgło w czasie podróży, że już trzeci raz rozwiesza się poduszki i kołdry na słońcu.

Oparta o pień drzewa, o które zaczepiła matuśka sznur, stoi Anka Wiśniewska, córka ogrodników, i rozmawia:

— To tak pani na stałe tu zjechała? i na zimę?

— Myślę, że tak, że się tu urządzę...

— To dziwne! Gdzie tam pani w takiej dziurze biedować? Co tu za życie? nawet kinematografu nie ma... A ludzie? toć to sama hołota i Żydowiny, ani do kogo ust otworzyć!

Matuśka uderza rytmicznie trzepaczką w kołdrę.

— A pan gospodarz to pani rodzony brat?

— Tak, jesteśmy rodzeństwem...

— A nie mogła tak pani w mieście, z rodziną?

— Nie mogłam...

Anka jest wielu rzeczy ciekawa, ale nie wie, jak je wyłożyć matusce, żeby nie wypadło zbyt obcesowo, niezręcznie.

Bo jakże to? Ot tak, jakby nigdy nic, zjeżdża sobie na zwyczajnej furze z tłumokiem i koszykiem kobieta z dziećmi, biednie koło nich i zwyczajnie, a okazuje się, że to rodzona siostra gospodarza, szanownego pana dyrektora Juliana Katerli. Przecież go tu wszyscy doskonale znali i wiedzieli, kim jest. Coś się w tym musiało kryć i to właśnie nurtowało Ankę. Tajemnica tkwiła przede wszystkim w tym, że ta tutaj nie była w niczym, ale to absolutnie w niczym podobna do pana dyrektora.

— To pani była w Rosji? U bolszewików? Podobno tam wszystkich naszych wyrzynali? Prawda to?

— Nieprawda. Przecież nikt mnie nie zarzął. Przeciwnie, doznałam od tamtych ludzi wiele dobrego. A kto tak opowiada?

Z głębi podwórza nadbiega Paweł z gromadką wnuczęt ogrodników. Dzieci piszczą, gonią się, przeszkadzają w rozmowie.

— Kto tak opowiada? — powtarza matuska pytanie, podkreślając słowa uderzeniami trzepaczki.

— A... tacy... różni...

Justyna wchodzi w wąski korytarz, zrobiony z wiszących równolegle kołder. Pachnie tu wiatrem. Niebieski atlas jest gładki i ma wyraźne spłowiałe smugi na ciemniejszym tle. Poduszki są też szafirowe. Tu i ówdzie sterczy w materiale maleńkie, białe piórko. Justyna ostrożnie sięga po takie piórko, wyciąga się łatwo rozwianym, lekuchnym strzępkiem, palce się rozwierają; piórko unosi się w powietrze...

Jest ciepły jesienny dzień, jeden z tych, w których cała natura zanurzona w ciszy wypoczywa, jakby sycąc się spokojem.

Fruwające w powietrzu nitki babiego lata wydają się zupełnie przezroczyste, szklane.

Kłoseckie oddały matce mięso i wyszły się bawić.

— Chodźcie tutaj — woła Justyna.

— Chodźcie, tu zrobimy sobie dom.

Dziewczynki wynoszą stół i lalkę. „Dom“ jest między wyblakłymi, atlasowymi koldrami szafirowego koloru.

ROZDZIAŁ II

Od razu się tak jakoś zrobiło, że nikt ich w szkole nie lubił, ani Amelki, ani Justyny, od początku. Nikt — prócz pana kierownika i pani Hanny Michalskiej, wychowawczyni drugiego oddziału. Pan kierownik był dobry i lubił wszystkie dzieci, poza tym nie widział ani w tym, że przyjechali z Charkowa, ani w tym, że mieli wujka — „pana gospodarza“ — niczego złego czy godnego sztyderstwa; pani Hanna natomiast okazała się siostrą „mecenasa Michalskiego“, który był kolegą tatusia z sądu. To nielubienie zaczęło się od tego, że zaraz pierwszego dnia Amelka pochwaliła się dziewczynkom piątego oddziału, że wszystkie domy od rogu Toruńskiej do samego „haltu“, razem z polem, sadem Wiśniewskich i „placem Kościelnym“, są ich wujka. Wszystkie. I ten, w którym jest „Sodowiarnia“ Ostrzegi, i ten z kuźnią, i ten duży czerwony, w którym mieści się szkoła, co się nazywa „C y w i l i z a c j a“, i ten, gdzie państwo Kłoseccy mają restaurację... i szopa Blacharskiego, i oficyny... Wszystko, wszystko jest wujka! Szesnaście domów!

— Bo nasz wujek jest bardzo bogaty!

— I jest dyrektorem...

— My tu będziemy tylko tak na razie... bo my przyjechaliliśmy z Rosji z Charkowa... i teraz nie mamy mieszkania...

— Tak? To wasz wujek jest gospodarzem?

— I byliście w Charkowie? A gdzie to jest? Pokaż na mapie!

Dziewczynki się śmieją. W pierwszej chwili Amelka śmieje się razem z nimi, zapewnia, że tak, że to wszystko prawda, pokazuje nawet na mapie kółko z nazwą miasta i chce opowiedzieć o Szurze Gołubienko i o Tinie, o tym, jakie były dobre, jak się z nimi przyjaźniła, że ma ich adres, ale w śmiechu koleżanek obok zwyczajnej wesołości jest natrząsanie się, pogarda... rosnąca obcość.

Na następnych pauzach cała szkoła dowiedziała się o „strasznie bogatym wujku“ i o Charkowie i dziewczynki stały się przedmiotem docinków i przezwisk; coraz któreś z dzieci, w czasie przerw i podczas lekcji, głośno albo szeptem zwracało się w ich kierunku:

— Te, hrabina!

— Szesnaście kamieni!

— Kto ci tak pończochy wycerował — wujo?

— A te łaty na łokciach kto przyłożył? — „wujo-łaciarz“?

Pokazują palcami, ciągną za troki od fartucha, za włosy, szczypią, popychają, chichoczą.

Amelka czerwienieje ze złości: — Nie przezywaj się, bo zobaczysz!

— Gałganiara!

— Dziadówka!

Nie znają ich imienia, nazwiska, ale każdy uczeń od pierwszego do szóstego oddziału zna je z przezwiska.

Dziewczynki opowiadają o tym matuśce.

— Tyle razy mówiłam ci, Amelciu, że chwalenie się jest czymś bardzo brzydkim... teraz sama się przekona-

łaś... Pokrzyczę i zapomnę, nie trzeba na to zwracać uwagi, a na przyszłość nigdy się niczym nie przecliwałaj...

Ale i matuśce widać jest to przykre, bo mruga powiekami i nerwowo gładzi głowę Pawła płaczącego się koło jej nóg. Poza tym nie jest to wszystko tylko „dziecinną sprawą“, bo i ona sama wyczuwa na każdym kroku nieufność ludzi, z którymi się styka, ich przytającą wrogość i szyderstwo. Jej dwuznaczna pozycja „biednej siostry pana gospodarza“ jest dla środowiska osady czymś zbyt skomplikowanym, niepokojącym, czymś, co każe być ostrożnym, bardzo ostrożnym.

Ktoregoś ranka drugi oddział miał gimnastykę na podwórku szkolnym, bo jeszcze ciągle było sucho i dość ciepło.

Dzieci bawiły się piłką, gdy jakiś chłopak, stojący w kole obok Justyny, spojrzał jej z bliska w twarz i wrzasnął na całe gardło:

— O rany! Jakiego ona ma zyka!

Było to hasłem.

— Dziadówka, pokaż zyka! Zyz-lys!

Pan od gimnastyki zaklaskał w ręce i nakazał spokój, ale zaraz po lekcji dzieci obstępily ciasno Justynę i zaczęły śpiewać chórem: — „Zyz-lys... Zyz-lys...“

I tak już zostało. Nazywano ją odtąd „Zyz-lys“ i „Dziadówka“. Justyna była najmniejsza z klasy i pani Hanna mówiła do niej „malutka“.

Justyna bardzo polubiła panią Hannę. Pani Hanna miała siwe włosy i młodą różową twarz. Nosiła granatowe spódnice i białe bluzki, a na nogach tak cienkie pończochy, że zawsze wyglądało, jakby była „na przyboś“. Pachniało od niej pudrem i wodą kolońską.

— Jesteście nieznośni! — krzyczała na lekcji na tych, co rozmawiali albo grali w „malowanki“.

— Zaraz pójdziecie klęczeć!

Ale nikt się jej nie bał, bo wiadomo było, że nie spełni swej groźby.

Klasa jest wąska, długa i niska. Na prawo od stołu stoi szafka, w której pani chowa kajety związane sznurkiem, kredę i linię. Na kołkach podtrzymujących tablicę wiszą dwie mokre ścierki, którymi chłopcy w przerwach biją się po głowach. Justyna siedzi na pierwszej ławce w rzędzie od drzwi.

Koło Justyny siedzą same dziewczynki. Andzia Kozarzewska wysoka, chruda blondynka bez brwi i rzęs, córka ogrodników z Dąbrówki, Cesia Truskolaska z włosami obciętymi „na polkę“, z grzywką nad ślicznymi, brązowymi oczyma, i Marysia Osuchówna, córka dróżnika. W następnych ławkach siedzą inne dzieci, których imiona i nazwiska płaczą się Justynie, na końcu pod ścianą posadziła pani największych chłopaków.

Józek Korzeń jest taki wysoki jak pani Hanna, ma szesnaście lat, prawdziwy scyzoryk i umie tak przeklinać jak Donek Wiśniewskich. Janek Kamiński, też szesnastoletni, jest synem kolejarza, a Judka Tajtelbaum, jak mówi, to się jąka, a jego ojciec ma piekarnię na Toruńskiej.

Justynce było bardzo przykro, że się z niej śmieją i że wymyślili nowe przezwisko: „Zyz-lys“. Najbardziej przykro było wtedy, kiedy pani wywoływała ją do czytania.

Ona tak lubi głośno czytać. Stanąć w ławce naprzeciw stolika pani, unieść otwartą książkę i wymawiać oglądane słowa.

„Ten dom — to szkoła, a ten — to chata...“

Wszyscy słuchają, a ona czyta... głośno, wyraźnie, z małymi przystankami na kropkach. Wreszcie pani mówi: — Dość, siadaj! Teraz czyta Andzia albo Józefa.

Ale tak wcale nie jest. Ledwo Justynka wstanie i unieście książkę, to już ze wszystkich stron syk: — Zyz... zyzsss... Spłoszona czyta pierwsze słowa tak cichutko,

że nawet pani ich nie słyszy, a syk rośnie w gwar: — Zyz-łys! Zyz-łyssss!

Pani Hanna bije linią w stół i woła o spokój, ale to nie pomaga.

— Dość, siadaj, dalej Marysia Strąkówna!

Klasa ucisza się powoli. Justyna zapomina o prowadzeniu palca pod liniami przeczytanych słów. Jej palec zatrzymał się pod słowem: „to chata.“ Uszy czerwienią, plecy kurczą się, w ustach czuje słony smak łez. A Marysia Strąk czyta źle, nie umie składać liter, wymawia je po dwie, po trzy, jak wypadnie, i nic z tego nie wychodzi.

Jest jeszcze ktoś w klasie, komu dokuczają prawie tak jak Justynie — tym kimś jest jąkała—Judka Tajtelbaum. Ale z nim jest inaczej, bo jest duży i silny, a poza tym przynosi do szkoły chleb i bułki.

— Daj przylepkę!

— Mnie skórkę z wierzchu, skórkę!

Przez całą pierwszą pauzę Judka dzieli bochenek na kęsy i rozdaje tłoczącym się wokół niego dzieciom.

Justynie położył kiedyś na ławce bułkę.

— Ma... ma.. lutka.. — powiedział miękkiem głosem i uśmiechnął się.

Kiedy Justyna czyta, on jeden ze swego kąta pod ścianą słucha pilnie jej słów, rzucając w syczący gwar niecierpliwie:

— Sza... sza...

Codziennie jest czytanie, pisanie i rachunki. Pisze się piórem z tablicy albo z książki. Pani chodzi po klasie i upomina:

— Dociągaj do linii!

— Nie zaginaj rogów!

— Józek, nie leż na zeszyte. Andzia, nie zlizuj kleksów!

Na rachunkach każde dziecko musi podejść do tablicy, zapisać i zliczyć: $20 + 30 + 40 = ?$

Najszybciej i najlepiej liczy Judka. Bez słowa wypisuje sumę i uśmiecha się z zażenowaniem do pani, jakby ją przeproszał za swój pośpiech. Józek Korzeń opowiada, że Judka całe noce piecze chleb, a Józek wie wszystko, toteż Justyna często zastanawia się nad tym, kiedy Judka wobec tego śpi.

Po lekcjach dzieciaki rozbiegają się do domów, a Justyna siada na schodkach ganku i czeka na Amelkę, która uczy się o godzinę dłużej. W klasie Amelki jest zupełnie inaczej, chociaż też są ławki i tablica, i stolik, ale jest w niej mało uczniów i wszyscy są duzi.

Klasa jest niesforna. Na pauzach zamykają się na ganku i chórem wrzeszczą: — „Zdechł kanarek, zdechł kanarek, zdechł...“, zmieniając często „kanarek“ na „pan Marek“, bo wychowawca ich ma na nazwisko Marek. Co do samych lekcji to też są zupełnie inne, jest geografia, historia, język niemiecki. Jest i czytanie, ale z książkami bez obrazków, piszą zaś w kajetach z jedną cieniuchną linijką, drobnymi literkami.

Justynka chciałaby pisać w takim kajecie i uczyć się geografii, ale matuśka mówi, że jest jeszcze za mała i że przyjdzie na wszystko czas....

Podczas lekcji podwórko szkolne jest puste i ciche. Na polu tuż za ogrodzeniem kopią resztę ziemniaków. To pole i dom, który widać za zagonami, jest pana Hildebrandta. Justyna nigdy go nie widziała, ale dzieciaki bardzo się go boją. Matuśka, pytana o pana Hildebrandta, mówiła o „obywatelach polskich niemieckiego pochodzenia, którzy obsiedli brzegi Wisły“, ale co to znaczyło — dzieci niezupełnie rozumiały. Rzeczywiście w osadach nad Wisłą mieszkali całe rodziny Hildebrandtów, Klotzów, Müllerów i Schulców, i Königów, ale specjalnie nikt się nimi bliżej nie interesował. Wiadomo było, że mieli

własne, porządnie wyglądające domy, sady, pola albo małe fabryczki, że przeważnie nie umieli mówić po polsku i kijem odpędzali ciekawe dzieci od sztachet swych posiadłości, i to wszystko.

Ano byli. A że akurat nad Wisłą? Ostatecznie to przecież chyba nie jest takie ważne...

Justyna ma wielką ochotę podejść do płotu i popatrzeć z bliska na kopanie ziemniaków, ale się boi, bo może ten mężczyzna, co wysypuje ziemniaki z kosza do worków — to właśnie pan Hildebrandt?

Zaraz po dzwonku wychodzi Amelka z Tereską Przygodzianką. Ta Tereska jest wysoka, blada i ma już pierś, które wyraźnie sterczą jej ku przodowi pod lichym, wyrudziałym swetrem. Jest bardzo nieśmiała i łagodna. Amelka już zdążyła zaprzyjaźnić się z Teresą i teraz chce odprowadzić ją do domu.

— Pójdziemy do Czarnej Drogi.

Idą środkiem szyn w stronę Warszawy. Justyna jest po raz pierwszy w tej stronie, toteż dziwi się wszystkiemu. Jak się idzie środkiem szyn, to się skacze z podkładu na podkład albo się idzie po jednej szynie, noga za nogą... żeby się nie obsunąć, ale to jest trudne, bo szyna ma wąską, gładką powierzchnię i dla równowagi trzeba by rozpostrzeć ręce, a Justyna ma je zajęte, bo niesie książki swoje i Amelki.

Koło stacji stoi grupa domów, ale stacja została już dawno za nimi, a one wciąż idą i idą...

Tereska mieszka w lucie. Jej ojciec jest majstrem. Do huty prowadzi Czarna Droga. Nareszcie ją widać. Rośnie na niej kilkanaście starych, poszczerbionych topoli.

Amelka z Tereską cały czas rozmawiają z ożywieniem i Justynce naraz przypomina się z niezwykłą wyrazistością Szura i Charków, pożarna komanda, podwórko na Gogola... Ach! Jak tam było pięknie i wesoło! Gdyby tak można tam znów pojechać.

Czarna Droga jest naprawdę zupełnie czarna od żużlu, którym jest wysypana, i wygląda smutno między rozkopanymi, mokrymi po nocnym deszczu zagonami.

Wreszcie dziewczęta przystają i żegnają Tereskę.

— Wiesz, co mi jutro Tereska przyniesie? Łaskę do kwiatów.

— Do kwiatów? A co to jest „łaska do kwiatów“?

— To taka jak u nas w klasie... taka jak prawdziwa, z zagiętą rączką, tylko mała i caluteńka ze szkła.

Dochodzą już do stacji. Justyna bardzo by chciała poczekać na przyjazd kolejki. Nie jechała jeszcze taką kolejką nigdy w życiu, a w ogóle jest to coś nadzwyczajnego: lokomotywa gwizdże, dudni, sapie, stęka... Wzdłuż wagonów na stacji spaceruje pan konduktor — naraz, nigdy nie wiadomo, kiedy to się stanie, rozlega się przeraźliwy gwizdek. Cała kolejka z sykiem i terkotem rusza... Pan konduktor wskakuje na stopnie ostatniego wagonu... Ale w tej chwili stacja jest pusta, kolejki nie widać ani od strony Warszawy, ani Jabłonny; nawet maleńkie zakratowane okienko, nad którym wisi napis „KASA“, ma schowaną do wewnątrz szufladkę. Matuśka nie lubi kolejki, nie lubi jej przede wszystkim za to, że „może zabić“.

— Nie chodźcie na stację, tam najłatwiej o wypadek — powtarza ciągle.

Matuśka boi się jeszcze oprócz studni, kolejki i Wisły — szosy, po której jeżdżą wozy i samochody, i sadzawki, która jest w kącie podwórza, i złych psów Blacharskiego, pilnujących szopy z baranami...

— W domach naprzeciw stacji mieszkają Żydzi i Polacy. Na przykład w tym niziutkim, z zupełnie zakłęsłym dachem, mieszka stelmach Jabłoński; jego żona jest akuszerką i wszyscy mówią, że zajmuje się „psuciem dzieci“. Justyna widziała tę Jabłońską: jest niska, tęgą i ma nowiutki koronkowy szal... ciekawe, jak ona te dzie-

ci psuje i czy to są jej własne, czy cudze? — Może daje im dużo łakoci, albo pozwala „na wszystko”? Dalej w drewniak, oliwkowego koloru, mieszkają dwie panie nauczycielki, jeszcze dalej jest pole po ziemniakach i za nim domy ze sklepami: sklep z paszą dla koni, sklep blacharza, mydlarnia, gdzie się kupuje naftę, i „spożywczy”.

Ale „tamtą stroną” w ogóle się nie chodzi, chyba że się ma interes, tamta strona nazywa się „przez szosę” albo „nad Wisłą”, ich strona to — „po tej stronie szosy”, „po stronie kolejki”. Od szosy biegnie w lewo kilka równoległych ulic.

Wszystkie są brukowane grubymi kamieniami i ich wyloty zamyka wysoki wał dużej kolei, takiej samej, jaką się jechało z Charkowa.

Ale te ulice i domy, i sklepy, i ludzie leżą już poza właściwym kręgiem Justynkowego życia, zamkniętego w poprzek szosą Toruńską, od strony Warszawy — Czarną Drogą i Wisłą w kierunku Jabłonny.

Dziewczynki idą środkiem szyn. Amelka opowiada o Teresce i o hucie.

— O, Tereska jest zupełnie inna. Ona się nie przeżywa... A czy ty wiesz, że w hucie robią szkło?

— A jak oni to robią?

— O, to nic takiego trudnego, bo szkło się robi z piasku...

— Z piasku? Coś ty?

Justyna przystaje, tak bardzo ją to zdziwiło.

— Szyby z piasku? i szklanki? To jest niemożliwe, przecież piasek nie jest ze szkła.

Amelka sama dokładnie nie wie, jak jest z tym piaskiem.

— Piasek się gotuje w piecu, a potem się dmucha przez rurkę i z tego robią się szklanki. Tereska widziała to wszystko na własne oczy dużo razy. W hucie jest

strasznie gorąco i szkło jest z początku jak woda, przelewa się je, przelewa... i w hucie jest bardzo ciężka praca, a hutnicy umierają na suchoty, bo mają „małe dniówki“ i nie mogą „jeść tłusto“, a jak się ciężko pracuje, trzeba koniecznie „jeść tłusto“ i pić mleko, wiesz? Ojciec Tereski też ma suchoty, ona mi mówiła.

Jak to może być, żeby takie przejrzyste, połyskliwe szkło robili z piasku? Justyna myśli tylko o tym przez całą resztę drogi i w końcu nie może się z tym pogodzić.

Na podjeździe stoi kilka wyprzęgniętych wozów, a obok żłobów bawi się Paweł z dziećmi ogrodników.

Kuchnia jest otwarta, ale matuśki nie ma. Amelka zawiesiła tornister na klamce i wyjęła z piecyka obiad: barszcz i ziemniaki. Jedzą z jednego talerza, ustawionego na rogu ogromnego stołu w mrocznej i chłodnej kuchni.

W tej kuchni mieszka się tylko „na razie“, dopóki nie ma rzeczy, które matuśka przywiezie z Warszawy. Kuchnia ma jedno okno, zasłonięte wystającą ścianą sionki Kłoseckich, wielki bielony piec i odymiony niski sufit.

Do kuchni jest wejście z podwórka przez obszerną sieni. Do tej sieni przychodzą szczury. W nocy szczury tak hałasują, że nie można spać. Wszyscy się ich boją, nawet matuśka. Wzdłuż ścian w sieni na niskich stołach stoją worki pełne żyta. To żyto dostaje wujek od państwa Wiśniewskich za to, że im dzierżawi pole i ogród, i do tego żyta właśnie przychodzą co noc szczury. Gdy się ściemni, nikt nie wychodzi do sieni, bo szczury „chfustają“ z worków. Donek Wiśniewski widział te szczury i matuśka widziała dużo razy!

Justyna często myśli o tym, że gdyby powynosić z sieni worki, to szczury przestałyby przychodzić, ale gdzieby je można wynieść i kto by mógł dźwignąć taki wór? Zresztą Donek mówi, że „żyta nie będzie, a szczury przyjdą, bo jest szynk i stodoła, i stajnia, więc muszą

przyjść, bo je ciągnie“. Dziewczynki jedzą barszcz i zgadują, gdzie mogła pójść matuśka. Na drzwiach wisi jej żakiet, więc nie wybrała się nigdzie daleko.

— Justynko, pozmywaj pręciutko, a ja pochowam naczynia. — Naczynia chowa się do pieca chlebowego, wewnątrz którego wyłożyła matuśka gazetami i zrobiła z niego kredens.

Przymknęły drzwi kuchni, przebiegły przez sień, nie spoglądając wcale na worki w obawie, żeby nie zobaczyć szczura, i przysiadły na schodkach.

— Co masz zadane?

— Pisanie z książki i dwa słupki rachunków „na odjąć“.

— Phi... co to tam znaczy? My mamy wiersz — ale ja i tak już go umiem.

Amelka staje przed Justyną, dyga i recytuje:

— „O, i wrzesień!

Słońce rzuca blask z ukosa,

I dzień krótszy, chłodna rosa...”

Naprzeciw sieni, między stodołą a ogródkiem, jest wejście do sadu Wiśniewskich.

— Może matuśka jest tam?

Rzeczywiście po jakimś czasie wyszła stamtąd z jakąś panią, której dziewczynki nigdy jeszcze nie widziały.

Pani była ubrana w czarną, sięgającą ziemi suknię, czarny, przypięty na czubku siwych włosów kapelusz z krepy i czarny żakiet. Na ramionach miała czarny szal z rozłazącej się w wielu miejscach koronki, a na rękach czarne ażurowe mitenki.

Matuśka słuchała pilnie jej słów. W pewnej chwili dostrzegła dziewczynki i skinęła na nie przyzywająco.

— O, a to są moje córeczki. Amelko, Justynko, przywitajcie panią!

Czarna nicianska mitenka przyjęła skwapliwie pocałunki.

— Bieduńki... sierotki... ależ mizerniusie.

Twarz ma pani rumianą, pełną, oczy czarne, świdrujące, na policzku dwie ciemne brodawki, zakończone siwymi włosami, i mięsisty nos, zwieszający się ku brodzie. Pod nosem pani ma wąsy... prawdziwe, siwe wąsy!

— Mizerniusie... Musi je droga pani intensywnie odżywiać. Mleko... jajeczko... A może jednak lepiej oddać je do tego zakładu, o którym wspomniałam? Nie to, żebym reklamowała nasze charytatywne placówki, ale mogłabym dopomóc... z przyjaźni, z życzliwości, z chrześcijańskiej miłości bliźniego...

Justyna jest tak zaciekawiona oglądanymi wąsami i brodą, że zupełnie nie słucha tego, co pani mówi.

Matuśka milczy, jej lewa ręka ogarnia i przytula do siebie Amelkę, prawa — Justynę.

— Mogłaby pani dziewczuszki odwiedzać... — Droga pani taka młodziutka, a świat jest pełen pokus... A te dzieciątka jeszcze małe.

Matuśka rumieni się gwałtownie i ni stąd, ni zowąd zaczyna wypytywać o książki meldunkowe i kwitariusze.

— Są, są, Juleczek je oddał Jasińskiemu do schowania. Wszystko jest u Jasińskiego. Droga pani tylko zbierze komorne punktualnie pierwszego, wypisze kwity, no, i w razie jakiegoś meldunku... a już Jasiński odwiezie Juleczkowi pieniądze, żeby drogiej pani nie fatygować. A ja to tylko tak... ja się do niczego nie wtrącam, nie liczę, ja się tym nie zajmuję. Tyle że czasem sobie przyjadę, popatrzę, po ogrodzie pospaceruję.

Jasiński jest stróżem. Bardzo stary, kaszlący, obdarty i brudny. Mieszka obok stajni w najdalszym kącie podwórza. W izdebce Jasińskiego jest maleńkie, zabite gwoździem okienko, drewniane wyrko z brudną, wylataną pierzyną i żelazna kuchenka, ustawiona na czterech ceglach.

Jasiński zimą i latem chodzi w wytartym kozuchu,

przewiązanym w pasie powrozem, w barankowej czapce i w drewnianych chodakach. Wiśniewscy mówią, że śpi w tym kożuchu i w tej czapce i że jest „starym złodziejem, hyclem i draniem“, ale to wszystko chyba nie jest prawdą, bo jakby on mógł spać w czapce? I przecież Justyna wie, że hycle łapią po ulicach psy, a Jasiński nie łapie, tylko służy u wujka Julka za stróża.

Pani zapukała lekko w okienko i Jasiński natychmiast wyszedł.

— Jak się macie, mój dobry Jasiński?

Barankowa czapka razem z siwymi kudłami stróża pochylila się nisko nad mitenkami pani.

— Tak sobie, tak sobie, jasnie wielmożna pani gospodyni.

Staął naprzeciw i zaczął niecierpliwie mówić:

— To wielmożny pan gospodarz widać już ze mnie nierad?! co?! Sprowadza sobie innych rządców! Mnie tam wszystko jedno, ale myślałem, że moja wierna służba starczy, że nie było nijakich potrzeb, ale jak się tak spodobało wielmożnemu panu, to sobie mogę w ogóle na stare lata iść... a jakże. Nie tylko książki meldunkowe i tamte inne papiery pooddawać, ale i mietlę, proszę, proszę...

Otworzył szeroko drzwi izby i wyciągnął z wyrka czarną, sztywną książkę z białą naklejką. Koścista, żółta ręka godzi książką w matuszkę.

Pani pieśczośliwym głosem chce ulagodzić zagniewanego stróża:

— Mój dobry Jasiński, przecież się nic nie zmieniło... nic a nic. Ze przyjechała tu ta biedna pani Anna? No, to przecież Jasiński wie, że to siostra pana gospodarza, cóż miał z nią zrobić? zostawić na ulicy? z dziećmi? Czy można mieć serce z kamienia? Musiał ją przecież przytulić, przygarnąć... Jasiński — to jest Jasiński, wy po dawnemu...

Wręczyła matuśce książkę i odeszła ze stróżem w stronę stodoły.

— Matuśko, kto to jest ta pani? — zapytała szeptem Amelka.

— Cicho, cicho...

W kuchni Amelka pyta jeszcze raz i wtedy matuśka mówi:

— To jest matka cioci Lizy, żony wujka Julka, to pani — von Rensztedt... I bądźcie dla niej zawsze bardzo grzeczne, bo jak się ona na nas obrazi, to zaraz nas wujek stąd wyrzuci...

Wieczorem, kiedy dzieci już spały, matuśka wstąpiła do ogrodników i tam opowiedziała szczegółowo o wizycie Rensztedtowej. Wiśniewscy wiedzieli, jak zresztą i wszyscy w osadzie, że domy przy szosie Modlińskiej, od „haltu“ aż do Toruńskiej, są zabezpieczeniem posagu Elizy z Rensztedtów Katerliny, a cichymi współnikami wujka Julka, jeśli chodzi o place, pola i sad są poza Rensztedtową jej synowie, bracia Elizy, prałat i pułkownik.

— O, to chytra babo! A fałszywa, a skąpa! Bogiem się zasłania, a diabłu kuma.

Matuśka słyszała wielokrotnie plotki, mniej lub więcej złośliwe, krążące w rodzinie o tym, że świetne koligacje bratowej zaczynały się dopiero w ostatnim pokoleniu, że starzy Rensztedtownie przez całe lata prowadzili oberżę na Kamionku, że na niej się dorobili, że byli ludźmi bez skrupułów.

— A ten hultaj Jasiński to jej doradca i powiernik, znaleźli się w korcu maku.

Ogrodniczka Wiśniewska ma chore oczy i jak mówi, to ciągle nimi mruga. Jest bardzo pracowita, więc i teraz, rozmawiając, łuszcze fasolę, której całe pęki razem z uschłymi badyłami i resztkami liści leżą u jej stóp.

Matuśka pyta, czy to prawda, co mówią o strózu, że wydał żandarmom w 1905 roku trzech mężczyzn ukrywających się gdzieś tutaj w „domach nad Wisłą“.

— Naturalnie, że prawda. On jest tylko od donosów i szpiclowania... Sam sprowadził żandarmów, znaleźli ich w sianie. To właśnie wtedy umarł syn starego Symche — niemowły...

Tak go zbili za tych nieszczęśliwców, że umarł na serce. Jak ten ojciec rozpaczał, jak rozpaczał, przecież wszyscyśmy widzieli to na własne oczy.

Anka opowiada, jaki ten Jasiński jest podły.

— Każdego pierwszego chodzi z kwitami, co mu je już przed tym powypisują, do lokatorów i każe płacić. Wyinyśla, tupie nogami i grozi kijem: „Paszoł won! Jak nie masz na komorne, to — paszoł won! pod most — mówi — idź, mieszkania są dla takich, co płacą“. Ale cóż, Rensztedtowej nikt się nie poskarży, bo i ona nie lepsza, a pan gospodarz, jak nawet i kiedy przyjedzie, to jak po ogień, tylko ci mignie i już go nie ma, Jasiński cały pan...

Chwilę milczeli wszyscy, aż Bolek Wiśniewski zapytał:

— A słyszała już pani rządcyna o tym, że znów mają kanał budować? Że ludzi będą wysiedlać?

— Nie, nic o tym nie wiem.

— Mówią, że na wiosnę się ruszy. Podobno place już skoczyły w górę.

Ogrodnik poruszył się niespokojnie na swym miejscu na ławie obok pieca.

— Co powiadasz, Bolku? Że mają wysiedlać? Kogo, nas?

Bolek, najstarszy syn ogrodników, popatrzył na matkę i na siostrę i ostrzeżony ich oczyma, odpowiedział:

— Gadają, ale co tam w tym prawdy, nie wiadomo... a bo to raz gadali? A jak się siedziało, tak się i siedzi...

ROZDZIAŁ III

Na wiosnę przyjechały z Warszawy meble, ich własne, sprzed wojny. Ciężki dębowy stół na toczonych nogach, które można było wykręcać, tremo z czarnym hebanowym stoliczkiem, czerwona pluszowa otomana, łóżka z materacami, białe łóżeczko z niebieską siatką dla Pawła, dwie szafy, obrazy, krzesła obite skórą, kredens z drzwiami u góry i u dołu, stoliczek spod samowara...

Matuśka śmiała się z dzieci, że tak głośno zachwycają się każdym przedmiotem.

— Amelko, patrz, jakie to cudne!

— Matuśko, czyj to portret?

— Jesteście małe dzikuski. Nie ma tu nic cudnego, trochę połamanych gratów — mówi matuśka i już nie do dziewczynek, ale do Jasińskiego i Kolbusowej, stróżki ze szkolnego podwórka, zwraca się z uwagą:

— Wszystko, co lepsze, poginęło... gabinet męża, dwa dywany, nakrycia, bielizna, ubrania, szkło...

Jasiński udał, że nie słyszy, a Kolbusowa użaliła się serdecznie:

— Widzi pani, biednemu zawsze wiatr w oczy.

Rzeczy wnosi się przez ganek do dwóch pokoiów, gdzie teraz będą mieszkali. Ludzie stękają z wysiłku, klną na schodkach i narzekają głośno na „parszywe, za wąskie drzwi“. Paweł wlaź na platformę i straszy konie batem. Na podwórku stoi gromadka ciekawych sąsiadów, jest Kłajman — rymarz z oficynki, i Anka Wiśniewska, i Donek, i pani Kłosecka z dziewczynkami, i dzieci Widelskiej, zamężnej córki ogrodników.

— Aj, aj, to są pierwszorzędne sztuki — zapewnia rymarz — solidne, dębowe...

— Widać, że ludzie kiedyś coś mieli — wtrąca sentencjonalnie Kolbusowa, ucierając nos fartuchem — o, proszę, wystarczy spojrzeć na te materace...

Ance najbardziej podoba się tremo.

— Taki kawał lustra i jakie czyste odbicie, możesz się cała przejrzeć...

Uśmiecha się do siebie — zamkniętej w czarnych, hebanowych ramach.

Justyna z Amelką pomagają, wnoszą do mieszkania walizki od kanapy, szuflady, nogi stołu...

Łóżka stoją zsunięte razem, materace mają sprężyny i uginają się miękko, gdy się po nich skacze.

Już obydwa pokoje są pełne. Jest i toaleta z owalnym lustrem, zawieszonym na ruchomych kołeczkach, i dzieciinne foteliki, i stół kuchenny, i stos książek związanych sznurkiem, i nuty, i pulpit od skrzypiec...

— Już wszystko?

— Już, już!

Matuśka stanęła na ganku i popatrzyła na pustą platformę.

— Bardzo panom dziękuję. A tu, proszę, choć na kufelek piwa.

Panowie nie odjechali daleko, wykręcili z bramy, skierowali konie do żłobów, zostawili je razem z platformą pod opieką uszczęśliwionego Pawła i weszli do szynku.

Matuśka z dziewczynkami i z Kłobusową robi porządek.

— No, to ma pani teraz wszystkiego... zaraz się będzie inaczej żyło.

— Matuśko, popatrz, popatrz!

Amelka wyciągnęła z szuflady kredensu pognieciony kawałek złocistej gazy.

— To od sukni, zostawiłam w szafie zupełnie nową balową suknię, miałam ją na sobie jeden, jedyny raz na weselu brata, tego waszego gospodarza, to od stanika, był cały z gazy...

Zakurzonymi palcami ujmując lekki, przezroczysty strzęp i przygląda mu się z łagodnym uśmiechem.

— Wszystko było zwalone na kupę na strychu u siostry, dziw, że w ogóle coś ocalało, bo ostatecznie mogła i tego dla mnie nie zrobić, żeby to kazać do siebie zwieźć... Jest jeszcze u drugiej siostry mój fortepian, ale chyba go sprzedam, bo raz, że tu nie ma miejsca, a po wtóre — ktoś by na nim grał?

Na jednym obrazie jest głowa matuśki. Cały obraz jest ciemny, tylko matusina twarz i włosy są jasne. Justynka przysiadła na brzeжку otomany, oparła sobie obraz na kolanach i przygląda mu się ciekawie. Złotawe, puszyste włosy nad białym czołem, delikatnie wygięte brwi nad szafirowymi oczyma, różowe policzki i małe, śmiejące się usta.

— Matuśko, czy to jesteś — ty?

Matuśka bierze portret z rąk Justynki i patrzy nań chwilę.

— Tak, to byłam ja. Miałam wtedy dziewiętnaście lat...

Oczy matuśki mają w tej chwili taki sam chabrowy kolor, jak te na obrazie, tylko są jakby wyprane z blasku. Od nosa, ku brodzie, poprzez szczupłą, ściągniętą twarz biegną dwie głębokie zmarszczki, usta są małe i różowe, ale nie rozchylają się już w uśmiechu, są tylko łagodne. Nawet włosy, piękne, złotawe, błyszczące w słońcu, okrycone dokoła głowy grubym wulkim, są też trochę inne.

— Tak, córuchno, to byłam ja.

Ustawianie mebli trwa do wieczora. Przy zsuwaniu łóżek okazuje się, że w jednym brak boku, a z materaców wyłazą sprężyny, w szafach są powyłamywane zamki, a w skrzyniach prawie same skorupy. Dziewczynki jednak wciąż jeszcze zachwycają się odkrywaniem skarbami: jest dziesięć kryształowych czarek na rżniętej w piękny wzór tacy, osiem wysmukłych kielichów do wina, z monogramami A. K. i śliczne, maciupieńkie „chińskie“ filiżanki do kawy, i spodeczki do konfitur, i taca do tortu...

Justyna wprost nie może uwierzyć, że to wszystko jest ich, że będzie stało w tych pokojach, będzie się z tym mieszkąć na codzień, oglądać, dotykać...

Jest w niej radość, ale i niepokój.

Matuśka pozwala ustawić na szafeczce trema flakony od perfum i szczotki w srebrnej oprawie. Pokój zaczyna zasnuwać się mrokiem. Naprzeciw niej w taflí lustra, które ciągle jeszcze jaśniej wyrażnie, ukazuje się oczom dziewczynki mała, chuda, z bardzo cienkimi nóżkami i krótkimi warkoczykami — Justynka.

Ma granatową sukienkę, nie okrywającą kolan, na nogach brązowe pończochy i buciki ze złotymi haczykami, różowy, łatany na łokciach sweterek i niebieskie wstążki. Wstążki są darem Anki Wiśniewskiej i napelniają serce Justyny wielką dumą. Szare, spokojne oczy patrzą z bladej twarzyczki na wszystko, co daje się zamknąć w kręgu widzenia, i przeważnie dziwią się oglądanemu.

Następnego dnia była niedziela i miał przyjechać ksiądz, żeby odprawić nabożeństwo. Najbliższy kościół był daleko za wałem kolejowym, na „Piaskach“ albo, jak inni nazywali tamto przedmieście, na „Nowym Bródnie“.

Mało kto tam chodził jeszcze i z tego względu, że według relacji Jasińskiego i pani von Rensztedtowej ich osada była siedliskiem „bezbożników“ i „nicponiów“, którzy „wierzyli w rogatego diabła“. Po długich staraniach zaczął wreszcie przyjeżdżać co dwa tygodnie ksiądz do kaplicy specjalnie urządzonej w „dużym pokoju“ obok szynku Kłoseckich. Klucz od kaplicy wisiał na gwoździu w „szczurzej sieni“ i często kusił dzieci, ale wiadomo było, że nie wolno go ruszać za nic.

W pokoju, który należał kiedyś do restauracji i spełniał rolę salonu, rezerwowanego dla najlepszych gości,

zawieszano obrazy świętych, ustawiano ołtarz i przygotowywano krzesła.

O tej kaplicy, o obrazie „szczególnie cennym“ i o gipsowych kukielkach żłobkowych opowiadała Kolbusowa całą historię.

— Dawniej to ta cała posesja i place nad Wisłą należały do niejakich państwa Grębickich. Ta restauracja, co ją teraz Kłoseccy dzierżawią, to była też ich aż do końca wojny. Miałam wtedy szesnaście lat, ot, zwyczajna kocha. Byłam za kelnerkę, podawałam gościom. To oni, ci Grębiccy, byli bardzo bogaci. Ale byli bezdzietni, toteż ludzie dziwowali się, na co im te majątki. Ot, zwyczajna chciwość ludzka, aby składać. Skąpi byli do niemożliwości, zlewki z talerzy pani Grębicka zamykała w komórce, że się niby przydadzą... Aż przyplątał się tu taki jeden, gdzieś po 1905 roku koło gorzelni robił, niespokojna to była dusza... Kręcił się, judził przeciw bogaczom, podburzał, buntował, kogo mógł. Wyrzucił go pan z gorzelni, ale po osadzie się snuł i swoje dalej rozpowiadał, aż tu patrzeć, któregoś dnia znaleźli go ludzie w Sliwicach — nieżywego. Zaduszony był. Ruszyła się plotka, że stary Grębicki w tym też palec maczał. Zjechała policja, ale nie wykryli nic, tyle co w szynku popili... ludzie pomału zapomnieli... Ale od tamtego czasu coś się w interesach państwa Grębickich zaczęło psuć, choć we wojnę pieniądze strugą płynęły. Powoli jedno po drugim wypuszczali z ręki. Najpierw gorzelnię oddał pan Zydom w dzierżawę, po tym zajazd wziął Kłosecki, wreszcie całą posesję sprzedali siostrze Grębickiej, tej pani Rensztedtowej, a ona zięcia przypuściła do hipoteki... Sami zrobili się strasznie nabożni... Kaplicę założyli u siebie, msze zakupowali, pani to się bez różańca i innych świętości krokiem nie ruszyła. Sumienie ich widać żarło. Po nich ten obraz właśnie.

— O, wtedy to się ludzie dorabiali... jak tylko spryt

miales, a z innego pociągnąć potrafiłeś, toś się zaraz w pana zamieniał i czapkowali ci wszyscy w pas... ale i tak krzywda ludzka o swoje się kiedyś upomni.

Co drugą niedzielę posyłano z dworku panien Łęckich bryczkę na Pragę i przyjeżdżał ksiądz.

Tego dnia na nabożeństwo przyszło dużo ludzi z Pelcowizny, z Żerania, a nawet Piekielka.

Przy księdzu posługiwał stary tercjarz, „dziobały Feliks“, którego dzieci się okropnie bały.

Po mszy świętej ksiądz zwrócił się do zebranych z oznajmieniem, że ostatecznie zatwierdzono „u góry“ budowę kościoła w osadzie. Stanie na placu koło szkoły i żeby wszyscy pomagali, żeby zachęcali innych.

Ten i ów zaciekawiał się nowiną. Padły pytania:

— A jaki będzie ten kościół, murowany?

— Kto da pieniądze?

— Nie, nie, na razie drewniany, skromniutki — ksiądz chrząknął i zatarł ręce.

— Sami sobie poradzimy, a któż ma dać?

— A pod jakim będzie wezwaniem? — zainteresował się głośno Grzelak, trumniarz z Warmińskiej.

— I patrona też sami sobie wybierzemy.

Ksiądz zaproponował wspólne obejrzenie placu. Plac Kościelny, jak się o nim mówiło, leżał między domem zajmowanym przez Kloseckich a piętrowym budynkiem szkolnym i co rok obsadzany był przez restauratorów kapustą.

Ludzie z księdzem stanęli na skraju pola pod murowaną ścianą oberży i radzą:

— Kościółek stanie bliżej frontu, w tyle można by plebanijkę...

— Pierwsza rzecz ogrodzić, to zupełnie co innego, jak jest ogrodzone, na razie zrobić drewniany parkan i pomalować.

Justyna dostrzegła naraz Cesię Truskołaską, zawołała więc na nią ucieszona:

— Cesi! Byłaś w kaplicy? nie widziałam ciebie...

Cesia mieszkała na Żeraniu i codziennie razem z innymi dziećmi przychodziła do szkoły środkiem szyn kolejowych.

Ksiądz skończył już prowizoryczne wyliczenia i żegnał się z ludźmi.

— Chcesz iść na kaczeńce? — spytała Cesia.

— Na kaczeńce? A gdzie?

— Na kanały, to niedaleko, tam jest masa kaczeńców, aż żółto...

Justyna zawahała się, matuśka nie pozwalała daleko chodzić. Justyna rozejrzała się, czy nie widać gdzie matuśki, która by mogła zabronić, ale nie dojrzała jej nigdzie, więc wzięły się za ręce i poszły.

Pole Wiśniewskich kończy się koło „haltu“. Są to dwa drewniane domki parterowe, ciemnozielonego koloru, zamieszkałe przez rodziny żydowskie. Kiedy byli Niemcy, stał tu zawsze żołnierz i zatrzymywał furi ogrodników. Wychodził na szosę, podnosił rękę, krzyczał: „Halt, halt!“ — i fura musiała stawać.

Od tego czasu te domy nazywa się „haltem“. Za „haltem“ są znów pola, ale już nie wiadomo czyje.

Justyna pierwszy raz jest tak daleko od domu. Rozgląda się ciekawie i coraz wypytuje koleżankę:

— Dlaczego tu nie ma domów? Czy tam jest las?

Od „haltu“ do kanałów leży pusta przestrzeń, zamknięta na granicy nieba delikatną smugą drzew. Te drzewa na lewo są już za Wisłą, to bieleński las, a te po prawej to ogród w Białoleśce, a te na wprost to „lasek“, tam rosną fiołki.

Nie, tego wszystkiego Justyna nie wiedziała, ale fiołki zna, fiołki rosły w parku w Charkowie, takie małe, pach-

nące, liliwoniebieskie kwiatuszki na delikatnych łądzkach...

— No widzisz, i już jest nowa szosa.

Szosa wykręca gwałtownie w prawą stronę zagiętym, bielejącym łukiem, zostawiając szyny kolejki i dom stróża kanałów na zewnątrz. Przed laty zaczęto tu budować kanał i od razu pobliskie osady jakby ożyły, setki ludzi znalazło pracę, roboty jednak przerwano na okres wojny i wszystko wróciło do dawnej roślinności. W 1918 roku zwieziono ponownie taczki, łopaty, maszyny, przyjęto nawet stałego stróża do magazynu; ruch trwał przez kilka tygodni, krzątali się urzędnicy, inżynierowie, kontrolerzy, coraz to samochody przywoziły z Warszawy inspekcje, ludzie czekali w wielkim napięciu, ale na tym się skończyło.

Wybrane doły zaczął zasypywać piasek, taczki ułożone w wielki stos szerniały na deszczu, ludzie wyzbyli się nadziei... podmokłe, niskie łąki zarosły ostrą trawą.

— Patrz, Justyno, te domy — to Żerań. Ja mieszkam w tym pierwszym, malutkim, w ogródku, widzisz?

— Widzę, a to co?

— To stare forty, stąd żołnierze strzelali. Tam właśnie jest woda i kaczęce, chodź.

Zeszły z szosy. Nogi grzęzną w sypkim, złotym piasku. Wokół ciągną się nierówne, garbate wydmy.

— To są forty?

Stoją przed niewielkim betonowym bunkrem.

— To są okienka do strzelania...

— Tu też była rewolucja? — pyta Justyna myśląc o walkach w Petersburgu i Moskwie, o strzałach na ulicach Charkowa.

— Coś ty? To była zwyczajna wojna. — Okazuje się, że Cesia nie wie właściwie, co to znaczy rewolucja, i dziwi się, że Justyna ją „widziała“. — Widziałas na własne oczy?

— No, widziałam, jak były pochody i jak zdun Aleksiej pojechał bronić rewolucji, jak żandarmi zabijali ludzi, a pan Lurie i Mikołaj też pojechali bić się za rewolucję...

Jeszcze kilkadziesiąt kroków i już jest woda, jasnomodra, płytka kałuża obrzeżona trawą i tatarakiem. Nad samą wodą złocą się kaczeńce.

Narwawszy kwiatów wdrapały się na betonowy bункier i układają bukiety. Stąd wszystko doskonale widać.

— Ten murowany, czerwony dom — to gisernia, mój brat tam robi...

— Brat? A tatusia masz?

— Mam, mój tata jest stróżem u państwa Tańskich.

— A mój tatuś już zmarł...

Przebrnęły po piachu do szyn kolejkowych i tu się rozstały.

Do mokrych butów przyłgnał żółty piach, małe nogi Justyny skaczą z podkładu na podkład.

Naprzeciw „klejarni“ Fuksa Justyna przystanęła i głęboko wciągnęła nosem powietrze.

— Czuć czy nie?

Klejarnia zawsze cuchnęła strasznie, szczególnie w lecie, bo zwożono do niej kości zwierzęce i padlinę.

Naprzeciw pola Wiśniewskich za wysokim, czarnym drewnianym parkanem są składy firmy „Mazut“, a dalej olbrzymie metalowe cysterny firmy „Bracia Nobel“. Jeszcze tylko kawaleczek drogi i już jest dom.

„Jak ta Cesia wszystko wie... i gdzie rosną kaczeńce, i fiołki, i o fortach, i giserni“ — myśli z podziwem Justyna i budzi się w niej uczucie zazdrości, ale zaraz przypomina sobie, że Cesia nie widziała rewolucji, nie była nigdy w Charkowie, nie zna placu cerkiewnego, pożarnej komandy, pola kupca Galkina ani Koli, ani listonosza Mikołaja... i zazdrość prawie znika.

Przed „haltem“ bawi się gromada dzieciaków.

Mają latawca i chłopczyk podobny do Pawła próbuje go puścić na wiatr.

— Daj kwiatów, daj! daj!

Na Justynę patrzą z twarzy kilkuletniej dziewczynki czarne, smutne oczy Judki Tajtelbauma.

Justyna daje dzieciom po kwiatku i już teraz pędem mija oficynkę Kłajmana, podjazd, żłoby, wpada przez bramę i już z ganku woła:

— Matuśko, przyniosłam dla ciebie kaczeńce! Byłam na kanałach!

ROZDZIAŁ IV

Jeszcze przed świętami sprzedawała matuśka wyżymaczkę i toaletkę, a później krzeselka „od garnituru“, kryte aksamitem, za co dzieci dostały po parze sandałów, Amelka różową sukienkę, a Paweł koszulę w kratkę i majtki ze „sztucznego zamszu“, a Justynka sukienkę przerobioną ze starej Amelczynej i nowy fartuszek. Po nici i guziki trzeba było iść aż na Piaski, gdzie był sklep z galanterią.

Któregoś dnia wybrała się tam matuśka z panią Kłosecką i Anką Wiśniewską. Dzieci poszły również.

W niewielkim oknie tuż nad chodnikiem leży mnóstwo ciekawych rzeczy: wstążki, ołówki w otwartych pudełkach, guziki, całe arkusze kalkomanii, szpulki nici, organki, domino, klocki, lalki... Justyna, Paweł i Janka Kłosecka nie mogą oderwać się od wystawy.

— Mamo, kup mi organki! — napiera się gwałtownie Paweł — i klocki!

— Nie mam pieniędzy, syneczku, to są drogie zabawki...

— A jak będziesz miała, to mi kupisz?

— Kupię.

— No to mi teraz kup tylko organki!

Justyna rozmawia z Janką:

— Co byś chciała mieć z tej wystawy? z calusieńkiej?

— Chciałabym — Janka ogarnia wzrokiem całą szybę i wszystko, co za nią widać i mały fartuszek batystowy, obszyty koronką, i dziecinne, czerwone buciczki z białymi tasiemkami, i zabawki, i wstążki; jej jasne oczy z żółtymi rzęsami obiegają łakomie stłoczone na parapecie okiennym różnorodne bogactwo.

— Ja bym chciała mieć wstążki i tę czerwoną chustkę w kwiaty, i tę broszkę ze słoniem, widzisz? i pasek lakierowany, o ten, ten! i jeszcze to jajko z mydła, co leży koło klocków...

— A ja tę laleczkę, o tutaj — Justyna stuka palcem w szybę — tę malutką, z prawdziwymi włosami, i te wstążki, i...

— Jasiu, Pawełku! dzieci!

Odchodzą od okna z ociąganiem, można by tam stać bez końca, takie wszystko jest śliczne.

Za przejazdem kolejowym matuśka zatrzymała się przed piętrowym murowanym budynkiem, zupełnie schowanym wśród kasztanowych drzew. Prowadził doń, przez głęboki rów, mostek pomalowany w biało-czerwone pasy.

— Patrz, Justynko, to jest komisariat, tu się nosi książkę meldunkową, przez ten mostek z podwórka do sieni i schodami na pierwsze piętro, będziesz wiedziała?

— Będę. Taki dom za drzewami, z malowanym mostkiem.

Justyna w tej chwili uświadamia sobie, że to, co teraz oglądają, razem z przejazdem i domami po tamtej stronie toru, jest „tym“, co chowa się za zakrętem, tym, czego stojąc przed szlachtuzem nie można zobaczyć...

To przecież ta sama droga, co się zaczyna na rogu, takie same nierówne kamienie, na bokach wydeptane

ścieżki, z lewej strony głęboki rów... i ubogie, drewniane domy.

W tym czasie wujek Katerla kazał domy na swej posesji pokryć papą i zaraz po tym podniósł komorne, co z kolei wywołało ruch wśród lokatorów. Najbiedniejsi, jak na pół ślepy szewc z chorym na gruźlicę synem, szklarz — Menes czy wdowa Zalewska — szmaciarka, koszykarz Kozłowski i kilku innych wyprowadzili się natychmiast, przenosząc na plecach swe sienniki, skrzynki i stołki do domów Idłowej na drugą stronę szosy; inni, jak Kłajman, Widelscy, zaczęli targi; Kłosecki, Blacharski, kowal Rzepka ze szkolnego podwórka, sodowiarz Ostrze-ga pokiwali tylko głowami i pierwszego dopłacili bez słowa różnicę.

W związku z wyprowadzką i odnajmowaniem mieszkań nowym lokatorom matuśka miała zajęcie z meldunkami i często musiała chodzić do komisariatu. Czasem biegały tam dzieci. W ogóle ostatnio przez wszystkie godziny wolne od szkoły przebywały na dworze. Dnie robiły się długie, ciepłe. Szło lato.

Powoli stopniała też nieufność sąsiadów i matuśka została przez ludzi z osady uznana za „swoją“. Przebaczone jej nawet pokrewieństwo z gospodarzem, gdy przekonano się, że jest ono czymś na wskroś formalnym. Zapraszano ją na rozmowy, udzielano rad, dopuszczano do drobnych tajemnic i kłopotów, brano w obronę. Ludzie z Pelcowizny, Żerania i Piasków dzielili się na dwie klasy: pierwszą stanowili właściciele nędznych drewnianych domków z ogródkami, kolejarze, sklepikarze, drobni rzemieślnicy, kilku podrzędnych urzędników, dojeżdżających do biur w Warszawie, i paru dzierżawców — ogrodników, klasą drugą, o wiele liczniejszą, była biedota, robotnicy, wyrobnicy, rybacy, koszykarze, bezrobotni. Do tej klasy należała również grupa żydowska, zamieszkująca „domy nad Wisłą“.

Spośród elity wywodzili się goście restauracji Kłoseckich, członkowie „komitetu budowy kościoła“ i towarzystwa „Rozwój“ oraz „Opieki Szkolnej“, biedotę poznawało się po łachmanach, zgiętych plecach i mściwym, zaciętym wyrazie oczu.

Matuśka właściwie nie należała ani do jednych, ani do drugich. Jej wygląd zewnętrzny kwalifikował ją co prawda na członka „elity“, ale coraz wyraźniej gruntujące się w niej przekonania wiązały ją raczej z biedotą, ona sama jednak jeszcze ciągle nie umiała ostatecznie wybrać. Tymczasem nieustanny spadek pieniądza doprowadzał szybko do nędzy ludzi żyjących z doraźnych zarobków. Dotyczyło to i Anny. Kolejno z ich dwóch pokojów zniknęły: jedno łóżko z materacem, bielizniarka, pluszowe kapy, a i matuśka coraz częściej jeździła do miasta, gdzie spędzała całe dnie, szukając zajęcia.

Z początku ludziła się, że ustosunkowani bracia i szwagrowie przyjdą jej z pomocą.

— Moja Anno, dziś wymagane są kwalifikacje, a cóż ty właściwie umiesz?

Uśmiechała się z zażenowaniem.

— Znam języki, może by to się dało jakoś wykorzystać?

Ale cóż stanowiła znajomość języków wobec jej kompromitująco zniszczonych rąk, wyszarzanego żakietu i, co najważniejsze, owego nieszczęsnego pokrewieństwa, którym się nikt nie chciał afiszować. Gdyby nie była z domu Katerlanką! Nikt jej tego wyraźnie nie powiedział, ale domyśliła się od razu, o co chodzi. Rozpoczęła więc na własną rękę wędrówkę po „prywatnych biurach pośrednictwa pracy“. Odwiedziła nawet kancelarię Holtorffów, ciągle jeszcze zajmującą pierwsze piętro w kamienicy Katerlów na Wiejskiej. Karol Holtorff-ojciec — umarł przed dwoma laty, przyjął ją August-syn.

— Czym mogę szanownej pani służyć? Ach, tak, przypominam sobie... Z mecenasem załatwiliśmy wszelkie rachunki... — patrzył na nią przez szkła pince-nez chłodno, przenikliwie.

Anna już wiedziała, że niczego nie wskóra, że niepotrzebnie tu przyszła, mimo woli zaczęła w niej wzbierać złość i pogarda. Całe wnętrze gabinetu patrona tchnęło elegancją, graniczącą ze zbytkiem. Miękkie fotele, jasnobłękitny dywan i aksamitne portiery stwarzały nastrój prowokujący do intymnych zwierzeń. Powiedzieć, co o nim myśli, o nim i o tych wszystkich, co w podobnych temu tu gabinetach przetrwali wojnę, czas, w którym tysiące tysięcy ludzi głodowało, umierało, kiedy płonął świat i rodziły się nowe wielkie prawdy, kiedy rozpadało się w proch stare...

Ale nawyk ukrywania myśli podsunął jej tylko uprzejmą uwagę:

— Mieszkam obecnie w pobliżu fabryki Spiessa, a wiem, że naczelnym dyrektorem firmy jest mąż pańskiej siostry, panny Marty Holtorffówny, myślałam, że może przez dawną znajomość, na skutek długoletniej współpracy mego męża z panami, zechciałby mecenas użyć mi swej łaskawej protekcji... — przelknęła szybko ślinę, bo czuła, jak jej zasycha w gardle. Zmrużyła swe prześliczne oczy i patrzyła prosto w twarz człowieka, który siedział przed nią, bębniąc lekko palcami o poręcz fotela, co mogło wyrażać zarówno: niezdecydowanie jak i zniecierpliwienie.

— U Spiessa? no tak, ale mnie ze szwagrem łączą bardzo luźne stosunki... to raczej brat pani, dyrektor Katterla, jest z nim w przyjaźni. Oczywiście, tak będzie najlepiej, niech on to pani załatwi!

Nie wstając z fotela skinął jej uprzejmie głową i nieznacznie sięgnął po teczkę z aktami.

„Ach, lotry! Niegodziwcy!” — zdusiła w sobie prę-
mocą.

Uśmiechnęła się lekko, niemal zalotnie.

— Vraiment, nie pomyślałam o tym... proszę darować,
że niepokoiłam.

Jej delikatna twarz w otoku jasnych włosów, rysunek
brwi, blask oczu, który przez chwilę zamigotał dawnym
promiennym światłem i wreszcie zaskakująco nonsza-
lancki ton podziaływały widać na adwokata, bo wstał szyb-
ko zza biurka i pochylił się z galanterią.

— Ależ byłem prawdziwie zaszczycony... proszę mi
wierzyć!

Szybkim spojrzeniem otaksował jej figurę i dodał jesz-
cze grzeczniej:

— Jestem zawsze na usługi...

Zbiegła ze schodów, jakby ktoś ją gonił.

„Prywatne pośrednictwa pracy” pobierały z góry „wpi-
sowe” i polecały „dowiadawać się”. To „dowiadywanie”
było jedynie wydawaniem pieniędzy na bilety kolejkowe
i stratą czasu. Mogłaby dostać pracę, gdyby była „zupel-
nie samotna”, gdyby „pisała biegle na maszynie”, „zna-
ła krój”, była „zaawansowaną w numerach solowych
tancerką”, gdyby „mogła wnieść udział do interesu”,
gdyby „była o dziesięć lat młodszą”... gdyby... Ostatecz-
nie, kiedy już wszystkie nadzieje zawiodły, poszła do
„Fabryki octu i chemikalii Ludwika Spiessa” do Pie-
kielka.

Dyrektor, zięć Holtorffów, przyjął ją niemal serdecz-
nie:

— Co by tu można dla łaskawej pani zrobić? Sił biu-
rowych mamy raczej nadmiar, no, a na robotnicę pani
się nie nadaje... absolutnie nie nadaje. Pracujemy w fa-
talnych dla zdrowia warunkach, pojmuję pani, chemi-
kalia — wyziewy... mamy tu kobiety, ale dobiera się
same młode, zdrowe, silne, a i te po dwóch, trzech latach

zaczynają chorować, zresztą zarobki są groszowe... W naszej branży odczuwa się pewien zastój, cóż? skończyła się wojna, wielkich zamówień nie ma, przeszliśmy na ocet, farbkę do bielizny.

Na pożegnanie wypisał jej kartkę do magazyniera i zapewnił o swym szacunku.

Na podstawie kartki dyrektora wydano pięć litrów octu i dwadzieścia cztery dziesięciogramowe torebeczki farbki do bielizny. Butelki były bardzo niewygodne do niesienia i cud, że ich nie potłukła w drodze do domu.

Wizyta w fabryce Spiessa zakończyła na jakiś czas zabiegi matuśki dokoła znalezienia pracy. Na razie po całych dniach pikowała z Anką Wiśniewską rozsadę kapusty, pomidory i prymule z okien inspektowych do doniczek. Nie nazywało się to „pracą u ogrodnika“, bo Wiśniewscy nie płacili jej za to pieniędzmi i nigdy się o nic nie umawiali. Po prostu chodziła co rano do Symeona, a on objaśniał, „w czym dziś mogłaby pomóc“, a wieczorem Anka przynosiła w fartuchu łuskaną fasolę, buraki, główkę kapusty, świeżą, zieloną sałatę czy ziemniaki.

Słońce leży na liściach i na trawie alejek. Zielone okrągłe wisienki wyglądają jak korale niemi cieniuchnych ogonków powiązane w pęczki i uczepione u zwisających gałązek, seledynowe jabłka niby kwiaty tkwią wśród miękkich liści. Inspekty są zaraz za kwiatowym ogródkiem.

Justyna dygnęła Symeonowi dzwigającemu konewki z wodą z sadzawki i szuka wśród krzaków i drzew matuśki.

— Jest tam koło „lobelii“, idź, idź, moje dziecko, tą steczką...

— Matuśko, przyszła jakaś pani o mieszkanie.

— Dobrze, kochanie, już idę.

Matuśka po drodze odwiązuje fartuch i wyciera weń obmyte naprędcę z ziemi ręce.

Pani czekająca dotąd na ganku wstała z krzesła i zaczęła ściągać bawelniane rękawiczki.

— Jestem Branichowa, paniusia już pewno wie, przychodzę tu względem mieszkania.

— Wiem, mówił mi o pani Blacharski, ale to jest ma-lutkie mieszkanko i ma bardzo przykre schody, nie wiem, czy się nada.

— Nada się, nada...

Matuśka każe przynieść Amelce klucz do facjaty od Jasińskiego, zapraszając tymczasem panią Branichową do pokoju.

— Proszę, niech pani chwilę spocznie.

Pani Branichowa weszła skwapliwie do mieszkania. Jest już zupełnie stara; ma garb na plecach, staromodny stroik z dżetów i aksamitki na głowie i czarną satynową suknię w białe cętki.

Usiadła na kanapie i ręce zaplotła na zsuniętych ko-lanach.

— To nic nie szkodzi, co tam schody... Jest nas tylko dwoje, mąż już staruszczek...

Pokiwała głową.

— Mój mąż, pewno paniusia kochana już wie, mój mąż jest w e t e r a n e m, a jakże, złociutka! Weteranem z 1863 roku, niedługo skończy osiemdziesiąt osiem lat!

Justyna, obecna przy rozmowie, przez cały jej czas przygląda się z uwagą rękom pani Branichowej, które są małe, chude i całe w brązowych plamach.

Justyna nigdy nie widziała takich rąk.

— Przyniosłaś klucze, Amelciu? To może pójdziemy obejrzeć!

Dzieci pierwsze wybiegają na dwór. Facjatka, o któ-

rej była mowa, mieści się w tym samym budynku tuż koło bramy. Wchodzi się do niej po dwunastu wąskich, stromych schodkach, podobnych do drabiny.

— Myślę, że ze względu na te schody chyba pani zrezygnuje.

— Schody to nic, złociutka, schody się nie liczą, mnie chodzi o punkt, tylko o punkt! Bo paniusia pewnie już wie, że jestem akuszerką, dyplomowaną, a jakże!

— Właśnie u Blacharskich, u ich córki Kajli, odbierałam syna, śliczny chłopak! ile to? dziś akurat dwa tygodnie. I to właśnie Blacharski mi mówił o tym mieszkaniu, o! to bardzo porządni ludzie ci Blacharscy...

Drobnymi kroczkami przechodzi kilka razy z pokoju do kuchni. Izdebki są niskie, okna tkwią w wąskich korytarzykach, zrobionych we frontowej ścianie. W kuchni stoi mała gliniana kuchenka, pomalowana na niebiesko.

— W sam raz! w sam raz! I jeśli paniusi złociutkiej wszystko jedno, to my choćby jutro, pojutrze. Schody to detal — zapewnia raz jeszcze rezolutnie, schodząc na dół. — Mąż prawie wcale nie wychodzi... a mnie to bez różnicy, ja mam, Bogu dzięki, nogi i oczy dobre, nie można narzekać...

Nogi pani Branichowej są schowane pod fałdami obszernej spódnicy, a oczy, czarne i błyszczące, rzeczywiście zdają się wszystko dostrzegać.

Chwilę stoją jeszcze na środku podwórza i rozmawiają o — restauracji, „że się koło niej ludzie zawsze kręcą“, o mężu pani Branichowej, „że ma ładny wiek“, i o tym, „że matuśka mogłaby jeszcze sobie kogoś znaleźć, bo jest śliczną kobietą i wdowieństwo — wdowieństwem, a własny mężczyzna to zawsze coś“.

W kilka dni później sprowadzili się na facjatkę państwo Branichowie i dzieci poznały „prawdziwego weterana“. Pan Teodor Branich miał osiemdziesiąt osiem lat i był zupełnie głuchy. Na kościstej, obrośniętej białym za-

rostem twarzy pod bielusińkimi brwiami miał oczy o tak jasnoniebieskiej barwie, że aż się wydawały dziwne. Oczy te były zupełnie przezroczyste i tak dobre, tak łagodne, że dzieci od pierwszej chwili polubiły ogromnie staruszkę i chętnie szukały jego towarzystwa. Zdawało się, że oczy pana Teodora są wszystkiemu naokoło rade; patrzyły z dobrotliwą pogodą na Justynkę i na strome, drewniane schodki, i na żłoby przed zajazdem, na Amelkę, Pawła i drzewa. Ich niezmacony, wypelzły błękit przejmował postrzeżenia bez pośpiechu i ciekawości, jakby już kiedyś danym mu było wchłonąć i zachować wszystkie obrazy i nasycić się nimi do głębi.

Białe rzęsy były czujne i właśnie nimi pan Teodor słyszał. Pan Teodor był głuchy, nawet gwizd kolejki nie przenikał owej jego głuchoty, ale jak się do niego mówiło, jasne rzęsy słyszały, mrugały bowiem zaraz, że tak, że wie, co się mówi.

Justyna wprowadziła go ostrożnie na ganek i poprosiła, żeby usiadł. Popatrzył na nią ze słodyczą, obejrzał fotelik, mrugnął powiekami i odpowiedział:

— Dziękuję ci, dziewczeczko, dziękuję...

Głos miał donośny, ale zupełnie bezdźwięczny. Usiadł ciężko, zdjął rogatą granatową czapkę ze srebrnymi gwiazdkami i orzełkiem i ułożył ją na kolanach, zieloną, ogromną chustką otarł kark, czoło i policzki.

— Ładnie tu, wiosna...

Matuśka opowiedziała kiedyś dzieciom o powstaniu, w którym się bił pan Teodor. Wielu żołnierzy — powstańców zginęło wtedy okrutną śmiercią, ci, co zostali i dożyli aż do dziś, są już bardzo starzy i to są właśnie weterani. Pan Teodor jest jednym z nich.

Justyna stoi obok pana Teodora, patrzy na niego i myśli o wojnie, o powstaniu, o rewolucji i o żołnierzach, o tym, jak to jest, kiedy ktoś nic nie słyszy...

— Ładna wiosna... — Pan Teodor mówi do niej.

— A jak ślicznie kwitną irysy na klombie, są liliowe i kremowe, czy pan Branich lubi irysy?

Staruszek uśmiecha się leciuchno i kiwa głową.

Justyna zbiega z ganku i po chwili przynosi z ogródka dwa kwiaty — rozwarte, wspaniałe kielichy o aksamitnym, delikatnie rozżyłkowanym wnętrzu.

Woskowożółta, wychudła ręka przyjmuje kwiaty z dziecięcych rączek. Oczy pana Teodora są nieodmiennie jasne i spokojne, ale ręka z kwiatami jakimś skwapliwym, pospiesznym ruchem unosi się do twarzy i wtedy miękkie, ciemnolila płatki sięgają zwiędłych, starczych warg.

— Dziękuję ci, dziewczeczko...

— Pan Teodor ułożył teraz ostrożnie kwiaty na czapce z orzelkiem, ręce zaplótł na kolanach obok czapki i jeszcze raz popatrzył na Justynę.

— A ty, dziewczusko, jesteś czyja?

Od strony bramy słysząc, jak wnoszą rzeczy na górę. Pani Branichowa coraz nawołuje:

— Tylko ostrożnie! moi ludzie złościł! moi dobrodzieje! tylko ostrożnie!

Rzeczy przyjechały z Żerania na małej chłopskiej furce i teraz są ustawiane przez Jasińskiego i furmana na facjatce. Pani Branichowa najbardziej niepokoi się o szafę, czy się aby zmieści w drzwiach.

— Uważajcie, złościutcy, bokiem! bokiem!

Słysząc też Pawła, który z nieodstępnym Rysiem Widelskich krząta się koło konia i coraz nawołuje:

— Noga, Siwyl... no! nogal! następ się...

Justyna też chciałaby popatrzeć na wnoszenie rzeczy, ale matuska kazała jej „dopilnować pana Branicha“.

Stoi więc na ganku obok staruszka i rozmawia z nim o kwiatach i o sobie, słucha głosów zza rogu domu i przygląda się niebu.

Koło obiadu pani Branichowa zaprowadziła męża do

ich nowego mieszkania. Ostrożnie i długo wchodził po wątych schodkach, aż zniknął w małej kuchni.

Odtąd prawie ciągle już tam był — w tej kuchence, blisko okna, siedząc na wyścielanym krzeselku.

W pogodne, ciepłe dni okno było otwarte i dzieci doskonale widziały siwą głowę pana Teodora, który czasem drzemał, a czasem patrzył swymi dobrymi oczyma na to, co się wkoło niego dzieje.

Dzieci wołały na wyścigi:

— Dzień dobry panu!

On uśmiechał się do nich, kiwał głową i odpowiadał na chybił trafił:

— Jak się macie, dzieciaczki?

Tak bywało przez cały tydzień, do niedzieli. W niedzielę pani Branichowa czyściła jego weterański mundur, następnie w lusterku przycinała mu nożyczkami siwy zarost i punktualnie o dwunastej w południe sprowadzała na dół.

Przechadzali się kilka minut środkiem szyn, następnie siadali w ogródku kwiatowym albo u matuśki na ganku i grali w „Chińczyka”: pani Branichowa, matuśka, pan Teodor i Amelka.

Staruszek uśmiechał się radośnie, kiwał głową, mrugał rzęsami i przeważnie milczał, czasem jednak głośno, powoli opowiadał. Opowiadał o dawnych czasach, o powstaniu.

— Było nas z Woli Księżowskiej spod Starego Dworu ośmiu chłopaków. Zmówiliśmy się na nic nie oglądać, a iść... Ekonoma tośmy mieli okrutną gorączkę, zapowiedział, żeby roboty patrzeć, a głowy niczym nie zaprzętać, bo „pańska rzecz wojować, a chamska pluga i bronny pilnować, a młocki“, że który się ruszy, tego psami z lasu sprowadzi.

Na wsi starzy ludzie, co jeszcze pana Kościuszkę pamiętali, powtarzali znów swoje, że czego pazurami nie

wydrapiesz, to możesz rusznicą wystrzelać i że od nas zależy, czy Uniwersały Polanieckie z martwych powstaną, a i o Manifeście Rządu Narodowego zaczynało być głośno.

Zmówiliśmy się tedy w ośmiu. Mnie to i nie żal było iść, bom bez rodziców był, przy dworze służywałem od dziecka i ponieważ byłem zwyczajny. Poszli my więc.

Pamiętam ja tę straszną bitwę w olszaku pod Skalą, pamiętam!... Moskal działa wystawił i prażył! prażył! Nasz oddział odrzucili nad samą wodę, co tam krajem olszyny ciekła płytkim rowem.

Dostałem w krzyże i w głowę. Zsunąłem się ja do tego rowu i leżę; woda mnie zakrywa do pasa, taka zimna jak lód, i zgniła jakaś, śmierdząca...

Jasne rzęsy mrugają, ale błękit oczu starca pozostaje niezmacony.

— To tak mi wtedy ta woda weszła w kości, że do dziś tam ją czuję... a tych siedmiu, co się ze mną do lasu przebrali, tak i zginęło, o! dużo ludu wtedy wyginęło... Ale cóż? wszystko, okazało się później — na marnel!

Justyna nie może słuchać takich strasznie smutnych rzeczy, stokroć woli, jak pan Teodor uśmiecha się milcząc do drewnianych figurek i do Amelki, a mówi pani Branichowa.

Jej opowiadania dotyczą rzeczy i osób bliskich, znajomych.

— Paniusia złociutka już pewnie wie o tym roman-siku pani Michalskiej ze starszym Zatrzyniewiczem? — A tak, tak, toć wróble o tym na dachu... Obraza boska, ona — próchno, a on mleko ma pod nosem, no i wszystko by nic nie znaczyło, żeby nie to, że jest przecież nauczycielką. Nauczycielka i ksiądz — to święte osoby...

Albo: — Blacharski jest uczciwy i zacności człowiek, to paniusia wie, ale już co ukrzywdzić, to umie, ja tam

nie powiem, mnie zapłacił co do szeląga, jeszcze dyszek cielecy sprezentował, ale robotników eksploatuje... gdzie to za taką robotę w szlachcie takie grosze? przecież to tylko do złodziejstwa kusi...

Albo: — Wiśniewscy to się kiedyś doigrają z tym Bolkiem, socjalista to jakiś, bolszewik. W Boga nie wierzy, mówią, że w więzieniu wyroki jakieś odsiadywał...

— A o Klajmana chłopaku paniusia słyszała? Ledwo to zipie, a podobno żenić się chce. Komu to tu? — śmiała się głośno, chrypliwie.

Życie osady ciekło wąską strużką, nie czyniąc więcej hałasu niż szeleszczące krople.

W południe niedzielne zajazd był zawsze pełen ludzi. Koło żłobów stały wyprężone konie, drzwi restauracji szeroko otwierano, grała wesoło „szafa“.

Justyna jest zawsze uszczęśliwiona, jeśli ktoś wsuwa pieniądź i woła do Kłoseckiego:

— Różnij muzyka!

Staje sobie cichuteńko obok szafy, przykłada uszko do jej ściany i czeka... Jedną piosenkę szafy matuśka też umie, więc Justyna zna jej słowa: „Usta milczą, dusza śpiewa, kochaj mnie!“

Zużyty, wytarty mechanizm trzeszczy, charcze, parska, ale w końcu wydaje z siebie miłą, kołyszącą melodię.

Turkot na drodze umilkł gwałtownie, pewnie furmanki skrzyły już na podjazd i ludzie wyprzegają konie, za chwilę w szynkowni przybędzie gości.

Gwar splełanych głosów rośnie, przycicha, niekiedy przechodzi w krzyk, ale głos piosenki potrafi zagłuszyć hałas i zwycięsko ogłaszać: „Usta milczą, dusza śpiewa... kochaj mnie!“

Janka Kłoseckich stanęła w bocznych drzwiach salki i daje znaki Justynie.

— Chodź się bawić, zrobimy dom!

W restauracji za wszystkimi pokojami gościnnymi jest jeszcze jeden, taki zwyczajny, w którym śpią Kłoseccy. W tym pokoju dziewczynki bawią się w dom; długo, bez końca, zawsze jednakowo.

Justyna jest matką, Janka ojcem, a lalka dzieckiem. „Dom“ jest między piecem a łóżkiem, na którym dzień i noc leży dorosły brat Janki i Ludki — Mietek, chory na suchoty. Leży tak cicho, jakby w ogóle w pokoju go nie było. Rozmowy prowadzi się szeptem, bo po co ma ktoś wiedzieć, w co one się bawią.

W dzień — ojciec idzie do pracy, do szlachtuza albo do hut, albo do klejarni Fuksa, wraca na obiad, dziecko było niegrzeczne, zmoczyło się...

Wszystko jest naprawdę, choć jest tylko na niby. Dzieje się w dziecięcej wyobraźni, przeniesione do niej z rzeczywistości, przesunięte o ułamek czasu z godziny, która minęła, albo z tej, co dopiero nadchodzi; odtworzone z dorosłego życia w ich własnym dziecinnyim stanowi fikcję tak bardzo istotną, że przesłaniającą często realną rzeczywistość.

Elementy czasu i przestrzeni, nieprzydatne w zabawie, nie grają tu żadnej roli. W minutach mieszczą się wschody i zachody słońca, pory roku. Mały prostokąt między ścianą łóżka a piecem jest domem... Justyna kołysze w odwróconym do góry nogami stołeczku lalkę i nuci bez słów: „Usta milczą, dusza śpiewa...”

Janka o krok od niej chucha na patyczek trzymany przy wargach, ona pracuje w hucie, robi szklanki...

Prócz dzieci i Mieczysława w pokoju jest jeszcze babcia Kłoseckich. Siedzi przy oknie i pilnie liczy fury i bryczki ustawione na podjeździe.

Babcia jest bardzo stara i nie może chodzić, bo ma sparaliżowane nogi. Siedzi przez całutki dzień w oknie, latem i zimą. „Matka kalkuluje zarobek“ — mówi o niej

pan Kłosecki ze śmiechem. Teraz jest lato, okno szeroko otwarte i do pokoju wchodzi wszystkie głosy z ulicy i z pełnej gości restauracji.

ROZDZIAŁ V

W połowie czerwca, na kilka dni przed końcem roku szkolnego, na plac kościelny zaczęli zwozić cegły i drzewo. Pierwsza fura przyjechała w piątek, a już w sobotę kopano głęboki rów pod fundamenty.

W niedzielę odbyła się na placu wielka uroczystość.

Ksiądz, ustrojony w pięknie haftowaną komżę, przemawiał do ludzi, a później obficie poświęcił plac i zaczął zbierać ofiary. Pierwszy dał pieniądze Gniadek, chudy, z czerwonym spiczastym nosem ślusarz, właściciel domu na Warmińskiej, drugi — restaurator Kłosecki, później Latoszkowa, też właścicielka domu, i pani Branichowa, i Jabłoński — stelmach, mąż drugiej akuszerki, i wszyscy, komu ksiądz podsunął tacę.

Przeważnie ludzie byli zadowoleni z tego, że Pelcowizna będzie miała swój kościół, że się ci z „Piasków“ przestaną ponad nich wynosić i puszyć.

Kłosecki zacierał ręce i zakładał z góry, że to się „korzystnie odbije na interesie“.

Branichowa miała znów swoje racje:

— Ja jestem, złociutcy, kobietą starej daty, to wiecie, u mnie to tak: albo z Bogiem żyjesz i Bóg ci pomaga, albo przepadniesz marnie.

— Masz dziecko, to ochrzcij. Ja ci je na świat wyprowadzę, a kościółek pod bokiem, to wiem, że duszyczki nie zaprzepaścisz... Tercjarzom nie na rękę było biegać na Bródno; ten i ów miał nadzieję zaczepić się przy budowie i na zimę zarobić trochę grosza, zamożniejsi chcieli się pokazać, a reszta obiecywała sobie niejaką rozryw-

kę ze ślubów, pogrzebów, chrzcin czy procesji, byli oczywiście i tacy, co chcieli kościoła ze szczerej pobożności, każdy upatrywał swego.

Od owej niedzieli kościół zaczął coraz skorzej wznosić się ku górze. Najpierw wykopano rów otaczający prostokątem front placu, w ten rów wmurowano ścianę z czerwonych cegieł, która po tygodniu wystawała na dwie stopy ponad ziemię. Jednocześnie od strony ulicy zaczęto wkopywać słupy ogrodzenia.

Teraz już nieustannie na placu kościelnym coś się działo — to różnili grube bale, to zdejmowali z fur deski i układali je pod ścianą domu Kłoseckich, to rozrabiali w małym dole wapno, to wiercili w tyle placu studnię.

Ksiądz przyjeżdżał co drugi, trzeci dzień, kręcił się, rozmawiał z robotnikami, badał cegły, wapno, stukał laską w deski, zachęcał, poganiał.

Dzieci nie mogły się doczekać wakacji, by móc przez całe dni asystować budowie. Wreszcie nastąpiło zakończenie lekcji i kierownik w serdecznych słowach oznajmił młodzieży zebranej na dziedzińcu szkolnym, że od jutra są już wakacje i że znów spotkają się we wrześniu. Na zakończenie rozdał najlepszym uczniom nagrody. Z drugiego oddziału nagrodę otrzymali Judka Tajtelbaum i Justyna.

Justyna dostała pięknie oprawną książkę: „O Marysi sierotce i o krasnoludkach“ i cenzurkę z promocją do trzeciego oddziału.

— Będiesz do mnie przychodziła? — pyta Cesię Truskolaską.

— Będę, na pewno!

Klasa pustoszeje powoli. Jedni idą do domu weseli, roześmiani, bo zdali, inni z ociąganiem, bo mają dwójki.

Osuchówna płacze. Została na drugi rok. Tadek Paluch, chudy, zawsze oberwany, wyrośnięty jak tyka chło-

pak, powiesił swoją cenzurkę na gwoździu obok kalendarza, wszedł nogami na stół pani i wrzeszczy:

— Patrzcie, patrzcie! To Paluch, pierwszy uczeń!

Ale to wszystko jest udane, bo Paluch ma same dwójki i pani powiedziała, że nie ma po co przychodzić do szkoły i na pewno wcale mu nie jest wesoło.

Paluch jest sierotą i mieszka u stryja — kowala, co ma kuźnię, w której chłopiec musi pomagać, prócz tego codziennie przez kilka godzin rozwozi wielkie miedziane syfony z wodą sodową, bo pracuje „dodatkowo“ u sodo-wiarza Ostrzegi. Zazwyczaj też bywa głodny, bo umie tak jak nikt wypraszać chleb od Judki.

Justyna ogląda z Cesią obrazki w dopiero co otrzymanej książce. Paluch stanął obok i krzyczy:

— Ty, zyz, chcesz piątkę?

W szkole od dawna zapomniano o dokuczaniu Amelce i Justynie przezwiskami. Wołano niekiedy po staremu „Zyz“ albo „zyzulka“, ale to wcale nie znaczyło, że się ktoś z niej śmiał, to było w zastępstwie imienia i nie od-czuwało się z tego powodu żadnej przykrości.

— Paluch, odsuń się!

— A ty, kobyła, chcesz? — „Kobyłą“ nazywały dzieciaki Cesię, bo nosiła grzywkę.

— Paluch, mówię ci...

I nagle Paluch, przypomniawszy sobie wszystkie stare wyzwiska, zaczął jednym tchem wykrzykiwać:

— Zyz-łys!

— Dziadówka!

— Hrabini!

— Szesnaście kamieni!

Justyna zamknęła książkę i zaczęła się śmiać, wcale, a wcale nie obrażona. Śmiała się tak długo, aż zawtórowała jej Cesia i wreszcie sam Paluch, i nawet Osuchówna, która już przestała płakać.

— Chcesz, Tadek, to ci pożyczę książkę, bo ja już to czytałam, mówię ci, to jest coś pięknego!

Gromadzą się na chwilę koło ławki Justyny i oglądają obrazki.

Wychodzą razem i wszyscy odprowadzają na stację Andzię Kozarzewską, ale okazuje się, że kolejka będzie dopiero za dwie godziny.

— Chodźcie do mnie — zaprasza Justyna — u nas jest w ogródku altanka!

Dziewczynki pójdą, ale Tadek musi iść do sodowiarza Ostrzegi rozwozić wodę.

W domu trafiły na wielkie zamieszanie, bo w czasie kiedy matuśka z dziewczynkami była w szkole, Paweł spadł z topoli rosnącej na placu kościelnym i teraz trzeba go było zawieźć bryczką państwa Wiśniewskich do szpitala na Pragę, aby go obejrzel lekarze, czy mu się co „w środku nie zrobiło“.

Był blady i trochę wystraszony, ale wyraźnie cieszył się z jazdy. Bolek Wiśniewski przyrzekł mu zresztą, że od Czarnej Drogi on będzie trzymał lejce i bat.

Matuśka była tak poruszona wypadkiem, że nie przeczytała nawet cenzurki Justyny, dała tylko dziewczynkom po kromce chleba z powidłami i kazała pilnować domu.

Oczy błyszczały jej nie wypłakanymi łzami, a ręce trzęsły się wyraźnie.

W poczekalni ambulatorium szpitala Przemienienia Pańskiego na Pradze, trzymając Pawła na rękach, po raz pierwszy zetknęła się matuśka z Ludwikiem Sendkiem, który też czekał na lekarza. Niestary jeszcze i krzepki, uśmiechał się życzliwie do ludzi tłoczących się w poczekalni, a widząc zdenerwowanie Anny zaproponował Pawłowi obejrzenie srebrnego zegarka na łańcuszku i przeniósł go na swoje kolana.

On sam przychodzi tu od wiosny i leczy odmrożone stopy, to długa historia, ropieje i ropieje...

Zaczęli rozmawiać o dzieciach, o chorobach, o kłopotach, okazało się, że Ludwik Sendek mieszka też na Pelcowiźnie i że odmroził sobie stopy na Syberii jeszcze w 1906 roku i dotąd ma z nimi od czasu do czasu kłopoty.

— I ja byłam w Rosji... w Charkowie...

Od owego spotkania i od tej pierwszej rozmowy, a następnie od zbliżenia się z Gitlą Idłową odmieniło się życie Anny w osadzie, ale ona sama nie zdawała sobie z tego, przez długi jeszcze czas, sprawy.

Wszystkie domy nad Wisłą od Nobla aż do „naprzeciwko stacji“ były własnością Gitli Idłowej.

Idłowa często przychodziła do matuśki. Była wysoka, wyschnięta, miała twarz żółtą jak cytryna, kruczoczną perukę i piękne, białe, wąskie ręce.

Pachniało od niej stęchlizną i cebulą. Nosila niebieską atlasową suknię z wypełzłym haftem na staniku, lakierowane pantofle na wysokich obcasach i gazowy, spłowiały szal, okręcony kilka razy wokół szyi.

Idłowa lubiła biżuterię i dlatego zawsze nosiła kolczyki, pierścionki, łańcuch, broszki i bransolety. Mówiła szeptem, bo chorowała na chroniczny ból gardła. Siedziała na ganku albo w kuchni, poprawiała szal i suknię, przyglądała perukę i zaczynała rozmowę, uderzając w takt słów dłońmi o kolana.

— Takie życie, to nie jest życie... Ja przecież widzę i ja rozumiem. Pani musi się do czegoś wziąć.

— Albo za sklep, pani ma głowę do handlu... Albo za uczenie dzieci. Trzeba samej o sobie pomyśleć, bo chleb kosztuje pieniądze, a pieniądze nie leżą na ulicy.

Szept mówiącej wibrował szczerą troską o losy matuśki.

— U was to jest tak, u was rodzina się nie kocha,

u was się kochają bogaci... U nas, u starozakonnych, też nie jest najlepiej, też równości co do majątku nie ma, ale rodzina to jest rodzina. Czy pani myśli, że te domy to moje domy? to moich dzieci. I dzieci moich dzieci, i moich sióstr, i szwagrów, i ich dzieci. Tyle, że się tak mówi: Idłowej, starej Idłowej, bo się ludzie przyzwyczaili. Dzieci to nasz skarb, żeby nie dzieci, nie warto byłoby żyć na tym świecie.

— I ja tak myślę — godzi się matuśka. — Ja właśnie dla nich żyję!

Matuśka słuchając gościa myślała często o starej historii wydania przez Jasińskiego trzech mężczyzn zandarmom i o tym, że nieszczęśliwi ukrywali się w „domach nad Wisłą“. Gitla Idłowa musiała znać doskonale tamtą sprawę, ale wyraźnie nie chce o niej mówić.

To były złe czasy, to była prawdziwa niewola, a niewola, to pani wie, człowieka nic dobrego nie może spotkać — kołowała sentencjami, które nic nie znaczyły.

Aż któregoś poobiedzia przyszła wyraźnie wzburzona. Była przy tym tak schrypnięta, że ledwo można było uchwycić szept dobywający się z jej posiniątych warg. Usiadła na zwykłym miejscu, pogładziła perukę i nagle bez żadnego wstępu rozplakała się.

Dzieci bawiły się na dworze, w kuchni było cicho i sennie. Anna zaskoczona milczała. W głębi serca przywiązała się do staruszki, ceniła ją za dobroć i życzliwość, w tej chwili odczuwała żywą przykrość, patrząc na jej łzy.

— Wzięli mojego Meira...

Szloch wstrząsał chudą postacią, łzy przeciekały między palcami, znacząc stary atlas sukni.

— Wo ist Meir?

Kim jest Meir, Anna nie wiedziała. Płacz w jakiś sposób przetarł chorą krtani i głos Idłowej nabrał mocy. Peruka przekrzywiła się jej na lewe ucho, odsłaniając część

ogolonej okrągłej głowy, fałszywe kolczyki w kształcie gwiazd podrygiwały i chwiały się razem z ową na pół łysą czaszką, zawodziła płacząc słowa polskie i żydowskie, ale w tym wszystkim nie było nic śmiesznego — cierpiała.

Meir — to syn, najmłodszy... ostatni. Przed dwoma tygodniami aresztowano go w Rzeszowie. A w ogóle z nią było trochę tak jak z Anną. Ojciec, bogaty kupiec drzewny, nie dał grosza do ręki zięciowi, który nie był po jego myśli. Posag ulokował w placach na peryferiach miasta, licząc się z przyszłymi koniunkturami. Mąż Gitli był artystą-śpiewakiem. Podróżowali... była w Paryżu, w Moskwie, w Wiedniu i Petersburgu. Miała trzydzieści osiem lat, gdy mąż umarł nagle na serce — za granicą. Została z pięciorgiem drobnych dzieci. Meir nie miał wówczas dwóch lat...

Rodzina jej pomogła... za pożyczone u sióstr i braci pieniądze stanęły „domy nad Wisłą“, mieszkania dla biedaków z przedmieść, „złoty interes“, jak to się wtedy mówiło. Ale cóż, ona nie umiała tego interesu prowadzić. Jeśli się chce zarabiać, nie można mieć serca. Ona miała serce. I jej Meir wziął po niej tę samą właściwość, miał serce.

W 1905 roku miał dwadzieścia lat. To jego wydał zandarmom Jasiński, jego i dwóch innych. Siedem lat trzymali go w więzieniu.

— Chciałam wtedy umrzeć! Za co? Za co ich prześladowali? Nic przecież złego nie robili nikomu — ona знаła swego syna, mogła za niego ręczyć własną głową... — Ale wtedy to były takie czasy. Meir był najspokojniejszym na świecie człowiekiem. Był nauczycielem muzyki, grał na skrzypcach.

Twarz Idłowej kurczy się od bólu, ręce szarpią łańcuch i szal, szukając jakiegoś oparcia w swej bezradności.

— Gdzie on jest? Co z nim znów zrobią?

Ona ma już przeszło siedemdziesiąt lat, ona jest stara, nic nie może poradzić, a nawet tak naprawdę nie może już niczego zrozumieć, nie potrafi, wszystko się jej płacze.

Anna była tak zaskoczona historią syna Idłowej, że dopiero po długiej chwili zdobyła się na słowa.

Szeptem, podobnym do szeptu Gitli, ona z kolei opowiedziała o Antonim i o własnym cierpieniu. Siedzieli razem do pierwszego zmroku, do chwili, w której przyszły ze dworu dzieci.

W dziesięć dni później wróciła Idłowa z Rzeszowa, przywożąc ze sobą wnuczkę, córkę Meira, małą, czarną Bajlę.

Przyprowadziła ją też zaraz do Anny.

— No, to ja pani uczennicę przywiozłam... Ona chce się nauczyć czytać i pisać.

Była ożywiona i dobrej myśli. Adwokat wyjaśnił jej wszystko. Meir należał do „podejrzanych“, bo już raz siedział w więzieniu jako rewolucjonista. Kartoteki więzienne zostały przejęte przez władze polskie i dlatego wie się o każdym, co trzeba. Dowodów obciążających jest niewiele, więc można się bronić... Zostawiła mu pieniądze.

— Na pewno go wypuszczą, przecież nie zrobił nic złego!

Bajla była gruba jak barylka, miała puszyste czarne włosy i ciemnoniebieskie, senne oczy. Była cicha i zgodna.

— Chcesz się uczyć czytać, córuchno?

Dziecko kiwnęło główką i przytknęło oczy.

Matuśka przywołała dziewczynki i poleciła im pokazać Bajli obrazki w ich najpiękniejszych książkach, a sama odprowadziła przez szosę Idłową ku jej domowi.

— Czy tylko pani syna aresztowano, czy i innych ludzi?

— Kilku, kilku razem. — Nie wiedziała dokładnie ilu, ale adwokat mówił, że „jednocześnie“.

Anna przypomniała sobie błyskawicznie cały szereg podobnych procesów z praktyki męża i mimo woli pomyślała, że właściwie nic się nie zmieniło, że porządek rzeczy pozostał nienaruszony, przesunięto co najwyżej dekorację.

— Synowa jest damą, prawdziwą wielką damą — ale jej, starej Idlowej, się zdaje, że dopóki nie wypuszczą Meira, lepiej będzie wnuczce u niej... tu jest weselej, raźniej i z dzieckiem jakoś czas się będzie mniej dłużył.

Tak się zaczęło, właśnie od małej Bajli. We wrześniu przychodziło już do matuśki dużo dzieci na lekcje. Mordkę Blacharskiego uczyła języka niemieckiego. Zosię Gniadkównę — francuskiego, dwoje dzieci szynkarza Lojdra czytania i pisanie, tak samo Krysię Boguradzkich i Szymka Kowalika.

Przychodzili o różnych porach dnia, pojedynczo albo po dwoje. Siadali przy stole w pokoju — naprzeciw nich albo z boku siadała matuśka i zaczynała się lekcja. Było to nudne, jak tak ciągle powtarzała im to samo, a oni ciągle nie umieli, szczególnie Mordka, o którym wiadomo było, że jest „głupowaty“. Kładł się po prostu na zeszycie i nieustannie ziewał albo podpierał brodę pięściami i patrzył bezmyślnie w okno.

— Myślę — powtarzała matuśka w rozmowach z handlarzem bydła — że chłopiec jest chory, nauka go męczy i nie daje żadnych wyników, może by zawiózł go pan do doktora?

— Co to męczy? ja zapłacę, a już pani głowa go nauczyć! Niemiecka mowa potrzebna do handlu dla wielkiego kupca, mój syn ma umieć niemiecką mowę, bo on musi zostać wielkim kupcem.

Boguradzka płaciła za naukę córki mlekiem. Co drugi dzień przynosiła kwartę i pytała, czy córka „już umie“.

Krysia chorowała na uszy po szkarlatynie i była prawie zupełnie głucha, dlatego nie przyjęli jej do szkoły. Każdy miał swoje racje, a racją matuśki była konieczność zarobienia na utrzymanie dzieci. Wieczorami bolały ją oczy i głowa, ale trzeba było jeszcze wycerować pończochy dziewczynek albo przyłożyć nowe łąty na spodniach Pawła, na którym od jakiegoś czasu „wszystko się paliło“. Upadek z drzewa szczęśliwie nie spowodował żadnych obrażeń, ale jakby wyzwolił w chłopcu jeszcze większą ruchliwość i chęć figlów. Przepadał teraz na całe dni na kanałach, na placu kościelnym albo nad Wisłą. Znał wszystkie dzieci z domów po obydwu stronach szosy, był samodzielny i niczego się nie bał.

— Matuśko, przecież wiesz, że mi nic nie będzie, ja do wody nie wchodzę — powtarzał nieodmiennie i wracał dopiero o zmroku brudny, bez guzików, często z sińcami i guzami.

ROZDZIAŁ VI

Raz w tygodniu matuśka nie miała lekcji, tylko prała. Właśnie taką pochyloną nad małą balijką, ustawioną na stołku w kuchni, zastał któregoś dnia wujek Julek.

„Pan gospodarz“ Julian Katerla przyjeżdżał rzadko, czasem raz na miesiąc, czasem raz na dwa. Przychodził ze stacji szynami kolejki, stawał na chwilę na podjeździe przed restauracją i rozmawiał z Kłoseckim, który zazwyczaj czekał już na niego pochylony w ukłonie, albo z rymarzem — Klajmanem, albo z Blacharskim, z każdym, kogo akurat spotkał. Juliana Katerłę wszyscy lubili, nawet Wiśniewscy.

— Nasz gospodarz to szycowny człowiek — mówiła Anka.

— Z nim się można dogadać — twierdził restaurator.

— To jest prawdziwy pan! — cmokał z lubością Klajman.

To samo mniej więcej powtarzała pani Branichowa, kowal ze szkolnego podwórka, piekarz, sodowiarz i reszta lokatorów. Był przystępny, dowcipny i nie taki skąpy jak Rensztedtowa, godził się chętnie na remonty, wywózkę śmieci, wstawienie nowych drzwi do ustępu, uśmiechał się serdecznie do dzieci, pytał życzliwie, czy nie czas byłoby wybrać studnię, aby ją oczyścić...

To prawda, że od czasu do czasu podnosił komorne, ale ludzie jakoś nie kojarzyli drobnych przysług, jakie im świadczył, z tym faktem i głośno i szczerze wyliczali jego zalety.

Obejrzawszy posesję z zewnątrz wchodził bramą na podwórko. Rozglądał się na prawo i na lewo, kłaniał kapeluszem panu Teodorowi, siedzącemu w oknie facjaty, i z daleka wołał do Symeona Wiśniewskiego, krzątającego się w swym ogrodzie koło inspektów:

— Dzień dobry panu, kochany panie Symeonie!

I zawsze wtedy zjawiał się obok niego stróż Jasiński. Wyrastał jakby spod ziemi, ścisnął w garści swoją barankową czapę i pochylał się do pasa.

— To i szanowny nasz pan gospodarz!

Czapkę wtykał za powróżek, którym miał podwiązany kożuch, i przez cały czas, aż do momentu odjazdu kolejki ze stacji, dokąd towarzyszył gospodarzowi, asystował mu z gołą głową.

Dreptał cierpliwie krok w krok za „naszym szanownym i wielmożnym panem“ i opowiadał mu wszystko, co się wydarzyło w osadzie od ostatniej wizyty gospodarza.

— Rudemu Szmulkowi, temu co ma sklep żelazny, syna wzięli do wojska, ach, on lamentował, pewnie, każdy z nich chciałby się od obowiązku wymigać... a ogrodnik w ubiegłym tygodniu dwa razy resorówką na targ

jeździł, tak się ludzie na cudzym dorabiają. Syn Idłowej znów siedzi w więzieniu, podobno go już odstawili do Lwowa, stara jeździła, a jakże, przywiozła przecież wnuczkę, pieniędzmi smaruje, ale chyba by Boga nie było w niebie, jakby „takich“ zaraz wypuszczali...

Gospodarz zagląda do sadu i do kwiatowego ogródka, okrąża sadzawkę, podnosi oczy na dachy, nie wiadomo, czy słyszy stróżowe opowiadanie, bo o nic nie pyta, jakby nie było w tym wszystkim nic specjalnie ciekawego.

— To ta jej wnuczka przychodzi co dzień do rządcy na naukę, bez mała mamy tu drugą szkołę, tyle tu bachorów się złazi z całej Pelcowizny... ano, nie moja sprawa, tyle co porządku na podwórku bez to utrzymać nie można...

Tego dnia Jasiński jeszcze jedno opowiedział wujkowi o matusce, naskarżył na nią mianowicie, że „podkrada żyto z worków“.

Owe żyto stało ciągle jeszcze w workach w „szczurzej sieni“. Matuska po przeprowadzce do nowego mieszkania chodziła czasem do sieni i brała trochę ziarna, przypalała je i mella na kawę albo sypała kurom Kłajmanowej, przychodzącym pod ganek. Wypatrzył to Jasiński i złożył relacje gospodarzowi.

— Co też mi tu Jasiński opowiada? — roześmiał się Katerla i zaraz postanowił sprawę wyjaśnić. Wszedł do kuchni i zastał matuskę nad balią. Widok ten zmieszał go i zaskoczył.

— Trzeba było Kolbusową zawołać, to nie dla ciebie robotą! Żebyś mi tego więcej nie robiła, pamiętaj! i tak ludzie gadają...

Od słowa do słowa napomknął też o tym nieszczęsnym życie.

Matuska kazała Amelce natychmiast przywołać Jasińskiego.

— A bo to skłamałem? Żeby mi tak mowę odjęło...

— Brałam! brałam, Julku, owszem! Brałam, ile i kiedy mi się podobało. A Jasiński niechby się wziął do wyłaniania z klozetów, już mu to przypominałam, a nie plotkami się zajmował. Brałam, bo żyto należy do mego brata, rozumie Jasiński?

Jasiński oniemiał ze złości i upokorzenia. Ale matuśka już przestała panować nad sobą i mówi wszystko, co myśli.

— Klozety mają być jutro wylane i zamek do komórki Klajmanów dopasowany. Do donosów nikt nam tu nie jest potrzebny, ale Jasiński widać inaczej pojmuje swoje obowiązki i to nie od dziś, a od bardzo dawna, a może do policji da Jasiński znać, żeby mnie aresztowała za kradzież, bo żandarmów carskich już nie ma?

— Widzisz, Aniu, może za surowo Jasińskiego sądzisz? — wtrącił się Katerla — i niepotrzebnie się unosisz... nie można zaprzeczyć, że w gruncie rzeczy to zazwyczaj i wierny człowiek, no, obce mu są pewne subtelności, ale...

Niel Matuśka nie chce tego słuchać! Jasiński jest człowiekiem, którym pogardza, i gdyby nie to, że nie ma innego wyjścia, w tej chwili opuściłaby ten dom i to mieszkanie, byleby nie przebywać pod jednym z nim dachem.

— Słyszał Jasiński o klozetach? tak?! to może sobie już iść! — otarła nerwowo ręce o fartuch i pokazała mu wyraźnie wyjście na ganek.

Wszyscy się poobrażali: matuśka na Jasińskiego i na wujka Julka, wujek Julek i Jasiński na matuśkę. Zapanaowała kłopotliwa cisza. Naraz matuśka jakby załamała się w sobie, oczy jej przygasły, twarz zadrgała boleśnie, opuściła ręce i oparła się plecami o ścianę. Justyna była pewna, że matuśka zaraz się rozplacze, ale wtedy wystąpił wujek Julek.

— Jasiński może zaczekać na mnie na podwórku,

mam tam dla was jeszcze parę zleceń — zauważył sucho, odwrócił się do stróża plecami i podawszy matuśce ramię przeszedł z nią do pokoju. Teraz też dopiero zauważył dzieci.

— Jak się macie? — przywitał je życzliwie. — Dzieci to ci rosną, Aniu, jak na drożdżach.

Uśmiechał się serdecznie, głaskał dziewczynki po głowach, Pawłowi podarował czerwono-niebieski ołówek. Wyraźnie robił wszystko, by zatrzeć wrażenie dopiero co przeżytej sceny.

— Popatrz, Aniu, jak ten czas leci... pamiętam, na moim ślubie Amelcia nie miała chyba pięciu lat... A młodsza? Czy ona już była?

Wujek Julek ożywia się naraz, przyciąga do siebie trochę spłoszoną Justynę i mówi do matuśki:

— Wiesz? Mam pomysł! Liza jest na kuracji za granicą i dziewczynki właściwie są bardzo samotne, chcesz, to wezmę tę małą na kilka dni, będą się razem bawiły.

Matuśka się zgodziła i w dwie godziny później poszły z wujkiem Julkiem na stację, a Jasiński po raz pierwszy od wielu lat nie towarzyszył gospodarzowi w chwili odjazdu, zamknąwszy się w swojej komórcie obok stajni.

Justyna nie umiałaby powiedzieć, gdyby ją o to zapytano, czy się cieszyła, czy było jej smutno.

Cieszyła się, że będzie jechała kolejką, że zobaczy Warszawę i most, i prawdziwe ulice, ale niepokoiło ją równocześnie to, co będzie później: cudze mieszkanie, obce twarze i jeszcze coś: współobecność wujka Julka, wysokiego, uśmiechniętego pana z jasnymi włosami, zaczesanymi starannie ku górze, który w jakiś nieokreślony bliżej sposób był z nimi związany i stanowił w ich życiu niejaką groźbę. Pamiętała doskonale słowa matuśki: — Mógłby się na nas pogniewać i wyrzucić — i teraz bała się, czy go czymś nie rozdrażni w czymś mu się nie narazi... Czuła niejasno, że ona — Justyna — wcale go

nie obchodzi, jest dla niego „tą małą“, której imienia nie znał do dziś, że wziął ją „przez Jasińskiego“, jak w myśli nazwała zajście, które sprawiło taką wielką przykrość matusce i w którym wujek odegrał jakąś poważną rolę. No i te dziewczynki: Irka i Halusia. Matuśka powiedziała, że to są jej, Amelki i Pawła cioteczne siostrzyczki. Matuśka też jest siostrą wujka Julka, a przecież to nic nie znaczy, to wcale nie to samo, co ona i Paweł...

W wagonie siedzą naprzeciw siebie. W pewnej chwili wujek pyta:

— No i cóż tak nic nie mówisz? Cieszysz się, że jedziesz do siostrzyczek?

Justynka leciutko potakuje głową.

Wielki, żelazny most na Wiśle na szeroko rozstawionych, potężnych nogach, zanurzonych w szaroniebieskiej wodzie, przeraził w pierwszej chwili dziewczynkę. Wyssokie słupy latarniowe, brzęk, stukot, dzwoniące tramwaje i mnóstwo ludzi, wszystko to było dla niej zupełnie nowe i obce.

— Pojedziemy dorożką, daj rękę, musimy przejść na drugą stronę...

Justyna trzyma wujkową rękę bardzo mocno. Siedząc obok wujka na miękko wysłanym siedzeniu patrzy jak zahipnotyzowana na żelazne, migające kraty, wielkie oka sztywno naciągniętej, olbrzymiej sieci; poza kratą i prętami bariery wybłyskuje jasna, nieruchoma woda.

Nagle oka sieci rozciągają się, wiązania rzadną, to środek mostu, teraz potężne żelazne słupy rozbiegają się górą i dołem, tworząc olbrzymie trójkątne okna. Łoskot, huk, groźny szum wypełnia po brzegi ten zawieszony nad wodą, żelazny, ażurowy, dziwaczny tunel.

Ulice rozbiegają się, krzyżują, wyginają...

Gdy szli po schodach, serce Justyny zaczęło bić bar-

dzo prędko. Wujek sam otworzył drzwi i już w przedpokoju, zdejmując palto, zawołał w głąb mieszkania:

— Irenko, Haluś!

Dziewczynki były śliczne. Włosy miały takie jak Amelka, złociste, poskręcane w loki, błyszczące. Twarze ich były tak jasne, że aż wydawały się przezroczyste. Uściskały Justynę i od razu gotowe były rozpocząć wspólną zabawę.

— No to chodź, powieś tu swoje palto i chodź.

— Pokażemy ci zabawki.

Obydwie były ubrane w aksamitne sukienki, cieliste buciki na guziczki i białe koronkowe fartuszki.

Justyna powiesiła palto na poręczy krzesła, bo do wieszaka nie mogła sięgnąć, i poszła z nimi do dzieciennego pokoju.

W tym pokoju wszystko było białe; łóżeczka, szafa, stolik i foteliki, i półki z zabawkami.

— Ile tu zabawek!

Pluszowe zwierzęta, kuchnia z aluminiowymi garnuszkami, serwis, grające pianinko, szafa, krzeselka, koń na biegunach, waga, balia na okrągłym stołeczku, taczki, wózki, lalki, nakręcana kolej i tramwaj, i łamigłówki, i piłki...

Najpiękniejsze jednak były lalki. Z prawdziwymi włosami, z zamykającymi się oczami...

Justyna przysiadła na dywanie, oniemiała z zachwytu. Przypomniła sobie małą laleczkę z wystawy naprzeciwko kościoła na Nowym Bródnie i to, jak bardzo chciała ją mieć, a teraz tyle ślicznych zabawek leży obok niej, nie oddzielonych szybą okna od jej rąk, może każdej dotknąć, pogłaskać, obejrzeć.

Justynka nawet nocą przeżywa rozkosz przebywania w zaczarowanej krainie cudu...

Jest cicha, posłuszna, ale wujek nie jest z niej zadowolony, bo za mało je. Nie ma apetytu. Tak naprawdę nic jej nie smakuje, ani kakao z pianką, ani bułeczki

z masłem i miodem, ani drugie śniadanie, ani podwieczorek. Mówi grzecznie „dziękuję“, ale nikt na to nie zważa.

— Trzeba jeść! Jak się je, to się rośnie, a ty przecież chcesz być duża?

Wujek je z dziewczynkami tylko obiad i czasem, jeśli jest niezajęty, podwieczorek.

Bawić się można w „dziecinnym“ albo w ogromnej, wyłożonej dębem jadalni, tylko w salonie i w „gabinecie pana“ pokojówka nie pozwala, bo tam nie wolno robić nieładu.

Bona właściwie wcale nie interesuje się dziećmi, więc zabawa, z przerwami na drugie śniadanie, obiady i podwieczorki, trwa cały dzień.

Co dnia wcześniej przychodzi zmierzch. Już w czasie obiadu wujek zapala nad stołem światło.

Justynka przegarnia ostrożnie zupę i myśli, co by to było, gdyby tak ją rozlała, gdyby przewrócił się talerz...

— No, jedz, jedz... Ach, jaka ty jesteś grzebalska!

Justyna wdycha zapach pieczonej cielęciny, którą bardzo lubi, ale zjadła tyle zupy, że już nie może mięsa.

— Dziękuję.

— Nie grymaś, Justyno!

Raz po obiedzie wujek wziął dzieci na spacer. Irka i Halusia miały płaszczyki z futerkiem i kapturki, związane na wstążki, Justynka swoją szubkę po Amelce, sięgającą prawie samej ziemi. Szli ruchliwymi ulicami ciesząc się pierwszym w tym roku śniegiem, który padał wolnusięńko ogromnymi, mokrymi płatami.

Irka trzymała jedną rękę wujka, Halusia — drugą. Justynka szła sama obok Irki, raz o krok naprzód, raz trochę w tyle. Szuba plątała się jej wokół nóg, trochę za ciasny aksamitny kapelusik uwierał uszy, nie miała mufeczki ani rękawiczek i nie wiedziała, co zrobić z rękoma w zakrywających palce rękawach.

Nie cieszył jej śnieg, była zawstydzona i spłoszona, ciągle myślała o tym, że może się zgubić i nikt tego nie zauważy, nikt nie będzie jej szukał.

Po raz pierwszy w życiu odczuła wyraźnie swoją zbędność. Nie umiała tego uogólnić, ale wyczuła to doskonale.

Po powrocie do domu to przekonanie utrwaliło się w niej jeszcze. Spała na kozetce w pokoju dziewczynek i co wieczór widziała, jak wujek całował córeczki „na dobranoc” — jej nie ucałował nigdy.

Irenka i Halusia były mile i łagodne, ale czuła, że już się im znudziła, jak znudziły się im wszystkie piękne lalki, kredensy, „grające pianinka” i nakręcane samochody; wykwintne mieszkanie męczyło ją i krępowało, wyszukane jedzenie powodowało bezsenność i ucisk w żołądku.

Justyna coraz częściej mimo zabawek, które ją wciąż jeszcze zachwycaly i uszczęśliwialy, zaczęła tęsknić do matuśki, Amelki, Pawła, pana Teodora, Cesi Truskolańskiej, do własnego życia, które miało ściśle określone tło i konkretne, znane na pamięć kształty.

Ucieszyła się też bardzo, kiedy po dwu tygodniach przyjechała po nią matuśka.

— Matuśko, zaraz mnie zabierzesz, prawda?!

Zostały lalki, wózki, serwis, piłka, a ona, szczęśliwa i wesola, wróciła do domu.

Po raz drugi zabrał wujek Julek Justynę na święta Bożego Narodzenia i wtedy poznała ciocię Lizę.

Ciocia Liza była niepodobna do wujka i do matuśki. Była zupełnie inna. Przede wszystkim robiła wrażenie dużej i mocnej. Miała czarne lśniące włosy, czarne oczy, czarne, półkolisto wygięte brwi i delikatny meszek nad górną wargą. Mówiła i poruszała się z wyniosłą, chłodną dystynkcją, nie zwracała na nic i na nikogo uwagi, jakby zawsze była jedynie sama ze sobą.

Liza spała do południa i wtedy dziewczynki bawily się w jadalni, żeby „głosy nie zbudziły pani“. Potem siedziała prawie do obiadu na marszczonym, niebieskim, atlasowym stołeczku przed lustrem i patrzyła na siebie. Po obiedzie wychodzili z wujkiem i nie wiadomo kiedy wracali, bo dziewczynki zawsze już wtedy spały.

Był jeszcze cały tydzień do świąt i dziewczynki o niczym innym nie mówiły i nie myślały — tylko o gwiazdce.

Co wieczór przy pacierzu wymieniały głośno swe prośby do świętego Mikołaja i aniołów, co według zapewnień bony i rodziców było jedynym i niezawodnym sposobem spełnienia życzeń. Irka i Halusia prosiły o żywego psa i całą litanię nowych zabawek.

Justyna o tym, że święty Mikołaj jest od przynoszenia podarunków, słyszała dawno, ale dopiero wujek przekonał ją, że to najprawdziwsza prawda. Trzeba tylko głośno, wyraźnie wypowiedzieć swe życzenie przy pacierzu.

Prosiła zatem o balijkę ze stołeczkiem i lalczkę.

Ostatniego wieczoru przed wigilią wujek Julek i ciotka Liza wysłuchali uroczyście pacierza i życzeń, stojąc w progu dziecinnego pokoju. Podniecone dziewczynki nie mogły usnąć. Justynę dręczyła wątpliwość.

— Czy święty Mikołaj będzie pamiętał? przecież tyle, tyle dzieci go prosi?

— Nie potrzebuje pamiętać, święty wszystko wie bez pamiętania — rozstrzygnął wujek.

— A czy jak proszą dorośli, też się spełnia?

— Naturalnie!

Justyna umilkła, ale długo jeszcze, leżąc w ciemnościach i ciszy śpiącego obcego domu, myślała o tym, że wujek musiał się mylić, bo jeśli rzeczywiście życzenia wszystkich mogły być spełniane, wystarczyłoby przecież, aby matuśka zmówiła pacierz i wyliczyła na głos swe potrzeby: buty i ubranie dla Pawła, palto dla Amelki, cała szynka na święta... Albo można by prosić o jeszcze

ważniejsze rzeczy, no, na przykład o to, żeby się nie jękać...

Olśniona tą myślą wstała cichutko ze swego posłania, uklękła na posadzce i półgłosem odmówiła jeszcze raz cały pacierz, dodając wyraźnie, powoli: „Proszę cię bardzo święty Mikołaju, daj Judce Tajtelbaumowi, żeby się już nie jękał“.

Obudziła się nad ranem, kiedy w pokoju panował jeszcze zupełny mrok. Przymknęła oczy i zaraz zobaczyła w wyobraźni „swoją balijkę“. Będzie taka samiuteńka jak Irki, z takim samym złotym sęczkiem na bocznej klepce. Będzie w niej prała lalczyne sukienki... Sukienki swojej laleczki...

Wynurzone z cienia kształty przedmiotów przybierają określony wygląd i znaczenie: łóżeczka dziewczynek, szafa, półki, stół...

Na stole cała góra kartonowych pudeł.

— Święty Mikołaju, jaki jesteś dobry...

— Dla Hali...

— Dla Irenki... Haluni... Haluśki... Ireczki...

Ręce Justynki drżą z zimna i z wielkiej emocji, kiedy odczytuje imiona obdarowanych.

Stos paczek na stole zmniejsza się szybko, dzieląc się na dwa mniejsze, układane na dwóch dzieciennych łóżeczkach.

Hala drze na strzępy papier, w który jest owinięte największe pudło.

— Ojej! Jaka duża!

W pudle leży wspaniała lalka w niebieskiej muślinowej sukni.

— „Mama“...

— Tak, tak, taką chciałam! — Hala przechyliła lalkę, a ona zaraz mówi „mama“, „mama“... tyle razy, ile się tylko chce.

Lalka siada na dywanie, a Hala wyciąga z pudełek

i paczek: nakręcaną kolej, meble, nowy serwis, bąka, murzynka.

Irka tańczy po pokoju ze swą „krakowianką“, żelazkiem i „prawdziwą lornetką“, oprawną w masę perłową.

Na stole leży jeszcze jedna mała paczka, przewiązana na krzyż płaskim sznureczkiem, była na samym spodzie. Justynce jest chłodno: przecież wszystkie trzy są tylko w nocnych koszulach i boso...

— Nie ma balii... Ani stołeczka na trzech wysokich nóżkach...

— O, jeszcze coś jest, a to dla kogo? czytaj, Justyno!

Irka wtyka jej do rąk ostatnią paczkę. Nagle Halusia przypomina sobie: — A pies?

W jednej chwili zapominają o rozłożonych dokoła zabawkach i rozgoryczone, nadąsane, idą szukać psa.

Justyna nie ma rannych pantofli, więc idzie boso, trzymając ciągle jeszcze nie rozwiniętą paczkę, która jest „dla Justynki“.

— A może to jest pudelko z laleczką? — paczka jest sztywna, domysł rośnie w pewność, palce zaciskają się mocniej na prezencie.

Irka nawołuje głośno:

— Na, na, na!

Hałas budzi wujka, który staje naraz w drzwiach sypialni.

— Pies jest w kuchni, oczywiście!

Sliczny, biały puszysty szpic, z czarnymi jak węgle oczami, nawet Justyna musi zapomnieć o laleczce i balii.

Kłękają na podłodze obok psa, głaszczą go, tulą, całują, zachwycają się jego ogonem, uszami, językiem.

Trwałoby to nie wiadomo jak długo, gdyby nie wujek, który każe im się natychmiast ubrać, bo jest zimno.

— Widzę, że był u was Mikołaj. Ho, ho!

Wujek ogląda kolejno zabawki, śmieje się, dziwi, cieszy razem z córeczkami.

Justynka usiadła na swym posłaniu i ostrożnie zdejmowała sznurek z paczki.

Sztywna okładka książki. U góry drobnymi literkami napisane: Maria Konopnicka, niżej „Książka Tadzia i Zosi“.

Małe palce bezmyślnie odwracają czarno zadrukowane strony... łyż duszą w gardle.

Książka jest tej wielkości co elementarz, który dostała kiedyś od matuśki w Charkowie... elementarz...

W pokoju jest bardzo wesoło. Wujek ustawia psa na tylnych nogach pod ścianą i każe mu służyć; pies miękkim ruchem opada na przednie łapy i macha rozłożonym na podłodze ogonem. Wszyscy aż się zanoszą od śmiechu.

Dlaczego święty Mikołaj jej nie wysłuchał? jej jednej? a może nie wiedział, że ona teraz tu mieszka? że jest u wujka? nie, przecież na karteczce jest wyraźnie napisane: dla Justynki. A może to za Judkę, za to, że się już nie będzie jąkał? Po prostu z tym wszystkim jest jakoś zupełnie inaczej, jak? Justyna nie wie, ale jest przekonana, że Mikołaj jest dobry tylko dla niektórych...

Składa równiutko papier, zwija na palcach sznurek i wszystko umieszcza na stole. Chce zapomnieć o bałijce, stołeczku, o lalce, o gwiazdce i swoim wielkim rozczarowaniu. Już minął, przepadł ten cudowny ranek, w którym mogło się spełnić to, o czym marzyła. Już był święty Mikołaj, przyniósł tyle darów, ale o niej zapomniał... nie, zostawił jej przecież coś, czego wcale nie pragnęła, co nie sprawiło jej żadnej radości... I o Judce też zapomniał... teraz już wie, że tak jest na pewno, a może i jemu zostawił książeczkę?

Do obiadu wszyscy zajmowali się psem. Później pies musiał iść do kuchni, bo ciocia Liza kazała bonie i pokojówce ubierać dziewczynki do wyjścia.

Pojadą na wigilię do babci na Kamionek.

Przyszeli fryzjer i od razu dziewczynki ogarnął niecierpliwy niepokój.

Już wszyscy byli gotowi i pokojówka wciągała dziewczynom rajtuzy, kiedy Liza przywołała do siebie Justynę.

— No chodź tu, pokaż się.

Sukienka Justyny, granatowa z marynarskim kołnierzem, wycerowana na łokciach, nie podobała się jej wyraźnie.

— Więc, Julku, jak? weźmiemy małą?

— To już jak ty uważasz, kochanie, może... niech raczej jedzie.

— Uczesz ją trochę... — Justyna została lekko popchnięta w stronę pokojówki — i proszę obciąć jej paznokcie.

Babcia von Rensztedtowa mieszkała na pierwszym piętrze w ogromnych, ciasno zastawionych starymi meblami pokojach.

W jasno oświetlonej jadalni było już dużo gości.

Irka i Hala, całowane i ściskane, biegały po pokojach, śmiały się i cieszyły ze wszystkiego.

Justyna natychmiast poznała panią Rensztedtową i ujrzawszy ją, spłoszyła się; zaraz też musiała pomyśleć o matulce i o domu. Rozejrzała się ostrożnie po sali. Sami nieznajomi ludzie. Panie, panowie... zawieszone w połowie ścian stare portrety spotęgowały w niej jeszcze wrażenie obcości i natłoku.

Goście bardzo długo zasiadali do olbrzymiego stołu, pełnego półmisek, talerzy, butelek i kieliszków.

Niekończąca się, pełna przeróżnego jedzenia wieczerza tak bardzo zmęczyła dziewczynkę, że w jakiejś chwili zaczęła drzemać.

Goście pili obficie wina i koniak. Gwar rósł w miarę spożywanych w tradycyjnej kolejności potraw. Po zdaw-

kowych komplementach, pytaniach i uwagach rozmowy zboczyły ku polityce.

— ...W Ministerstwie coraz głośniejsze mówi się o wielkich możliwościach, jakie się przed nami odkrywają, o wielkich planach...

— Wyobraźcie sobie państwo — pułkownik von Rensztedt, brat cioci Lizy, podniósł kieliszek koniaku do ust — wyobraźcie sobie nasze przyszłe granice: Od Gdańska po Odesę, od morza do morza!!!

Starannie wysuszył usta serwetą z białego adamaszku, z dyskretnie wyhaftowaną w rogu baronowską koroną.

W miarę jak mówił, gwar przy stole zacichał, toteż skończył w zupełnej ciszy. — Co za perspektywy!

Prałat — Józef, najstarszy syn Rensztedtowej, ledwo dostrzegalnym ruchem przycisnął splecione palce do piersi, po czym zwilżył łykiem wina suche wargi.

Nikt z obecnych, nawet matka, nie wiedział, jak dalece ostatnio zaangażował się finansowo w przemysły wojenny na skutek zupełnie nowych wiadomości o bliższej wojnie z Rosją i jak bardzo bał się, aby owe wiadomości nie okazały się mimo wszystko mitem.

Obniesiono nowe półmiski, dolano wina.

O sytuacji politycznej i wielu innych spośród zebranych miałoby coś do powiedzenia. Byli wśród nich przemysłowcy, bankierzy, ludzie interesu, dla których właśnie wahania na giełdzie miały specjalną wymowę i zmuszały do czujnej uwagi, którzy już zaczęli wiązać się w spółki z firmami zagranicznymi, planującymi wielkie dostawy wojenne, już liczyli przyszłe zyski.

Wypite trunki i doskonale jedzenie skłaniały do wylewności. W jakiejś chwili prałat wzniosł oczy ku sufitowi i westchnął lekko, następnie z dobrotliwą powagą zauważył:

— Wieczera wigilijna ma znaczenie symboliczne

w sensie ewangelicznym, jest przecież oczekiwaniem... Wiadomo, że to oczekiwanie ma w finale cud, a zatem nie pozostaje nam nic innego, jak ufać i wierzyć...

Ktoś rozpoczął znienacka śpiewać kolędę.

Przyjęto melodię ochoczo i za chwilę cały pokój rozbrzmiewał trochę nierówno i zbyt głośno prowadzoną pieśnią, przerywaną śmiechem i trącaniem się kieliszkami. Śpiew obudził Justynę. Otworzyła szeroko oczy i pierwszą rzeczą, którą spostrzegła, był stojący przed nią talerz pełen bakalii: pomarańcza, daktyle, figi, kilka cukierków w błyszczących papierkach...

— Jedz, to od świętego Mikołaja — wyjaśniała Halusia.

Dziewczynki siedzą u samego końca stołu, naprzeciw pralata. Justyna, rozbudzona zupełnie, przypomina sobie od razu, skąd się tu wzięła.

— Nieprawda, Mikołaj nic nie przynosi, to od waszej babci!

Halusia obrażona odwróciła się do Irenki.

W rogu jadalni stoi ogromny świerk, mocny zapach lasu przenika poprzez wszystkie wonie stołu i dociera do Justyny wyraźnie.

W jakiejś chwili pani, do której ciocia Liza mówi „Zosiu“ — podnosi się od stołu i zabiera ze sobą Irkę i Halusię. Po długim czasie wraca i woła Justynę:

— Chodź, mała!

— Ty będziesz spała tutaj, rozbieraj się szybko!

Są w ogromnej sali pełnej worków, poustawianych jeden na drugim. Justynie przypomina się momentalnie żyto i szczury. Ogarnia ją nieopisane przerażenie.

— Proszę pani, czy w tych workach jest żyto?

— Żyto? skądże? to jest cukier. Zapas cukru dla przytulku.

Pani pokazuje Justynce żelazne łóżko, stojące w rogu.

— A ty właściwie jesteś czyja?

Justynka nie wie, jak odpowiedzieć, jest wystraszona, śpiąca, bezradna.

— Ja? ja jestem z wujkiem Julkiem.

— Ach tak? to dyrektor jest twoim wujkiem?

Justyna na jednym z worków składa ubranie i wsuwa się pod koldrę.

— Dobranoc!

Pani nucąc gasi lampę i odchodzi zamknawszy drzwi. Justynka słyszy, jak jej kroki lekkie i prędkie cichną stopniowo na schodach.

Jakże tu jest strasznie! Małe ciało dygoce i kurczy się z zimna i strachu.

Po hałasie jadalni tu jest straszliwie cicho, żadnych głosów, szmerów... nic, tylko jej własny, nierówny oddech.

Justyna chce mówić pacierz, ale w tej chwili pojawia się w jej pamięci zastygła twarz prałata i słowa modlitwy uciekają z myśli. Jakby ktoś na nie dmuchnął. Wydaje się jej, że jest sama na całym świecie, że tu, w tym przerażającym pokoju zostanie na zawsze, że wszyscy o niej zapomnieli, że się zgubiła...

Dawno minęła północ, nastrój przy stole był doskonały. Stara pani Rensztedtowa czuła wewnętrzne zadowolenie i spokój. Józef, Lucjan, Liza — oto jak Opatrzność wynagrodziła ją za pracowite życie.

Machinalnie sięgnęła po cukierek, rozwinęła go powoli, ugryzła i w tej chwili przypomniało się jej często powtarzane zdanie: — „Dzieciom nie należy dawać za wiele słodczy, słodczy psują zęby, odbierają apetyt i sprzyjają robakom“.

Doznała jakby olśnienia. Cukier szkodził! Trzeba pomyśleć, czym by wynagrodzić biednym sierotkom ewentualne przejęcie zapasu, który przechowuje w pustym pokoju... może kaszą? kasza jest taka zdrowa...

ROZDZIAŁ VII

Po powrocie Justyny do domu mróz ustalił się na dobre i spadł duży śnieg, który śpiewał cienko w takt kroków.

Matuśka musiała co drugi dzień przynosić ze składu z Warmińskiej ciężkie wiadro drobnego węgla i palić nim w żelaznym piecyku, ustawionym na środku pokoju.

Naokoło studni kamienie pokrył szklisty lód i było tak ślisko, że nawet matuśka nie mogła się utrzymać na nogach.

Do szkoły wychodziło się z domu po ciemku i biegło środkiem szyn, wydeptanym w głębokim śniegu śladem. Kolejka przestała chodzić i tylko szosą od czasu do czasu przejeżdżały sanie ciągnięte przez konie otoczone ruchomym obłokiem pary. Skrzypienie sań długo drżało w wyziębionym powietrzu.

Roboty koło kościoła przerwano. Przed zajazdem bardzo rzadko stały teraz konie, przez całe dnie drzwi do szynku były szczelnie zamknięte i dopiero wieczorem zjawiali się goście tupiąc nogami i już od progu wołając o mocną wódkę.

W mieszkalnym pokoju Kłoseckich leżał Mieczysław i kaszlał. Wychudł ostatnio bardzo i twarz jego nabrała barwy wosku.

Justyna często budziła się w środku nocy przez ten jego kaszel dochodzący wyraźnie spoza ściany.

Słuchała leżąc cicho z otwartymi oczyma i zdawało się jej, że już kiedyś tak było, że to zna: czarną od nocy przestrzeń i skądś z boku dochodzący kaszel.

Ale do myśli o tym, co było, mieszały się obrazy z minionego dnia, wspomnienia szkolne, sceny z przeczytanej książki, więc naciągała kołdrę na głowę, przytulała się do pleców Amelki i zasypiała.

Mróz tak dokuczył matuśce, że postanowiła ostatecznie sprzedać fortepian, sprowadzić cały wóz węgla i na-

palić w obydwu pokojach i w kuchni, ażeby było „choć raz naprawdę ciepło“. Zaraz w poniedziałek pojechała do Warszawy czerwonym wozem Blacharskiego.

Justyna wróciła około południa ze szkoły i zaczęła obierać ziemniaki na obiad. Była sama, bo Pawła wzięli rano do siebie Wiśniewscy.

Nagle u Kłoseckich rozległ się przeraźliwy krzyk:

— Je... zu... sie!!!

Równocześnie ktoś zaczął walić w ścianę tuż koło szafy, o krok od Justyny.

— Ludzie! ludzie!

Po chwili głosy ścichły, ale zaraz wybuchnęły znów gwałtownym szlochem.

Justyna strąciła koszyk na podłogę i podbiegła przerażona do ściany.

— Co się stało? Janko, Janko! Matuśki nie ma... Janko!

Poprzez mur i płacz doszły ją słowa:

— Mietek umarł... o Jezul!

Justyna boi się strasznie stać tak blisko ściany, za którą ktoś umarł, ale nie może również od niej odejść, jakby trzymała ją na miejscu wielka, obezwładniająca siła. Stałaby tam nie wiadomo dokąd, gdyby nie Amelka, która wpadła z ganku z krzykiem:

— Och, och, jak mi ręce zmarzły!

Justyna przeknęła z trudem ślinę i naraz wyrzuciła z siebie jednym tchem:

— Amelko, cicho! Mietek Kłoseckich umarł!

Amelka zapomniała o zmarzniętych rękach, jednym skokiem znalazła się obok Justyny i zaczęła słuchać.

Stały chwilę, aż Amelka niespodziewanie zaproponowała:

— Chodźmy tam!

Ale Justyna się bała. Amelka jednak poszła i została u Kłoseckich aż do powrotu matuśki. Justyna pobiegła

do ogrodników. U Wiśniewskich nie wiedzieli jeszcze, że Mietek zmarł. Siedzieli wszyscy w dużej, bielonej wapnem kuchni i jedli obiad. Paweł jadł z jednego talerza z Rysiem Widelskim i coraz klócili się o to, „czyja skwarka“.

Justyna usiadła na brzegu ławy obok starego Symeona i zaczęła opowiadać o całym zdarzeniu.

— Jak pani Kłosecka płacze... i Jania.

Donek poskrobał łyżką o dno blaszanego talerza i zauważył bezceremonialnie:

— Wielkie mecyje, taki zdechłak, przecież wiedzieli dawno, że i tak umrze.

Justyna nie wiedziała, dlaczego „i tak“ i dlaczego „zdechłak“.

— Czy chory musi zawsze koniecznie umrzeć?

Ale Donek nie myślał odpowiadać, wydał pogardliwie usta i zaczął gwizdać „Titinę“.

Symeon zastukał widelcem w talerz.

— Zamilczalbyś raz.

Po chwili Anka przerwała przykrą ciszę.

— Matka już wróciła?

— Nie.

Anka podniosła się od stołu i z dużego półmiska nałożyła Justynie pełną miseczkę ziemniaczanych klusek ze skwarkami.

Justynka nie lubi ziemniaczanych klusek. Włożone w usta pęcznieją dziwnie i lgną lepką, parzącą masą do podniebienia, ale to niegrzecznie powiedzieć, że się czegoś nie lubi, a zresztą w tej chwili nie pamięta smaku klusek, nie pamięta o niczym poza sprawą Mietka.

W kuchni jest ciepło, są ludzie, wszystko jest proste, zrozumiałe, bliskie.

Symeon po obiedzie wziął się do przebierania cebulek „mieczyków“. Jego pomarszczone, ciemne ręce wykonują wszystkie ruchy z uwagą i dokładnością. Jak to się

dzieje, że końce palców Symeona rozróżniają w jakiś sposób cebulki — Justyna nie może pojąć, przecież cebulki są zupełnie jednakowe, dlaczego trafiają do różnych skrzyneczek?

Obok w pokoju, na łóżku zasłanym pluszową, zieloną kapą, leży najstarszy syn ogrodników — Bolek, którego wszyscy nazywali „ślepy Bolkiem“, nawet Anka i Donek. Był wysoki, ciemny i jedno oko miał zawsze zamknięte, drugie patrzyło dokoła nieufnie i ponuro. „Ślepy Bolek“ uchodził w osadzie za „podejrzanego“. Był kłótniwy i ordynarny. Justynie często wydawało się, że oko Bolka było zamknięte tylko „na niby“, i że widział nim wszystko doskonale, i to, jak Anka rozmawiała za długo na podjeździe z policjantem, i jak Donek palił papierosy, i jak Jasiński kradł z wozu, załadowanego na targ, jabłka albo kalafiory, i to, jak matuśka przystawała co kilka kroków, dźwigając wiadro z węglem.

W lecie zatrzymywał się niekiedy na chwilę koło ich ganku i wypytywał matuśkę o to, jak było w Charkowie. Kiedyś ni z tego, ni z owego zaczął ją namawiać, żeby kupiła krowę:

— Zaraz by dzieciaki się odżywiły, takie świeże mleko to dobra rzecz.

Matuśka roześmiała się głośno i spytała:

— A skąd wziąć na to pieniędzy, panie Bolesławie?

Justynę zastanowiły wówczas słowa „panie Bolesławie“ — odnoszące się do człowieka, którego nikt nigdy tak nie nazywał, ale zapomniała o tym wkrótce i myślała o nim jak przed tym, jak o „ślepy Bolku“.

Chrapanie Bolka, przekomarzania chłopców bawiących się na podłodze strąkami fasoli, rozważne ruchy rąk Symeona i krzątanie się Anki powoli uspokoiły dziewczynkę. Myśl o Mietku stawała się coraz mniej dokuczliwą. Nie wiadomo kiedy do kuchni przyszedł zmrok.

— Są tu moje dzieciaki? — matuśka wróciła.

— Prosimy do środka, są, są! Niech no pani siada.

O Mietku już wiedziała, spotkała na stacji Kłoseckiego, czekał na „okazję“ do miasta.

— To straszny cios mimo wszystko — zauważyła głosem pełnym współczucia.

Westchnęła głośno i po chwili dodała półgłosem:

— Sprzedałam fortepian...

W tej chwili Bolek stanął w drzwiach kuchni.

— Sprzedała pani? a komu?

— Jednej z sióstr, może i źle zrobiłam, ale już nie miałam wyjścia...

— Czy nie oszukali aby na cenie? — zatroskała się Wiśniewska — bo to rachunki z rodziną najgorsze.

Matuśka uśmiechnęła się smutno. Nie jest tych pieniędzy wiele, kupi węgla i buty całej trójce, ma trochę długu u Tajtelbauma za chleb...

Bolek usiadł na krześle naprzeciw matuśki, przyjrzał się jej uważnie swym otwartym okiem i powiedział:

— Niech pani kupi konia.

Matuśka roześmiała się niecierpliwie.

Bolek jednak mówił zupełnie poważnie. Koń w zimie jest najtańszy, bo go chłopie nie mają czym przeżywić, stajnia jest, ta mała murowana koło Jasińskiego, koń na siebie zarobi, to pewnie!

— Gdzie, panie Bolesławie?

— Wszędzie, choćby takiemu Ostrzedze rozwozić syfony.

— To w lecie, a teraz kto zamawia wodę sodową?

— No, to u Blacharskiego, zawsze narzeka, że ma za mało koni. A kanały? tylko patrzeć, jak tam się ruszy, a przy budowie kościoła?

Symeon milczy, może drzemie na swojej ławie.

— Bałabym się tak wiązać i przecież trzeba się na tym znać, mieć pojęcie.

— Jak to znać? — to przecież on, Bolek, się tym zajmie.

Nie chodzi mu o jakiś zysk, zajmie się, bo mu się tak podobał. Na tym rozmowa się urwała.

W trzy dni później był pogrzeb Mietka, a w tydzień po pogrzebie matuśka kupiła konia. Koń był ogromny, kościsty i jednolicie siwy. Dzieci mimo zimna ciągle biegały do stajni, by mu się przypatrzeć i o nim porozmawiać.

Zaraz po tym mróz zelżał i konia wynajęli do zwożenia z Wisły lodu. Co rano Bolek wyprowadzał go ze stajni, gwizdał i cmokał, okrywał go derką z worka i zarzucałszy sobie na ramiona uprzęż, wyprowadzał przez bramę na szosę.

Za pracę koło konia Bolek nie chciał żadnych pieniędzy, chciał jedynie spać u matuśki w kuchni i jeść razem z nimi, bo, jak mówił: „życie u starych znudziło mi się śmiertelnie“. Matuśka zaczęła kupować mięso i słoninę i przynosić od Kłoseckich piwo.

Bolek jadł, pił i śmiał się głośno, opowiadając ile to zarobią razem z koniem, jak się zacznie „prawdziwy sezon“.

Dzień wydłużył się znacznie i odwilż zaczynała się na dobre. Razem ze zbliżającą się wiosną zaczęły obiegać osadę dziwne i niepokojące wieści. Ludzie mówili o wojnie.

Któregoś dnia Anna wyjęła paczkę broszur, przywiezionych z Charkowa a przechowywanych dotychczas jak najstaranniej, i zaczęła je czytać razem z Sendkiem, który ją odwiedził. Siedzieli do zmroku i tak ich zastał „ślepy Bolek“, który tego dnia wrócił z furmaństwa wcześniej niż zwykle i zaraz się okazało, że znał Sendka od dawna.

— Ten też się z wojny nie cieszy — zauważył Sendek, gdy Bolek wyszedł do stajni — dwa razy odsiadywał więzienie „za opór władzy“, a i raptus z niego, ale serce

złote... Jak wypije, zaraz chce „mundurowym“ ślepiea wydrapywać, za doznane kalectwo pomsty dochodzić, zawzięty jest...

Nazajutrz Bolek był chory i koń cały dzień stał przy pustym żłobie, aż matuśka zawołała Donka i kazała mu przynieść owsa i sieczki od starego Symche ze składu paszy.

Donek, klnąc na czym świat stoi, przyniósł obroku i wody, popatrzył na Bolka, splunął przez zęby i powiedział:

— Schlał się Bolcio, zaczęło się! znów go jakiś giez ugryzł, będą hece!

Następnego dnia Bolek znów wrócił wcześniej i znów był pijany. Nie przyniósł żadnych pieniędzy, nie chciał kolacji, podgarnął słomę pod ścianę i poszedł spać.

I tak już było ciągle.

Matuśka z początku uśmiechała się, potem gniewała, krzyczała, wreszcie — płakała. Bolek mrugał zdrowym okiem, klepał konia po szyi, cmokał.

Ktoregoś wieczora odwiedził matuškę Symeon i Anka.

Ogrodnik zamknął się z Anną w pokoju i opowiedział jej wszystko o Bolku.

Był ich synem, ale jakby nie był. Z innymi dziećmi nie mieli kłopotu, no, może z Donkiem, ale Donek ma dopiero szesnaście lat, a on — ojciec, jest już stary, z Bolkiem zaś od początku było trudno. Nienawidził życia, jakie ludzie naokoło wiedli. Buntował się, chciał wszystko na opak pozmienić. Żył w nim nieustanny niepokój. Do własnych rodziców miał pretensje. Dwa razy siedział w więzieniu. Stracił oko, opinię... a ostatnio to już bol-szewikiem się zrobił na dobre.

W głosie ogrodnika była bezradność i trwoga. Zmęczony długim życiem umysł z trudem wybierał z natłoku myśli te, które chciał zamienić na słowa.

Całe życie byłem spokojnym człowiekiem, a i mój oj-

ciec, jak pamiętam, nie mieszał się do niczego, a tu, ten syn... no i przecież mamy teraz Polskę, czego tu jeszcze mącić? Człowiek powinien się przyzwyczaić do tego, co zastał, jak na świat przyszedł... Najważniejsza rzecz to przyzwyczajenie, ale niektórzy jakoś inaczej... po swojemu. Z Bolkiem to jest tak: jak czymś się przejmie, coś go wytrąci z równowagi — zaczyna pić... nieszczęście czyste. Widać znów coś go naszło.

— A może by sprzedać konia? — on, Symeon, gotów jest go kupić.

Matuśka przyrzekła, że się zastanowi, podziękowała serdecznie za życzliwość i omówiła z Anką cenę otomany, która ogrodnikównie bardzo się podobała.

Okolo północy przyszedł do kuchni Bolek. Był dość trzeźwy, choć wyglądał blado i mówił niepewnie.

— Z czym tu znowu był stary i ta... niech pilnuje swego policjanta, co się z nim szwenda. Tu nie o konia chodzi, widzi pani, i nie o mnie. Sendka tu widziałem — zaczął chaotycznie i naraz wybuchnął:

— Znów nas sprzedali! Jaśnie panowie! Chciała Rosja pokoju? chciała! a co się zrobiło?! wojna! Komu łeb utną?! mnie! Szmulkowi! chłopakowi Sendka, Kozłoszczakom! A najmocniej to gryzie człowieka, że te cholery nic nie rozumieją, jak te barany — na rzeź! Krew mnie zalewał mówisz takiemu, a ten choć portkami trzęsie, leci, jak na niego kiwną, i na baczość staje... głupi nasz naród! głupi!

Zamknięte oko z resztką ciemnych rzęs wyglądało ponuro i złowieszczo. Twarz Bolka z bladej zrobiła się czerwona, wargi mu drżały, białe zęby błyskały jak u wilka.

— Ojciec to tak: niech się świat spali, byle on na dzierżawie u Katerli siedział... i tak wszyscy. Byle sklepik, byle buda, byle do jego własnego worka nie zajrzeli. Blacharski pyska dostał, że bez kija do niego nie pod-

chodź, wiadomo — interes! już się powąchali z intendenturą. Jutro chcemy w szlachtuzie pogadać, przyjdzie trochę ludzi... tak o siódmej wieczorem, może by tak i pani?

Anna zgodziła się bez wahania. Zaproponowała też Bolkowi, żeby się przespał w kuchni, jak dawniej; o sprawie konia nie wspomnieli ani słowem.

Stróż Jasiński czekał w swej izdebce koło stajni na powrót Bolka, ale światło w kuchni długo nie gasło, a gdy zgasło — Bolek nie przyszedł.

„Takaś ty — pomyślał o «rzondcynie» — już cię i pijany nie mierzi, suko...”

Anna długo w noc nie mogła zasnąć. Snuly się jej po głowie różne wspomnienia ludzi i zdarzeń, przeżywała na nowo swe rozmowy z Samuelem Lurie, Aleksiejem, Mikołajem. Odnajdywała siebie w suterenie na ulicy Gogola, wśród przyjaciół i spraw tak bliskich i niedawnych, a tak równocześnie dalekich.

Wojna? przeciw komu? przeciw czemu?

Wyobrażała sobie mimo woli Bolka walczącego z jednorożkim listonoszem — Mikołajem, Sendką — ze zdunem Aleksiejem... Nad ranem przysnęła, ale i we śnie dręczyły ją cienie ludzi, którzy w jakiś sposób wpływali na losy świata i układali jej własne życie. Jak na taśmie filmowej sunął korowód postaci, wśród których poznała kolejno: generałową Siemionownę Skworcową, kupca Gałkina, von Rensztedtową i Juliana Katerłę...

Rankiem zapomniała jednak o wszystkim, bo czekała na ludzi wielka nowina: lód puścił i Wisła zaczęła płynąć. Wody było mnóstwo, szarozółtej, mętnej, pokrytej gęsto płatami kry, ale pomieściła się jakoś w swym korycie nie zalewając osady. Pojawiła się tylko na podwórku Idłowej i w kanale na Toruńskiej. Odetchnęli więc wszyscy i z nową energią przystąpili do wykańczania kościoła.

Bolek zaraz wynajął się do zwożenia desek i wskutek

tego sprzedaż konia, którą postanowili z matusią, na razie się odwlokła.

W głębi surowego jeszcze wewnątrz kościoła ustawiono ołtarz z królową Jadwigą na obrazie. W kościele kręciły się teraz nieustannie dzieci i z ciekawością przyglądały się wszystkiemu, co nowe.

Z chóru widziało się doskonale cały kościół i wszystko, co się w nim działo. Małe okna, umieszczone pod samym dachem, wpuszczały przez drobne szybki światło. W tym świetle znaczyły się wyraźnie wnęki na boczne ołtarze, deski poukładane w stos pod ścianą, drabiny, widać było stolarza, dziobatego Feliksa, i malarzy zajętych malowaniem słupów, podtrzymujących sufit.

W kościele panowało przykre zimno, ale dzieci nie zważały na nie, biegając po schodach i wyglądając z chóru jak z balkonu. Równocześnie przed kościołem kopano dołki pod drzewka. Blisko parkanu od wewnętrznej strony wybrano osiem głębokich jam pod osiem małych lip, które na razie leżały pod kościelną ścianą związane powróslem, bez liści, z koronami podobnymi do rozcapierzonych mioteł. Akurat dzieci przyglądały się sadzeniu, gdy na szosie zagrał samochód.

Pierwszy pobiegł mu naprzeciw Paweł, za nim Justyna.

Szofer zatrąbił ku ogólnej ucieście i wolniutko ruszył w kierunku zajazdu. Pobiegli za wozem naśladując trąbienie. Samochód zatrzymał się koło żłobów.

Z samochodu wysiedli kolejno: pani i dwóch panów.

Pani miała szare karakułowe palto, kapelusz z piórami i woalkę. Śmiała się i rozglądała ciekawie na wszystkie strony.

— No więc jesteśmy...

Jednego z panów nazywała „Jerzy“, drugiego „mecenase“. Tymczasem wyszedł Kłosecki i zaczął zapraszać „jaśnie państwa“ do restauracji. Mecenas zapytał o stró-

za Jasińskiego. Jasiński, którego poszukał osobiście Kłosecki, był widocznie poruszony, miał w garści czapkę i nie mógł znaleźć pierwszego słowa.

— A bo co? tak, jestem, to ja jestem Jasiński, proszę wielmożnych państwa...

Zaczęli wypytywać: kto jest dzierżawcą? gdzie są pola? sad? kto mieszka w domach od rogu Toruńskiej do placu Kościelnego?

Jasiński odpowiadał drapiąc się w głowę, ale coraz nawracał niespokojną myślą do swojego.

— A bo co?

Paweł sprowadził matuskę. Przyszła z wypiekami na twarzy i sama nawiązała rozmowę.

— Jestem tu rządcą, może państwo pozwolą... proszę uprzejmie.

— Bardzo nam miło, Bohuszowa jestem, mój mąż, nasz adwokat, mecenas Rogulski.

Weszli do pokoju. Pani przysiadła na brzegu ofiarowanego krzesła.

— Jak pani wiadomo, jesteśmy obecnie właścicielami tej posesji, kupiliśmy ją.

Matuśka zbladła gwałtownie.

— Jak to? nie rozumiem.

Teraz zaczął mówić adwokat Rogulski.

— Tak, właścicielami posesji są państwo Bohuszowie. Transakcja miała miejsce przed miesiącem. Korzystając z pięknej pogody przyjechaliśmy osobiście obejrzeć... i jest jeszcze taka drobna formalność, mianowicie... dawny właściciel wymówił sobie pozostawienie na miejscu stróża, niejakiego Jasińskiego...

— A ja? a o rządcy nie było mowy?

Matuśka usłyszała drżenie własnego głosu i zbierając wszystkie siły przemogła słabość, wyprostowała się, przegarnęła swe lśniące włosy i wyjaśniła:

— Tak się złożyło, że pracowałam u brata. Jestem sio-

strą Juliana Katerli. Prowadziłam meldunki, administrowałam posesję...

Pani Bohuszowa, przerywając, wtrąciła zyczliwie:

— Dyrektora Katerli? ach tak? właściwie to się doskonale składa. Od dziś jest pani naszym rządcą, przecież musimy mieć rządcę, prawda, Jerzy? mecenasie, prawda?

Panowie zgodzili się. Porozmawiali jeszcze chwilę na ganku, wstąpili do kwiatowego ogródka, pokręcili się w towarzystwie matuśki po podwórzu i podjeżdżcie.

Na pożegnanie mecenas dał Annie kartę wizytową ze swym adresem i zaprosił do siebie na czwartek dla spisania umowy.

Anna odprowadziła gości do samochodu, którym odjechali zaraz szosą w stronę miasta.

Przed wieczorem już wszyscy wiedzieli, że Katerla sprzedał ziemię i domy do samego kościelnego placu. Lokatorzy przychodzili kolejno do matuśki i z niepokojem pytali: co teraz będzie?

Pierwszy przyszedł Jasiński. Mówił cicho i niewyraźnie, mnąc w rękach swoją czapczynę:

— Czy pani g o s p o d y n i już coś wie?

Nigdy dotąd nie nazywał Anny gospodynią i nigdy nie mówił do niej takim tonem.

— O kim, jak o kim, ale o was gospodarz nie zapomniał, o to możecie być spokojni — z goryczą podkreśliła Anna.

Po nim przyszli inni: Symeon Wiśniewski, Kłosecka i zdenerwowana Branichowa, szewc Kłajman i Blacharski z synem Mordką.

Anna powtarzała cierpliwie, że nic jeszcze nie wie, że ma nadzieję, iż wszystko zostanie po staremu, ale i ją dręczył niepokój i nowe bolesne upokorzenie.

U adwokata Bohuszów czekała już na nią umowa. Zostawiono jej zajmowane dotychczas mieszkanie, dodając prawo do korzystania z warzyw i owoców w ramach

umowy dzierżawnej z Wiśniewskimi i czterdzieści złotych miesięcznej pensji, płatnej z góry każdego pierwszego.

Rogulski odbył z nią długą rozmowę, wprowadzając w plany nowych gospodarzy.

— Dyrektor Katerla potrzebował, jak zapewne łaskawej pani wiadomo, dla sfinansowania nowopowstałej spółki handlowej — gotówki. Oczywiście doskonale znał perspektywy tamtej dzielnicy, ale nie mógł czekać, moi klienci natomiast dysponowali gotówką... Myślę, że obydwie strony nie mają czego żałować... Na razie nie mamy zamiaru nikogo usuwać, w przyszłości będzie to zależało oczywiście od nowego nabywcy, bo o ile znam plany państwa Bohuszów, nieruchomości traktują jako chwilowe zabezpieczenie kapitałów. W tej chwili zresztą jest wojna, lokaty w ziemi i nieruchomościach mnie osobiście wydają się najpewniejsze.

Mówił swobodnym, uprzejmym tonem, miał łagodne szare oczy i spokojną twarz człowieka, którego Anna w myśli nazywała „uczciwym typem“. Traktował ją jak współpracownika, poważnie i życzliwie.

— Czy jesienią odnowi się umowę dzierżawną z ogrodnikiem? Czy kończyć remont szopy zajmowanej przez Blacharskiego? Czy używać nadal starych kwitariuszy?

Wracając z Warszawy jakaś ufniejsza, pokrzepiona. Tymczasem właśnie w domu czekała na nią nieprzewidziana zgrzyzota. Zarekwirowano konia. Bolek zrobił awanturę w gminie, pobił kaprała z komisji wojskowej i został zatrzymany na kilka dni w areszcie.

Anna nie mogła długo uwierzyć w to, że konia już nie ma, że pozbawiono ją ostatnich pieniędzy, na które tak bardzo liczyła, i dopiero fakty upewniły ją w tym ostatecznie. Najpierw Jasiński zapytał grzecznie, czy może „wyporządzić stajnię“ i złożyć sobie w niej drzewo, później Bolek zaproponował „korzystną sprzedaż“ uprzęży,

którą przezornie schował u sodowiarza Ostrzegi, wreszcie dostała kwit wystawiony na jej nazwisko przez komisję rekwizycyjną.

— Straciliśmy, panie Bolesławie! — powiedziała gorzko, gdy Bolek po odsiedzeniu kary zjawił się po tygodniu w kuchni.

— Żeby ich! Nic, tylko by człowiek nożem dźgał, ich czy siebie, sam już nie wiem...

Wyglądał strasznie. Zdrowe oko, nabiegłe krwią, paliło mu się wilczo w zarośniętej, chudej twarzy, brew nad ślepym dygotała nerwowo.

— A o co na mnie jeszcze u starych czekało...

Rzucił na stół błękitny świstek papieru. Karta mobilizacyjna... „W przeciągu 48-miu godzin w pulku macierzystym — Tomaszów Mazowiecki — stawi się: Wiśniewski Bolesław lat 37...”

Anna machinalnie odczytywała tekst raz i znów od początku jeszcze raz. Poczuła gorącą litość, zresztą i w niej był przecież od dawna taki sam bunt, takie samo oburzenie i bezsilność jak w nim. Nie mogła wymyślić żadnej pociechy, żadnych słów, które by w tej chwili były naprawdę potrzebne.

Wysunęła się z kuchni, by po kilku minutach wrócić od Kłoseckich z kwaterką mocnej wódki. Pierwszy raz w życiu wypila kieliszek bez ociągania się i poczuła nawet niejaką przyjemność.

— Na zdrowie, panie Bolesławie! Za pomyślność... — Frazes nabral nagle sensu. Groza malująca się na twarzy Bolka zaczęła topnieć pod wpływem łagodnego uśmiechu Anny, pod wpływem jej bliskości. Bolesław przegarnął włosy, otarł usta wierzchem ręki i oparł się o ścianę.

— Parszywy los. Jak byłem chłopakiem, to nie było dla mnie żadnego musu, com pomyślał, tom robił... a teraz? taką kartkę ci dadzą i robisz, czego nie chcesz, ale niedoczekanie ich, żeby ze mnie pociechę mieli...

— Ma pan rację, Panie Bolesławie, przymus, człowiekiem rządzi, przekłety przymus.

Bolek nalał jeszcze raz do kieliszków. Wypili. Policzki zabarwił mu delikatny rumieniec, oko ściemniało. Patrzył na Annę z bliska, słuchał jej głosu, odczuwał jej kobiecość. Złość, nienawiść, mściwa zawziętość — ustępowały miejsca jakiejś niejasnej jeszcze, nieświadomej tęsknocie, pragnieniu spokoju, pojednania, miłości, ledwie uchwytnemu przeczuciu szczęścia. Czysta i wciąż jeszcze piękna twarz Anny jaśniała przed nim w całym swym blasku i było tak, jakby ją pierwszy raz ujrzał.

Naraz stał się nieśmiały, prawie pokorny.

— Na tego konia to ja panią namówilem... ale chciałem dobrze, myślałem... pomóc trzeba kobiecie... pani... a tu masz!

Anna serdecznym ruchem przykryła jego rękę, złożoną na stole, swoją ciepłą, suchą dłońią.

— Ja wiem, panie Bolesławie, nie potrzebuje mi pan nic mówić. — Napięcie ostatnich tygodni, niedawne przejścia, tajone cierpienie i walka z samym sobą wyzwołyły się w nim nagle krótkim, bolesnym szlochem, opamiętał się jednak natychmiast, wypił jeszcze jeden kieliszek wódki i powtórzył głucho:

— Przekłety los...

Wyszedł krótko po północy, wzruszony i cichy. Nie powiedział ani jednego słowa o tym, że Anna jest inna, zupełnie inna, że choć ją znał od dawna, dziś zobaczył ją jak gdyby na nowo i upewnił się co do tej jej inności.

Kobiety miał od przypadku do przypadku, nigdy nie poświęcał im specjalnej uwagi, zdawało mu się zawsze, że są wszystkie jednakowe, dopiero tego wieczoru odkrył swą omyłkę.

Anna wyprowadziła go aż na próg ganku i przez długą chwilę stała w promieniu światła padającego z otwartych drzwi kuchni, nieświadoma tego, co się w odcho-

dzącym mężczyźnie działo. Nie dowiedziała się zresztą tego nigdy, bo w osiem tygodni później został Bolesław za „podburzanie żołnierzy do porzucania broni w obliczu wroga“ skazany przez sąd wojskowy na karę śmierci, i rozstrzelany.

ROZDZIAŁ VIII

Na Wielkanoc kościół miał już podłogę, drzwi i oszkłone okna, więc postanowiono urządzić grób.

Ksiądz prefekt na lekcji religii w szkole kazał dziewczynom ze starszych oddziałów przyjść w Wielki Poniedziałek do szorowania kościelnej podłogi.

Amelka, zaraz po powrocie ze szkoły, wzięła wiadra i poszła z Justyną do kościoła. Inne dziewczynki przyniosły ścierki, szczotki i mydło.

Była Tereska Przygodzianka z huty i Mania Pasikówna, która mieszka aż za przejazdem, i Todzia Czyżówna.

Szorowały do samego zmroku, na koniec już były jak, aby do schodów, a tak były zmordowane, że zakończenie pracy nie sprawiło im żadnej radości.

Jak gorąco! Ręce szczypią i kłują boleśnie, jakby były oparzone, ramiona omdlewają, kark i plecy zeszywniały zupełnie.

— Chodźmy na chór...

Po schodach nie biegły, jak zwykle, a szły ostrożnie i powoli, bo nogi okazały się dziwnie niechętne.

Z góry podłoga kościelna wygląda, jakby była pociągnięta ciemną farbą.

— Ona będzie ładna, jak wyschnie, zobaczycie — zapewnia Todzia.

— Ale nasza strona będzie jaśniejsza — twierdzi Mania Pasikówna.

Justyna, przechylona poprzez balustradę, patrzy na

ciemnawe wnętrze. Zawsze myślała, że kościół to kościół, miejsce tajemnicze i święte, nie mające nic wspólnego z codziennością, ze zwykłością... a to jakby dom, tylko duży... szoruje się w nim podłogę, zmiata szczotką, można głośno rozmawiać, a nawet klócić się, sama słyszała.

Kiedy przyszły nazajutrz, ludzie już szykowali dekoracje do grobu, a Sabinka Maślankówna, koleżanka Amelki, zapisywała dziewczynki, które będą w bieli adorowały przy grobie.

Tłoczyły się ciasno i dopominały:

— Zapisz mnie! ona też! ja z Jasią!

— Ale przedtem musicie się wypowiadać!

— Wiemy! Z grzechami adoracja jest nieważna!

Justyna już od dłuższego czasu stoi w gromadce dziewcząt. Serce jej bije prędko i głośno. Ach, mieć na sobie białą sukienkę, białe pończoszki, pantofelki, przejrzysty welon na twarzy i maleńki wianuszek z zielonych gałązek mirtu.

Ale ona przecież nie ma białej sukienki, welonu, pończoszek, jak ukłęknie na klęczniku, na pół ukrytym w zieleni choinek? Nie będzie klęczała z Cesią ani z żadną inną...

Naraz przypomniało się jej, że na pojutrze umówiła się z przyjaciółką do spowiedzi.

Kiedy w kuchni zmywała naczynia po obiedzie, łyzy łaskotały jej policzki. Matuśka prasowała bieliznę.

— Czego, Justynko, płaczesz? skaleczyłaś się?

— Nie... tylko...

— Jeśli tak bardzo, bardzo chcesz... no więc może ci Ludka Kłosecka pożyczy swoją sukienkę?

Radość wypiera żal. Ach! no pewnie! Justynka skacze dokoła stołu i śpiewa: — Ludka da! Ludka da!

— Ale jest jeszcze sprawa spowiedzi — głos matuśki jest poważny. — Uważam, Justynko, że jesteś za mała,

że nie potrafisz jeszcze zrozumieć tych wszystkich spraw, widzisz...

— Ja potrafię, ja wiem, zapiszę sobie wszystkie grzechy na karteczce i przeczytam księdzu po cichutku, nauczę się prędko czytać, zobaczysz!

Matuśka uśmiechnęła się:

— A czy ty, dziecko, wiesz, co to jest grzech?

Matuśka przestała prasować powłóczkę rozłożoną na stole, umieściła ostrożnie żelazko na spodku ustawionym dnem do góry i spojrzała na Justynę prawie surowo.

— Grzech? no to jest, jak się coś źle zrobi... źle... zrobi?

Wszystko, co się robi, może być takie albo owakie: ciężkie, lekkie, wesołe albo smutne, na przykład płacz, płacz jest smutny, albo ból... i ból ma w sobie coś ze smutku, a znów śmiech to radość, ale poza tym jest jeszcze „dobro“ i „zło“. Dobro to na przykład, jak Idłowa daje żebrakom w każdy piątek jałmużnę, po którą schodzą się przed jej dom z całej okolicy, albo jak matuśka uczy za darmo młodego Klajmana czytać po rosyjsku. Klajman jest biedny i nie ma pieniędzy, albo jak ona sama czytała Olkowi Dypciowi książki, Olek jest niewidomy, a tak lubi książki... a zło? Robi się źle, jak się kłamie albo jak się bierze cudze, jak Donek Wiśniewski, który ukradł Ance zegarek i sprzedał „za byle co na papierosy“... albo jak się obmawia jak Jasiński...

Matuśka patrzy na Justynę swymi szafirowymi oczyma i cierpliwie czeka na odpowiedź.

— Czy to ty, dziecko, wiesz, kiedy ludzie źle robią? są źli?

— To jak się bierze cudze albo nie słucha mamusi, albo jak Donek pluje do wody dzieciakom z „domów nad Wisłą“, jak się komuś robi krzywdę, jak się kopie barany... jak...

— Tak, wtedy się robi źle, jak się drugih krzywdzi. Jak się ich wyzyskuje, oszukuje, oglupia, ale to wszystko zrozumiesz naprawdę dopiero wtedy, jak dorosniesz, córeczko.

W Wielki Czwartek Justyna wstała przed szóstą. W środku czuła jakiś przykry chłód, pustkę. Machinalnie przypominała sobie zapisane wczoraj „grzechy” i układała je kolejno w myśli.

Cesia przyszła około wpół do siódmej i zaraz pobiegły na Piaski.

— Dużo masz grzechów?

— Prawie całą stronę, a ty?

— Ja też, bez sześciu linijek...

— A o podpowiadaniu powiesz? i że gadasz na lekcji?

— A spowiedź powszechną umiesz na pamięć?

Za przejazdem kolejowym skręciły w prawie pustą ulicę. Ranek był chmurny, z deszczem zawieszonym tuż nad ziemią. Przenikliwa wilgoć ziębiła i przygnębiała. Już widać kościół. Lipy na przykościelnym cmentarzu mają spore, jasnozielone pąki. Gałęzie szarpane wiatrem kołyszą się na wszystkie strony. Przed kościołem stoi gromadka bródnowskich kobiet i dzieciaków. W kościele jest mroczno. Po prawej stronie koło ołtarza świętego Antoniego stoi rusztowanie do groty grobowej i ogromne oleandry w drewnianych donicach. Pod ścianą klęczą ludzie czekający na spowiedź. Justynka klęka za Cesią.

W kościele jest zimno, czuć stęchlizną i kopciem ze świec. Justyna patrzy na podłogę kościelną, ściemniałą od starości, schodzoną, nierówną, z łuszczącymi się sękami i rozplaszczonymi łebkami gwoździ i myśli o tym, że tej tu nikt nie szorował od dawna... i że szorowanie to strasznie ciężka praca.

Coraz ktoś odchodzi od konfesjonału, klęka całując stulę i wyminąwszy ławki skręca przed wielki ołtarz.

Justyna podnosi oczy i zatrzymuje je na obrazie w ołtarzu, na którym jest wymalowana Matka Boska z maleńkim Jezuniem. Ogarnia ją wzruszenie. Jezunio jest taki śliczny, ma żywe, wesołe oczka i małe, tłuste rączki...

W głębi za ołtarzem trzasnęły jakieś drzwi, ktoś zakaszlał głośno, Justynce przypomniało się nagle, że przecież idzie do spowiedzi. Wstała z klęczek i wyszukawszy w kieszeni swetra kartkę z grzechami, zaczęła po cichu czytać.

A ileż to razy w lecie nie umyła nóg, tylko kładła się prędko i udawała, że śpi, żeby matuskę oszukać... albo rachunki, rachunków nie odrabia w domu, tylko odpisuje od Andzi Kozarzewskiej... A nienawidzenie? przecież to też grzech... Justyna nienawidziła szewca w Charkowie, a teraz nienawidzi stróża Jasińskiego. A może to nie jest grzech, bo oni są niedobrzy?

Co za wstyd mieć tyle grzechów i żal, że się to wszystko robiło... po co nakłamała Cesi, że u wujka w Warszawie dostała od świętego Mikołaja piękną dużą lalkę z zamykanymi oczami, i że lalka się stłukła?... Naraz przypomina się Justynie jeszcze jeden najstraszniejszy grzech, na wspomnienie którego czuje, jak zaczynają ją piec policzki. Jak mogła zrobić siusiu na worek z cukrem?! Wtedy, podczas wigilii u pani von Rensztedtovej, kiedy to została sama w tym strasznym magazynie na noc...

Justyna znalazła się naraz jakby w ciasnej sieci, jak w potrzasku, każdy ruch pamięci wstecz jest cierpieniem i zgryzotą... A te maliny, co je rwała nad sadzawką bez pozwolenia Symeona, po kryjomu? Przecież to: „nie kradnij!” Cesia odwraca się do niej gwałtownie i szepcze:

— Teraz już ja, a potem ty.

Po plecach przebiega dreszcz jeden za drugim, serce

zaczyna walić jak dzwon, a nogi stają się dziwnie słabe. W długiej, straszliwie długiej sekundzie nie dzieje się nic. Niecierpliwe chrząknięcie księdza wyzwała z niej wreszcie szept: „Niech będzie pochwalony“...

— No to odmawiaj sobie litanię przez trzy dni.

W głowie ma Justyna szumiącą pustkę. To już! już po wszystkim?

Cichy, wyraźny stuk w ściankę konfesjonału kończy całą sprawę. Haftowany złotem krzyż na stule jest sztywny i chłodny, Justyna dotyka wargami haftu i staje z boku obok ławek. Jest jej dziwnie lekko, zimno i obco.

Na dworze padal drobny, gęsty deszcz. Na chodnikach stała woda. Justyna zapomniała nawet o zabawkach rozłożonych na wystawie sklepu z galanterią, tak ją zajęło przeskakiwanie przez kałuże. Była zadowolona i wesola. Nagle tuż za rogiem, uderzona wiatrem w twarz, głową trafiła w zwisający od okiennicy ciężki, żelazny hak i doznała ostrego, niespodziewanego bólu.

— O Jezul!

Aż się zatoczyła na ścianę domu. Co się stało? Na skroni pod palcami rośnie ogromny guz.

Cesia ogląda go z bliska i wykrzykuje:

— Aleś się wyrznęła, ojej! Nie ruszaj tego, w domu zaraz przyłóż sobie nóż, to ci ból wyciągnie... taki hak! o matko! Mogłaś się na śmierć zabić! Ale jesteś po Komunii Świętej, tobyś zaraz poszła do nieba i była aniołem.

Stoją jeszcze chwilę, wreszcie idą dalej, ale po niedawnej radości nie zostało już śladu.

Deszcz zacina prosto w twarz i jego krople mieszają się ze łzami. Justyna nie chce płakać, ale musi, bo jeszcze ciągle boli ją bardzo. Wiatr świszcz w bocznej uli-

cy, jakby się nie mógł z niej wydostać. Dopiero koło szlachtuza Cesia przypomniała o sobotniej adoracji i Justyna zapomniała naraz o bólu — będzie klęczała przy grobie w białej sukience i wianuszk, dopełniła warunku ze spowiedzią i już może!

— Przyjdź, Cesiu, do mnie wcześniej, to się poubieramy razem, dobrze?

Guz nie zniknął mimo przykładanego noża i musiała go Justyna mieć razem z białą sukienką i welonem. Suknia była trochę za długa i za obszerna, a z pantofli trzeba było w ogóle zrezygnować, bo spadały jej z nóg, ale i tak było cudnie. Justyna jest zachwycona; spuszcza welon na twarz i podnosi, zarzucając go przez wianuszek, przypięty do włosów, na plecy. Uśmiecha się do lustra i jest naprawdę zupełnie szczęśliwa.

— Justynko, tylko nie splam sukieneczki i nie zaczep gdzie welonu, pamiętaj, że to Ludki! — przypomina matuśka.

W kościele zrobiła na Justynie największe wrażenie fontanna i zapach hiacyntów. Spośród zwyczajnych kamieni, ułożonych w piramidkę, wypryska w górę srebrna strużka i drżąc sekundę w powietrzu spada łukami w dół. Tę fontannę zrobił kościelny Feliks z panem Gniadkiem, robili ją przez całą Wielką Środę i teraz, wystając u wejścia, każdemu, kto wstępował do kościoła, na to swe arcydzieło zwracali dyskretnie uwagę:

— ...Bródnowska ani się do naszej nie umywa.

Hiacynty pachniały tak słodko i tak przenikliwie, że dziewczynce zdawało się, iż jest w jakimś czarodziejskim ogrodzie, w miejscu dla wybranych. Te myśli i szmer kroków za plecami, szept, skwierczenie świec i delikatny szelest ściekającej po kamieniach wody płały modlitwy i ciągle przeszkadzały w nabożnym skupieniu.

ROZDZIAŁ IX

Znów jest wojna! Teraz już wszyscy o tym wiedzą! Wojna Polski ze Związkiem Radzieckim stała się faktem dokonanym. Dniem i nocą jadą szosą z Modlina do Warszawy fury, wozy drabiniaste, platformy i bryki.

To ludzie uciekają ze swoich domów z dziećmi, pościelą, tłumokami i bydłem. Szosa jest wprost za ciasna dla tego wszystkiego, co się chce na niej jednocześnie pomieścić. Przed zajazdem stoją teraz dzień i noc podwody, a w izbach szynkowni nie można się przecisnąć między tłumem gości. Podwórze również jest zapchane ludźmi i wozami.

Wśród uciekinierów jest wiele kobiet i dzieci, wszyscy są zmordowani i pełni jak najgorszych przeczuć. Matuska gotuje herbatę i kawę, wynosi na ganek wodę do mycia, rozmawia z dorosłymi i uśmiecha się do dzieci.

Niektórzy z odpoczywających są zupełnie biedni, lichy odziani, z nędznymi węzelkami, inni bogaci, z górą kufurów i pudeł, podróżujący powozami ze stangretem, niańką, psami i pieczonymi kurczętami, zawiniętymi w bibułki. Padają słowa polskie i francuskie, głośne i ciche, butne i pokorne.

Jedni boją się bolszewików i modlą się do „polskiego żołnierza i wielkiego wodza“, inni przeklinają wojnę i tych, którzy do niej doprowadzili. Jeszcze inni wzgardliwie milczą. Wśród uciekinierów uwija się Blacharski i masowo skupuje pędzone bydło. Ma już tych krów, cieląt i baranów pełnusięnką szopę i szlachtuz i spędza je teraz na podwórko szkolne, którego pilnuje specjalnie przez niego do tego zgodzony Jasiński.

Prawą stroną szosy jadą żołnierskie wozy, wiozące broń, żołnierze maszerują w stronę, z której ucieka tłum — na Modlin. Wozy są ciężkie i dudnią głucho.

W całej osadzie zapanował niepokój i panika. Ludzie

nie wiedzą, co należy robić. Grozę spotęgowała wiadomość o śmierci „ślepego Bolka“.

— Jak żołnierzy rozstrzelują, to już naprawdę wojna — stwierdzono jednomyślnie, jakby dotąd nie była jeszcze czymś oczywistym.

Do matuśki przyszła Idłowa. Nie płakała, oczy jej były suche i błyszczące, a cała żółta, pomarszczona twarz przypominała zastygłą maskę.

— Co z nami będzie? czy i nas popędzą? Bajla ma odrę, jak tu się tulać z chorym dzieckiem? — Anna myśli, że nikt ich nie będzie ewakuował.

— Jak przyjdą tu, przyjdą i do miasta. A cóż to, pożrą nas? Żyłam wśród nich całe lata i nikt nie wyrządził mi krzywdy, przeciwnie... zaznałam serca.

Szeptaly długo na ganku w coraz gęściej zapadającym zmroku. Noce są teraz ciepłe i widne od gwiazd. Turkot i głosy w nocy są jeszcze wyraźniejsze. Czasem maszerujący żołnierze śpiewają. Słów pieśni nie można wyróżnić spośród gwaru kół, skrzypienia, dudniących kroków końskich i ludzkich, hałasu przetaczanych armat, ale sama melodia na tle nocy i niespokojnego gwaru wydaje się czymś niesamowitym i groźnym. Mimo późnej godziny koło studni panuje gorączkowy ruch. Żuraw skrzypi bez przerwy, a woda chlusta z wiadra w koryto szeroką strugą.

Od jakiegoś czasu pani Branichowa co rano sprowadza męża do ogródka, gdzie siedzącego w altance otacza coraz nowa gromadka ciekawych.

Pan Teodor pamięta tylko to, co było dawno. Pracuje jedynie mechanizm pamięci. Ciągłe od początku opowiada historię sprzed sześćdziesięciu lat.

— ...Poszło tedy po ludziach, że ziemię będą dzielić, pana Kościuszkowe uniwersały respektować, aby tylko Moskale bić... to choć nasz ekonom był gorączka, my się zawzięli i poszli...

— Moskała bić to grunt! dobrze, dziadku, mówicie — przerywa staruszkowi jeden ze słuchających, tęgi, czerwony na policzkach dzierzawca spod Jabłonny, od wczoraj pokrzepiający się obficie u Kłoseckiego.

— Nie bójcie się! Nasz żołnierzyk da im radę, portki pogubią!

— Na wojnie różnie bywa, mówią, że bolszewicy idą naprzód — gasi entuzjazm jakiś wysoki, niestary jeszcze mężczyzna z fajką w zębach.

— Matuśko, czy bolszewik i Moskał to to samo? — dopytują się dzieci.

— Rosja była państwem carów, a carowie jednako-wo okrutni byli dla własnego narodu, jak i dla Polaków. Carów obalili ci, którzy urządzili rewolucję, to znaczy bolszewicy. Oni też dali wolność wszystkim uciskanim ludziom, i naszej ojczyźnie... nam... rozumiecie? — cierpliwie wyjaśnia matuśka. — Bolszewicy to zupełnie inni ludzie, to nasi bracia, tacy jak ci, co choć byli Moskałami, w 1863 roku bili się w jednych szeregach z powstańcami, z panem Teodorem... opowiadałam wam przecież o Andrzeju Potiebnim.

— Ale zrobili wojnę i zabijają polskich żołnierzy, pani Branichowa widziała dziś rano, jak jechały w stronę Warszawy samochody z rannymi, cała masa samochodów, wszyscy byli pokrwawieni! — wybuchnęła naraz z wypiekami na twarzy Amelka.

— Amelko, to nie oni zaczęli wojnę... i to właśnie jest wielką zbrodnią...

Powoli uciekinierzy przepłynęli, a całą szosę zajęły kolumny wojska. Od czasu do czasu z ciągnących nieprzerwanym sznurem wozów żołnierskich robi się zator i cały pochód zatrzymuje się w miejscu.

Kłosecki wyniósł beczki z piwem na skraj podjazdu i tu rozdzielał kufle między tłoczących się żołnierzy.

Dzieci ani przez chwilę nie mogły usiedzieć w domu,

pełno ich było na podwórku, na podjeździe, w rowach i na szosie, kręciły się między końmi, wozami i gromadami żołnierzy, wystawały przy studni, żłobach, heł po Żerań.

Tymczasem lato zrobiło się ciepłe i cudne.

Wisła za domami Idłowej zmieniła barwę z niebieskiej na ciemnoszafirową, złote łąchy piasku zarastały tu i ówdzie zielone wikliny. Nad wodą przelatywały z ostrym krzykiem rybitwy, białymi skrzydłami trącając wodę.

Na polu Wiśniewskich i na tych przy szosie Toruńskiej i za „haltem“ zboże dojrzało zupełnie i ciężkie od ziarna kłosa zaczęły zwisać ku ziemi, płowe i żółte.

W sadzie owoce, nasycone słońcem, barwiły się czerwienią, purpurą i złotem. Nasturcje zakwitły ceglasto i pomarańczowo, mieczyki Symeona otworzyły swe wspaniałe kielichy, a strzępiaste goździki, dzwonkowate kampanulle, heliotropy i rezeda pachniały w nagrzanym powietrzu upajająco i słodko.

Ale ludzie jakby nie zauważali lata, jakby nie dostrzegali, że jest naokoło urocze i wonne, bogate w plony, pełne słońca. Zaniedbywali rozpoczęte prace, odkładali decyzje, tłoczyli się na brzegi zakurzonego gościńca, pytali wciąż o to samo, radzili, upewniali się wzajemnie, dzielili po spólnie wciąż rosnącym lękiem. Aż pewnego dnia usłyszano po raz pierwszy strzały. Głuchy, stłumiony głos niósł się blisko ziemi.

To armaty. Dudnienie przetaczało się zupełnie nisko, stawało się wyraźniejsze z godziny na godzinę, a pod wieczór każdy już mógł wyróżnić głosy: dwa, trzy wyraźne grzmoły, cisza i znów grzmoły.

Dzieci wybrały się całą gromadą na kanały, może stamtąd widać bitwę?

Ale tam jest tak samo jak koło domu, szosa zapchana wojskiem, pola, z których ludzie zaczynają w pośpie-

chu sprzątać przejrzałe, sypiące ziarno zboża, i głuchy, groźny huk armat.

Justyna bardzo chciałaby zobaczyć bitwę zupełnie z bliska. Bałaby się, ale to nic, i żołnierze się czasem boją, a jednak idą i jadą na front, by brać w niej udział.

— Idziemy bawić się w prawdziwą wojnę, pochowamy się w fortcach! — zwołuje dzieci Paweł.

Do chłopców przyłącza się Justyna, Janka Kłosecka i Andzia Dypciówna, córka dozorczy ze składów Nobla.

Maszerują środkiem szyn i śpiewają: „O mój rozmajynie, rozwijaj się...”

Zrobiło się nieznośnie gorąco, więc dzieci zeszły z toru na ścieżkę. Szosa wykręciła na prawo i zaraz ukazały się szare ściany starych fortów; pobiegli na przelaj po piachu, kto prędzej.

Dudnienie armat nie milkło już ani na chwilę i słychać je było wyraźnie z każdego miejsca we dnie i po nocy.

Pierwsi spośród sąsiadów wyjechali Blacharscy, zaraz po tym Kłosecki wywiózł do miasta babkę i dziewczynki, wreszcie namyśliła się Anka Wiśniewska i Widelscy, których ekspediował policjant, narzeczony Anki.

Radzymin... Radzymin... Matuśka z Amelką wyszukują to miejsce na mapie, ale Justyna bez tego wie z całą pewnością, że Radzymin jest gdzieś zupełnie blisko. Przecież na Pelcowiznie jest ulica Radzymińska może o pięćdziesiąt kroków od ich domu, między Toruńską a Warmińską, i kończy się przy torze kolejowym, tam gdzie mieszka Mania Pasikówna.

Pobiegły tam też zaraz z Andzią Dypciówną, ale na Radzymińskiej było jak zwykle: koło parterowych domków chodziły kury, niskie okna pozasłaniane były kwitnącymi bujnie pelargoniami i geranium, kobiety stały

przy furtkach i opowiadały sobie o snach i przepowiedniach wróżących okropne klęski.

Dziewczynki doszły do samego wału i wdrapały się po nasypie aż pod wysoki, czarno malowany parkan. Ale i tu nic szczególnego się nie działo, tylko tuż za parkanem dało się słyszeć sapanie i gwizd lokomotywy.

— Mój tata mówił, że Radzymin jest koło Wisły.

— Tak? no, to chodźmy nad Wisłę, może tam widać bitwę.

Wracają pełną upału ulicą, przebiegają przez szosę i po chwili są już na podwórzu posesji „Nobla“.

Justyna jeszcze tu nie była; wysoki, szczelny parkan z zawsze zamkniętą bramą i furtką, do której od zewnątrz jest przybita tablica z napisem: „T-wo B-ci Nobel — składy“ i druga mała z wskazówką „Dzwonek do dozorczy“ — oddzielał posesję od szosy.

Podwórko jest ogromne. Tuż za parkanem po lewej ręce stoi domek dozorczy z odrutowaną klatką na gołębie, umieszczoną na dachu, po prawej — nieco większy — dla urzędnika, z małym owocowym ogródkiem od tyłu. Dalej rośnie trawa jak na łące, wreszcie w głębi o parę kroków od Wisły stoją dwie cysterny. Są olbrzymie, chyba sto razy większe od domu.

— Czy tam jest nafta?

— O, ta rura, co wychodzi z cysterny, idzie do Wisły i ciągnie naftę do środka.

— Skąd?

— Ze statków, one ją do nas przywożą. — Zaglądają przez okągły, uchylony na zewnątrz luft do środka zbiornika, którego wewnątrz obejmuje całą sieć potężnych rur. Z boku na trawie stoi ogromna łódź z małą kabiną w nadbudówce, a dalej jest już tylko Wisła z piaszczystym niskim brzegiem. Dziewczynki zapomniały o wojnie i Radzyminie. Zachwycone wdrapują się do łodzi i zaczynają zabawę „w dom“. Wewnątrz małej kabiny

jest trochę słomy, stara latarnia i zasnuta pajęczyną półka. Andzia przynosi z ogródka kilka niedojrzałych jabłek i garść zielonego grochu w strąkach.

Nagle, jakby pod nimi, pod drewnianym dnem łodzi, coś łupnęło głucho i zaraz jeszcze raz, i jeszcze... Andzia otworzyła przymknięte drzwi. To waliły armaty, ale jakos inaczej, chyba zupełnie z bliska!

Justyna usiadła na słomie. Przez otwarte drzwi widać było ciemnobłękitne niebo bez najmniejszej chmurki. Głęboki lazur, podobny do olbrzymiego szklanego klo-sza, zawieszonego nad ziemią, był spokojny i cichy.

Znów zatrzęsa się ziemia. Spłoszone dziewczynki po-biegły nad Wisłę. Nad niebieską, odbijającą niebo wodą w cieple i ciszy drzewa — piach, wikliny i dalekie domy wydawały się wypoczywać, drzemać...

Na brzegu leżą łodzie rybackie, rzeka szemrze ledwo uchwytnym, monotonnym pluskiem.

— Nic nie widać...

— Wejdźmy na drabinę.

Ale i stamtąd też, poza zblizoną, znajomą okolicą niczego więcej dostrzec nie można.

— No to ci pokażę małe króle i gołębie...

Przed dom wyszedł brat Andzi — Janek. Janek jest rówieśnikiem Pawła. Stał naprzeciw klatki z gołę-biami i zaczął przeraźliwie gwizdać i machać chorągiew-ką na długiej tyce. Dziewczynki weszły po drabinie na dach do gołębi.

— O, idzie Amelka!

— Złazcie, złazcie, bo wam tata da...

Po dachu spacerują gołębie, są białe albo szare z bia-ło-czarnymi paskami na skrzydłach.

— No, złazcie! — Janek spędza dziewczynki tyką.

Amelka dojrzała siostrę i daje znaki Justynie, aby wracała do domu.

Amelka przyniosła straszne nowiny. Po jej błyszczą-

cych oczach widać było, że płakała... Do Zatrzyniewiczów, tych, co mają ten narożny dom, przyszło zawiadomienie, że Stach i Zygmunt... zabici... I syn rudego Szmulka, tego, co ma „żelazny sklep“ — też zabity. I Tadek Wiśniewskich...

Matuśka, która jeszcze o świcie zaczęła pranie, przerwała robotę i zbladła gwałtownie.

— Przyszły pisma przez pocztę... Zatrzyniewiczom piszą, że po Stachu został zegarek z łańcuszkiem, że można odebrać.

Amelka знаła Zatrzyniewiczów, więc znów rozplakała się serdecznie na wspomnienie tego, co się stało.

Po kilku dniach zawiadomienia o śmierci synów, mężów i braci dostali również rodzice Todzi Czyżówny i stary Chojnacki, i Boguradzka, matka głuchej Krysi, i młoda synowa Sendków, i Chaimkowa — sklepikarka. Ludzie popadli w przygnębienie. „Komu to potrzebne? Mało to było wojny?“ — powtarzano coraz częściej, zaciskając pięści.

Kolejno zamknięto na nieograniczony czas hutę, klenię, gisernię, ceny żywności rosły z dnia na dzień, przygnębienie zaczęło niepostrzeżenie zamieniać się w zapamiętałą i mściwą gorycz.

Matuśka przestała jeździć do Warszawy z komornym, bo ludzie nie mieli czym płacić. Jeden Kłosecki, jak zwykle, pierwszego odwiedził ją z pieniędzmi w kopercie. Po śmierci Mietka zsiwiał do reszty i jakby się nieco przygarbił, ale nie stracił swej zwykłej pewności siebie i hałaśliwej jowialności. Poklepał po plecach siedzącą w kuchni Kolbusową, uszczypnął Amelkę i Justynę w policzek, dotknął rzyżymi wąsami ręki Anny.

— Ja z comiesięcznym interesikiem do szanownej pani administratorki.

Przysunął krzesło do otomany, na której przysiadła Anna, i zapytał półgłosem:

— Co szanowna pani myśli? Dadzą naszym radę? A jak dadzą, to jak będzie? bo to opowiadają straszne rzeczy o tych bolszewikach...

Anna spojrzała z bliska w wypłowiałe oczy szynkarza i ujrzała w nich strach. Był to ten sam strach, który oglądała w oczach generalowej, Marii Siemionowny Skworcowej, prezesa Zaremby, brata — pułkownika Katerli — i starego Blacharskiego, wywożącego swe cielęta i barany w bezpieczne miejsce.

— Cóż, ja ich się nie boję, oni odbierają tylko tym, co mają za dużo...

Kłosecki przygryzł wąsa. Od dawna miał Annę w podejrzeniu. W Rosji przecież była, wiadomo, ale teraz nie czas było mieć o to pretensje, przeciwnie...

— Pod jednym dachem, jak to mówią, siedzimy, to się i znamy, z przeproszeniem pani administratorki, jak tyse konie... Kto to tam dziś ma za dużo? Może ci, co wielkie interesy robią, ale tak? Człowiek haruje od świtu do nocy. Bóg świadkiem, grosza nie odłożyłem, co było, na chorobę i na pogrzeb poszło, a i do tego się przed panią przyznam, że Grzelak mi za trumnę skredytował, bo nie miałem, ale ludzie przez złość gadają, że „Kłosecki bogacz“, „na złocie siedzi“.

W miarę mówienia podnosił głos, toteż i dziewczynki, i Kolbusowa słyszały wszystko co do słowa, a że stróżka była porywcza i prawdą lubiła w oczy rzucić, nie wytrzymała dłużej:

— Moi ludzie kochani! Już dałbyś, panie Kłosecki, spokój! a cóż to, pani gospodyni za prokuratora przystała, że się tak pan przed nią sumitujesz? Jak pan nic nie ma, no, to w razie czego najwyżej panu dadzą, bo u nich tak: każdy po równu, i co do ziemi, i co do majątków... i mnie dadzą, i panu, żeby było sprawiedliwie.

Kłosecki popatrzył na mówiącą z nie ukrywaną złością.

— Cicho byście siedzieli, Kolbusowa, bo głupiaście, choć stara...

— Zaraz panu wypiszę kwit — ucięła Anna, podnosząc się ze swego miejsca. Kłosecki nie był ani lepszym, ani gorszym spośród rzeszy małych dorobkiewiczów, ciulaczy. Jego światopogląd zamykał się w kręgu obejmującym szynkwasy, książeczkę oszczędnościową i „szczęśliwe ożenki“ córek. Spokojna starość we własnym domu z ogródkiem albo prowadzenie rentownej restauracji w śródmieściu — to były już marzenia, na które z rzadka sobie pozwalał. Pojęcia ojczyzny, przekonań, ideologii były mu tak obce, jak na przykład sztuka czy filozofia....

Anna wiedziała o tym wszystkim od dawna i dlatego dzisiejsza rozmowa nie zrobiła na niej żadnego wrażenia, natomiast Kolbusowa była wyraźnie poruszona:

— No wiecie, ludzie kochani! Ten się tu po protekcję zgłasza, lizus przeklęty! grosza nie odłożył, trunny bierze na borg...

W ciszy, jaka naraz zapanowała w kuchni, padło nieoczekiwane pytanie Amelki, która aż dotąd nie odzywała się ani słowem:

— Czy to możliwe, żeby tu do nas naprawdę przyszli: Mikołaj, Aleksiej i Gołubienko — ojciec Szury?

ROZDZIAŁ X

Stało się jednak inaczej i dziewczynki nie ujrzały nikogo z dawnych sąsiadów z ulicy Gogoła.

Fala wojny odpłynęła. Życie wracało powoli do swego normalnego łożyska. Panika i wzburzenie ustąpiły miejsca codziennym niepokojom, lękom i nadziejom, pracy i trosce o jutro.

W tym czasie Justynka bardzo zaprzyjaźniła się z Andzią i chodziła teraz często do Dypciów, gdzie bawiły się

nad Wisłą i w ogródku, kręciły się po całym obszernym podwórzu. Zglądały w każdy kąt.

Andzia miała trzech braci: dużego Mańka, który pracował u Nobla w warsztatach jako ślusarz, niewidomego Olka i małego Janka, który jeszcze nie chodził do szkoły.

Ojciec Andzi był ogromnym mężczyzną o twardych, żyłastych rękach i grubym głosie. Zamiatał podwórko, kosił trawę, smarował dachy smołą, czuwał dzień i noc przy bramie do składów, a wszystko to robił z łagodnym uśmiechem.

Nie gniewał się nigdy. Ani na dzieci, ani na gołębie, „że paskudzą koło domu“, ani na wiecznie skrzywioną żonę, która „obwiązana od bólu zęba“ od świtu do zmierzchu wywodziła pretensje do całego świata.

Mieszkał w nim doskonały spokój i rozwaga. W firmie „B-cia Nobel“ pracował od chłopaka i byłby do śmierci nie wiedział, komu i za co właściwie się wysługuje, gdyby nie najstarszy syn — Maniek.

Ów Maniek, wyuczony na ślusarza, dzięki pochlebnej opinii, jaką cieszył się od lat stary, dostał pracę w warsztatach firmy, mieszczących się za przejazdem kolejowym przy biurach centrali.

Maniek odziedziczył po ojcu pracowitość i sumienność, ale po matce był swarliwy i nie ze wszystkiego zadowolony, a już sam z siebie ciekawy nauki i książek. Firma Nobel, prowadzona przez szwedzkich finansistów, robiła od lat olbrzymie interesy na przemyśle wojennym. Zyski przedsiębiorstwa odpływały, rzecz jasna, do dyspozycji właścicieli — za granicę. Nie to, żeby u Nobla robotnikom gorzej się działo jak po innych firmach, nie, ale co bardziej uświadomieni krzywdowali sobie pracę dla obcych, zdając sobie sprawę, że nie wszystko jest z tym w porządku.

— Wy, tato, to jesteście bez zółci. Wam za jedno dzie-

sięć godzin tyrać czy osiemnaście, byleby „biuro“ było zadowolone.

— Ano, po prawdzie, tak! Chleb mi „biuro“ daje, to mi się należy pracować uczciwie... — rozpoczynali zwykle nie kończącą się nigdy rozmowę.

— A mnie to się bebecchy skręcają, jak na to patrzę, raz, że to idzie dla Szweda, Francuza czy innego czorta, a po drugie, że nasi własni panowie sprzedają robotnika w niewolę, a my w nią idziemy jak te barany, co to same do strzyży się nadstawiają.

— Ty, Maniek, za bardzoś zhardział. Umawiali my się o robotę i pensję: wypłaty dostają regularnie, mieszkanie mam, także samo światło i węgiel, kozuch na kozuch i buty wydają, na Nowy Rok dochodzi gratyfikacja, a za to mam robić, co do mnie należy. Tak czy nie? A czy dla Szweda, jak powiadasz, czy inszego, to już nie moja głowa...

— Umawialiście się, to prawda, a o pompowaniu nafty ze statków, że do was należy, było? A o remontach, co je wam na głowę zwalili — było? A o dodatku nocnym, coście go powinni dostawać? A o urlopie? Kiedyście to mieli ostatni? Szesnaście lat temu, jak się Oleś urodził... i to tylko dlatego dostaliście całe trzy dni, że dziecko było ślepe. A o obrabianiu dyrektorskiego ogrodu — było? A ogrodu pana kasjera?

Ojciec przerywał niecierpliwym machaniem ręki.

— At, nie trajkotałbyś tyle. Inni gorzej mają!

— O to właśnie chodzi. Mówisz, tata, że wam to za jedno, dla kogo robicie, dla Niemca czy Włocha... a ja wam powtarzam, że nie, mamy Polskę i dla niej możemy robić, znaczy się dla siebie, a nie obcym się wysługiwać. Co takiego Nobla obchodzicie wy albo ja, my wszyscy?

— Sawicki przecie Polak, a jak u niego w hucie ludzie mają?

— W tym rzecz, że nasi kumają się z obcymi, bo tacy sami dobrzy!

Ojciec nie przekonany szedł do furtki, wołany głosem dzwonka, albo brał się do wiązania mioteł ze świeżo przyciętych różeg, a Maniek wracał do przerwanego czytania którejś ze swych książek, przechowywanych starannie w kuferku.

Kiedyś Anna spotkała go u Sendków, do których zachodziła od czasu do czasu, i od tego dnia rozmawiali ze sobą często i chętnie. Maniek był zdolny, bystry, rozgarnięty, lubił czytać. Bywało, że schodzili się po trzech, czterech: Antoś Boguradzki, młody Kłajman, i rozprawiali zawzięcie całymi wieczorami u niej na ganku albo w altance Wiśniewskich.

U Dypciów zawsze częstowali Justynę jabłkami z ogródka, zupą, chlebem ze śliwkowymi powidłami albo kielbasą i pozwalali dziewczynom na zabawy we wszystkich kątach podwórza. Tak było do pierwszego września, do dnia rozpoczęcia szkoły. Andzia poszła do trzeciego oddziału, a Justyna do czwartego.

Wychowawczynią czwartej klasy została w tym roku pani Stefania Gryniewiczowa — wdowa po poległym pod Radzyminem poruczniku Gryniewiczu.

Pani Stefania była przeciwieństwem wesolej pani Hanny. Ubrana czarno, wysoka, smutna, mówiła cicho, ale stanowczo, nie śmiała się nigdy i często chorowała.

W samej klasie też się wiele zmieniło. Przyszła do nich Marylka Pasikówna i Irmiona Jurewicz, drugoroczne, i pięć dziewczynek z Dąbrówki, bo u nich na wsi była tylko szkoła trzyoddziałowa. Niektórzy z dawnych przestali chodzić do szkoły: Józek Korzeń, który poszedł na naukę do kowala, Paluch, Osuchówna, która zgodziła się za niańkę do jednych państwa, co mieszkali w hucie...

Pani Gryniewiczowa zapowiedziała nowe przedmioty:

geografię, przyrodę, język niemiecki, do których trzeba było kupić książki. Lekcje stały się od razu ciekawe i jakieś inne. Na barwnych tablicach pani pokazywała dziwne zwierzęta, ptaki i rośliny z tym, co jest w nich w środku, i opowiadała, jak wszystko dokoła żyje, rośnie i umiera.

Dzieci przychodziły teraz do szkoły na długo przed dzwonkiem. Siadały na stopniach ganku i opowiadały sobie o przeczytanych książkach albo powtarzały wczorajsze lekcje o tym, jak to drzewa ciągną korzeniami pokarm z ziemi, a oddychają liśćmi, a ptaki wiją gniazda, aby w nich złożyć jaja...

I na godzinach polskiego nie było tak jak dawniej. Czytało się tylko trochę, a po tym pisało się plan albo streszczenie, albo opowiadanie. Justyna bardzo lubiła takie opowiadania. U samej góry tytuł: „Opowiadanie o mojej klasie“, a niżej, w ramie dwustronnych równutkowych marginesów, na stronie albo półtorej, wszystko, co dotyczy ich klasy...

Amelka chodziła do siódmego oddziału, który w tym roku dodano do poprzednich sześciu. Uczył ich zupełnie nowy nauczyciel, pan Miedzianowski. Ten Miedzianowski był postrachem całej szkoły. Wysoki, chudy, z jasnymi jak woda oczyma — nieustannie się gniewał. Walił pięścią w katedrę, tupał nogami i krzyczał aż do zachrypnięcia.

Dziewczynki z siódmego oddziału mówiły, że jest przystojny i elegancki, tylko „nerwus“, chłopcy zaś twierdzili z całą powagą, że kiedyś w złości zabije którego z nich i wtedy „pójdzie na dwadzieścia pięć lat do więzienia“.

Justyna bała się go okropnie i cieszyła, że nie jest uczennicą siódmego oddziału, aż pewnego dnia, na ostatniej godzinie lekcyjnej, przyszedł ów Miedzianowski do ich klasy. Według planu miały być śpiewy.

Wszedł szybko, bez żadnego powitania, niosąc pod pachą czarne pudło od skrzypiec. Dzieci stanęły w ławkach zaskoczone i oniemiałe.

— Siadajcie!

Położył pudło na katedrze i nie patrząc na nikogo otworzył je i wyjął skrzypce. Lewą ręką podniósł je lekko ku brodzie, a prawą przeciągnął po strunach smyczkiem. Zaśpiewały struny czterodźwiękiem, zagrały melodię czystą i miłą.

Dzieci zaczęły wstawać z ławek, szurać nogami, szeptać, kilkoro niecierpliwych znalazło się na środku klasy.

— Siadać!

Skrzypce opadły w dół, a smyczek błyskawicznym ruchem dosięgnął najbliższej głowy. Uderzony krzyknął przeraźliwie, Miedzianowski szczerwieniał, zatupał nogami, po chwili gwarnej zamieszania przemógł jednak strach, zapanowała cisza.

— Milczeć, słuchać!

Wreszcie znów zaczął grać.

Miła, śpiewna melodia wysnuwa się ze smyczka wodzonego w górę i w dół, w górę i w dół.

— Znać to?

— Znamy, znamy, to „o ziemie“!

— A słowa umiecie? Powiedźcie głośno, równo... nie wydzierać się!

Justynka nie śpiewa, siedzi cichutko, bezgłośnie porusza wargami i całą sobą słucha skrzypiec. Raz głos gubi się w fali dziecięcego śpiewu, raz wypływa ponad nią i brzmi zupełnie sam...

Po „ziemie“ były inne piosenki. Pan przygrywał melodię na skrzypcach a po tym klasa śpiewała.

Po dzwonku schował skrzypce do pudła i już miał zejść ze schodków katedry, kiedy Justyna stanęła obok i zapytała przewyżając strach.

— Czy pan będzie nas zawsze uczył śpiewu?

Miedzianowski zamknął futerał, odpowiedział:

— Będę — i wyszedł z klasy.

Natychmiast podniósł się gwar.

Justyna nie wie, czy się cieszyć z tych lekcji śpiewu, czy się ich bać. Chyba się cieszyć...

W tym roku i Paweł poszedł do szkoły, ale nie do „kultury“, tylko do „czerwonego domu“, do tej szkoły, którą nazywano „cywilizacją“.

Chodził na lekcje po południu, sam, bo to było zupełnie blisko. Justyna wracała ze szkoły też sama, bo Amelka miała teraz po siedem godzin lekcji i była w domu dopiero około trzeciej. Justyna pomagała matusce gotować obiad, zmywała naczynia i całymi godzinami czytała z dziećmi, które przychodziły do nich na naukę.

Kłękła na krześle, opierała się o stół i cierpliwie poprawiała przekręcane słowa: „szkoła“ — nie „skoła“, „drzewo“ — nie „dziewo“, „manewry“ — nie „manio-bry“.

Dużo, dużo razy to samo i zawsze wychodziło jakoś źle, jakby ci, co czytali, nie widzieli liter i ich kolejności. Justyna klęczy na zdrętwiałych kolanach i cierpliwie nawraca:

— „Drzewo“, powtórz: „drzewo“.

Głowy dzieci pachną naftą albo stęchlizną, nogi huśtają się pod stołem, palce dłubią w uszach, w zębach.

Matuska pierze lub szyje na maszynie albo szatkuje kapustę, ma zawsze mnóstwo pracy i Justyna wie, że musi tak klęczeć i uważać na czytanie dzieci.

Amelka też pomaga matusce, jak przyjdzie ze szkoły.

— Chodź, Justyno, przyniesiemy wody!

Ciągną razem drąg. Przy korycie stoi Donek, który po śmierci braci zupełnie wydorósł i zrobił się jeszcze gorszy, niż był, stoi i śmieje się.

— Ty, Amelka, co tak pomału? siły nie masz czy co?

Zsunął czapkę na tył głowy, splunął z wysoka w koryto, ręce wsunął w kieszenie spodni i dalej dogaduje.

— Ooo, hop, ooo, hop! Taka dziewczucha, a siły żałuje, cycki ci już urosły, a wiadra nie możesz uradzić!

Amelka puszcza drąg, pełne wiadro spada błyskawicznie w dół, sięgając z głuchym łoskotem wody, i Amelka doskakuje do Donka z pięściami, jest blada i ma taką złość w oczach, że Justyna przestaje na moment oddychać z lęku przed tym, co się za chwilę stanie.

— Ty, łobuzie, ty psie parszywy!

Donek chwytą ją za ręce w kostkach i śmieje się jej w twarz.

Pod szarym swetrem ledwo rysują się dziewczęce Amelczyne piersi. Na twarz spływa jej krwisty rumieniec, szarpie, wściekła, uwięzione ręce i krzyczy:

— Puszczaj, w tej chwili, ty ty złodzieju zegarków! bo cię ugryzę! Justyna, zawołaj mamy, prędko!

Ale Donek nie puszcza.

— A cóż to, boję się waszej ważnej mamy?

— Milcz!

— Tej twojej ważnej mamy, co spała z naszym Bolkiem?

Nagle Donek puszcza ręce Amelki i zaczyna obrzydlawie kłać. Z brody ścieka mu kroplami krew.

— Ty bydlaku, psie... parszywy psiel!

Dziewczynki zostawiają wiadro koło studni i wzburzone wpadają do kuchni.

— Matuśko, co ten Donek na ciebie powiedział!

Amelka krztusi się łzami.

— Matuśko, żeś ty... żeś spała... z tym ich... ślepym Bolkiem.

Co to wszystko znaczy? Dlaczego twarz matuśki w miarę słów Amelki szarzeje i kurczy się? Justyna mimo woli też zaczyna głośniejsze płakać, tylko matuśka jest niezdolnie, strasznie cicha.

Donka już nie było koło studni; matuśka wyciągnęła wiadro i przyniosły je z Amelką do kuchni.

Tak się złożyło, że tej samej nocy Amelka zachorowała na jakąś dziwną chorobę. Wszyscy już spali, kiedy zaczęła głośno jęczeć, obudziła tym matuśkę i Justynę. Matuśka natychmiast wstała i zapaliła lampę. Amelka zaczęła się skarżyć, że ją coś okropnie boli w środku, usiadła na łóżku, położyła się, znów usiadła, wreszcie wstała i poszła do kuchni, skąd rozległ się zaraz jej przerażony krzyk:

— Ma... mo!!!

Lampa paliła się widno, Paweł spał odwrócony do ściany, za oknem była noc. Justyna złękła się o Amelkę, co się jej stało? Czy to nie Donek narobił tego wszystkiego? Z kuchni słychać szept i płacz. Złe przykręcona lampa zaczyna filować, ale Justyna nie może wstać, nie może się nawet poruszyć... tak jest pełna niepokoju i ciekawości.

Po jakimś czasie wraca Amelka podtrzymywana przez matuśkę.

— O Boże!

Krótką koszula Amelki jest poznaczona ciemnymi plamami krwi... Justyna, przerażona do głębi, nie może oderwać oczu od tych plam.

— Co się stało?

Cale ciało Justyny ogarnia jakiś bezwład, jakby ktoś na nie zwałił ogromny ciężar. Widzi siostrę, matuśkę, białe płatki płótna wyjęte z bielizniarki, słyszy głosy, stąpania, ale to wszystko dzieje się zewnątrz niej, w środku — wypełnia ją uczucie grozy i niemoc. Nie może zamknąć oczu, nie może okryć głowy koldrą, poruszyć się, mówić.

Po trzech dniach leżenia w łóżku poszła Amelka do szkoły i wszystko było po dawnemu, tylko w Justynie pozostał jakiś niepokój i głucha nienawiść do Donka.

A Amelka jakoś się w ogóle zmieniła. Nie chciała się już ślizgać na zamarzniętych kałużach koło studni i biegać do piekarni Tajtelbauma, by podpatrzeć, jak wyciągają z pieca gorące chleby, ani grać z dziećmi w papierki od cukierków i stalówki; oddała Justynie wszystkie swoje wstążki do włosów, a sama plotła jeden warkocz z tyłu głowy, skręcając jego końce w luźny gruby lok, zrobiła się jakaś zamyślona czy dumna.

Przynosiła teraz do domu różne książki i czytała je do późnej nocy, siedząc na stołeczku pod piecem. Czasem wybuchała płaczem, a czasem niepohamowanym śmiechem, ot, z byle czego, że książka smutna albo niebo pochmurne, albo że Paweł przy pisaniu wysuwa koniec języka, a Justyna ma zeza... Śmiała się głośno, zaraźliwie.

Po lekcjach spacerowała, mimo zimna, z koleżankami środkiem kolejkowych szyn.

Gdy przychodziła późno, matuśka gniewała się na nią:

— Jak ty możesz, Amelciu, tak marnotrawić czas?

— To są moje przyjaciółki! Na jutro nic nam nie zadali!

— Ale miałaś pocerować pończochy, to wstyd, żeby Justyna ciebie obszywała... Masz już tyle lat...

Amelka zaczynała głośno płakać, jakby ją spotkała krzywda.

— Ty jesteś taka, mamusiu, że nie wiem, Zosi to wolno pospacerować i Geni, a ty to się zaraz gniewasz.

Płakała długo, czasem jeszcze po zgaszeniu lampy, ale naprawdę zaczęła rozpaczać dopiero wtedy, gdy zaczął ich odwiedzać mecenas Rogulski.

Tak się złożyło, że cała sprawa administrowania przez Annę posesją państwa Bohuszów wiązała ją z adwokatem. Co miesiąc po pierwszym jeździła ze sprawozdaniem do niego i od niego otrzymywała wskazówki i wyjaśnienia dotyczące dalszej współpracy. Rogulski miał około pięćdziesięciu lat, a od szesnastu był bezdzietnym

wdowcem. Był człowiekiem wykształconym, estetą, szukającym w życiu spokoju i wygody. Jego pierwsze małżeństwo było zwykłym konwenansem, przez jakiś czas lubił się, że w ostatecznym zbliżeniu oboje nie doznają zawodu. Stało się inaczej. Kobieta, z którą się związał, była piękna i chłodna. Jej głos ani razu nie zadrgał zmienionym przez uczucie tonem. I tak już było zawsze. Powoli zarzucili słowa miłości, zawsze między nimi obce, i zaczęli żyć obok siebie uprzejmi i zrezygnowani. Po śmierci żony uświadomił sobie dopiero jasno, że poniósł osobistą klęskę, i to zrobiło zeń samotnika, ukrywającego się starannie pod pozorami towarzyskiej uprzejmości i łatwości w obcowaniu z ludźmi. W miarę mijających lat owo poczucie klęski zaczęło się w nim rozrastać. Nic nie znaczyło, że był zamożny, miał powodzenie u kobiet, ustaloną pozycję życiową, dobrze jadł, mieszkał. Kariera zdolnego adwokata, specjalisty od spraw spadkowych, nie dawała mu żadnego głębszego zadowolenia, kobiety lekceważył, polityka nudziła go, zagadnienia społeczne wydawały mu się czymś zbyt skomplikowanym. Coraz wyraźniejszy głód prawdziwych uczuć, głębokich ludzkich przeżyć zaczął świadomie karmić sztuką, uprawiał muzykę, czytał dobrą literaturę, zbierał starą porcelanę, marzył o podróży do Egiptu i Indii, gnuśniał...

Wojna wstrząsnęła nim, choć nic i nikogo na niej nie stracił. Jego inteligencja została ostro zaatakowana brutalną prawdą o rzeczywistości. Zbudziła się w nim czujność. Przestał ufać ustalonym wzorom myślenia i postępowania, zdając sobie jasno sprawę z różnicy w układzie stosunków z lat czterdziestych a dniem dzisiejszym. Jego poczucie ładu buntowało się przeciw bezprawiu i gwałtom.

Annę poznał owego dnia, kiedy to ze swymi klientami — Bohuszami odbył wycieczkę autem dla obejrzenia

nowonabytej posesji. Pierwsza rozmowa i całe to pierwsze spotkanie nie zrobiło na nim zresztą żadnego wrażenia.

Następne ich widzenia ograniczały się do zdawkowych uprzejmości i oficjalnych rozmów, w czasie których ani on, ani ona nie byli sobie więcej ciekawi, niż to obowiązuje przypadkowych znajomych. Była śliczną kobietą — to się mimo woli rzucało w oczy, śliczną i zaniedbaną. Ale poza twarzą, włosami, figurą i wdziękiem była w niej jeszcze owa subtelna, ujmująca mężczyzn dojrzałość myśli i sądów, i to, czego brakowało Rogulskiemu — spokój.

Mówiła i poruszała się, pytała i wyjaśniała z naturalnym spokojem. Od początku Rogulski był szczerze rad, że Bohuszowie zatrzymali ją na posadzie, na której jej tak wyraźnie zależało, nie przeszkadzała mu w niczym, przeciwnie, poprzez dokładną znajomość miejscowych stosunków okazała się pomocną, przy tym wołał współpracę z Katerlanką, wdową po prawniku, jak z kim innym. Dlaczego siedziała na tym okropnym przedmieściu z trojgiem dzieci, pozostawiona samej sobie, i z czego właściwie żyła, niewiele go w gruncie rzeczy obchodziło, jako adwokat znał wiele niecodziennych przypadków. Po kilku miesiącach nawiązała się między nimi pewna zażyłość. Rogulski po oficjalnym przejęciu pieczęty i sprawozdania sprowadzał rozmowę na tory ogólne. Okazało się, że mieli wspólnych znajomych, że mecenas znał Petersburg i Moskwę, kochał muzykę, teatr.

Anna uśmiechała się właściwym sobie czarującym uśmiechem i podkreślała z naciskiem w swych wypowiedziach czas przeszły. — Znałam, bywaliśmy kiedyś...

Jej samej odmiana, jaka się w niej dokonała, wydawała się czymś tak oczywistym i znamionym, iż przez moment nawet nie przypuszczała, aby ktoś mógł tego nie dostrzegać.

Raz spotkali się przypadkiem na ulicy i Rogulski odwiózł ją dorożką na stację kolejki, kiedy indziej przyjął filiżanką czarnej kawy. Przyzwyczaiła się do jego uprzejmej życzliwości, myślała o nim z wdzięcznym wzruszeniem.

Któregoś jesiennego poobiedzia, przyjechawszy z kosztorysem robót zdunskich, zaprojektowanych w lokalu wynajmowanym Kłoseckiemu, nie zastała adwokata w domu. Według relacji służącej miał być o czwartej.

Anna postanowiła zaczekać.

Ostatnio miała wiele przykrości i przeżywała stan szczególnego przygnębienia. Zaczęło się to od „poufnej” rozmowy, którą przeprowadził z nią ksiądz proboszcz, złożywszy jej oficjalną wizytę.

— Jako duszpasterz chciałbym bliżej poznać swych parafian.

Są niejako sąsiadami. Jego obowiązkiem jest służyć pociechą religijną, pomóc, wyjaśnić.

— Życie samotnej, młodej kobiety może być szczytne i wzniosłe, ale nie jest czymś łatwym, o! wprost przeciwnie...

Dziewuszki zna z lekcji, wydają się być rozgarnięte... ma również zaszczyt znać dyrektora, Juliana Katerłę.

Ponieważ Anna milczała, zaczął w oględnych słowach wypowiadać swój sąd o ludziach, „którzy w obliczu wroga, w przeddzień, niejako, agonii ojczyzny służyli zdradzie narodowej”, a poza tym w ogóle stronią od kościoła i religii, zapominają o obowiązkach swego stanu... Wszystko było bezosobowe i alegoryczne, więc Anna dosłuchała cierpliwie do końca i dopiero później zapytała grzecznie, czym może mu służyć?

Podniósł brwi w górę i zamilkł. Był wyraźnie zaskoczony.

— Czy prałat von Rensztedt jest pani krewnym? — padło nieoczekiwanie.

— Nie — odpowiedziała — jest bratem mojej bratowej, myślę, że to żadne pokrewieństwo, zresztą nie znam go prawie...

Zaraz po tym wymówili jej lekcje: Lojder, Gniadkowie i Blacharski, i wreszcie zdarzyła się owa ostatnia przykreść z Donkiem Wiśniewskich.

Czuła niejasno, że większość tych, z którymi żyła na codzień, zmieniło swój stosunek do niej. Branichowa unikała jej wyrażnie, Kłosecki milczał nadąsany, kościelny Feliks jawnie lekceważył, nawet pani Hanna Michalska i aptekarzowa Ziemska skracały przygodne rozmowy i spieszyły się przy spotkaniu.

Nie potrafiła kłamać ani przed sobą, ani przed ludźmi, a ci znów nie mogli jej darować tego, że „nie bała się nadciągających bolszewików“! Przygnębienie potęgowały w niej również coraz częstsze uwagi adwokata, zapowiadające rychłą zmianę właścicieli posesji.

Place na przedmieściach rosły w cenę, prowadzący interesy liczyli na wielkie koniunktury i coraz żywiej krzatali się około swych pieniędzy. Jej dotychczasowemu życiu zagrażała coraz wyraźniej jakaś zmiana, której nie umiała się przeciwstawić ani uniknąć.

W mieszkaniu Rogulskiego panowała cisza. Było ciepło, przytulnie. Na znajomych sprzętach leżał cienką warstwą mrok. Drzwi z gabinetu do małego saloniku były otwarte i Anna musiała, siedząc naprzeciw, patrzeć na fortepian. Czarna politura skupiała na sobie resztkę dziennego światła, padającego z okien.

Naraz odezwała się w niej dojmująca tęsknota za muzyką, poczuła nieledwie ból w opuszkach palców. Musiała wstać i podejść do instrumentu. Nie pamiętała już, kiedy grała po raz ostatni. Uniosła ostrożnie wieko i dotknęła klawiatury. Sztywne, nawykłe do grubej roboty palce z niejakim trudem przebiegły w pierwszym pasażu. Usiadła machinalnie i zaczęła grać.

Tak ją zastał Rogulski i po raz pierwszy od wielu lat wzruszył się naprawdę. Później rozmawiali o muzyce i o tym, że samotność jest udziałem wielu ludzi.

Anna nie myślała poważnie o tym, co ku niej szło, ale też i nie broniła się przed tym. Była przede wszystkim śmiertelnie znużona pracą ponad miarę i osaczona troskami. W latach charkowskich żyła podświadomie nadzieją odmiany, sił dodawała jej egzaltacja i ta przedziwna atmosfera wielkich spraw, jakie dokoła niej się dokonywały, ostatnio grzęzła w szarzyźnie i z coraz większym niepokojem myślała o przyszłości dorastających dzieci. Zdawało się jej, że wraz ze śmiercią Antoniego jej osobiste życie uległo zniszczeniu i że nie ma na świecie takiej siły, która mogłaby je odbudować, ale równocześnie rósł lęk, że nie da sobie rady, że nie starczy jej mocy. Wiara w to, że po powrocie do ojczyzny trafi do innej, nowej Polski, dojrzałej społecznie i politycznie, rychło się rozwiała. A jeszcze i to, że w niej samej, czuła to wyraźnie, owa dojrzałość nie dokonała się jeszcze całkowicie, nie stała się mocą, zdolną pokonać wszystko.

Była jak człowiek nadmiernie znużony przebywaniem drogą, szukający za wszelką cenę spoczynku, bez względu na czyhające nań niebezpieczeństwo.

Zbliżające się terminy odnawiania umów dzierżawnych z lokatorami sprawiły, że Anna częściej niż zwykle musiała teraz widywać mecenasa. Był nadal uprzejmy i serdeczny, ale wyczuła rychło, że w jego stosunku do niej coś się zmieniło, przybyła czułość i jakaś nieśmiałość.

Nie zaskoczyło jej to i nie sprawiło przykrości, nadto była kobietą, aby nie odkryć w jego spojrzeniu i głosie zainteresowania i obudzonej sympatii i aby nie znaleźć w tym niejakiej radości.

Poszli razem na koncert i do teatru. Okazało się, że Rogulski bywał od dawna w domu siostry Anny, Na-

talii — pianistki. Jakoś wkrótce po tym Annę odwiedziła Natalia i podarowała jej aksamit na suknię, o Rogulskim mówiła z zachwytem całą godzinę i namawiała siostrę do podtrzymywania owej znajomości. Z tą samą myślą przyjechał i Julian Katerla, którego nie widziano na Pelcowiznie od wielu miesięcy. Uściskał dzieci, ucałował ręce Anny i jakby nigdy nic zaczął wypytywać ją o zdrowie i o to, jak ułożyły się jej stosunki z Bohuszami.

— Ona miła kobieta, prawda? Myślę, że jesteś zadowolona? A już co do mecenasa Rogulskiego, to w ogóle wyjątkowy człowiek, nieprzeciętny w każdym calu...

Było w tym wszystkim coś z rajfurstwa i Anna musiała siłą panować nad sobą, aby nie wybuchnąć.

Przed Bożym Narodzeniem rozpadał się śnieg. Kurzyło dzień i noc, aż wszystko schowało się pod białym, miękkim puchem. Rogulski przyjechał kolejką i przyszedł krajem szosy wydeptaną przez ludzi ścieżką. Przyniósł duże pudło pysznych kremowych ciastek i wiązanek precudnych goździków, owiniętą w mnóstwo bibułek. Usiadł na otomanie i rozmawiał z matuszką.

Był wysoki, ubrany czarno, miał szpakowate bujne włosy, ciemne wąsy i piękne, wypielęgowane ręce. Mówiąc patrzył na matuskę czarnymi, łagodnymi oczyma i uśmiechał się.

Dzieci były w domu, więc matuszka przywołała je do siebie i kazała pana przywitać, a następnie poczęstowała je ciastkami. Amelka zachowywała się z początku jakby nigdy nic, ukloniła się, wzięła, dziękując, ciastko i wyszła, by włożyć goździki do wody, ale w kuchni położyła zaraz ciastko na brzegu stołu, kwiaty wetknęła byle jak do pustego wazonu i usiadłszy na stołeczku pod oknem zalała się łzami.

Rogulski był krótko, ucałował obydwie ręce matuski, uściskał serdecznie Pawła. Amelka, słysząc, że się żegna, uciekła do Kłoseckich.

— Czego ty znów płaczesz? Amelko, co to znaczy? Amelka nie chce nic powiedzieć.

W kilka dni później mecenas przyjechał powtórnie, przywożąc tym razem pomarańcze i róże. Jak poprzednio siedział z kwadrans na otomanie i opowiadał matuśce coś, czego słuchała z blaskiem w oczach.

Nazajutrz ona pojechała do Warszawy na koncert. Włożyła swoją nową aksamitną suknię z gipiurówką u szyi i lakierowane pantofle na wysokich obcasikach, włosy okręciła dokoła głowy i związała szylkretowymi szpilkami, obejrzała się dokładnie w lustrze.

Była śliczna, różowa, jasna, ożywiona. Całowała Pawła i Justynkę, opowiadała Amelce o tym, jak to jest na koncertach.

— Na drugi raz pójdziesz, Amelciu, z nami. Pan Jan sam zaproponował.

Amelka poczerwieniała gwałtownie.

— Ja nie chcę żadnego koncertu, nie pójde, nie chcę!

Matuśka wróciła późno i przez następne dwa dni nuciła półgłosem różne melodie. W niedzielę znów przyjechał Rogulski. Przywiózł dzieciom prezenty: Pawłowi lejce z cienkiej czerwonej skóry, z dzwoneczkami, Amelce pudełko czekoladek, a Justynie — prawdziwą dużą lalkę z warkoczami i zamykanymi oczami, w białych skórkowych buciczkach.

Justyna oszalała z radości. Tańczy po pokoju, śpiewa, całuje lalkę z uniesieniem. Matuśka się z niej śmieje, i pan Rogulski.

— Tak bardzo lubisz lalki?

— Bardzo, nad wszystko!

— A ja myślałem, że już jesteś duża, że wolałabyś jakąś książkę.

Justyna przyciska lalkę do piersi, wyraźnie spłoszona.

— Nie, nie!

Układa ostrożnie lalkę w pudełku i biegnie do Janki

Kłoseckiej. U Kłoseckiej siedzi już Amelka i płacze. Justynce robi się bardzo przykro. Czego Amelka płacze? Może chodzi jej tym razem o lalkę.

— Amelko, nie płacz, czy chciałabyś dostać lalkę?

Nie, ona nie chce żadnej lalki, ani w ogóle niczego! Odpycha niecierpliwie ręce Justyny razem z podsuwanym pudelkiem.

— Nie chcę od niego nic... bo go nienawidzę, tego wstrętnego Rogulskiego!

Łkanie nie pozwala jej mówić. Pani Kłosecka głaszcze płaczącą po głowie i pociesza.

— Nie masz co, Amelciu, tak zawczasu desperować, może się jeszcze wszystko odmienić, a bo to powiedziały, że już klamka zapadła? A zresztą, jak ze wszystkiego widać, niezły z niego człowiek, przyzwyczaisz się.

Justynie wydaje się, że pani Kłosecka wie, dlaczego Amelka płacze, że zna przyczynę jej żalu, ale ona sama nie może pojąć, o co siostrze chodzi. Że tak nie lubi pana Rogulskiego? Można przecież kogoś nie lubić, ale czyż o to zaraz się płacze? Nie, to musi być jakaś inna historia... Posadziła lalkę na stole i tuli się do Amelki.

— Nie płacz już, kochana, nie płacz...

— Ty jesteś strasznie głupia, Justyno. Nic nie rozumiesz, jakbyś miała dwa lata, przecież on chce się z matuską ożenić. Chce być naszym ojczymem!

Pani Kłosecka kiwa poważnie głową.

— Tak, wszystko do tego prowadzi. Mecenas chce się widać z waszą matką żenić.

Justyna jest zaskoczona. Ożenić się z matuską? Z ich matuską? Porcelanowa piękna lalka uśmiecha się do niej malowanymi oczyma nieśmiało i ufnie.

Być matuskim mężem? I o to Amelka tak rozpacza? To przecież nic strasznego, ożenią się i już. Przecież nie jest garbaty albo zły, i jeszcze coś: matuska mówiła, że on umie grać... umie grać! Jak pan Miedzianowski. Mo-

że, jak się już ożeni z matušką, przywiezie do nich skrzypce i będzie grał, a może kiedyś i ją nauczy...

— Jak myślisz, Amelko, czy jak się ożeni, to skrzypce będą u nas? no powiedz, jak myślisz?

Amelka nic nie mówi, a z jej oczu płyną jeszcze ciężkie obfite łzy.

Matuška nuciła piosenki. Jej kroki stały się lekkie i prędkie. Na policzki przedostał się skądś z głębi delikatny rumieniec i wcale nie znikał. Wieczorami czytała dzieciom ich ulubioną książkę „W pustyni i w puszczy” i nie narzekała, jak było do niedawna, że jest zmęczona i bołą ją oczy.

Rano, jak zwykle, długo froterowała podłogi i starannie wycierała kurz z mebli, po tym przerabiała ze swoimi uczniami lekcje, gotowała obiad, szyła, rozmawiała z ludźmi, ale wszystko czyniła z jakąś nową energią, żywością. Na wieczór przebierała się, czesała po raz drugi, rozcierała na dłoniach odrobinę wody kolońskiej i — czekała.

Nigdy nie wspominała o tym, że czeka, ale Justyna widziała to doskonale. Przede wszystkim coraz spoglądała na zegar, stawała raptem na środku pokoju i słuchała gwizdu kolejki, który od stacji niósł się aż tu w wyzębionym powietrzu; co jakiś czas pochylała swą złotą głowę nad różami, azaliami, goździkami i w ich zapachu zatajonym między płatkami szukała kogoś czy czegoś, co miało nadejść...

Oczy jej stały się błyszczące i ciemne jak dawniej, jak te z portretu, a w ich źrenicach coraz częściej świeciła radość. Znajomi i sąsiedzi po krótkich obserwacjach zaaprobowali, jawne już teraz konkury mecenasa Rogulskiego.

— Ile to właściwie liczy sobie ta „rzondcyna” lat?

— Trzydzieści trzy czy trzydzieści cztery?

— Taka niby nic, a spryt jednak ma...

— On pan całą gębą, taki nie co dzień się trafia!

Ów „pan całą gębą” rozgrzeszał wszystko. I dotychczasową dwuznaczną pozycję Anny, i ubóstwo, i podejrzane konszachty z Sendkiem, Bolkiem i Mańkiem Dypciem, o których wiedziało się dobrze, co za jedni, i nawet — jej pobyt w Charkowie.

Mówiono poufnie o tym, że Rogulski wykupił posesję od Bohuszów, że ma kamienicę w mieście, że już poczytnił jakieś zapisy na rzecz narzeczonej u rejenta.

Anna z milczącym uśmiechem przyjmowała życzenia i rady, utrzymywała w sobie poczucie obcości i dziwnie łatwo rozluźniającej się więzi ze środowiskiem, w którym żyła przez ostatnie lata. Jedynie wizyta Gitli Idłowej poruszyła ją głęboko i skłoniła do poważnej i szczerzej rozmowy z Rogulskim.

Idłowa po śmierci syna, skazanego przez „sąd doraźny”, postarzała się bardzo i zniedołężniała. Uściskały się serdecznie i jej jednej Anna opowiedziała wszystko od początku do końca, do samej decyzji, której jeszcze nie podjęła, ale przed którą nie miała zamiaru się cofać. Staruszka długo milczała, wreszcie rzekła:

— Czego się nie robi dla dzieci? ja to wiem, ale lepiej, że on się pani podoba, to znacznie lepiej. Tak... tak... może to i uczciwy człowiek, może, ale takich ludzi jak pani pierwszy mąż... mój Meir... spotyka się rzadko, bardzo rzadko i ten mimo wszystko będzie jednak kimś zupełnie innym.

Annę osaczały wątpliwości. Zaraz też przy pierwszym spotkaniu opowiedziała Rogulskiemu wszystko: mówiła o miłości, o Antonim, o jego przekonaniach, postępowaniu, o wyroku i więzieniu, o jego śmierci, o swej rozpaczy, życiu w Charkowie, o Samuelu Lurie, rewolucji, o tym, że podjęła i utrwaliła w sobie zasady, o które walczyli tamci ludzie, że w osadzie nazywają ją „komunistką”, „bolszewiczką”. Że doznała bolesnego

rozczarowania oglądając własnymi oczyma Polskę — „wspólne dobro wszystkich warstw narodu“, w której rzeczywistość jest jakby dalszym ciągiem okrutnych lat niewoli...

Rogulski wbrew jej przeczuciom przyjął te wyznania z całym szacunkiem, jakoś tak prosto i serdecznie, że aż ją to rozczuliło. Nie miał nic przeciw jej przekonaniom, tylko głupcy robią z idei jarmark, w tym, co jest przeciwne komunizmowi, jest zbyt wiele plugastwa, aby to przyjmować za swoje. On ją podziwia i czczy za jej prawość, za jej bohaterstwo. Chciałby się od niej uczyć...

Był już w owym czasie tak przeniknięty przeżywaną namiętnością, że niczym mu się wydawały przeszkody podobne tym, o których mówiła. Miłość, rozbudzona w jesieni lat, ogarnęła go jak płomień i jak płomień przesłaniała swym blaskiem to, co było poza nią.

Anna miała łagodny, dźwięczny głos, piękne ramiona i piersi, mówiła i poruszała się z wrodzonym wykwintem, jej włosy w świetle dnia lśniły złotem.

Zbyt długo czekał na uczucie, aby się go wyrzekać za cenę zastrzeżeń. Miała troje dzieci i sama o sobie mówiła, że jest komunistką, oczywiście, trzeba się będzie nad jednym i drugim zastanowić, ale będzie na to dość czasu później...

Codziennie popołudniową kolejką przyjeżdżał Rogulski do Anny. Niekiedy zaraz wychodzili oboje, niekiedy siadali obok siebie i rozmawiali półgłosem.

Justyna cały wolny czas poświęcała swojej lalce. Uszyła jej sukienkę, płaszczyk i kapturek z króliczego futerka, które dostała od Dypciówny, i fartuszek. Wychodziła z nią na długie spacery, nosiła do Janki, Andzi i do Wiśniewskich.

Ktoregoś dnia Anka ogrodników dokładnie obejrzała lalkę i zainteresowała się nią bliżej:

— Sliczna i droga, skąd ją masz?

— Od tego pana, co teraz do nas przyjeżdża z Warszawy.

— Ach wiem, od tego nowego taty, tak?

— Nie, od pana Rogulskiego...

— No tak, tak, od tego... on już jest tak, jakby tata, rozumiesz?

Nie, Justyna nie rozumie tego, choć myśli o tym często.

Przecież pan Rogulski nie może być jej tatusiem, bo jej tatuś umarł i już go nigdy, przenigdy nie będzie.

W pięć dni po tej rozmowie z Anką umarł ogrodnik Symeon. Justyna głośno płakała na jego pogrzebie, a po tym okropnie się bała domu Wiśniewskich, sadzawki, inspektów i tych wszystkich miejsc, gdzie poprzednio widywała go niemal codziennie. Ciągłe się jej wydawało, że on jest, że coś robi w ogrodzie albo przechadza się wśród drzew, pochylony, siwy, milczący.

Wdowa z Donkiem, Anką i Widelskimi zostawiła dzierżawę i przeniosła się na mniejsze gospodarstwo we wsi za Nowym Bródnem.

Do domu po ogrodnikach sprowadzili się zaraz niejacy Górniccy. Górnicki był dozorcą w magazynach wojskowych na Pradze. Codziennie wychodził o piątej rano z domu i szedł piechotą do pracy. W domu zostawała żona i ich dwie dorosłe córki: Walerka i Józia. Przez wszystkie dni tygodnia w domu Górnickich było cicho i zwyczajnie, ale w niedzielę od rana pojawiali się goście.

Byli to przeważnie wojskowi, ale wkrótce zaczęli odwiedzać ich i obydwaj Dypciowie, stary i Maniek, Sendek i Antoś Boguradzki. Walerka i Józia w białych bluzkach, z ufryzowanymi grzywkami, witały gości już w sieni, wszystkim jednakowo rade.

Przychodzili żołnierze w błękitnych mundurach i rogatych czapkach, pięknie wystrojeni w srebrne szame-

runki i spodnie z lampasami — ulani, żołnierze z piechoty i artylerzyści.

Górnicki w niedzielę bywał szczególnie uroczysty, w czarnej marynarce, w sztywnym kołnierzyku i gorsie siadał na „dywanowej otomanie“ pod oknem i gawędził z gośćmi.

W mieszkaniu było ciepło od suto rozpalonego pieca, gwarnie, serdecznie, pachniało dymem papierosowym, żołnierskimi butami i kwaszonymi ogórkami.

Wieczorami okna domu błyszczały światłem i jakby nawoływały ku sobie. Gościem Górnickich stał się i nowy lokator Idłowej, Onufry Owczarek — elektryk, który wyraźnie zaczął zabiegać o względy Walerki.

Górnicy bardzo lubili Annę i dzieci i zawsze serdecznie zapraszali ich do siebie, ale matuśka cały wolny czas spędzała teraz z Rogulskim, więc Justyna i Amelka biegały tam często same. Siadało się u tych Górnickich w kuchni koło płyty kuchennej albo w pokoju na kufrze koło pieca i słuchało, o czym starsi rozmawiają. Nie wszystko można było od razu zrozumieć z ich przedmów, często zapalczywych słów, ale tyle przecież dziewczynki pojmowały, że mówiło się tu przeważnie „o polityce“.

Tak minęła zima.

Na wiosnę mecenas powiadomił Annę o sprzedaży posesji jakiejś bliżej nieokreślonej spółce. Był w doskonałym humorze, w czasie kolacji, na którą ją zaprosił, ofiarował jej pierścionek z brylantem i oznajmił z uśmiechem:

— Byłem do tego stopnia formalistą, że przy zawieraniu kontraktów wymieniłem twoją, Anito, osobę: „pani pozostaje na stanowisku administratora z pensją do umowy, mieszkaniem, światłem, opalem i działką ziemi pod warzywa“. Możesz to wszystko choćby dziś podarować, komu zechcesz!

Równocześnie wymówiono dzierżawę restauracji Kłoseckim, szop — Blacharskiemu i mieszkań — wszystkim dotychczasowym lokatorom. Cała osada, żywo poruszona, czekała na to, co teraz będzie.

— Fabrykę samochodów mają stawiać, jakaś zagraniczna firma — rozniosło się nie wiadomo skąd.

— Fabrykę? ho, ho, to się ruszy, do roboty będą brać!

— To już pola nie będzie? patrzcie, ludzie, co za zmiany!

Ale na pewno nikt niczego nie wiedział.

Matuśka za otrzymaną od Bohuszów gratyfikację kupiła materiały na suknie dla siebie i dziewczynek, dla Pawła welwet na ubranie, ponadto zaś Amelce torebkę i kapelusik.

Dziewczynki były z nią w Warszawie, chodziły po sklepach, oglądały wystawy, jeździły tramwajem. Amelka była ożywiona i szczerze cieszyła się ze sprawunków.

Na koniec wstąpiły do cukierni, w której, jak się okazało, czekał już Rogulski.

Justyna dygnęła na „dzień dobry“, a Amelka zbladła jak płótno i cofnęła ku drzwiom, jakby zobaczyła ducha.

— Amelko, Justyno, proszę — czekolada, a jakie chcecie ciasteczka?

Siedzą we czworo przy okrągłym stoliku. Amelka milczy uparcie i nie spuszcza oczu z lustra w złożonych ramach.

Matuśka upomina dziewczynki:

— Tylko się nie bawcie, za pół godziny mamy kolejkę... Amelciu, kawałek tortu? — i znów do Rogulskiego:

— Nie wyobrażasz sobie, Janie, jak bardzo zaskoczyła tych ludzi przymusowa przeprowadzka, jak mi ich wszystkich żal. To przeważnie biedacy, taki rymarz Kłajman na przykład...

— No tak, ale na to nie miałem już żadnego wpływu — i zaraz półszepem, z pochyloną ku mówiącej głową

wą, dodał gorąco: — Aniu, Anito! a ja się cieszę, słyszysz? cieszę, bo to wszystko przybliży mi ciebie, przyspiesza...

W jakiejś chwili Rogulski wyszedł, aby przywołać do-
rożkę, i wtedy wybuchnęła Amelka:

— Ja nie chcę tortu ani żadnej czekolady i tego! Masz, weź! — gwałtownym ruchem zbiera z sąsiedniego krzeselka paczki i składa je na kolanach matuśki.

Anna patrzy na córkę z powagą i smutkiem, wreszcie w jej ciemnych, głębokich oczach stają łzy.

— Opanuj się, dziecko, w tej chwili się opanuj, nie rób mi wstydu, jesteś dziką dziewczyną — mówi głuchym bezosobowym tonem.

Słowa matuśki robią widać wrażenie na Amelce, bo od razu staje się uległa i rozżalona.

— Bo ja nie mogę, matuśko, ty wiesz, ty sama wiesz, że nie mogę, ja nie chcę być taka... ale muszę...

Śpiesznie dopijają czekoladę i już bez słowa przebywają resztę drogi w dorożce obok adwokata, który towarzyszy im aż do wagonu.

W domu czekała na Annę synowa Sendków, Zofia, wdowa po kapralu. Była pomieszana i przejęta, zaraz było widać, że stało się jakieś nieszczęście.

— To pani jeszcze nic nie wie? Wczoraj ojca wzięli z roboty, siedmiu ich wybrali. Nie niepokoiłyśmy się zrazu, bo czasem ojciec robił po fajerancie, ale w nocy przyszli z rewizją, to już matkę tknęło, że coś niedobrego się święci... przez cztery godziny szukali, ale z niczym poszli, tyle co jeden jedyny numer „Czerwonego Sztandaru“ wygrzebali. Matkę wezwali na jutro do sądziego śledczego, mnie, że mieszkam z małym osobno, zostawili w spokoju. Rano dali towarzysze ojca znać, co i jak, że i przy aresztowanych nic nie było. Może by jakie podanie pisać i żeby pani... no, żeby ostrożnie...

Anna do późna porządkowała papiery, a następnie

poszła do Górnickich. Jak się okazało, wiedzano tu już o Sendku. Górnicki był wyraźnie przygnębiony.

Tłumaczyli sobie wzajemnie, że aresztowania wiązały się wyraźnie ze zbliżającymi się wyborami, miały charakter masowy, „prewencyjny“, jak mówił Górnicki, mimo to głęboko i boleśnie poruszył ich los towarzysza. Rozstali się tuż przed północą i Anna ledwo zdążyła zasnąć, gdy zbudził ją głośny płacz Amelki. Gdy ocknęła się i usiadła na pościeli, oplotły ją drgające òd szlochu ramiona córki.

Ręce Amelczyne zacisnęły się kurczowo na jej szyi, a policzki mokre od łez tuliły się do ramion i piersi. Żal i ból nie pozwalały dziewczynce mówić. Garnęła się do matki i w niej szukała pomocy.

— Nie kochaj go! Nie kochaj! Ja nie chcę! Matuśko, mamusiu, nie kochaj!

Noc była zupełnie widna od ogromnego księżyca, który stał jeszcze srebrzysty i jaśniejący na skłonie nieba. Naokoło było tak cicho, że Anna słyszała każdy szmer Amelczynego serca, każdy jej oddech, najdrobniejszy szelest. Siedziała trzymając w ramionach wstrząsane spazmem ciało dziewczynki i czuła, że ogarnia ją obezwładniająca niemoc, jakby wyciekały z niej siły, jakby odchodziła ją zdolność myślenia i działania.

Amelka rozluźniła uścisk rąk i zsunęła się na kolana obok łóżka, złożyła dłonie, jakby odmawiała modlitwę, i poczęła powtarzać:

— Nie kochaj go... Nie kochaj go.

W tej chwili obudziła się i Justyna. Na środku pokoju leżały skosem dwa prostokąty księżycowego blasku. W ich świetle dojrzała klęczącą Amelkę i siedzącą na brzegu łóżka matuśkę.

Matuśka usłyszała płacz Justyny. Przewyciężając jakieś ogromne znużenie wstała, odrzuciła w tył warkocze

i podeszła do Justynki. Część światła leżącego na podłodze objęła jej idącą postać, sięgnęła twarzy.

— A ty czego płaczesz, córeczko? — głos jest bezbarwny, cichy, Justyna wie, że to jest bardzo ważne, to, co teraz odpowie, że matuśka na tę odpowiedź czeka.

— Bo Amelka... bo ona... bo i ja nie chcę tatusia, bo drugiego tatusia nie może być już nigdy.

Matuśka obejmuje jej głowę, unosi znad poduszki i przytula do siebie.

— Ach, dzieci, moje dzieci!

Nagle siada na łóżku dziewczynek i zaczyna mówić. Mówi pośpiesznie i tak, jakby one — Justyna i Amelka — były zupełnie dorosłe i wszystko mogły zrozumieć.

— Więc nie? więc mam zerwać? Tak widać musi być! A jak zagryzie mnie bieda i samotność? Jak was nie zdołam wychować? Paweł ma dopiero siedem lat. Czasem wydaje mi się, że to ostatek sił, kres.

Płacz Amelki, która przyczolgała się do matusinych kolan, to cichnie, to się wzmacnia. Przytuliła się do nóg mówiącej i nie przerywa jej ani słowem. Justyna złożyła głowę na piersiach matuśki i polyka łzy ściekające po twarzy.

— Wy nie wiecie, jak wszystko naokoło jest okropne, jacy ludzie bywają źli, nienawistni, jak walczą ze sobą, jak się prześladują wzajemnie, jak słaby musi ulegać silnemu, ilu ginie...

Na ramiona i ręce Justyny pada naraz kropla, druga, dużo... Serce matuśki bije głośno, nierówno, jakby uderzało w takt wypowiedzianych słów.

Zegar wybił drugą. Przytulone do siebie, jednakowo rozżalone i bezradne, płakały w milczeniu jak małe dzieci. Światło księżyca objęło teraz szafę i część stołu, zasnując mrokiem dawną swą drogę.

Rano matuśka ubrała się starannie, wsunęła na palec swój nowy pierścionek i wcześniej niż zwykle pojechała

do Warszawy. Wróciła przed przyjściem dziewczynek ze szkoły i, jak co dnia, zaczęła kolejno wykonywać swoje zwyczajne prace: prasowała, zmywała naczynia, czytała z uczniami i pomagała Amelce w rozwiązywaniu zadań.

O tym, co zdarzyło się w nocy, nikt nie wspomniał ani słowem, dopiero przy ślaniu łóżek matuśka składając kapę spojrzała na swe uniesione ręce, uśmiechnęła się smutno i oznajmiła spokojnie:

— Dzisiaj zerwałam z panem mecenasem Rogulskim.

Amelka drgnęła i spojrzała na ręce matuśki. Z serdecznego palca lewej znikł pierścionek z brylantem, który błyszczał tam jeszcze dziś rano.

ROZDZIAŁ XI

Dopiero teraz przystąpiono naprawdę do budowy fabryki. Lato było gorące i długie. Ludzie znużeni upałem szukali cienia, ale nie dawały go nawet szare od kurzu drzewa. Do pustych pokojów po restauracji Kłoseckich, którzy otworzyli szynk o sto kroków dalej, na rogu Toruńskiej, zaczęli zjeżdżać robotnicy i majstrowie. Majstrowie przeważnie byli Niemcami, mówili twardą, niezrozumiałą mową, byli ordynarni i gwałtowni.

Kłócili się z Anną o klucze, kłódki, szyby, komórki; wszystko im było niedogodne, ciasne, w ogóle nie takie, jakiego się spodziewali.

Zaczęło się od grodzenia posesji.

Od świtu do zmroku przyjeżdżały od strony Warszawy wozy z cegłą.

Na podwórzu obok sadzawki wykopano doły na wapno, a obok szop po Blacharskim rozpoczęto naprędce odlewać z cementu słupy. Część pola i wszystkie domy do kościoła ogrodzono ceglanym murem, wysokim

i szczelnym, ujętym w regularnych odstępach w szare ramy cementowych słupów.

Robotnicy ciągle jeszcze przyjeżdżali. Zajęli już nie tylko dawną oficynę Kłajmana i murowane domy obok kościoła, ale i szopy uprzednio już wybielone i przygotowane.

Fabryka miała stanąć na terenach dawnego pola Wiśniewskich. Będzie to fabryka zapalek, a nie samochodów, jak chodziły dotąd słuchy.

Plac pokryły sterty desek, bali, pryzmy piacnu, żwiru i nie kończące się prostopadłościany równiutko układanych cegieł.

Szosa, jak okiem sięgnąć, pokryła się czerwonym ceglany pyłem.

Anna wpadła w wir gorączkowej pracy. Przez ostatni rok zmieniła się jakoś, zszarzała, ale jednocześnie jakby odkryła swą własną siłę i nauczyła się nią posługiwać. Cała historia z Rogulskim w miarę mijającego czasu stawała się czymś odległym i jakby nieosobowym.

Wracając myślą do poszczególnych fragmentów własnego życia doszła do przekonania, że ostatni — był epizodem, który sprowadziłby niezawodnie szereg konfliktów, obopólnych rozczarowań i gorzkich zawodów. Była wdzięczna Rogulskiemu za takt, z jakim przyjął zerwanie, za to, że o nic nie wypytywał, nie dociekał, nawet za to, że w kilka tygodni później wyjechał za granicę, tym samym zamykając niejako sprawę ostatecznie.

Zniosła też z całym spokojem falę plotek, szykan, złośliwych docinków, oburzenia i szyderstwa, jaka uderzyła w nią na wieść o tym, co się stało.

Rodzina, sąsiedzi, znajomi, a nawet zupełnie obcy dociekali przyczyn zerwania i, jak to zwykle bywa, w niej upatrywali powód wszystkiego.

Tymczasem w listopadzie przyszły zapowiedziane wybory, a z nimi terror i prześladowania rewolucyjnego ru-

chu robotniczego, i to odwróciło wreszcie uwagę od osoby Anny i jej niedoszedłego małżeństwa.

Pozostawiona na stanowisku administratora, wskutek klauzuli w umowie z nowymi właścicielami, poparta protekcją plenipotentą Bohuszów, podjęła automatycznie obowiązki rządcy, przy czym wielką pomocą okazała się jej znajomość języków.

Rano chodziła do komisariatu w sprawie meldunków, później lokowała zgłaszających się w przygotowanych kwaterach, a wreszcie jako tłumacz pośredniczyła między majstrami i inżynierami a coraz liczniej napływającymi z terenu robotnikami, furmanami i ładowaczami.

W tym czasie już około pięćdziesięciu ludzi z Pelcowizny i Żerania, przeważnie mężczyzn, zaczęło się przy budowie. Najmowali się na dniówkę do najcięższych prac; wśród nich znalazł się Górnicki, zwolniony bez wypowiedzenia z magazynów wojskowych przed czterema miesiącami, i Ludwik Sendek, wypuszczony niedawno z więzienia. Stawki były niskie, ale wszyscy liczyli, że automatycznie zostaną zatrudnieni na stałe w fabryce z chwilą jej uruchomienia, więc godzili się na wszystko.

Budowa postępowała szybko. Najpierw wyrósł czerwony mur naokoło placu przyfabrycznego.

Dzieci asystują cierpliwie robotnikom. Paweł wyrósł i chyba jeszcze wychudł, bo z łatwością można mu policzyć wszystkie żebra, schowane pod opaloną na brązowo skórą, a i nogi ma cienkie jak patyki. Włosy zjaśniały mu na słońcu, a oczy zrobiły się zupełnie szare, jakby stalowe.

Teraz właściwie tylko Justyna zajmuje się gospodarstwem, bo matuśka jest przez cały dzień zajęta, a Amelka jeździ do Warszawy na kursy maszynopisania. Justyna froteruje posadzki w pokojach, wyciera kurze, zmywa po śniadaniu, obiera ziemniaki, pierze... Dnie są długie

i pogodne, więc na wszystko starcza czasu. Niekiedy biega nawet do Cesi i razem czytają książki.

Książki były różne, ale wszystkie podobne do siebie, i stanowiły nie kończące się serie zeszytowych wydań fantastycznych, brukowych powieści o hrabinach, zamkach, mordach i miłości.

W przerwach między czytaniem, ukryte w altance albo wśród porzeczkowych krzaków, dziewczynki rozmawiały:

— Chciałabyś być taką hrabiną?

— Ja bym wolala być Rodrygiem i mieć tego konia „Błyskawicę“!

— Gdybym miała takiego konia, tobym ciągle jeździła do Jablonny, do Warszawy, zresztą, gdziebym tylko chciała...

— A czym ty byś chciała być naprawdę? — poważnieje Cesia — nie „na niby“?

Justyna nie myślała jeszcze o tym, chociaż wie, że i ona będzie kiedyś „czymś — naprawdę“. Co ona by chciała umieć? Co by chciała robić?

— Ja — odpowiada po chwili — chciałabym się nauczyć grać.

— Grać? Na czym?

— Wszystko jedno, na pianinie albo na skrzypcach, albo na fisharmonii...

— No wiesz, coś ty? A po co komu granie? Przecież dziewczyny nie mogą być organistami — Cesia jest wyraźnie zaskoczona wyznaniem przyjaciółki.

— Wiem, ale mimo to chciałabym. To tak ślicznie, jak ktoś gra, i w ogóle muzyka wydaje mi się najpiękniejsza ze wszystkiego na świecie.

— Ja też lubię słuchać, jak grają w kościele albo na weselu do tańca, ale żeby samej?

— A ty czym będziesz?

— Pójdę do huty albo do giserni, jak Witek, a może do „zapałkowej“.

Do „zapałkowej“, jak nazywano fabrykę w osiedlu, wybierały się prawie wszystkie dziewczęta z okolicy, bo wkrótce rozniosło się, że przyjmować będą przede wszystkim kobiety, ale na razie kończono dopiero grodzenie terenu.

Po południu matuśka wyjeżdżała do Warszawy albo towarzyszyła w rozmowach inżynierom, a dzieci szły na plac.

Całe pole wyglądało, jakby je ktoś zrył wzdłuż i w poprzek olbrzymim pługiem. W głębi zakładano już fundamenty pod główne pawilony.

Robotnicy jedzą zupę z blaszanych misek, siedząc na stosach desek i bali. Justyna zna ich prawie wszystkich: kierownika magazynu, rudego Wilhelma Cirockiego, zwanego „rudym Willi“, i głuchego stolarza — Fritzkego, i cieślę — Jentzke, mieszkają przecież obok nich i do północy słychać, jak hałasują, klnąc po polsku i po niemiecku.

Cirocki z daleka kiwa na Pawła.

— Pojesz se zupy, a?

— Nie, dziękuję, my już jedliśmy obiad.

— A mutter wasza w domu, a?

— Nie, matuśka pojechała do Warszawy.

— Z inżynierem, z Eckertem, co?

Justyna zaprzecza żywo — nie, z Amelką.

Cirocki ustawia miskę na deskach, śmieje się krzykliwie. Jego czerwone, rzadkie włosy, czerwone brwi i piegi na policzkach, i wielki brzuch trzęsą się od śmiechu: — Z Amelką... z Amelką... i ona też, ale ta wasza Amelka, szelma, z herr inżynierem, mówię, z Eckertem!

Justyna nie może znieść śmiechu majstra i jego wyraźnie obraźliwych słów, toteż zaraz odwraca się i odchodzi.

Robotnicy kończą jedzenie i wracają do pracy. Paweł pomaga układać zwożone cegły. Nagle na placu ukazał się nie wiadomo skąd inżynier Eckert i zaraz ludzie, jakby poruszeni ukrytą sprężyną, podwoili szybkość ruchów. Inżynier pokręcił się chwilę obok fundamentów, zajrzał do szopy z narzędziami i przystanąwszy obok robotników, lasujących wapno, rozejrzał się za Cirockim.

Rudy Willi jakby na niego czekał, dojrzał go natychmiast z drugiego końca terenu, przyglądził włosy, podciągnął spodnie i strojąc twarz w pokorny uśmiech począł iść szybko, kłaniając się raz po raz.

Rozmowa jest prowadzona w języku niemieckim i ze strony inżyniera ogranicza się do kilku krótkich pytań. Cirocki mówi dużo, poufnie zniżając głos, gestykuluje żywo, mruży swe żółte oczy i uśmiecha się przymilnie.

Już on ma oko na wszystko i na wszystkich, dyrekcja może być spokojna... Inżynier jakby nie słuchał majstra, patrzył obojętnie ponad nim w przestrzeń błękitną i nieruchomą, nagrzaną słońcem.

Justyna bardzo lubi inżyniera i teraz widząc go rozmawiającego z Cirockim, podchodzi do nich i wita się — Dzień dobry.

Ach ten Willi, co z niego za kłamca, mówił, że matuśka jest w Warszawie z Eckertem, a przecież inżynier stoi na placu. I korzystając z tego, że Cirocki zamilkł na chwilę, pociąga go śmiało za rękaw i mówi:

— Panie Cirocki, proszę, nie mówiłam, że matuśka pojechała z Amelką?

— Was? Czego?

Cirocki widać o wszystkim zapomniał, bo ją odsuwa niecierpliwie i znów z ukłonem pochyla się ku Eckertowi. Inżynier słucha jeszcze chwilę cierpliwie i obojętnie, wreszcie kiwnąwszy niedbale głową zawraca ku szosie, gdzie czeka na niego samochód.

Justyna wraca do Pawła, do układania cegieł i biega-

nia po placu, ale myśli o tym, co już od dłuższego czasu zauważyła na budowie: Cirocki jest inny dla robotników, inny dla matuśki, inny dla kolegów, z którymi przyjechał z Niemiec, a jeszcze inny dla inżynierów: Eckerta, Brauna i von Kostego.

Robotnikom wymyśla i grozi wyrzuceniem z pracy, z matuśki szydzi, z Lachem i Jentzkiem klóci się, a przed inżynierami płaszczy się, kurczy, cichnie...

Równocześnie z fabryką rozpoczęto budowę nowej szkoły na placyku za domami Idłowej, tuż nad Wisłą, i plebanii z tyłu za kościołem.

Szkołę stawiano drewnianą, plebanię — murowaną. Całą jesień rozwoziły furmanki budulec i do samych dużych mrozów robotnicy pracowali od świtu do zmierzchu na placach.

Najwięcej ludzi pracowało przy budowie fabryki, ale najszybciej ukończono szkołę. Już w końcu listopada między szosą a Wisłą, za parkanem z żółto malowanych sztachet, stanął długi parterowy barak, kryty papą.

W głębi po lewej stronie wzniesiono naprędce dla kierownika mały domek z ganeczkiem, a po drugiej prowizoryczne ustępy, pociągnięte wewnątrz i zewnątrz smolą. Od piaszczystego, usypującego się brzegu i od rzeki odgrodzono nową szkołę drewnianym parkanem.

Ludzie nie mogli zrozumieć, dlaczego szkoła jest nad samą Wisłą, i zgadzali się jednogłośnie, że jeżeli na wiosnę nie zabierze budynków kra, to przynajmniej wypadków będzie co niemiara, bo dzieci nikt na pauzach nie ustrzeże od rzeki.

Zaraz w grudniu zrobiła się sroga zima i robotnicy z placu przenieśli się ze swymi pracami do środka nie wykończonych budynków. Fabryka wyglądała teraz jak małe czerwone miasto z wystrzelającym w niebo potężnym kominem. Cała była z cegły i ze szkła. Na placu wyrosło dwanaście ogromnych budynków z pawilonem

głównym na pierwszym planie. Cały wolny teren zajmowały sterty drzewa, które zwożono samochodami ciężarowymi, paki narzędzi i maszyny. Część starego sadu wycięto naprędce i na miejscu jabłoni i grusz zaczęto wznosić garaże. Panował tu nieustanny ruch, gwar i pośpiech. Na wiosnę reszta lokatorów miała ostatecznie opuścić mieszkania. Już teraz jak okiem sięgnąć otaczał cały teren mur, a między nim i ogrodzeniem z siatki, osłaniającej front, wybudowano potężną bramę i domek dla szwajcara.

Któregoś dnia wmontowano w szyny kolejki wygiętą w łuk odnogę, przeciągnięto bocznice aż do głównego pawilonu i zaraz po tym zamknięto bramę i drzwi szwajcarni. Od tej chwili mieszkało się „w fabryce” i nie można było, jak do niedawna, wybiec wprost na szyny, na szosę, do Dypciów czy do Idłowej. Droga do szkoły, na stację, do piekarni i wszystkie inne, przebiegane nieskończoną ilość razy, skomplikowały się nagle i wydłużyły. Teraz — trzeba było iść przez całe podwórko, brzegiem sadzawki, koło domu Górnickich, obchodzić jakby bliski cel, oddzielony żelazną kratą siatek, wchodzić po trzech kamiennych schodkach do salki szwajcara, zamykać i otwierać drzwi, i jeszcze raz mijać schody...

— Po co tak wszystko ogradzać? zamykać?

Nikt już nie przychodzi do studni, nikt nie zajeżdża na brukowany podjazd, nie ma już żłobów ani koryta, ani drewnianej oficyny na tyłach podwórza.

W drugi dzień świąt Bożego Narodzenia Górniccy wyprawili zaręczyny obydwu córek: Józi z plutonowym, Andrzejem Sikorskim, i Walerki z Onufrym Owczarkiem. Na przyjęcie Górnicki zaprosił, bo tak wypadło, prócz przyjaciół i sąsiadów, kilku majstrów i kolegów z fabryki. Z początku było wesoło i przyjemnie. Śmiano się, żartowano, śpiewano piosenki, a narzeczony Józi grał na harmonii. Po samym obiedzie starsi zaczęli rozmowę o fabryce, a mło-

dzi odsunąwszy stół pod ścianę tańczyli w takt harmonii plutonowego. Rozmowa ze względu na głuchotę Fritzkego musiała być szczególnie głośna.

Łamaną polszczyznę wyjaśniono, że ekipa budowniczych na wiosnę ma zdać fabrykę właścicielom i wyjechać. Zostaną tylko niektórzy: magazynier Cirocki, dwóch ślusarzy, kilku mularzy i stolarzy, do których będą należały ewentualne remonty.

— To do wiosny skończycie? — zapytał Dypcio — przecież tam jeszcze roboty a roboty!

— My: szlusi!

— To, co w środku, nie nasza głowa, przyjadą monterzy, nie?

Sendkowi zadrżała ręka trzymająca fajkę.

— Monterzy przyjadą, powiadacie? też niemieccy? — Spojrzał wymownie na Górnickiego.

— Ja... naturalnie — ucieszył się Cirocki — naturalnie, tylko to już będzie inna firma, inna dyrekcja...

Zapanowało milczenie. Wiadome już było, że fabryka powstawała za pieniądze spółki akcyjnej, finansowanej w ogromnej części przez pożyczki zagraniczne. Zatrudnienie przy jej budowie i uruchomieniu niemieckich robotników — rozgoryczyło jednak ludzi ostatecznie.

— My tu zdychamy z głodu — mówiono coraz głośniej i coraz jawniej — a Szwabów się zwozi.

— Cóż to, stolarzy u nas brak, mularzy? szklarzy?

— Nie martw się, bracie — podjął Sendek — do skrzyń noszenia wezmą nas... ktoś przecież musi tyrać, żeby były zyski, umrzeć tak całkiem ci nie dadzą...

Górnicki przytaknął mówiącemu, ale rozmowa jakoś przestała się kleić. Cirocki od dłuższego czasu nie spuszczał wzroku z Walerki i kiedy ta przysiadła na chwilę między walcem a polką, ruszył ku niej ciężko ze swego miejsca.

Położył na plecach dziewczyny swą ciężką, czerwono

owłosioną rękę i przyciągnął, opierającą się lekko, ku sobie.

Walerka miała usposobienie żywe, wesołe, z natury była zgodna, ale w stosunku do ogromnego, rudego magazyniera, którego ojciec nie nazywał w domu inaczej jak „ten pies“ albo „szpicel“, czuła szczególną niechęć, graniczącą ze wstrętem.

— Z a t a ń c z y ć! — powtórzył twardo.

Jego tłusta, polyskująca potem twarz, upstrzona plamami piegów i źle ogolonym zarostem, pochyliła się nad nią nisko, a żółte oczy spojrzały niedobrym spojrzeniem w jej zestrachane naraz źrenice. Rozejrzała się szybko za Onufrym, jakby od niego oczekując ratunku, ale Owczarek wyszedł na chwilę z innymi chłopcami do sionki odetchnąć po tańcu.

Tymczasem Sikorski spróbował tonu harmonii, przebiegając palcami po klawiszach. Walerka wstała niechętnie. Cirocki mimo otyłości tańczył lekko i dziewczyna z mniejszym już ociąganiem przyjęła zaproszenie do następnego kawalka. Odtąd Willi nie wypuszczał jej prawie z ramion i to zwróciło wkrótce uwagę wszystkich.

— Cóż ten rudzielec tak się roztańczył? — splunął ze złością Owczarek.

— Patrzyć nie mogę na tego „Fryca“ — poparł go Górnicki — wszyscy oni jak zaraza, ale ten gorszy od innych, ale cóż, w robocie wszystko od niego zależy i człowiek musi taką gangrenę ścierpieć przynajmniej do czasu.

Maniek Dypcio miał słabą głowę i jeden, dwa kieliszki wprawiały go w stan podniecenia, więc i teraz tracąc panowanie nad sobą zagroził drogę wirującej parze i wyzywającym głosem krzyknął prosto w ucho Cirockiego:

— Odbijany! — gwałtownym ruchem wyszarpnął

dziewczynę z objęć zaskoczonego tancerza i uniósł ze sobą.

Cirocki w pierwszej chwili oniemiał, a następnie aż przybladł z wielkiej złości, tym bardziej że goście, obserwujący całą scenę, zaczęli się głośno śmiać i klaskać w dłonie, co majster przyjął za wyraźne natrząsanie się z jego osoby.

Zaklął i na pewno wszcząłby awanturę, gdyby nie to, że Górnicka dała w tej samej chwili znak, aby nakryć stół do kolacji. Wkrótce też zapomniano o zajściu i wrócił wesoly nastrój.

Jak zapowiadał Girocki, już w końcu lutego zaczęli napływać nowi robotnicy: monterzy, elektrycy, chemicy, ślusarze, których Anna lokowała w domach Idłowej.

Mimo mrozów pracowano na trzy zmiany. W halach ustawiano maszyny, zakładano instalacje, szklono okna, urządzano laboratoria.

Główny pawilon miał cały dach z grubych szklanych tafli, wzmocnionych drobnocienną, drucianą siatką od wewnątrz, laboratorium wyłożono kaflami, instalowano urządzenia suszarni...

Na przedwiośniu ludzie, jak co roku, zaczęli mówić o powodzi. Zimno było strasznie i gruba warstwa śniegu przypominała skorupę lodową. W końcu lutego przerwano naukę w szkole, bo niesposób było opalić cienki, drewniany barak, narażony na wiatry wiejące od wody. Przestały też przyjeżdżać wozy i samochody z drzewem do fabryki.

Paweł z Jankiem Dypciem i gromadką innych chłopców ślizgał się na sadzawce, która lśniła w słońcu zielonawym polyskiem. Justynka miała odmrożone palce u nóg i kaszlała strasznie. Początek marca był dalej mroźny i wietrzny i nic nie zapowiadało odwilży, która przyszła nagle. Osiemnastego marca rano wylała Wisła.

Nawet najstarsi ludzie z osady nie pamiętali takiej powodzi.

Przez całą noc mężczyźni dyżurowali na brzegu, mierząc wysokość wzbierającej szybko wody.

Kry waliły z łoskotem, wlażyły na siebie, tarły się, piętrzyły w lodowe góry. Z daleka słychać było groźny szum. Rano poziom wody skoczył w górę gwałtownie, w kwadrans później kanał na Toruńskiej wezbrał do poziomu ulicy i zaraz po tym rzeka wystąpiła z brzegów. Żółte, zbite piany i olbrzymia, szarobrunatna, skołtuniona fala ruszyły na osadę.

Woda jest już na podwórkach Idlowej, w nowej szkole, wali przez szosę, rozlewa się szeroko jak sięgnąć okiem, wpadła na kościelny cmentarz, przedostała się poza fabryczny mur...

Ludzie uciekają w popłochu na piętra, na strychy i dachy. Matuśka z dziećmi schroniła się u państwa Braniichów. Justyna, oniemiała z podziwu, mimo strachu przysiadła na najwyższym schodku i patrzy.

Woda po pierwszym gwałtownym szturmie jakby zmieniła taktykę, uspokoiła się, podplywa ledwo dostrzegalnym ruchem, powoli pokrywa nierówne kamienie podwórza, doczołguje się do zagłębień, szpar, pochyłości, zalewa je łagodnie, wypełnia sobą... Drobne strumyczki okrążają każdy wzgóreczek, każdą wyniosłość, przez chwilę wdrapują się na nie jakby z rozmysłem i pewnym wysiłkiem i — już! Już pogrążony kamień chowa się szybko pod wodę, a strumyczki wędrują niestrudzenie dalej.

Dzień jest na przekór wszystkiemu piękny, jakiś ciepły, przedziwnie jasny i spokojny.

Sunąca cicho groza ma w sobie coś upiornego, topiel podnosi się, rośnie, rośnie...

Dom Górnickich, zalany dokoła, dziwnie się zniżył,

jakby przysiadł, ramami okien wspierając się o powierzchnię wody.

Wydaje się, że nieszczęsne budynki ostatkiem sił walczą z żywiołem, że wołają o ratunek osłupiałymi z przeobrażenia ścianami... i topole podwórzowe, i lipy, i krzaki malin nad sadzawką, która rozplynęła się w topieli.

— To taka jest powódź?

Wszystko, co nie może uciec, musi się pomału utopić, zapaść pod wodę, pograć w brudnej, lodowatozimnej topieli.

Za bramą słyhać głosy. Ludzie jeżdżąc łodzią mierzą drogami wodę. Matuśka rozmawia z nimi.

— Głęboko?

— Osiemdziesiąt centymetrów, ale jeszcze idzie...

Idzie i idzie... W trzech miejscach rozerwała mur fabryczny i teraz wynosi z placu na szosę belki, deski i puste skrzynie. Robotnicy na rozkaz Cirockiego zbili naprędce prowizoryczne tratwy i bosakami wylapują pływające drzewo.

Woda zalała już dawno Warmińską i Toruńską, sięgając wału kolei. U Idłowej utopiła się kobieta z dzieckiem i para koni Blacharskiego.

Zabrało chałupę starego Michalczyka, co stała nad samą Wisłą, utopił się robotnik z fabryki, niejaki Cech; przechylił się łowiąc bosakiem deskę, wpadł i nim go wyciągnęli — nie żył. Nic dookolusieńka, tylko teraz już prawie czarna, cicha woda. Razem z odchodzącym słońcem woda czernieje i zaczyna wyzwać ze swej olbrzymiej, nieogarniętej wzrokiem masy przenikliwe zimno.

Teraz głosy przeniosły się na plac kościelny.

Cirocki, w sięgającej kolan skórzanej kurtce i futrzanej czapce z nausznikami, popłynął w małej łódce koszykarza Kozłowskiego do samych schodów i opowiada, że w mieszkaniach jest już pełno wody.

— Ja, ja, woda wszędzie!

— Czy to prawda, że Cech nie żyje? — dopytuje się matuśka.

Pani Branichowa składa ręce i odmówiwszy króciutką modlitwę za zmarłych, zauważa mimochodem:

— A bo to warto dla paru głupich desek narażać ludzi, mój panie kierowniku złociutki?

— Trzeba się dziwić, że dotąd dopiero jednego Cecha utopiliście, panie Cirocki! — mówi matuśka po niemiecku, więc majster doskonale wszystko rozumie, ale nie przeszkadza mu to w pilnym wpatrywaniu się w jej kształtne nogi, wysoko odsłonięte z powodu podwiniętej spódnicy.

Branichowa nie wiedząc, o czym rozmawiają, wtrąca swoje:

— Nieboszczyk był, zdaje się, stąd, z Piekielka... taki młody, prawda, złociutki?

Matuśka pohamowawszy złość wraca do kuchni, by dać dzieciom jeść. Na obiad jest grochówka, którą Justyna bardzo lubi, ale dziś nie może jeść. W gardle i w uszach czuje zapach wody i jej oślizgły, lodowaty ziąb.

Usiadła obok pana Teodora przy oknie i myśli, skąd właściwie przyszła ta ogromna powódź. Tyle wody! Wie dobrze, że powodzie, które bywają wiosną, są spowodowane topnieniem śniegu w górach... Wody w rzekach wzbierają, a i to jest wiadome, że lód spiętrzył się w olbrzymi zator gdzieś koło Modlina, więc Wisła musiała wylać, ale dlaczego wylała właśnie tutaj? Dlaczego mieściła się w dawnym korycie aż do dziś rana?

Ich osada leży nisko. Dlaczego więc ludzie nie podniosą brzegów, nie zamkną wodzie drogi?

Powoli zapada zmierzch i robi się jeszcze bardziej niesamowicie. Wieczorem do Branichów przyszli niemieccy majstrowie z butelką wódki, suchą kielbasą, piwem i bułkami.

Anna posłała dzieciom na środku pokoju na sienniku i nie gasząc lampy czekała, aż w kuchni nastanie cisza.

Pijący na razie zachowywali się dość spokojnie, po jakimś jednak czasie rozmowa powoli zaczęła rosnąć w klótnię.

Pan Teodor spał z otwartymi ustami, pochrapując rytmicznie, Branichowa i Amelka leżały cicho, odwrócone do ściany, Paweł coraz to kaszłał.

Gdy gwar w kuchni zaczął się nasilać, Anna uchyliła drzwi i poprosiła:

— Mówcie, panowie, ciszej.

— Pani wypije z nami, a? — zaproponował w odpowiedzi Cirocki.

— Dziękuję.

— Nie chce, a? z inżynierami, z dyrektorami toby pasowało, co? — Cirockiego poparł energicznie Fritzke, nie wiedząc właściwie, o co chodzi.

Anna, chcąc zapobiec awanturze, wyjaśnia spokojnie:

— Ani z inżynierami, ani z wami, panowie, nie piję, bo nie mogę, bo mi wódka szkodzi.

— Ach tak? — Cirocki jakby tylko czekał na te jej słowa. — Tak?! Ale u stróżów to się pilo? co? tam nie szkodziło! A cóż to, tamci lepsi? Niemiec ci śmierdzi?

Nie przerywała ani słowem coraz uszczypliwszych docinków i obelżywych wyzwisk.

Na pół pijany Cirocki nalał pół szklanki wódki, upił trochę i z resztą podsunął się blisko. Oblizal mięsiste wargi językiem, omiół wzrokiem jej ramiona i szyję, nagle zmienił ton:

— Willi kocha zgrabne kobietki i zna się na tym, on ma prawdziwy smak... i skąpy nie jest...

Nim się spostrzegła, otoczył jej szyję ramieniem i przytknął do warg szklankę, dotykając równocześnie policzka Anny swą owłosioną ręką. Głośny brzęk stłuczonego szkła i ostry krzyk napastowanej obudziły Branichową. Siadła na swym łóżku żółta, stara, koścista i walcząc z resztkami snu, zawołała z przyzwyczajenia:

— Już idę, złociutka, idę, tylko ręce umyję... przytrzymajcie tam chorą, jedna chwileczka!

Po północy wrzawa w kuchni umilkła, ale Anna nie mogła już zmrużyć oczu do rana. Z zatopionego podwórza nie dochodził żaden dźwięk, żaden plusk, najmniejszy szmer; domy, jak je można było dojrzeć z facjaty, wszystkie były ciemne i głuche.



Woda sięgnąwszy półtora metra zatrzymała się na tej wysokości i tak stała przez trzy dni, później zaczęła zwolna opadać. Cofała się niechętnie, zostawiając ciemne ślady na pniach drzew, na odsłaniających się murach, płotach.

Czwartego dnia przyjechali na podwórze chłopcy Dypciów z Andzią.

— Justyno, Justyno! Na szkolnym podwórku złapali topielca! — wołała Andzia z daleka.

— To jest ten chłopak od kowala — dodał Maniek.

— Od kowala? O Jezu! Paluch? Tadek Paluch? — Justyna zbiega z trzech wylonionych z wody schodków i chwytą rękoma za burtę łódki. Jest tak przerażona, że nie słyszy wołania matuśki:

— Uważaj, wpadniesz!

I dziś jest słonecznie i ciepło, ale Justyna jakby tego nie dostrzegała, bo myśli ma zajęte nieszczęsnym Tadekiem Paluchem.

— Jak on się topił?

Widzi chłopca przed sobą do końca dnia i przez długą następną noc. Obraz jest wyraźny i nie znika mimo zamkniętych oczu. Spocona, przerażona, wciska głowę w poduszki i słucha.

Lekki, cichy plusk — to woda pełźnie, czołga się, roś-

nie... Woda płynie i topielec płynie... rozrzucone na ciemnej wodzie włosy Tadka dotykają schodków wiodących na facjatę.

Serce wali nierówno i dziewczynka ma chwilami wrażenie, że się dusi, oddycha tak głośno jak staruszek Teodor.

Godziny wloką się nieskończenie długo.

Koło niej na sienniku leży Amelka, w nogach Paweł, o wyciągnięcie ręki, na polowym łóżku, matuśka, jest cicho — wszyscy śpią, tylko ona nie może...

W okienku stoi szarość wstającego dnia.

Ostrożnie prostuje zeszywniałe od podkurczenia nogi, rozplata zaciśnięte ręce. Pokój jest wypełniony pośpiesznym tykaniem zegara ustawionego przez panią Brani-chową na komódce.

Są tutaj — bo była powódź, ale już minęła, i dziś na pewno wrócą do siebie, i to nie woda szemrze, a sapiący oddech pana Teodora. Ale Tadka nie ma! Był sierotą, kował wcale o niego nie dbał, nawet nie karmił, jak należy, i w szkole też nikt mu nie okazywał serca, źle się uczył, to prawda, ale gdzie miał odrabiać lekcje i kiedy, jeśli przez cały dzień pracował, a sypiał w komórce obok sodowiarni Ostrzegi? I naraz Justyna dochodzi do wniosku, że Palucha nie tylko okrutnie skrzywdziła powódź, odbierając mu życie, ale krzywdzili go wszyscy naokoło i to od dawna! Był i zginął jak ktoś niepotrzebny. To straszne być niepotrzebnym... Ona zna to uczucie, przeżywała je przecież sama wtedy u wujka Julka i pamięta, jak jej było źle z dala od matuśki i rodzeństwa, w obcym świecie, w którym nikt jej nie kochał, nikogo nie obchodziła.

Na rano wody było już tylko tyle, że zakrywała kamienie bruku jak po dużym deszczu. W południe matuśka wybrała się z Amelką do ich mieszkania, by otworzyć drzwi i okna, i po powrocie oznajmiła:

— To i w rok nie wyschnie. Wszystko tak nasiąkło wodą, że tylko na śmietnik powynosić.

Po kilku dniach rzeka wróciła do swego koryta i trzeba było pomyśleć o przeprowadzkach. W podmokłych mieszkaniach panowało przenikliwe zimno i czyhały choroby.

Jakby mało było szkód i nieszczęść, ludzie zaczęli masowo chorować. Woda nasyciła sobą ściany, podłogi, sprzęty, zatrula studnie, przeniknęła do wnętrza wszystkiego, co znalazło się w jej zasięgu, i choć niby odeszła, została uparta i złośliwa, zatajona w zgniłym oparze.

Teraz dopiero można było ustalić, ile i co porwała, rozniosła i zagrabiła, wydarła, poszarpała, zgmiotła. Zdawać by się mogło, że Wisła w czasie powodzi zmieniła się w żywą, myślącą istotę, która z siłą, pełną nienawiści, przewaliła się wścieklą falą przez osadę, karząc ludzi za ich lekkomyślność, za ich zaufanie do brzegu, na którym zbudowali swe domy. Pokazała swą okrutną moc i odeszła jakby nigdy nic, błękitna od pogodnego nieba, połyskująca w wiosennym słońcu.

ROZDZIAŁ XII

Przez całą wiosnę i część lata montowano maszyny i porządkowano teren przyfabryczny. Z podjazdu zerwano wszystkie kamienie i na ich miejsce założono kwietniki. Poprzeczne alejki i główna uliczka, biegnąca wzdłuż budynków mieszkalnych, są wyżywirowane i obsadzone strzyżonym bukszpanem. Na siatki ogrodzenia wspina się dzikie wino. Teraz jest ślicznie. Ale nie ma już studni! Zdjęto żuraw i drewniane ścianki, a dół zasypano ziemią, na jej miejscu kwitną pachnące wanilią heliotropy. I sadzawki już nie ma. Zasypano ją również, zrobiono tam wylany betonem zjazd do garażów. I starych

topoli nie ma, i małego bżowego ogródka, i stajni z mieszkaniem stróża Jasińskiego. I Jasińskiego nie ma, zabrał go wujek Julek do tych domów, których nie sprzedał, na szkolne podwórko, na miejsce Kolbusowej, a staruszkę po prostu wyrzucił. Justyna płakała idąc obok małego wózka, na którym stróżka wywoziła swe rzeczy.

Teraz, co rano, przed szwajcarnią stoi tłum mężczyzn i kobiet, chcą dostać pracę. Stoją na murowanych schodach i na szynach kolejkowych, wzdłuż muru fabrycznego i pod olbrzymią, zamkniętą bramą. Co dnia mają rozpocząć przyjmowanie robotników i co dnia czekają ludzie przez wiele godzin cierpliwie i bezskutecznie.

Niemieccy malarze, stolarze i cieśle już odjechali, odjechał też inżynier Eckert i inżynier Braun, i von Koste, przyjechali natomiast monterzy, ślusarze, spawacze i instalatorzy, Szwedzi i Niemcy, zakwaterowani, jak ich poprzednicy, w dawnym domku Kłajmana i Kłoseckich.

Fabryka właściwie została już oddana Monopolowi Zapalczanemu i podlegała nowej dyrekcji. Dyrektorem fabryki został pan Kagan, niski, gruby, w okularach i szarym sakpalcie. Od rana do późnego zmroku chodził po halach, garażach, tartaku i kotłowni i prędką, obcą mową rozmawiał z majstrami i robotnikami, stukając co raz trzymaną oburącz laską w beton podłogi i niecierpliwiąc się wyrażnie.

Dyrektor Kagan nie lubił Anny. Przede wszystkim zażądał natychmiast ich mieszkania. Było to w dwa tygodnie po odjeździe inżynierów Eckerta i von Kostego, a nazajutrz po małym zebraniu, jakie się u niej odbyło i na którym byli Górniccy, Grzelak, Sendek, Owczarek i jeszcze kilka osób z Bródna i z Żerania, zaangażowanych do fabryki. Podczas rozmowy goście wypili czajnik herbaty i wypalili mnóstwo papierosów. Mówili głośno i wszyscy na raz i dlatego dzieci nie mogły usnąć

w swych łózkach, mimo że na dworze już dawno była noc.

Justyna widziała przed sobą znane twarze, które teraz wyglądały jakoś inaczej, były wzburzone, poważne i smutne. Grzelak obcierał szeroką dłońią łysinę i pilnie słuchał słów Sendka, Maślanki i Górnickiego, jakby to, co mówili, było takie strasznie ważne i ciekawe. A mówili przecież to samo, co przy każdej sposobności.

— Ten diabelski plan pomocy gospodarczej zadusi robotnika, zobaczycie — wołał Sendek bijąc pięścią w stół, jakby się na kogoś gniewał.

— Macie już czarno na białym, tu na własnym podwórku, kto postawił fabrykę? Dużoś przy tym zarobił? A teraz jakie nam proponują warunki?

— Majster po polsku nie rozumie, ale nogami na ciebie tupie — wtrącił Owczarek.

— Już tam ci z góry dogadają się z Niemcem, Włochem czy innym, nie bój się, oni w językach kształceni, to tylko my ciemna masa.

Mówili o tym, że trzeba trzymać się razem i nie ustępować, że gromada — to siła. Górnicki rysował coś palcem po ceracie i coraz wtrącał:

— Wiedzą oni wszyscy razem, co robią, draniel O, wiedzą! nie od dziś takim kursem idziemy... tu nie chodzi o tego czy innego fabrykanta, czy tam o te ich spółki — monopole i kartele, ale o ustrój... o ten zgniliy ustrój!

Sendek stukał fajką o kant stołu i powtarzał swoje:

— Dopóki robotnik nie zrozumie, jaką siłę stanowi, będzie okradany, duszony, wyzyskiwany. Otworzyć oczy robotnikowi — to grunt.

— Tu się robi biurowy lokal, tu w tym pokoju, proszę się wynieść — powiedział nazajutrz dyrektor Kagan, stając w progu ich mieszkania.

— Ja, ja mam zastrzeżone w umowie, może pan dy-

rektor zechce — matuśka chciała sięgnąć do szuflady sekretarzyka po wspomniane papiery, ale Kagan zamachał niecierpliwie rękoma.

— Ja nic nie chcę, to mieszkanie jest potrzebne, proszę się wynieść, bo tu będzie moje biuro. Proszę prędko, bo to są pilne sprawy.

Przenieśli się więc do dawnego mieszkania koszykarza Kozłowskiego. Gliniany piec i zielononiebieskie ściany potęgowały wrażenie nieprzytulności. Było tu ciasno i brzydko. Matuśka martwiła się, ale Amelka ze wszystkiego się śmiała.

— Zobaczysz, jak teraz będzie! Zobaczysz! Przecież będę pracowała, nie potrzebujesz się już kłopotać. Będziemy zupełnie inaczej żyli... Kagan jest starym, nadętym pęcherzem!

Amelka rzeczywiście ma pracować w biurze fabrycznym zaraz po uruchomieniu produkcji. Załatwił to jakoś przed odjazdem inżynier von Koste. Często za jego bytności na terenie budowy spacerowali razem po wyźwiorowanych alejkach albo wzdłuż kolejkowych szyn. Amelka śmiała się do niego swym wysokim, radosnym śmiechem, mrużąc długie, fryzowane rzęsy, a matuśka zachodziła w głowę, co mogło w niej interesować poważnego, flegmatycznego Niemca, który w dodatku nie rozumiał ani słowa po polsku, a Amelka ledwo bąkała po niemiecku.

— Będę dostawała co miesiąc pensję, ty się już niczym nie martw!

Po strasznej powodzi wiosna i lato przyszły ciepłe i wyjątkowo pogodne. Drzewa i krzewy kwitły wielką ilością kwiatów, namulone pola obrodziły bujnie.

Ktoregoś dnia zaczęły się wreszcie przyjęcia robotników i robotnic. Ilu to ludzi chciało pracować!

Ogromny tłum od świtu do zmroku siłą przepychał się ku drzwiom szwajcarni.

Przeważnie zapisywano młode dziewczyny.

Za pięć minut siódma rozlegał się gwizd syreny i dziewczęta przechodziły przez szwajcarnię na plac fabryczny, i błyskawicznie rozbiegały się po pawilonach. Pięćset kobiet obsługiwało maszyny. Mężczyźni pracowali na placu, w tartaku, garażach, kotłowni i przy ładowaniu skrzyń.

Coraz otwierała się wielka brama i przepuszczała samochody i ciężkie platformy, naładowane drzewem albo skrzyniami zapalek. Życie osady przylgnęło ciasno do zamkniętego wysokim ceglany murem miasteczka — fabryki.

Głos syreny wibrującym wysokim, wnikliwym tonem podzielił dni na części, wąski chodnik położony wzdłuż fabrycznego terenu, równoległe do szyn kolejki, wyznaczył prostą drogę; rytm maszyn narzucił ruchy dłoniom i wziął we władanie ludzkie myśli.

Robotnice były różne, ale wszystkie młode — koleżanki Amelki i Justyny: Helka Osuchówna, Łodzia Szczepańska, Irena Michalczykówna, takie, co skończyły siedem albo poszły do roboty z szóstego. Mężatki zamykały dzieci na klucz albo zostawiały je u sąsiadek i biegaly rano, wołane natarczywym głosem syreny.

Niedługo po otwarciu fabryki zaczęto tu i ówdzie po obydwu stronach szosy zakładać nowe sklepiki: „Fryzjer“, „Szewc“, „Owocarnia“, „Rzeźnik“. Przeniosła się też do Idłowej z ulicy Warmińskiej pani Granatowska, wywieszając prawie naprzeciw szwajcarni na słupie telegraficznym ogłoszenie z małą strzałką „Akuszerka dyplomowana — Zofia Granatowska“. Strzałka pokazywała szosę i dom Idłowej.

Ludzie przyzwyczaili się szybko do tych wszystkich nowości i zmian i wydawali się nie dostrzegać tego, co na początku było dziwne. Samochody, chodnik, światło elektryczne, zarobek wypłacany co sobotę na placu fab-

rycznym, smród z siarki i straszliwe zmęczenie opuszczających pod wieczór hale fabryczne — stały się czymś powszednim, zrozumiałym samo przez się.

Targ z placyku, naprzeciw stacji, przeniósł się na puste miejsce koło nowej szkoły, a Lojder i Kłosecki kazali odmalować wszystkie izby swych restauracji i odświeżyć napisy na okiennicach, wołające ku przechodniom: „Wódka, wino, piwo — na miejscu i na wynos“.

Wszystko jedno, gdzie się było, w domu, w szkole, przy Czarnej Drodze czy na Zeraniu, wszędzie wiedziało się, że w fabryce jest „obiad“ albo „fajrant“ — koniec pracy, bo głos syreny sięgał wszędzie.

Amelka wychodziła z domu o ósmej, a wracała o trzeciej. Co rano zaczesywała na czole grzywkę w małe loczki i pudrowała twarz pudrem z pudełka „Z labędziem“, zwilżając dłonie wodą kolońską.

Jej radosny śmiech odgradzał ją od wszelkiego smutku; dźwięczał jak srebro i towarzyszył jej przez wszystkie godziny dnia. Śmiech mieszkał w Amelce — w jej bursztynowych oczach, jasnej twarzy, puszystych włosach, delikatnie wygiętych brwiach i białych równych zębach, w jej ruchach i myślach.

A matuśka jest teraz czymś ciągle skłopotana. A to fabryką, że się już w niej zaczął „wyzysk i szykany“, a to wciąż wzrastającą drożyzną i tym, że one, dzieci, nie mają butów na zimę, i tym, że piec jest nie do użytku, bo dymi strasznie...

Któregoś dnia pojechała matuśka do Warszawy, a Justyna zaraz po powrocie ze szkoły poszła do Górnickich, u których coś się zrobiło Walerce. Walerka jeszcze przedwczoraj była jak co dzień, pracowała dziesięć godzin w suszarni, stojąc wysoko na drabinie, i przegarniała suszące się w siatkach pod sufitem zapalki — śmiała się do majstra i żartowała z dziewczętami, a wieczorem rozmawiała z Justyną, gdy szły razem w stronę stacji.

Justyna odprowadziła ją do samej Jabłońskiej, akuszerki, żony stelmacha, do której Walerka miała interes. A już dziś rano coś jej się stało — zachorowała.

Justyna weszła do kuchni i zaraz na progu usłyszała jęki. Na łóżku pod samą ścianą, między piecem a oknem, leżała Walerka. Twarz jej była woskowożółta, z przymkniętymi oczami, zbieleła, wargi ściągnięte ku dołowi. Poplątane ciemne włosy leżały naokoło głowy jak czarna, zmięta szmata. Justyna stoi naprzeciw Walerki i nie wierzy własnym oczom. Co się z nią zrobiło? Nieśmiało pyta Józki:

— Panno Józiu, ale panna Walerka nie umrze?

— A bo to wiadomo?

Walerka naraz zaczęła się skręcać pod kołdrą i stękać, wreszcie jej jęk przeszedł w głośny krzyk, a ręce zaczęły tarmosić prześcieradła i koszulę na piersiach.

Justyna przerażona wpadła do mieszkania:

— Matuśko!

Matuśka widocznie dopiero przyjechała z Warszawy, bo była jeszcze w kapeluszu.

— Matuśko, Walerka Górnicka zaraz umrze!!!

Pobiegly przez podwórze. Krzyk Walerki słyhać było już przed domem. Gdy weszły, matuśka popatrzyła uważnie na chorą i nagle bez słowa odsłoniła kołdrę. Justynka skamieniała. Walerka leżała w kałuży krwi.

— Justyno, poproś tu panią Branichową, pośpiesz się! — mówi cicho Anna i zaraz dodaje w stronę Górnickiej:

— Dawno zaczął się krwotok?

Justyna jeszcze raz biegnie przez podwórko, a w głowie jej jakoś dziwnie huczy, szumi: k r w o t o k, krwotok!

Wchodząc na facjatkę mocno trzyma się poręczy, bo ma dziwnie zmęczone nogi.

Pani Branichowa jest w mieszkaniu. Siedzi na stołeczku i ceruje pończochy.

— Dzień dobry, dziecinko, dzień dobry. Jak się miewa mamusia?

Ale Justyna prawie nie rozumie słów staruszki, powtarza drżącymi wargami:

— Proszę pani, krwotok... Walercia Górnicka ma okropny krwotok!

— Kto? u Górnickich? ta starsza? Idę, idę. — Myje ręce w miednicy, wyciera je starannie, bierze małą skórzaną walizeczkę. Schodzą powoli ze schodków, bo Branichowa nie potrafi biegać, spieszyć się.

Do samego wieczora matuśka pozostawała przy Walerce i pani Branichowa też. Walerka widać była strasznie chora, bo matuśka trzy razy chodziła do telefonu dzwonić po doktora z pogotowia ratunkowego, bo fabrycznego lekarza w ogóle nie było, a i w osadzie żaden nie mieszkał.

Walerka nie otwierała oczu, chwytając prędko powietrze ustami. Wydawało się, że śpi i przez sen jęczy, woła i krzyczy.

Justyna najpierw siedziała na ławce przed domem, bo matuśka nie pozwoliła jej być w kuchni, a potem, jak matuśka o niej zapomniała — w kącie koło drzwi na niskim stołeczku. Patrzyła na Walerkę i zupełnie nie mogła pojąć, dlaczego, mimo że jest tak okropnie chora, wszyscy są na nią jeszcze zagniewani: i matka, i Józia, i nawet pani Branichowa. Z cicho szeptanych uwag wyluskała sobie całe zdarzenie.

...Walerce zachciało się sukienek i koszul na zmianę, własnej pierzyny... do fabryki na zarobek ją skusiło. Owczarek miał się z nią żenić na Boże Narodzenie. Na wesele chciała uskładać. Cirocki — Górnickiego nienawidził, ale Walerka mu w oko wpadła, no i ukrzywdził dziewczynę...

Justyna pilnie słucha i myśli. Magazynier Cirocki skrzywdził Walerkę! Ale jak? Jest stary, rudy, wstrętny i zawsze zły, nie umie mówić po polsku, na robotnice zawsze wymyśla i pluje im pod nogi. Mógł ją skrzywdzić, uderzyć! naturalnie, ale żeby aż tak chorowała?

Kobiety jednak wysuwają jeszcze i inne racje, które znów przekreślają pierwszy domysł.

...Potem poszła do tej zbrodniarki Jabłońskiej, co Boga się nie boi i zemsty ludzkiej, i co już niejedną kobietę wpakowała do grobu. Na tę Jabłońską najwięcej złego mówi pani Branichowa, grożąc w kierunku okna pięścią. To jest prawda, że Walerka była u Jabłońskiej. Przecież ona sama odprowadzała ją do domku stelmachów wczoraj nad wieczorem...

A w ogóle cała sprawa była jakby zanurzona w jakimś wstydzie i zażenowaniu. Matka powtarzała ciągle: „Taki wstyd, taki wstyd dla całej rodziny”. Józia płakała przez „bezwstydną siostrę“, a i pani Branichowa wtrącała swoje: — Wstyd jest, co prawda, to prawda!

Tylko matuśka i Górnicki byli zupełnie innego zdania. Po Górnickiego też telefonowała matuśka z mieszkania kasjerów na kolej, gdzie ładował od rana drzewo fabryczne. Przyjechał jakimś ciężarowym samochodem, jadącym w kierunku Jablonny. Był zły. Kłął głośno na fabrykę, Cirockiego, pogotowie i samego siebie.

— Mnie, starego, powinien piorun strzelić, żem pozwolił jej do tego drania na robotę iść, żem się, głupi, nie opatrzył. Zmarnował mi dziewczynę ten przeklęty szpicel dyrektorski, kat robotników. Ubiję jak psa, żebym tak...

Chora ścichła. Twarz jej jeszcze bardziej zbliała, zmęczone ręce uspokoiły się, Górnicki patrzył na nią i zaciskał pięści w bezsilnej rozpacz. Matuśka była wzburzona.

— Obiecali natychmiast wysłać doktora, ładne „natychmiast“!

O Walerce mówiła szeptem, że jest „ofiara stosunków i nadużyć“ i że się to wszystko liczy, że to nie może przepaść...

— Tu nie ma żadnego wstydu, tu jest nieszczęście...

Na dworze już się zupełnie ściemniło. Oczy przyzwyczajone do światła nie widzą nic. Matuśka trzyma rękę Justyny i idzie pewnym krokiem. Nogi same znają drogę. Ścieżka betonowego podjazdu biegnie prosto, od garażów skręca w prawo aż do ganku państwa Königów.

Okolo dziesiątej wieczorem przywiozła Anna doktora dorożką z Pragi, ale Walerka już nie żyła...

Śmierć Walerki przesłaby prawie niespostrzeżenie w życiu osady, gdyby nie wypadki, jakie nastąpiły później, a były z nią związane. Najpierw wypłynęła sprawa pogrzebu. Branichowa namawiała gorąco do oddania sprawy sądom i pociągnięcia do odpowiedzialności akuszerki Jabłońskiej.

— Zażądać sekcji, doktorzy zaraz dojdą, co i jak było zrobione, i zbrodniarka posiedzi za kratką. Gdzie to, ludzie zlociutcy, tolerować takie praktyki? Tylko sekcja — powtarzam.

— Żeby mi po śmierci dziecko różnili? — protestowała zalewając się łzami Górnicka — po tom ją na świat wydała? O Boże, Boże, za coś nas pokarał?

Matkę poparła Józia, której znów nade wszystko chodziło o ludzkie gadanie.

— Co z tego, że Jabłońska posiedzi? Wstydu i tak tym nie ujmie, a i nieboszczce też w niczym nie pomoże, niech już tam nasza krzywda będzie jej zapłatą, niech ją gniecie...

Górnicki skłaniał się raczej ku sekcji, ale myślał zupełnie o czym innym, chciał jeszcze raz sam siebie przekonać, że Walerkę zniszczył Cirocki, upewnić co do tego

ostatecznie i usankcjonować jakby rosnącą w sobie chęć zemsty.

Walerka umarła w środę, a przez cały czwartek trwały w domu narady, jak należy postąpić; ostatecznie zwyciężyła Górnicka i postanowiono pochować dziewczynę bez nawracania do istotnych przyczyn jej śmierci.

Pogrzeb miał się odbyć zwyczajem osady w sobotę po południu, więc Górnicka w piątek wybrała się na plebanię. Proboszcz przyjął ją grzecznie, ale udął, że nie wie, z czym przyszła. Górniccy z powodu bliskiego sąsiedztwa znani mu byli doskonale i cieszyli się w jego rejestrze parafian jak najgorszą opinią, postanowił więc wykorzystać sytuację i przykładowo ukarać opornych.

— Żeby ciało wstawić do kościoła? — aż rękoma zamachał w powietrzu, tak go rzekomo ta propozycja zaskoczyła. — Ani mowy! przecież twoja córka, moja kobieta, to samobójczyni, gorzej, podwójna ją obciąża zbrodnia. Samobójstwa i dzieciobójstwa!

Przez cały kwadrans namawiał ją do pokuty za „grzechy“ Walerki, wreszcie — odprowadził z niczym.

W sobotę syrena fabryczna o pierwszej zwolniła ludzi z fabryki i w jakiś naturalny sposób tłum wypływający przez szwajcarnię włączył się do konduktu pogrzebowego kroczącego powoli środkiem szosy w stronę cmentarza na Bródnie.

Zagrzebano Walerkę pod murem w kącie cmentarza, ale Sendek, który przemówił krótko, żegnając w imieniu robotników towarzyszkę pracy, podkreślił z goryczą:

— Jest u nas tak, że człowiek pracy nawet po śmierci zajmuje ostatnie miejsce...

Od dnia pogrzebu między Cirockim a Górnickim rozgorzała cicha, ale nieubłagana walka.

Górnicki od czasu uruchomienia fabryki pełnił funkcję nocnego dozorca i mimo nieustannej kontroli majstra nie dawał najmniejszego powodu do niezadowolenia.

Pracowity, sumienny, zawsze trzeźwy spełniał swe obowiązki wzorowo, a nawet mimo woli cieszył się pewną sympatią dyrektora Kagana, który nazywał go żartobliwie: „nasz czujny brytan“. Owa sympatia chroniła go na razie od utraty pracy i mieszkania, z którego otwarcie chciał go wyrzucić Cirocki.

Sposobność taka nadarzyła się niebawem.

Maszyny obsługiwały w olbrzymiej większości kobiety, które przyjęto do pracy bez żadnego przeszkolenia. Majstrowie — Niemcy, często nie mogąc się porozumieć z nie znającymi języka, ograniczali się do pobieżnych wskazówek, skąd w pierwszym okresie zdarzały się niezwykle często wypadki obcięcia palców, dłoni i rąk. Okaleczone robotnice przewożono do ambulatorium na Pragę, co wymagało czasu, a tym samym opóźniało ratunek.

Któregoś dnia maszyna, tnąca tak zwaną „sieczkę“, oberwała młodziutkiej dziewczynie rękę do łokcia. Tak się złożyło, że chora musiała około godziny czekać na samochód, przy czym straciła tyle krwi, że mimo ratunku w szpitalu po kilku dniach zmarła.

Dyrekcja w podobnych wypadkach załatwiała wszelkie pretensje rodziny czy samych poszkodowanych na „polubownej drodze“, wypłacając doraźnie niewielkie sumy w formie jednorazowego odszkodowania.

Właściwie nikt nie orientował się: czy, na ile, i w jakiej formie robotnicy są ubezpieczeni, i w jakim stopniu podlegają ochronie pracy. Jakoś dotąd nigdy tej sprawy jawnie nie poruszano. Po śmierci wspomnianej robotnicy dyrekcja samorzutnie ofiarowała rodzinie pełne pokrycie kosztów pogrzebu i sumę pięciuset złotych jako „odszkodowanie“, a ponadto obiecała przyjąć do pracy siostrę zmarłej. Rodzina przyjęła z wdzięcznością proponowane warunki, ale, czego się najmniej spodziewano, sami robotnicy wystąpili z „pretensjami“.

— Po wypłacie nie rozchodzić się! — rzucił nie wiadomo kto pierwszy hasło, które błyskawicznie obiegło hale, pawilony i plac.

Ludzie zgromadzili się koło szwajcarni na placyku przed garażami. Kobiety niecierpliwiły się, bo każdej było pilno po zakupy ze względu na dzień wypłaty, a nie wiedziały właściwie, jaką to sprawę zapowiadał mówca (szofer Hołowczyca) i czy długo trzeba będzie słuchać.

Ale on, uciszywszy tłum ostrym, nakazującym tonem, zaczął od najważniejszego:

— Od kiedy to życie człowieka młodego, zdolnego do pracy oceniają na pięćset złotych? I kto są, pytam się tu was, towarzysze, bo nie wiem, ci — co mają prawo na tyle je ocenić?

Cisza pokryła słowa Hołowczyca. Wszyscy zrozumieli doskonale, ku czemu prowadził.

— Wczoraj pochowaliśmy Janinę Bączek, onegdaj — Walerię Górnicką, a jutro się zbierzemy nad grobem następnej? Jakże to jest? A te kalectwa, co się od pierwszej godziny uruchomienia fabryki mnożą? Radźcie, towarzysze, bo tak dłużej chyba nie może być!

Poruszyli się gwałtownie, jakby chcieli runąć całą masą ku drzwiom biur, siłą je otworzyć i od tych, którzy siedzieli wewnątrz przestronnych, cichych pokojów, uzyskać odpowiedź i wyjaśnienia.

— Jakie prawo ma dyrekcja narażać nas na śmierć, nie zabezpieczając przed wypadkami?! — zakrzyknął ktoś głośno.

Dyrekcja? Każdy ze słuchających znał tych panów aż nadto dobrze: dyrektora Kagana, dla którego robotnik w najlepszym razie był podobny do psa, pilnującego pańskiego dobra, głównego akcjonariusza spółki, Srebrnego, przyjeżdżającego od czasu do czasu na konferencję wspinałym samochodem, kierownika biura — Königa, dzielącego wszystkich robotników na dwie kategorie: złodziei

i leniów, buchaltera Wiesława Pudzkę, który wiedział o nich tylko jedno, że „niemożliwie śmierdzą potem“, i głównego magazyniera — Cirockiego. Przepaść między nimi a tamtymi była tak głęboka, tak niczym nie zamaskowana, że aż przerażająca.

Dyrekcja? A cóż ją w zasadzie obchodzili ludzie, ich dzieje i losy, poza ściśle określoną funkcją, do której byli zgodzeni na ściśle określonych warunkach, w czasie wykonywania pracy dla fabryki? Robotnik — to tyle i tyle ruchów na minutę, taka i taka sprawność, taka i taka wydajność, no i stawka dzienna. Wypadek, śmierć, choroba, niezdolny do pracy — skreślić. Każdy ma swoją kartę w kartotece i na niej wypełnia się odpowiednie rubryki krótko i jasno, nie wchodząc w żadne szczegóły i analizy. Dla dyrekcji nie ma ludzi, są — robotnicy, a to według niej zupełnie coś innego.

— Przecież są na to ustawy... — odezwalo się kilka głosów naraz.

— O te ustawy właśnie chodzi, chcemy je znać!

— Co tam ustawy! Pisali je bez nas! Sami sobie poradzimy, towarzysze! — zawołał nagle wzburzonemu tonem Onufry Owczarek, przepychając się ku schodom.

Ten i ów podniósł do góry pięść i jawnie pogroził budynkom administracyjnym. Tłum ścieśnił się, naparł na schody. Górnicki mimo woli znalazł się obok Owczarka i Hołowczyca. Tak go zobaczył z okna magazynu przyglądający się pilnie zebraniu Cirocki.

Jakby tylko na to czekając zbiegł pędem na dół i wprowadził z narzędziowni świadków: starego Gniadka i dwóch ślusarzy — Niemców.

— Kto przeciw dyrekcji szczeka? Szofer to stary b o l s z e w i k, i ten drugi, ja! Stróż Owczarek... Znamy ich!

Tymczasem wzburzenie na placu rosło. Krzyki przechodziły w nie milnący złowrogi gwar. Wśród ogólnego

podniecenia wybrano wreszcie delegatów, którzy zaraz jutro mieli dyrekcji przedstawić pretensje robotników.

Dyrektor Kagan wiedział już o wszystkim od Cirockiego, toteż przyjął ludzi w swym gabinecie bez zdziwienia i niepokoju i jakoś nadspodziewanie szybko załatwił całą sprawę.

— Kto mówi, że nie należy zabezpieczyć maszyn siatkami? kto to mówi? Dyrekcja dawno o tym myśli. Dyrekcji najwięcej ze wszystkich zależy, żeby wypadków nie było, ale czy to od razu Kraków zbudowano? I sprawę doktora się załatwia. Apteczka już jest zamówiona, a jakże... tylko nie trzeba się niecierpliwić.

— Stawki ubezpieczeniowe? Jakie stawki można przewidzieć dla dziewczyn, które nie słuchają majstrów, nie uważają na to, co robią, pchają palce w maszyny? Są nierozgarnięte, nieuważne i nikt im nie jest winien — tylko same sobie, same sobie!

— Pięćset złotych to bardzo dużo! Zresztą o co tu chodzi? o wspaniałomyślność dyrekcji? Komisja orzekła, że robotnica uległa wypadkowi „na skutek własnej nieostrożności“.

Delegaci po raz pierwszy dowiedzieli się, że istniała „komisja“, o której nikt dotychczas nie słyszał, i że to ona decydowała w ustalaniu przyczyn wypadków. Po pół godzinie odchodzili z niczym, speszeni i właściwie nie dopuszczeni do słowa. W imieniu robotników podziękowali nawet dyrekcji za to, co obiecywała na przyszłość.

Jakiś czas wszystko było po staremu, aż któregoś poobiedzia wezwano do biura Górnickiego, gdzie mu Cirocki oznajmił krótko:

— Kasjerka wam wypłaci za tydzień. Ja! W trzy dni macie się wynieść, ale już! i z roboty precz, naturalnie!

Górnicki, omijając dyrekcję, pojechał do Warszawy na Królewską do Zarządu Spółki, ale i tam odprawiono go z niczym.

— Takich, co działają na szkodę firmy, tolerować nie będziemy.

Tą uwagę poparto i pięć innych zwolnień z pracy, dotyczących robotników, którzy rozmawiali z dyrektorem Kaganem w jego gabinecie jako delegaci. Wyrzucono ich kolejno, zachowując zresztą pewne pozory przypadku: Stanisława Sikora — spóźniła się trzykrotnie, u Zofii Malinowskiej — znaleziono przy rewizji dwie paczki zapalek, Stefan Just — był leniwy, Ambroziak — kłótlivy, a Agnieszka Molenda ciężarna.

Ludzie gadali między sobą, odgrażali się, radzili, ale jawnie nie wystąpił już nikt, bo od jakiegoś czasu krążyła po osadzie uporczywie powtarzana wieść, że firma ma sprowadzić nowe maszyny do pakowania i w związku z tym zwolnić część robotnic, każdy więc z trwogą myślał o sobie i nie chciał się do niczego mieszać.

Górnicki po długiej rozmowie z Sendkiem, który, jak zwykle, zalecał cierpliwość i rozwagę, postanowił na razie ustąpić Cirockiemu i wyprowadził się w przewidzianym terminie do Piekielka. W tym samym czasie opuścili swą facjatę i państwo Branichowie, których rzeczy przewiozła furka do domu „na kanałach“.

W ten sposób na terenie, zamkniętym murem fabrycznym, spośród dawnych lokatorów posesji została tylko Anna. Czuła się w obcym i wrogim sobie środowisku źle i samotnie, tym bardziej że i nad nią ciążyła jawna niechęć Cirockiego, i byłaby może dobrowolnie ustąpiła, gdyby nie wyraźne polecenia Sendka, który po zwolnieniu Górnickiego przejął w fabryce przewodnictwo nad grupą bardziej uświadomionych robotników i robotnic.

— Przyczać się i czekać... Siedźcie, póki można...

— Oni mocni, ale nas co dnia więcej, czas pokaże, kto silniejszy.

Fabryka pracowała coraz intensywniej, coraz pośpieszniej. Rozbudowano składy, powiększono tabor konny

i samochodowy, projektowano rozszerzenie produkcji poprzez pracę na dwie, a nawet na trzy zmiany. Przed szwajcarnią znów zaczęli wystawać w ciasnej gromadzie ludzie, czekając niekiedy od trzeciej rano na przyjęcia do pracy. Równocześnie robotnice nabrały sprawności, a lęk przed utratą zarobków nauczył ludzi czujności. Stali się ostrożni i pozornie ulegli, wydajność ich pracy wzrosła niepomniernie i nawet Cirocki coraz rzadziej narzekał, że ten czy ów działa „na szkodę firmy”.

„Dla dobra firmy” i „na szkodę firmy” stało się jedynym probierzem oceny ludzi i wypadków, chociaż słowa te nie miały żadnej istotnej treści.

„Na szkodę firmy” działał szofer Hołowczyc, bo upominał się za godziny przepracowane poza fajrantem, i dlatego go usunięto, dla „dobra firmy” Cirocki kupił po bardzo wysokiej cenie trzy pary koni od Blacharskiego, które następnie odsprzedano temuż Blacharskiemu na mięso, bo okazały się chore. Również „dobro firmy” było przyczyną przyjęcia do siarkowiarni ośmiu szesnastoletnich dziewcząt za połowę stawki, jako „niewykwalifikowanej pomocy”, przy równoczesnym zwolnieniu bez wypowiedzenia robotnic pracujących w tym dziale od dwóch lat. Na „szkodę firmy” działał i został wyrzucony z fabryki Onufry Owczarek tylko dlatego, że był kiedyś narzeczonym Walerki Górnickiej.

Czerwone budynki z potężnym kominem pośrodku, opasane wysokim murem, zapanowały nad całym przedmieściem, ujarzmiły je i podporządkowały sobie bezwzględnie i wyłącznie. Domy zostały jakby odepchnięte na bok. Przysiadły pomniejszone i szare po obydwu stronach szosy i czekały pokornie na zawołanie syreny. Własne, dotychczas zdawało się najważniejsze, sprawy przesuwali ludzie na potem, na ciemne godziny zmierzchu albo nocy, każdy bowiem musiał zdążyć na przeraźliwy sygnał, stanąć na czas w wyznaczonym sobie miej-

scu i pochylić kark w wielkim wysiłku, wprzęgnięty w nieustający, pośpieszny rytm maszyn. „Dla dobra firmy“...

Na wiosnę przyjechał do fabryki nowy urzędnik przysłany na Pelcowiznę przez Zarząd Spółki. Nazywał się Kaniak. Rozejrzawszy się w stosunkach miejscowych zaproponował dyrekcji bezpłatne prowadzenie administracji.

— „Dla dobra firmy“ będę to traktował jako dodatek do swojej funkcji księgowego, to zresztą w zasadzie żadna robota, do czego tu osobny urzędnik?

Z tym samym wstąpił do Anny i z uśmiechem na płaszczyźnie, pospolitej twarzy zażądał od niej oddania książek meldunkowych, pieczętka itp.

Ale Anna odmówiła kategorycznie, więc nazajutrz wezwał ją dyrektor Kagan do biura fabrycznego.

— Co to znaczy? Co to znaczy — zwrócił ku wchodzącej wyraźnie zagniewaną twarz i dodał podniesionym głosem:

— Jak się mówi, żeby wydać książki, to ma się je wydać, pan księgowy to z nami uzgodnił!

— Panie dyrektorze — matuśka przeplakała pół nocy, bezsilna wobec nowego upokorzenia i gwałtu, więc była teraz zupełnie spokojna — do tej chwili nie było mowy o zwolnieniu mnie przez dyrekcję z zajmowanego stanowiska, myślę również, że nie dałam ku temu najmniejszego powodu.

Dyrektor zniecierpliwiał się, nie lubił słuchać, wołał sam mówić.

— Nie było zwolnienia, a teraz — jest. Po co firmie administrator? i co to znaczy administrator? Tu jest kasjer, magazynier, majster, tu jest fabryka, a nie żadne nieruchomości, i po co płacić, jak to samo można mieć za darmo?

— Podpisano ze mną umowę — głos matuśki broni

się jeszcze przed tonem prośby, ale ona sama czuje, że przegrała, że z Kaganem niczego nie załatwi perswazją, logicznym tokiem rozumowania i jedynym sposobem, jaki jeszcze został, byłoby wywołanie w nim uczucia liłości, upokorzenie się...

— Proszę zaraz przynieść, co się należy...

— Ja mam dzieci, panie dyrektorze... co się z nimi stanie, gdy przestanę pracować?

— Dzieci, dzieci, każdy ma dzieci...

Anna podeszła do samego biurka, oparła się lekko o jego krawędź i z bliska poprosiła rozprzegającym się, pokornym, pokonanym przez wolę głosem:

— Proszę nie pozbawiać mych dzieci chleba...

Dyrektorowi w gruncie rzeczy mało zależało na tym, kto poprowadzi administrację, pensja Anny wynosiła czterdzieści pięć złotych, sumę w zasadzie znikomą, przy tym obilo mu się kiedyś o uszy, że polecona firmie przez adwokata Rogulskiego pracownica jest jakąś kuzynką Katerłów i von Rensztedtów, których nazwiska takso- wano wysoko na giełdzie stosunków i protekcji, no cóż? i prosiła go w imieniu dzieci... Nie miał czasu na takie blahe historie...

Odchylił głowę w tył i zaczął ważyć w myślach ostateczną decyzję. Anna czekała. Czekanie wydawało się jej niepomierzenie długie i bolesne. Chwilę napiętej ciszy przerwało naraz dyskretne pukanie i wejście księgowego.

— A... przepraszam. Ja tylko na moment, chodzi mi o te sumy na inwestycje — uklonił się Kaganowi i zasłaniając sobą Annę, rozłożył na biurku papiery.

— Nie chciałabym zabierać panu dyrektorowi czasu — podjęła matuśka ignorując przybyłego — więc...

Kaniak uśmiechnął się zachęcająco i nagle, jakby wiedział, o czym rozmawiali przed jego przyjściem i o czym myśli dyrektor, zwrócił się z propozycją:

— A może by panią zatrudnić w fabryce? Zarobek znacznie większy.

— W fabryce? — wargi Anny wyzbyły się nagle tej odrobiny czerwieni, jaką były powleczone, a powieki zadrgały lekko.

— Od drugiej do dwunastej na przykład, na drugą zmianę, to najwygodniejsze godziny, domem można się zająć i na wyspanie jest czas... — dokończył myśli Kaniak.

Dyrektor ożywił się, rad zakończyć kłopotliwą sprawę.

— No, może... może się coś zrobi... Cóż, chce pani?

Anna jest zaskoczona. Dyrektor Kagan nie ma czasu na długie rozmowy, wstaje z hałasem z fotela i teraz już wyraźnie zniecierpliwiony macha ręką.

— No to już! Jak się chce — to się robi, a jak nie — to nie!

Ustalonym zwyczajem bez wyjątku wszystkim robotnikom fabrycznym mówi „ty“ i nie rozróżnia ich zupełnie. Mimo woli włączył już automatycznie i Annę w ten bezimienny tłum bez twarzy, bez znaków szczególnych.

Przegarnęła zdenerwowanymi palcami frędzle szala, którym była okryta, i na przekór wzburzeniu powiedziała głośno, wyraźnie, spokojnie:

— Po prostu muszę się na to zgodzić. Chciałabym jeszcze tylko wiedzieć, w jakim charakterze mam pracować i od kiedy?

Kaniak już otworzył usta, by dać odpowiedź, ale dyrektor jeszcze raz wspomniawszy nazwisko Katerłow spojrzał na Annę i wyprzedził go.

— Pomyśli się o tym, załatwi się.

Przez kilka dni czekało się na decyzję dyirekcji. Małtuśka pójdzie do fabryki, ale czy wmieszana w kilkaset innych kobiet trafi do którejś z hal maszynowych? A może każą jej wynosić odpadki na plac? Dźwigać na zgiętych plecach ciężkie worki albo kosze, wyladowane

obryzinkami, aż na zsypana ciągnące się wzdłuż muru naprzeciw zapasowej bramy... czy też będzie musiała stać całymi godzinami na drabinie i przegarniać grabiami suszące się w sunących pod sufitem siatkach zapalki?

Któregoś ranka wręczono jej wreszcie urzędowe zwolnienie z dotychczasowej funkcji administratora i ustnie zaangażowano do fabryki jako kontrolerkę w dziale banderoli.

„Dniówka“ liczyła dziesięć godzin i była wypełniona jedną jedyną, powtarzającą się w nieskończoność czynnością: odbieraniem od robotnic pudełek zapalek, zaklejonych ręcznie wąskim paskiem bibułki z nikłym nadrukiem „Polski Monopol Zapalczany“.

Stuk maszyn wyskakiwał z lewej strony i z prawej, z dołu — znad samej ziemi i z góry, od suszarni, które mieściły się na piętrach. Głos ludzki gubił się w nie milknącym huku kół, zawodzącym jęku elektrycznych pól, chrzęście skrawanego na cienkie wstążki drzewa, rytmicznych uderzeniach młotów i całym potwornym chórze hałasów, wypełniających szczelnie fabrykę.

Straszliwy gwar, nie cichnący ani na sekundę łoskot z początku tylko ogłuszał, później niewypowiedzianie męczył, wreszcie ogłupiał. Ruchy ludzkie upodabniały się do automatycznych chwytów i posunięć, stawały się rytmiczne, doskonale bezmyślne. Dziesięć obanderolowanych pudełek — jedna płaska metalowa marka, prędko, prędko, coraz prędziej!

Czterdzieści pięć robotnic banderuluje pudełka. Płacą od sztuki, im więcej się uwijają, tym większy przypadnie im zarobek i to jest podniecią do obłąkanego pośpiechu rąk.

Pracują siedząc. Zakurczone palce lewej ręki chwytają błyskawicznie pudełko sunące na wąskiej taśmie, równocześnie palce prawej trzymają już umaczany w kleju strzępek bibułki, jedno mgnienie oka, ułamek se-

kundy i oklejone pudełko spada do drewnianej kasety, drugie, trzecie... dziesiąte, przesunięta kasetą jest już u Anny. Zaklejona dziesiątka, przechwycona przez maszynę paczkującą, ustawiona po prawej ręce matuśki, wypływa gotowe paczki do podstawianych skrzyń.

Twarze dziewcząt są różne: chude i nalane, płaskie i wyraziste, blade i czerwone, piegowate, z dziobami po ospie, krostowate, gładkie, ładne i brzydkie.

Stół, przy którym siedzi Anna, dygoce od miarowych wstrząsów. Przez szklaną ścianę wpada światło na stosy kaset, na uwijające się ręce ludzkie i na twarze.

Wieczorem fabryka błyszczy światłem i tak samo pośpiesznie pracuje, jak w dzień hucząc, dzwoniąc i jęcząc...

Matuśka wraca na pół martwa. W mózgu słyszy jazgot maszyn, a ręce jej wykonują nadal narzucone im przez wiele godzin ruchy.

Dzieci już śpią, dochodzi pierwsza po północy. Jej nie chce się spać, nie chce się nic...

ROZDZIAŁ XIII

W lecie matuśka zapisała Justynę i Pawła do nowej szkoły, do „baraku nad Wisłą”. Zawilgłe od pamiętnej powodzi ściany dotąd nie powysychały, więc korzystano ze słońca i otwierano na całe dnie drzwi i okna na przestrzał.

Barak miał w środku dużą salę, z której siedmioro drzwi wiodło do siedmiu jednakowych klas. W przedniej części budynku były dodatkowe dwa pokoje: dla kierownika i nauczycieli.

Naokoło szkoły rosły młode lipy, topole i akacje, tuż za parkanem szumiała Wisła.

Justynie żal było dawnej klasy, ganków z uginający-

mi się, spróchniałymi schodkami i zarośniętego ogródka, w którym wiosną śpiewały ptaki, ale szósty oddział został przeniesiony do „baraku“, więc trzeba było przyzwyczaić się do nowego otoczenia, co okazało się tym łatwiejsze, że odnalazła tu dawne koleżanki i kolegów.

Teraz, kiedy w domu nie było prawie matuśki i przez większą część dnia Amelki — Justyna na wszystko miała czas. Po powrocie ze szkoły gotowała obiad, odrabiała lekcje, prasowała Amelczyne bluzki i co dnia przez całe godziny czytała książki. Nie były to już żadne historie o hrabinach i zmyślonych przygodach Rodrygów, ale książki ukazujące czasy i ludzi, którzy byli naprawdę.

Siadały pod ścianą domu, bokiem zwrócone do szosy i szyn kolejkowych, z Cesią Truskolaską albo Marylką Pasikówną i półgłosem wybierały z cienkich, szeleszczących kartek schowaną w słowach treść. Z odkładanych stron wstawał obraz, zdarzenie, snuły się ludzkie losy, rosła miłość, tęsknota, cierpienie, bohaterstwo, klęska i zwycięstwo.

Czytały kolejno: „Starą Baśń“, „Krzyżaków“, „Anielkę“, „Syzyfowe prace“, „Nędzników“ i „Człowieka Śmiechu“, „Dawida Cooperfielda“...

Justyna oddała się cała w niewolę książkom. Uległa ich przemożnemu czarowi. Wszystkie sprawy pomniejszyły się jakby, odsunęły na bok, pośrodku świadomości rozrósł się nowoodkryty świat — przestronny, bogaty, różnorodny. W pierwszym okresie tego nowego czasu doznała dziwnego niepokoju, graniczącego z lękiem, obudzone nagle myśli nie mogły ogarnąć otwartej na wszystkie strony przestrzeni, ilości barw, kształtów, związków, przyczyn, konfliktów. Powoli jakby ochłoniwszy zaczęła z lubością sycić swą ciekawość, pogłębiając ją o niezliczone, długie, dorosłe cudze dzieje...

Życia ludzkie są podobne do siebie, a jednocześnie bardzo różne. Uczucia płaczą się, komplikują, następują

walki z samym sobą i z innymi. Moc i słabość, zwycięstwa i upadki, wierność i zdrada, chciwość, bogactwo i nędza, krzywdy...

Justyna czytając ulega złudzeniu, że stoi nad wielką wodą, w której odbija się wszystko, co dzieje się wokół. Postacie żyją, mówią, działają, odchodzą i wracają, ale równocześnie mają w sobie coś z toni, która je odbija, są przezroczyste, przeświecają na wskroś i okazują to, co jest ich istotnym wnętrzem. Tuż obok postaci snuje się ich los, to, co się stanie, przyszłość.

Justyna niekiedy domyśla się z góry, co się stanie z bohaterami, chciałaby ich przestrzec, ocalić, jakoś pokierować ich krokami, ale nie może tego zrobić, idzie więc tylko przerażona i pełna cierpienia razem z nimi ku nieodwołalnej zgubie, pogłębiając w samej sobie dokonujący się dramat.

Cesia śmieje się z niej:

— Przecież to pisarz tak wymyślił, naprawdę tego nie było, w książkach jest wszystko z głowy.

— Jak to z głowy? Ty, Cesi, tego nie rozumiesz... Czy nie widziałeś powodzi? A wojny? A Walerka Górnicka nie umarła? Czy ludzie nie są czasem bardzo źli? Czy nie trafiają się jakieś okropne wypadki?

— W książce jest po prostu opowiedziane o tym, co było, co się zdarzyło, tylko że wszystko jest jakieś piękniejsze, większe... takie przejmujące.

Szosa jadą ogromne platformy, wyładowane wysoko skrzyniami zapalek, wróble krzyczą na przykościelnych lipach, od czasu do czasu rozlega się przeraźliwy gwizd kolejki, słońce sunie po dachu plebanii, złoci czuby drzew i znaczy migotliwe refleksy na trawnikach. Zmysły chwytają postrzeżenia i podają świadomości, ale ta zajęta jest sprawami przedziwnego świata książek.

Czytanie kończy się dopiero wtedy, gdy w narastającym zmierzchu litery zaczynają się zlewać w ciemne łań-

cuszki, a oczy zbliżone do samych kartek nie potrafią już rozróżnić słów. Justyna przez chwilę rozgląda się dookoła odnajdując bliskie, znane miejsca, dźwięki i wonie.

Wszystkie okna i szklane dachy, cała fabryka stoi w otoku białego elektrycznego światła, szyny kolejki wyblaskują ledwie znaczącą się linią, trawniki i liście drzew zszarzały w wieczornym mroku. Pachnie nagrzaną ziemią i zieleń.

W Justynie budzi się tęsknota, a z głębi poruszonej wyobraźni wyrasta nieśmiało jeszcze i pierzchliwe — marzenie.

Wieczory należą do Pawła, któremu teraz Justyna musi zastępować matuskę. Odrabiają razem lekcje, jedzą kolację, następnie trzeba przekonać chłopca, żeby się umył.

— Co dzień myć uszy? Jesteś nudna, Justyno, jak flaki z olejem, przecież nie zdążyłem ich ubrudzić.

Chłopak z ponurą miną broni swych praw, ale siostra jest nieugięta, ustawia miskę z ciepłą wodą na stoliku i czeka cierpliwie.

Paweł ją zna, wie, że czekałaby tak do północy, do samego powrotu matuski... Ustępuje więc niechętnie i zaraz potem, nakrywszy się na głowę, zasypia mocnym snem na swym polowym łóżku.

Z Amelką są inne kłopoty. Jest nieporządna, zapominalska i ma coraz to nowe pomysły, burzące ustalony bieg dnia.

— Zaniósłś matusce podwieczorek?

— Na śmierć zapomniałam, skocz ty, Justynko, ja chcę sobie zakręcić loki na jutro...

— Gdzie ja znowuż pończochy wetknęłam, te jasne... Justynko, moja złota, poszukaj, tylko prędko, bo już drugi raz gwizdali...

— Dziś jadę do Warszawy zaraz po biurze, nie cze-

kaj z obiadem, chcę sobie kupić torebkę, a tobie co przywieźć?

Każdego pierwszego kupowała sobie to torebkę, to pończochy, rękawiczki, kołnierzyk, żabot, szalik, wodę kolońską — beztroska i wszystkiemu jednakowo rada. Nowość cieszyła ją dwa — trzy dni i zapominała o niej tak samo szybko, jak szybko powstawała sama chęć posiadania.

— Weź sobie, Justynko! Chcesz to na zawsze?

Niekiedy szła na cały wieczór z koleżankami do kina, które w tym sezonie uruchomiono na Bródnie. Któregoś dnia zabrała tam i Justynę. Wyszły z domu zaraz po obiedzie.

Justyna nigdy w życiu nie była w kinie. Droga jest daleka i rozmawia się podczas niej o różnych sprawach, przede wszystkim zaś o tym kinie.

Dochodzą do torów. Na rogu Wysockiego wisi na parkanie przypięte pluskiewkami żółte ogłoszenie z czarnym nadrukiem: Kino kolejowe — Dziś i jutro wstrząsający dramat serc p. t. „Tajemnica przystanku tramwajowego“. W roli głównej Jadwiga Smosarska. Pocz. seansów o 6-tej i o 8-ej“ — czytają półgłosem.

„Tajemnica“ — to takie niepokojące słowo. Mimo woli przyspieszają kroku. Kino jest w jednym z kolejowych baraków niedaleko cmentarza, prawie na końcu Bródna.

Na salę weszły przez małą, duszną i zaśmieconą poczekalnię i przecisnęły się między siedzącymi na ławkach ludźmi ku wolnym miejscom, które upatrzyły sobie z daleka.

Zaraz rozlega się dzwonek i po ekranie zaczyna biegać promień białego światła.

Justyna ma przed sobą jakiegoś barczystego pana, który jej zasłania cały widok.

— Ja nic nie zobaczę...

— Poczekaj, jak zgaszą światło, to sobie uklękiesz na ławce.

Zaraz potem są dwa krótkie dzwonki i ekran ożywa. Wszystko jest jak w książce, tylko że zamiast słów jest obraz. Domy, mieszkania, ludzie, ścieżki ogrodów — wszystko jest naturalne, zwykłe. Wiatr porusza liśćmi drzew, tramwaje suną po szynach, ludzie przychodzą i odchodzą. Niekiedy twarze rosną, zbliżają się, jakby wypływały z ekranu, są szczęśliwe albo pytające, przeżalone, zdziwione, rozpaczające... Czasem obrazy znikają, a na ekranie wyrasta napis objaśniający, co bohaterzy mówią, albo co się podczas ich działania zdarzyło.

Justyna nie czuje, że kolana jej zupełnie ścierpiły. Pochylona ku przodowi, z rozchyłonymi wargami i płonącymi oczyma wpatruje się w ekran. Obrazy przesuwały się szybko i Justyna jest coraz bardziej zaniepokojona rozwijającym się dramatem.

W tej chwili dopiero uświadomiła sobie, że przez cały czas grało pianino i skrzypce — ostatni akord urwał się i zamilkł w chwili przerażającego finału, tonąc w ciemnej sali jakimś grozę budzącym echem. Na ekranie ukazał się lekko drgający napis: „Koniec“.

Za chwilę lampa rozbłyskuje u sufitu, a na sali zaczyna się niecierpliwy ruch. Justyna patrzy na pusty ekran i mimo woli szuka na nim cieni, które tak niedawno żyły, drgały, opowiadały. Głębokie westchnienie rozluźnienia zduszoną strachem krtań. Falujący tłum płynie ku wyjściu.

Justyna jest jak po nagłym przebudzeniu z głębokiego, męczącego snu. Patrzy na ludzi i przedmioty jak na dalszy ciąg filmu.

Dziewczynki są w samym środku skotłowanej, napierającej gromady. Dopiero teraz się widzi, że połowę widzów stanowiły dzieci, takie jak Justyna i jeszcze mniej-

sze. One też robią największe zamieszanie w wąskim przejściu i najgłośniej hałasują.

Na ulicy tłum rozplywa się w różnych kierunkach. Po kilkudziesięciu krokach zostają małe grupki i te topnieją pozostawiając pojedyncze postacie. Jest chłodno i pusto, więc dziewczynki idą tak szybko, że prawie biegną.

Justyna jeszcze raz przesuwa w myśli, scena po scenie, cały obraz. Wyobraźnia nasycona nowymi przeżyciami pęcznieje od wspomnień... Tylko dlaczego ona rzuciła się pod tramwaj? I nagle olśnienie: „TAJEMNICA PRZYSTANKU” — to właśnie jest tajemnicą. Skojarzenie wywołuje w dziewczynce niejaki uspokojenie, ale po paru krokach myśli jej wracają do momentu śmierci bohaterki i robi się jej od początku nieswojo.

— Amelko... ale ona się naprawdę nie zabiła, czy zabiła?

— Naturalnie, że nie, to tylko tak na filmie.

— Amelko, a dlaczego ona się zabiła?

Amelka trzyma rękę Justyny w swojej ciepłej dłoni i idzie naprzód równym, prędkim krokiem. Odgłos tych kroków towarzyszy im w ciemnej, cichej ulicy.

Justyna czeka na odpowiedź siostry, ale Amelka długo milczy. Minęły już kościół i skręcają w ulicę Wysokiego, wiodącą do przejazdu. Wreszcie Amelka mówi:

— Nie wiesz, dlaczego? — i cicho dodaje — bo już po tym nie mogła żyć...

Justyna obraca usłyszane słowa w uważnej myśli. „Po tym“, „po czym“ właściwie? Niepewność płacze jej sądy, poczucie bezradności wobec faktów, których umysł nie może objąć, każe jej jeszcze raz zapytać:

— Ale co to było, co się jej stało?

Amelka zwraca ku Justynie swą twarz. Jest tak ciemno, że można rozróżnić tylko ogólny zarys Amelczynej głowy z nieco jaśniejszymi plamami policzków i czoła.

— Ty naprawdę nic nie wiesz? Ach, jaka ty jesteś

dziecinnal! Kiedyś będziesz wszystko wiedziała... Ona się zabiła z miłości, rozumiesz? Z miłości i z nieszczęścia. A wszystko przez to, że się z nią nie ożenił, że jej skłamał i porzucił.

Amelka jest wzburzona, zaciska palce obejmujące dłoń Justyny i przyspiesza kroku.

— A ona była dumna i wołała umrzeć ze swą tajemnicą...

Idą Toruńską, ze szlachtuza dolatuje stłumione beczenie owiec. W domach mimo późnej godziny tu i ówdzie błyszczą okna. Na rogu w restauracji Kłoseckich gra szafa i słychać liczne głosy gości. Fabryka jest jak fantastyczna, olbrzymia latarnia, ze ścianami wyciętymi w zawile wzory, świeci, błyszczy, lśni.

— Tylko pamiętaj, nie mów matulce, że byłeś w kinie! — zastrzega Amelka — strasznie by się gniewała, bo takie filmy powinny być tylko dla dorosłych. I na mnie by krzyczała, pamiętaj, bobym cię już nigdy, przenigdy nie wzięła!

Kino na Bródnie było czynne w soboty i w niedziele i wbrew słusznej uwadze Amelki, że powinno być tylko dla dorosłych ze względu na treść wyświetlanych filmów, chodziła doń młodzież szkolna od pierwszego do ostatniego oddziału.

W każdy poniedziałek przez wszystkie pauzy, a nawet po lekcjach, gromadzili się chłopcy i dziewczynki i opowiadali sobie obrazy.

We wtorek cała szkoła знаła film w najdrobniejszych szczegółach, wszyscy przeżywali przygody bohaterów, uczestnicząc wraz z nimi w najbardziej drastycznych sytuacjach i towarzysząc im w niebezpiecznych przygodach.

We środę i czwartek sprawa kina absorbowwała już tylko najzagorzalszych jego wielbicieli, od piątku zaczynało się umawianie, kto będzie w sobotę na filmie, jaki

będą wyświetlali program, którzy zajmą miejsca w ogonku po bilety...

Filmy były różne, ale wszystkie o miłości. Strzały, śmierć, zdrada urzekały rozbudzoną fantazję. Piękne mieszkania, stroje, bale w jakiś sposób dopełniały ubogą rzeczywistość i karmiły wyobraźnię, budząc równocześnie żal i gorycz.

Justyna słuchała wraz z innymi coponiedziałkowych opowieści i razem z innymi przeżywała budzące niepokój wzruszenia i tęsknoty.

Zaraz na początku roku szkolnego wychowawcą ich klasy został pan Miedzianowski. W klasie było dwadzieścia dziewczynek i piętnastu chłopców. Miedzianowski sam powyznaczał uczniom miejsca i od pierwszej lekcji zaczął surowo rządzić w ruchliwym i dotąd zawsze głośnym szóstym oddziale.

Justyna zajęła pierwszą ławkę razem z Cesią, Marylką Pasikówną i Zosią Kubik.

— Cisz! Milcz! — przezroczytymi, chłodnymi oczyma wychowawca obejmował równocześnie wszystkich i miało się wrażenie, że swym dziwnym wzrokiem zagłędał w głąb, przewiercał na wylot. Zrenice kurczyły mu się na tle błękitnawych, szklistych białek, a całe silne, giętkie ciało jakby gotowało się do skoku.

Justyna boi się nauczyciela i mimo jego gry na skrzypcach — nie lubi go. Gniewa ją jego ostry, zawsze podniesiony głos, nerwowe ruchy, bezwzględność i nieustanna surowość. Pan Miedzianowski uczy ich jednak polskiego i historii, a lekcje jego są tak piękne i ciekawe, że dziewczynka przeżywa dziwną rozterkę, wydana na łup dwojakich wzruszeń, z którymi nie może się za nic uporać.

Taki, jaki jest — ordynarny, krzykliwy, złoścący się, umie jedną rzecz jak nikt spośród znanych nauczycieli, umie opowiadać żywymi, tryskającymi z serca słowami

o takich sprawach, o których się nie wiedziało, że są najważniejsze.

Przynosi na lekcje książki. Ogarnia klasę niechętnym spojrzeniem i zaczyna mówić albo czytać. Sens słów chwyta w swój potrzask myśli Justyny. W obrazie wyłaniającym się ze splątanego gąszczu zwrotów gubi się natychmiast twarz i głos mówiącego. Cudowne, śpiewne strofy wierszy albo oszczędne, pełne prostoty zdania nowel czarują, urzekają.

Opowiada o dalekich krajach, swobodnie przemierza myślą przestrzenie historii, prowadzi za sobą oniemiałych z podziwu uczniów nad odkrytymi obszarami dziejów. Jest niby czarodziej. Odmienia mocą swej wiedzy codzienność — na piękno, niężnane — na bliskie, dalekie — na tkwiące w zasięgu myśli.

Lekcje stają się fragmentami przedziwnego misterium, podczas którego budzi się z dzieciństwa — chęć poznania, nieświadoma jeszcze, nieporadna. Staje zależniona na czatach, wywołana pierwszymi słowami nauczyciela, i umyka pierzchliwie, odwołana dzwonkiem głoszącym pauzę. Nie wie sama, że już jest, że wyzwoliła ją moc cudzej mądrości i że niedługo zacznie się jej panowanie. Powoli, niedostrzegalnie, poznawany dotąd jedynie zmysłami świat nasycy się treścią pojęciową. Obnaża się kolejno wartość rzeczy i spraw, gromadzone na codzien doznania kojarzą się i ukazują nowe, nie przeczuwane nawet kształty i proporcje.

Po lekcjach dziewczęta zostają na trochę w klasie. Rozmawia się półgłosem o tym, co pan czytał albo inówił, albo o domu, o tym, co się wydarzyło u sąsiadów, o czym która słyszała...

Jest wśród nich nowa koleżanka, zupełnie duża, ma osiemnasty rok, nazywa się Janka Klarnetówna, przyjechała z Sosnowca i mieszka u wuja, który jest maszynistą.

Umie na pamięć wiele długich, pięknych wierszy. Przymyka powieki, ręce zaplata na brzuchu i mówi z uczuciem:

„Zbrodnia to niesłychana,
pani zabiła pana...”

Albo:

„W tłumie na mrozie stała pod ścianą
okryta starą żołnierską sukmaną”.

— Jak ty to tak całe zapamiętasz? — dziwią się dziewczynki.

— Gdzie się nauczyłaś?

— W gimnazjum w Sosnowcu.

— Do której klasy chodziłaś? Dlaczego wyjechałaś? Dlaczego nie jesteś w domu? — dopytują się ciekawie.

Janka czerwienieje i milknie. Kółko otaczające Klarne-tównę ścieśnia się.

— To było w zeszłym roku, taki jeden chciał się ze mną żenić, też kolejarz jak ojciec, ale mamusia nie pozwoliła i tu mnie wysłała...

— Chciał się z tobą żenić?

— A ty? ty go chciałaś? — Dziewczęta patrzą na koleżankę z zainteresowaniem i pewnym szacunkiem. To, co się jej zdarzyło, nie było czymś codziennym i wyróżniało ją wyraźnie.

— Czy był przystojny? Ile miał lat? Kochał ciebie?

Jasia siedzi na trzeciej ławce w drugim rzędzie. Ma jasne włosy, tłuste i gęste, splecione ciasno w dwa grube warkocze, niebieskie oczy i krostowatą twarz, uśmiecha się bezosobowo i o czymś myśli, coś sobie przypomina.

Naraz Marylka mówi z przekonaniem:

— Ja bym tam chciała mieć męża!

Dziewczynki zachichotały i wtedy Jasia wyznała wstydliwie:

— I ja chciałam za niego wyjść.

Chichot zamilkł. W Jance jakby się coś odemknęło, jakby pękła jakaś zaporą przytrzymująca słowa, spuściła nisko głowę i mówi:

— Był ładny, czarny, miał małe wąsy, dużo zarabiał, jeździł na parowozie, był pomocnikiem maszynisty, jego rodzice mieli dom... Strasznie mnie kochał. Ześmy się całowali i... i mówił, że będę miała wszystko, jak za niego wyjdę. Brał mnie do kina i do cukierni, chodziliśmy do parku, ale... ale on był z niemieckiej rodziny — był ewangelikiem — i mamusia za nic w świecie...

Długą chwilę koło Janki było cicho.

Justyna siedzi na pulpicie obok Cesi, tuż naprzeciw opowiadającej. Ciekawość, niepokój, niesmak i jakiś żal mieszają się w jej myśli. Dlaczego Jasia chciała mieć męża? Czy dlatego, że dużo zarabiał, czy dlatego, że ją „straszenie” kochał?

Marylka przysunęła się tak blisko do Jasi, że dotyka sobą jej ramion.

— Czy jeszcze się kochacie? Pisuje do ciebie?

Jasia unosi głowę, oczy błyszczą jej triumfem.

— Wujek nic nie wie i mamusia! Wiecie, co mi napisał?

Koleżanki są ciekawe.

— Że przyjedzie do mnie do Warszawy.

Do klasy wchodzi woźna ze szczotką.

— Do domu, dziewczynki, wysiadywałybyście do nocy!

Ale kto by tam słuchał woźnej. Teraz właśnie każda ma coś do opowiedzenia, każda chce i siebie wprowadzić w krąg ważnych, niecodziennych zdarzeń, zaimponować drugim.

Irminie umarł ojciec, ale o tym wiedzą już wszyscy od dawna. Zosia Kubik wyjawia, że jej siostrze urodziło się dziecko, było maleńkie i całe czerwone. Przez chwilę sprawa Zosi zajmuje żywo całą gromadkę.

— A moja ciocia miała bliźnięta — głos Marylki zapanaował nad podziwem wywołanym przez Zosię.

Cesia Truskolaska składa książki do teczki i robi taką minę, jakby dawno wiedziała o dziecku, jakie jest, gdy się rodzi, i o tych bliźniętach... Uważnie zapina sprzączki i dociąga paski, widać, że szykuje się do wyjścia. Reszta też zaczyna odsuwać pulpity i zdejmować palta ze stojących w tyle klasy wieszaków.

Już od drzwi pada pytanie Cesi:

— A czy ty, Jasiu, masz już „na bieliznie“?

Klarnetówna wychodzi z Cesią. Drzwi klasy zamykają się za dziewczętami z hałasem.

Została Irmina, Marylka i Justyna. Irmina wciąga wełniane rękawiczki na odmrożone ręce i nad czymś myśli, bo wpatrzyła się w róg tablicy i uniosła w górę brwi. Irmina zawsze robi taką minę, jak czegoś nie wie, a właśnie o to ją pytają.

Marylka Pasikówna ogląda w lusterku swą jasną, różową twarz z błękitnymi oczyma i drobnymi zębami, rzadkimi jak u dziecka. I one słyszały ostatnie pytanie Cesi — i nic. Żadna do niego nie wraca.

...A może i one nie wiedzą?

Justyna wyciąga stalówkę z pióra i starannie wyciera ją o rękaw fartucha.

— No idziesz, Justyno, czy nie? Ty się zawsze tak grzebiesz!

Wychodzą razem. Justyna ma do domu najbliżej, tyle co przebiec szosę. Pożegnała koleżanki i skrzyła na szyny kolejkowe.

...Matuska to na pewno wie, a może i Amelka, ale matuski teraz nigdy nie ma, a Amelka tak jest zajęta swoimi sprawami, że nie ma czasu na rozmowy z siostrą.

Jakoś tak się utarło, że dziewczynki prawie codziennie zostają teraz w klasie i rozmawiają. Coraz mniej jest

rozmów o lekcjach, coraz więcej o ich osobistym i domowym życiu. Pewnego razu Janka przyniosła list od swojego kolejarza z Sosnowca. Napisany był na różowym papierze i zaczynał się od słów: „Najdroższa Jasiuśko...” a kończył: „Całuję Cię po niezliczone razy, Twój do grobu — Heniek”.

Wszystkie kolejno czytały go i wszystkim bardzo się podobał. Kiedy indziej Marylka Pasikówna pokazała koleżankom kilka seledynowych sekretników, które dostała od jednego chłopca — Zbyszka Fontanny. Justyna знаła go doskonale. Mieszkał tuż za Noblem, u Mazuta, gdzie jego ojciec był magazynierem, i codziennie prawie widywało się go idącego szynami z bańką mleka, chlebem od Tajtelbauma albo ziemniakami w koszyku.

Sekretniki były przybrudzone, ale wewnątrz kryły ślicznie wykaligrafowane słowa: „Pani mi się bardzo podoba. Czy możemy się spotkać dziś o szóstej na przejeździe?” U dołu narysowany był kunsztowny monogram ZF, spleciony z maleńkim listkiem w kształcie serca.

Dziewczynki były zachwycone; każda chciałaby dostać taki sekretnik. Są już duże i mogą się podobać chłopcom.

— Moja mama miała niecałe szesnaście lat, jak wyszła za mąż.

— I moja! A nasza Jadźka od czternastu lat poszła do fabryki.

— A Helcia Osuchówna? Rok już jak robi i ma narzeczonego, a przecież razem chodziłyśmy do drugiego...

Podczas jednej z takich polekcyjnych rozmów Irmina zaproponowała, żeby założyć klub.

— Będziemy miały swoje zebrania.

— W zeszłym roku siódmy oddział miał taki klub, ro-

bili zebrania z herbatą i ciastkami, przychodził Miedzianowski...

— My nie chcemy Miedzianowskiego! — Prawie wszystkie zaprotestowały górczo.

— Nie, nie, z Miedzianowskim nie!

Irmina ustąpiła. Przecież może nie przychodzić!

— Ale bez chłopaków, oni by się tylko wyśmiewali...

Marylka namawia, żeby założyć taki klub, o którym by nikt nie wiedział. Ukryty.

Zdania są podzielone. Klarnetówna radzi powiadomić o tym wychowawcę.

— Pokierowałby, wytłumaczył, można by zrobić trochę dramatyczne, urządzić przedstawienie...

Rozeszły się do domów skłócone. Nazajutrz i przez kilka następnych dni toczyły się spory, wreszcie Marylka, Cesia i Irmina rozesłały do reszty dziewczynek małe karteczki z pytaniem: „Czy zapisujesz się do klubu żeńskiego p. n. UŚWIADOMIENIE przy szkole Nr 59“? i z drobnutko dopisanym zdaniem na samym dole „Uwaga — ścisła tajemnica“.

Kartki krążyły po klasie w czasie pauz i przez wszystkie lekcje.

Więc już jest klub. Zapisalo się czternaście dziewczynek. Prezesem klubu zostaje wybrana Janka Klarnetówna, zastępcą — Marylka Pasikówna.

— Kto będzie sekretarzem? Sekretarz musi zrobić listy członków i notować wszystko, o czym się mówi na zebraniach, i pisać „Kronikę wydarzeń“.

— Może Cesia?

— Nie, ja nie lubię pisać!

— No, to Justyna, będziesz?

Justyna chce się jeszcze o coś zapytać.

— Cicho, czekajcie, Justyna chce coś powiedzieć!

— Dlaczego nasz klub nazywa się UŚWIADOMIENIE?

Wygląda, jakby dziewczęta były zaskoczone pytaniem, Marylka mówi coś szeptem do Zosi Kubikówny, Zosia śmieje się, zasłaniając usta.

— Bo każdy klub ma jakąś nazwę, musi się jakoś nazywać — przerywa kłopotliwe milczenie Jasia.

— Ja wiem, ale dlaczego wymyśliliście taką nazwę? Dlaczego nie nazwaliście go „Gwiazda“ albo „Syrena“?

Marylka usiłuje wytłumaczyć:

— Uświadomić się, to znaczy — dowiedzieć. Wszystkiego się dowiedzieć, i tego, czego nie uczą w szkole, o co się wstyd pytać...

— Są takie różne choroby — wtrąca Jasia — albo tajemnice o chłopcach... rozumiesz?

Justyna słucha i inne też, zakłopotanie ustępuje miejsca ciekawości.

— Będziemy sobie wszystko opowiadać, co która wie, będziemy czytały książki o miłości. Rozumiecie?

Justyna siada obok Jasi i zaraz podnosi palce, by się jeszcze raz o coś zapytać.

— Więc ja mam taką jedną sprawę, ja bym się chciała dowiedzieć, co to właściwie znaczy „mieć na bieliźnie“?

Wacka Rogalówna wybuchnęła tak głośnym śmiechem, że zagłuszyła nim wołanie Jasi:

— Cicho, uspokójcie się!

Justynie zrobiło się nieprzyjemnie. Czuli, że śmieją się z niej, z jej niezręczności, z niewiedzy, do której się przyznała. Musiało to być głupie, dziecinne, ona zawsze z czymś się wyrwie, jaka szkoda, że zapytała...

Marylka Pasikówna pierwsza przestała się śmiać, zrobiło się jej żal koleżanki, przyjrzała się uważnie jej marmotnej twarzy i serdecznie zapytała:

— To ty jeszcze tego nie wiesz, Justyno? To jest taka choroba, na nią co miesiąc chorują wszystkie dziewczęta i dorosłe kobiety, tylko małe tego nie mają. To...

Ach tak? Justyna już wie... to na pewno to, co spotkało owej nocy Amelkę, pamięta to doskonale. Na pewno się zaczerwieniła, bo policzki ją pałą, a oczy szczypią, jakby poraziło je światło, koleżanki patrzą na nią trochę drwiąco, a trochę pobłażliwie.

Jej na polu dziecięce jeszcze ciało rodzi w głębi siebie i wyzwala podświadomie niepokój — poprzedzający dorosłość.

Pod koniec zebrania Marylka przypomniła, że to wszystko jest sekretem i tajemnicą, których nie wolno nikomu zdradzić, i że następne zebranie odbędzie się jutro.

Zebrania odbywały się często i przeważnie były do siebie podobne. Dziewczęta opowiadały o swych spotkaniach z chłopcami, o tym, że się całowały, przynosiły listy i książki, w których były opisy scen miłosnych...

Justyna nie pytała już o nic, bo wyczuła, że koleżanki wiedzą dużo więcej od niej i skłonne są raczej do wyśmiania jej naiwności, a nie do uświadamiania. Rozmawiały o jednym i tym samym, co było nudne, ale i do tego wstydziła się przyznać.

Siadała na pierwszym lepszym pulpicie, układała na kolanach brulion w sztywnej okładce i notowała: „Marylka dostała sekretnik od Z. F. — różowy — dużo całusów“. „Narzeczonemu Jasi miesiąc nie napisał ani słówka“.

Myślała zaś o zupełnie czymś innym. Czy będzie w tym roku powódź? Dlaczego nikt nie wymyśli takich przyrządów, które by tłumili loskot i huk maszyn fabrycznych? O czym mówił na historii Miedzianowski?

Zosię Kubikównę też, widać, mało obchodziły wyznania przyjaciółek, bo przez całe zebranie pilnie ceruje pończochy. Naraz oспowata Łodzia Bąk, siostra zmarłej tragicznie robotnicy — Jasi, wyrwała się z pytaniem:

— Słuchajcie, jak to jest właściwie z chłopcami, mogą mieć dziecko czy nie?

Okazuje się, że żadna nie wie na pewno, jak jest z chłopcami, ale co do dziecka, to wiadomo, bo jakby je urodził?

Zosia wiedziała, jak się rodzi dziecko. Jest w brzuchu u matki, tam sobie rośnie, a potem je akuszerka wyciąga na świat.

Justyna naraz przestaje pisać: o czym one mówią?

Strzępy zapamiętanych zdarzeń, słyszane już nazwy, widziane obrazy błyskawicznie łączą się, dopełniają, porządkują.

Więc to jest tak?

Nie wiadomo dlaczego najdłużej w wyobraźni dziewczynki mającą ręce pani Branichowej, chude, kościste, całe pokryte brązowymi plamami jak rdzą.

Wstrząsa nią dreszcz. Wylękniona i porażona zgrozą nie słyszała dokładnie tego, o czym później szeptały koleżanki. Chodziło wciąż jeszcze o dziecko, o to, skąd się bierze... dziecko jest od męża albo od narzeczonego, albo od kochanka. Jedna dziewczyna miała dziecko z rzeźnikiem, z tym z Warmińskiej, ale zaraz jej umarło.

Justyna nie może po prostu pomieścić w sobie tych dziwnych i niepokojących wiadomości. Gdyby tak była w domu matuska! Ale zastaje tylko Pawła, zajętego majstrowaniem klatki dla gołębi.

Wstawia więc fasolę, żeby się podgotowała, i nie mogąc dłużej znieść ciężającej jej nieznosnie samotności, biegnie na róg Toruńskiej do Janki Kłoseckiej.

Przez chwilę rozmawiają o lekcjach. Janka chodzi do „cywilizacji“, gdzie kierowniczką jest stara panna — Kulikówna. Wszyscy nazywają ją „panną“, a chodzenie do szkoły nazywa się „chodzeniem do panny“.

Kłosecka poleciła dziewczynkom wycierać talerze. Stoją obok siebie w ogromnej kuchni naprzeciw stołu ze stosem zmytych naczyń.

— Słuchaj, Janko, wiem taką jedną rzecz, bardzo

ważną... taką „pod sekretem“, tylko żebyś nikomu, a nikomu nie powiedziała, dobrze? — nie może już dłużej wytrzymać Justyna.

Janka kiwa skwapliwie głową, sięgając po talerz:

— No pewnie, że nie powiem, ale co to za rzecz?

— Wiesz o tym, że dzieci, takie co się rodzą, są z krwi?

Janka prędkim, wprawnym ruchem ogarnia talerz ścierką i odkłada na drewnianą tacę, ustawioną na krześle. Patrzy na Justynę ze zdziwieniem.

Usta Justyny drżą wyraźnie. Janka myśli długą chwilę nie przerywając pracy, wreszcie mówi:

— A skąd to wiesz? Kto ci naopowiadał? Zresztą to nie jest prawda! One nie są z żadnej krwi, nie! Dziecko jest... od chłopca!

— Od chłopca? — łańcuch mozolnie spojonych domysłów pęka jeszcze raz. Słowo „chłop“ ma dla Justyny specjalne znaczenie i jakby zastępuje „wieśniaka“. „Chłopi“ jadą na targ, „chłop“ przywiózł ziemniaki, drzewo, jabłka, sprzedaje konia...

— Jak to od chłopca, od jakiego?

— Od byle jakiego, jak się zadawać z chłopem, to się ma później dziecko, i to jest wstyd dla dziewczyny okropny!

Janka wie wszystko. Jest spokojna, mówi wyraźnie, z przekonaniem, ale Justyna nie może wychwycić z jej słów tego, co jest istotą faktu; sprawy płci nie dojrzały jeszcze w jej umyśle i w jej organizmie.

Tego wieczora postanowiła Justyna po raz pierwszy od czasu, w którym Anna zaczęła pracę w fabryce, czekać na matuskę do północy i od niej ostatecznie dowiedzieć się wszystkiego.

— Nie położyłaś się, córuchno? Czy się coś stało? — głos matki wyrwał dziewczynkę z drzemki.

Wytrzeźwiała natychmiast i zaczęła krzątać się po

kuchni, układając równocześnie w myśli pierwsze pytania, od których powinna zacząć rozmowę.

Obolałe, na pół zdrętwiałe ręce Anny są nieuważne, rozchlapują szeroko wodę, długo sięgają po ręcznik wiszący na swym zwykłym miejscu nad umywalką.

Justyna podsuwa matuśce krzesło i serdecznie zaprasza ją do jedzenia.

— Spróbuj, gotowałam najpierw samą fasolę, później wrzuciłam włoszczyznę i ziemniaki, a dopiero jak wszystko było miękkie, wsypałam zacierki...

Matuśka przegarnia łyżką i patrzy tępo w róg kuchni. Jej uszy są pełne miażdżącego huku maszyn, więc słowa, które mówi, są głośne, jakby jeszcze i tu musiały torować sobie drogę skroś zgielku i nieustannego szumu, są dziwnie głuche.

— O której przyszła Amelka? Znowu późno? Och, jak ten Paweł kaszle, na pewno biegał bez palta.

To jest głos matuśki? To jest jej twarz? Słodka, jasna, z łagodnym spojrzeniem chabrowych oczu, okolonych puszystymi rzęsami, których cień padał na policzki, podkreślając ich gładką białość? Justyna ogarnia przerażonym spojrzeniem całą postać matki i w bolesnym zdumieniu stwierdza, że odmieniła się bardzo. Odmieniły się jej włosy, czoło, usta, szyja, ramiona, stopy, a przede wszystkim — ręce.

Ręce stały się po prostu cudze... jakieś duże, grube, z wystającymi wyraźnie węzłami stawów i rozdętymi żyłami, spierzchnięte, sinawe.

Wielkie zmęczenie nie pozwala Annie jeść. Odsuwa od siebie talerz, opiera się mocno plecami o poręcz krzesła i przymyka powieki.

— Matuśko, połóż się spać, masz posłane.

Justyna bez żadnego żalu sprząta talerz i chleb, wie, że matuśka nie może... Na palcach przechodzi do pokoju i szeptem zaprasza:

— Chodź, kochana, odpocznij!

Pomaga jej jeszcze ściągnąć przez głowę sweter i klękawszy u stóp rozsznurowuje buciki.

Jest jej straszno i smutno, a uczynione przed chwilą odkrycie wydaje się jej czymś nieskończenie ważniejszym od tego, co nurtowało ją dotychczas, o czym chciała z matuszką rozmawiać.

ROZDZIAŁ XIV

Pan kierownik Łyczański pozwolił urządzić w szkole zabawę. Był koniec karnawału i zabawa miała mieć charakter prawdziwego balu: z muzyką, tańcami, bufetem. Zabawę urządzał szósty i siódmy oddział, ale wśród zaproszonych gości mieli być dawni uczniowie szkoły, rodzice i znajomi.

Wtedy to w naturalny sposób ustały rozmowy o kinie i zebrania klubu, bo wszystkie umysły zajęły się nowym, niecodziennym tematem.

Od tygodnia dziewczęta zostają po lekcjach i przygotowują dekoracje.

W przeddzień balu chłopcy froterują podłogę; nastrugali parafiny, rozsypali dokoła i jeżdżą na płaskich szczotkach wzdłuż desek od ściany do ściany.

Lampy okręcone kolorową bibułą dają przyćmione, tajemnicze światło. Dziewczęta wypisują numerki do szatni. Siedzą w klasie i opowiadają o jutrzejszym dniu.

Marylka Pasikówna zaprosiła Zbyszka Fontannę.

— Będzie ze mną tańczyć wszystkie kawalki!

Janka Klarnetówna jest smutna.

— Mojego Heńka nie będzie, to już dla mnie żadna zabawa...

— Ciekawe, czy Miedzianowski umie tańczyć? — wy-

rywa się nagle Zosia Kubikówna — i czy którą zaprosi do jakiego kawalka, czy będzie tylko grał?

Marylka obiecuje uroczyście, że zaprosi go do „błękitnego“.

W sobotę jest sześć godzin lekcji — jak zwykle, ale wloką się tak niemilosierdzie, jak jeszcze nigdy.

— Justyno, czy loki spuścić na kark, czy związać wysoko? Patrz, jak mi lepiej? A przedziałek? może z lewej strony? o, tak... spójrz!

Złotawe włosy są niesforne, spadają na czoło, na uszy. Oczy i usta Amelki śmieją się.

Okolo szóstej wpadła na kwadrans matuśka, korzystając z przerwy, i od razu wszystko rozstrzygnęła.

— Włóżcie sukienki szare welniane, bo sala jest chłodna. Włosy zwiążę ci aksamitką, a ciebie, Justynko, uczeszę w „margerytki“, i proszę wypić herbatę i zjeść chleb, żebyście nie były głodne, po dwunastej po was przyjdę.

Przez chwilę wszystkie trzy milczą. Naraz bije zegar i Anna musi wracać do fabryki.

— Bawcie się wesolo!

— Pamiętaj, o dwunastej będziemy na ciebie czekały!

Cała szkoła stoi w kręgu światła. Jak okiem sięgnąć śnieg błyszczy niezliczoną ilością iskerek i ostro skrzypi pod nogami. Domy Idlowej, kościół i głąb szosy są ciemne i wydają się puste. Już z daleka słychać muzykę. Prawie biegiem dopadają otwartej szeroko szkolnej furtki. W pokoju nauczycielskim jest urządzona szatnia, w której urzęduje pani woźna.

Stojąc na progu można ogarnąć całą salę jednym rzutem oka. Spośród kilkudziesięciu gości większość stanowią uczniowie szkoły. Stoją grupami, kilka par spaceruje pośrodku. Od sufitu zwisają strzępki bibuły, które drżą lekko, światło lamp jest czerwone i żółte. Amelka

przechodzi razem z Justyną całą salę na ukos. Jest chłodno i jakoś uroczyście.

Są już Cesia, Marylka, Janka i Irmina. Wszystkie świątecznie ubrane i przez to trochę sztywne. Marylka ma nawet ufryzowane włosy.

— Dawno przyszłyście?

W tej chwili harmonista dał znak i zaraz sala wypełniła się kołyszącą, słodką melodią.

Justyna usłyszawszy muzykę zapomniała o kolegach, o Amelce, nie kończąc rozmowy przeszła szybko do grających, stanęła obok i zasłuchiwała się.

Tymczasem sala wypełniła się kolorowym, wesołym tłumem. Przyszli chłopcy z gimnazjum, pani Hanna, ksiądz, kierownik Łyczański.

Coraz więcej osób tańczy. Grający odmienili melodię na walca wiedeńskiego. Justyna ogląda kolejno zbliżające się pary. Prawie wszystkich można nazwać po imieniu, zna się ich na wylot, wiadomo, gdzie mieszkają, kto pracuje, a kto się jeszcze uczy, co się w jego rodzinie ostatnio zdarzyło; ale po raz pierwszy ogląda ich Justyna w tańcu — z uśmiechniętym zamyśleniem na twarzy, łowiących całą swą postacią melodię, jej rytm.

W ciemnym kącie, zasłuchany w muzykę jak ona sama, ukrył się Judka Tajtelbaum; na ławce ustawionej wzdłuż przeciwległej ściany siedzą dziewczynki z ich klasy. Jest wśród nich Cesia w swojej krepdeszynowej sukience, a obok niej chłopiec, którego Justyna nie zna.

W jakiejś chwili walc się skończył i momentalnie salę wypełniły śmiechy i rozmowy. Justyna stanęła przed Cesią. Nieznajomy chłopiec wstał i uklonił się. Cesia zarumieniła się wyraźnie.

— No, siadaj...

— Proszę, niech pani siada.

Justyna spłoszyła się. Przybiegła do przyjaciółki tak sobie, a teraz czuje, że nie należało przychodzić, że tym

dwojgu w czymś przeszkodziła, że nie była Cesi potrzebna.

Usiadła na brzeżku ławki i zaczęła pilnie oglądać własne buciki. Po długiej chwili niezręcznego milczenia Cesia zaczęła mówić:

— Właściwie nie podoba mi się ten bal... Chłopcy z siódmego wcale nie tańczą, stoją w drzwiach i tylko się nam przyglądają. Na balu wszyscy powinni tańczyć.

Justyna nie myśli o chłopcach z siódmego. Chciałaby spojrzeć w tej chwili na tego, który nazwał ją „panią“ i wstał, aby ustąpić miejsca. Chciałaby podnieść głowę i obejrzeć go z bliska, ale coś ją krępuje, jakaś nieśmiałość, zażenowanie...

— Poleczka! prosimy!

Na sali zaczął się ruch. Harmonista przegrał pierwszy takt. Kierownik klaszcze w ręce i zaprasza do tańca. Ukłonił się Amelce, Fontanna — Pasikównie, Niechciałek — Jance; w tej chwili przed Justyną stanął Stasiek Grigo z ich klasy. Wołając „przepraszam“ spojrzała w twarz chłopcu Cesi — miał ciemne włosy i zupełnie czarne, regularne brwi; okręciwszy się na palcach dokoła Staśka, wmieszała się razem z nim w tańczące pary.

— Wszystkie pary w lewą stronę!

Stasiek przygarnął ją bliżej i szybkim zwrotem zmienił kierunek tańca. Nogi uchwyciły rytm harmonii i zaczęły drobniusieńko, coraz prędzej drobić kroki.

Sala miga przed oczyma razem z kolorowymi paskami, fruującymi nad głową, i lampami huśtającymi się lekko w drucianych koszykach, ukrytych pod barwną bibułą. Robi się gorąco, serce skacze, jakby goniło kroki... Justynie wydaje się, że to nie ona się kręci, ale ściany uskakują sprzed oczu, porwane melodią.

Naraz muzyka urywa gwałtownie. Dziewczęta wachlują się chusteczkami, oczy błyszczą, na policzki tryskają rumieńce.

Pan Miedzianowski ułożył skrzypce w futerał i przystąpił do Amelki. Uśmiechają się do siebie. Nauczyciel chwilę coś mówi, a następnie podaje jej ramię i rozpoczynają powolny spacer dokoła sali. Koło Cesi stoi teraz Marylka ze Zbyszkim i Celinka Kowalska.

Jest przerwa w tańcach, więc można porozmawiać. Na salę przybyli nowi goście. Dziewczynki chichoczą pokazując sobie coraz kogoś ze znajomych. W tym momencie Justyna dojrzała w drzwiach bufetu tego chłopca, który rozmawiał z Cesią. Stał oparty plecami o futrynę i przyglądał się sali. Nawet stąd można było zauważyć czarność jego brwi i lekki grymas na wargach.

— Cesi, co to za chłopiec, ten, z którym siedziałaś?

— Ten? — Cesia znów rumieni się po białka oczu — to jeden z Żerania... On chodzi do szóstej gimnazjalnej do Kułwiecia.

— Umie tańczyć?

— Nie, ale jest przystojny, prawda? Imię ma takie niezwykłe: Albin...

Rozmawiają jeszcze chwilę, aż jacyś koledzy znów zapraszają je do tańca.

Po północy przyszła matuśka. Przywitała się ze znajomymi i przysiadła obok pieca. Justyna nie chce tańczyć, woli posiedzieć obok matki. Oparła głowę o jej ramię, nuci za orkiestrą i lekko wybija nogą rytm o podłogę. Cała sala wykręca się w tańcu. Chłopcy wytupują ostro holubce, przyklękają, pokrzykują.

— Przejdziemy na herbatę — zaprasza matuskę Łyczkański.

Justyna nie zdążyła pośpieszyć za odchodzącą, gdy zagroził jej drogę Albin, nie zauważyła nawet, skąd przyszedł... Usiadł swobodnie między nią a Celinką Kowalską, wyjął z kieszonki zegarek i uważnie przyjrzał się godzinie. Schował zegarek, ręce ułożył na kolanach i zaczął pilnie obserwować tańczących. Justyna z nie-

miłym zdziwieniem zauważyła panujące między nimi milczenie, a równocześnie przekonała się, że słowa jakby pouciekały jej z myśli i jest z nią tak jak z małą dziewczynką, jest zawstydzona i nieśmiała.

Albin w dalszym ciągu zdawał się patrzeć wyłącznie na przesuwające się obok pary.

Justyna złowiła wreszcie w zdyszanym rytmie melodii potrzebne słowo.

— Pan nie lubi tańczyć?

— Nie umiem. Zresztą uważam, że dużo ciekawiej jest przyglądać się innym, niż samemu się kręcić.

Nagle zwrócił ku niej twarz i spojrzał w jej spłoszone źrenice zupełnie z bliska.

Oczy Albinowe były jakby ulane z ciemnozielonego, połyskliwego szkła, ale nie było w nich nic ze szklanego chłodu, przeciwnie, były ciepłe, łagodne i żywe...

Spojrzenie trwało może sekundę, może jeszcze krócej, ale starczyło go, by do reszty zmieszać dziewczynę. Spuściła powieki i zupełnie niepotrzebnie powiedziała:

— Ja tam bardzo, ale to bardzo lubię tańczyć...

Muzyka przestała grać, a pan kierownik, jakby tylko na to czekał, stanął zaraz pośrodku sali i oznajmił, że teraz wszyscy zabawią się w fanty.

Justyna usiadła koło pani Hanny i matuśki, z której Kazio Zatrzyniewicz i Edzio Michalski przemocą zdjęli płaszczy.

— Bawimy się w „pomidora“!

Następnie są „plotki“ i „król“. Pierwszy musiał wykupować swój fant Kazio Zatrzyniewicz.

— Niech będzie listonoszem!

Pani Hanna zaprowadziła Kazią do jednej z pustych klas, na sali zrobiło się cicho.

— Z jaką pieczęcią jest list?

— Z jedną czerwoną.

Wszyscy się śmieją.

— A dla kogo jest ten list? — pyta jeszcze podniesionym głosem pani Hanna uwiecznionego w klasie chłopca.

— Dla... panny Amelki!

Wiadomo, że kolor czerwony oznacza całusy, więc Amelka zarumieniona i zawstydzona ociąga się z wyjściem z koła. Za chwilę Zatrzyńiewicz wraca na salę z miną zucha.

Teraz Amelka wywołuje.

— Jest list! dla pana Miedzianowskiego...

— Dziesięć pieczęci czarnych!!!

Miedzianowski zaprasza Tereskę Przygodziankę. Ona — Janka Buczka. Jest bardzo wesoło. Ci w kole coraz śmieją się głośno i klaszczą w ręce. Ktoś wywołał Cesię Truskolaską, a ona — Albina.

— List do panny Justyny! Pieczęcie czerwone — trzy!

Albin stoi tuż za drzwiami. Chwilę przygląda się Justynie z nikłym uśmiechem i zaraz potem obejmuje ją ciasno ramionami, pochyla się i chce pocałować w usta:

— Nie!

Wyszarpnięte ręce opierają się łokciami o jego piersi, głowa ucieka daleko do tyłu. Tuż nad nią są jego ciemne, błyszczące oczy.

— Justynko, no...

— Nie, ja się nie chcę całować!

Przez nie domknięte drzwi słychać wesoły gwar sali. Justynie jest zimno, jest zawstydzona i gniewna. Nagle Albin rozplata ręce, jeszcze raz ogarnia spojrzeniem jej postać i jakby nigdy nic, powoli wychodzi z klasy.

Justyna jest sama. Jej serce jakby rozpadło się na kilka bijących części, jedna uderza w skroniach, jedna w krtani, jedna w piersiach i jeszcze jedna w zaciśniętych kurczowo dłoniach. Gwar za drzwiami rośnie.

Justyna całą mocą przewycięża niespokojne bicie serca, zgarnia rozpiezchłe myśli i podchodzi do drzwi.

— Jest list do pani...

Pani Hanna wchodzi do klasy. Justyna przytula się do niej, ale nie może mówić. Pani Hanna czuje, jak całe jej ciało drży, nachyla się więc i mówi łagodnie:

— Idź na salę, to tylko taka zabawa, idź, bo zmarzłaś.

Zaraz po fantach matuśka poszła do domu, a dziewczynki zostały. Justyny wcale to nie ucieszyło. Jakby coś w niej zgasło, rozproszyło się. Nawet muzyka przestała ją zachwycać, przystrojona sala, gwar, uśmiechnięte twarze wydały się jej mniej świąteczne, mniej piękne. Była wyraźnie obrażona na Albina za to, że popsuł jej zabawę, że zmieszał myśli i zmusił do tego, aby coraz to przypominała sobie ową scenę w klasie.

Jest już czwarta rano. Amelka jednak za nic nie chce wyjść przed mazurem.

Po mazurze przyjęła jednak zaproszenie do „shimmy“, więc zniecierpliwiona Justyna wymknęła się sama do szatni. Na dworze robi się szaro od zbliżającego się powoli dnia, ale nikt tego nie zauważa.

Marylka Pasikówna, czekając na palto, zwierza się przyjaciółkom:

— Zbyszek świetnie tańczy, powiedział mi tyle komplementów... że tańczę jak motyl!

Dziewczęta śmieją się głośno.

— Motyl? to rzeczywiście doskonale!

Tymczasem w drzwiach wejściowych stanął jakiś mężczyzna w krótkiej burce, białej studenckiej czapce i wysokich ośnieżonych butach. Pierwsza dostrzegła go Justyna:

— Patrz, Marylko, pewno kogoś szuka, przyszedł po kogoś.

— To brat Albina — wyjaśniła Celinka Kowalska — podobny!

Marylka dała znak Jankowi.

— Co to za student?

— Podobał ci się, co? — Janek odwrócił się ku drzwiom i zawołał: — Urbanie, Urbanie, chodź tu! Jakieś dwie panny, zakochane w tobie od pierwszego wejścia, chcą cię poznać!

— Ach ty wstrętny! — Marylka zasłoniła twarz i roześmiała się głośno.

Urban kłania się dziewczętom. Justyna dyga. Ręka Urbana jest zimna, ale jej uścisk jest mocny i serdeczny.

— A może panie przejadą się sankami, na dworze jest prześlicznie...

Biorą z szatni palta i wychodzą całą gromadą. Na szosie naprzeciw furtki szkolnej, tuż nad rowem, stoją małe sanki zaprzężone w dwa konie. Siedzenia zaciągnięte są kudłatym kożuchem. Dzwonki pobrzękują za najłżejszym ruchem końskich karków.

Świat wydaje się oglądanym przez półprzejrystą gazetę. Wie się na pamięć, że sztachety cmentarza przykościelnego są żółte, mur fabryczny — czerwony, szosa usłana białym śniegiem, a szadź na drzewach, dachach i drutach telegraficznych lśniąca, przezroczysta i krusza, ale o tej przedrannej godzinie barwy są roztopione w mroku, szare, szaroniebieskobiaławe.

Justyna wciąga do płuc ostre powietrze i zmęczone niespaniem oczy kieruje na daleką, cichą szosę.

Wszyscy przez chwilę stoją bez słowa, przyzwyczajając się jakby do tego pięknego, pełnego spokoju poranka, który przyszedł w tym samym czasie, w którym na sali było gorąco, jasno i zgiełkliwe.

— Pięknie, prawda? — głos Urbana na progu wielkiego milczenia, śniegu, drzemających jeszcze domów i szarej siności wstającego dnia zadrgał wyraźnie wzruszeniem.

Marylka pierwsza usadowiła się w sankach, koło niej

Janek Buczek i Cesia, druga ławeczka jest mała, Janek wyskakuje w głęboki śnieg i woła Albina.

Wśród ogólnego śmiechu Urban zaprasza Justynę:

— Proszę, koło woźnicy, zmieścimy się doskonale.

Ale Justyna zawahała się, przypomniało się jej naraz wiele rzeczy, nie powiedziała przecież Amelce, że wychodzi, i jest z gołą głową. A w ogóle chyba nie wypada jechać na przedranny spacer z chłopcami, których się właściwie nie zna.

— Nie, nie... ja mieszkam naprzeciwnie, doprawdy nie warto.

Teraz wszyscy zaczynają ją namawiać.

— Siadaj, nie rób takich ceregieli.

— Ceśka, weź nogi! Maryla, przysuń się!

— W takim razie podwieziemy panią przynajmniej do szwajcarni, siadaj, Jasiu!

Jadą kawalek w stronę stacji, wykręcają na rogu Toruńskiej i zaraz jest szwajcarnia.

W sankach jest tak wesoło, że Justynę na moment ogarnia serdeczny żal, że ona już wysiada. Urban podjeżdża do samego mostka, na zasypaną śniegiem bocznicę kolejki. Justyna żegna odjeżdżających:

— Do widzenia, dziękuję!

Drzwi szwajcarni są zamknięte, trzeba czekać, aż nadejdzie nocny dozorca. Sanki stoją jeszcze chwilę, potem ostro skręcają na szosę i uciekają prędko w stronę Zerania. Justyna stojąc na schodach szwajcarni, po kostki w świeżo opadłym śniegu, słyszy jeszcze przez jakiś czas brzęk dzwonków i resztki zacichającego śmiechu jadących.

Robi się jej zimno. Opiera się o drzwi, przymyka oczy i... natychmiast odnajduje się na balu. Drzwi, o które się oparła, ustępują i stróż wpuszcza dziewczynkę na teren fabryczny.

ROZDZIAŁ XV

Amelka poznała Józka na próbie chóru w „Rozwoju“. W chórze tym śpiewała prawie cała młodzież z osady, a same próby były pewnego rodzaju zebraniami towarzyskimi.

Józek mieszkał koło torów dużej kolei, w tym samym domu co i Marylka Pasikówna, i był urzędnikiem w firmie „Braci Nobel“. Poznała go w środku tygodnia, a już w niedzielę przyszedł do nich z wizytą. Na matusce zrobił raczej ujemne wrażenie:

— Jest bardzo młody i jakiś zmanierowany — powiedziała ogólnie, kiedy wyszedł.

— Jest cały niesympatyczny — zdecydowała Justyna.

Jej nie podobał się w ogóle, chociaż mówił do niej „panno Justynko“ i miał naprawdę piękny głos — tenor. Był jasnym blondynem z siwymi oczyma, prawie białymi rzęsami i ledwo zaznaczonymi brwiami. Wysoki i chudy, miał ostro wystające kości policzkowe i brzydkie, zafarbowane nikotyną zęby. Mówił głośno, z dużą pewnością siebie.

Justyna ucieszyła się szczerze, kiedy wyszedł. Ale we wtorek, nad wieczorem, przyszedł znowu i tak się jakoś utarło, że zaczął ich odwiedzać dwa, trzy razy w tygodniu. W tym samym czasie skasowano w dziale banderoli nocną zmianę i przeniesiono Annę na „dniówkę“ od szóstej rano do czwartej po obiedzie, redukując drugą kontrolerkę. Dziewczęta banderolujące pudełka osiągnęły tak wielką wprawę, że produkcję dwudziestogodzinną wykańczały całkowicie w ciągu jednej zmiany. Nikt nie przypuszczał, że dyrekcja już przygotowała nowy system akordów i obniżyła dwukrotnie stawki, więc na razie robotnice zarabiały stosunkowo dobrze i pracowały chętnie.

Anna jednak na owej zamianie straciła. Dawna nocna

praca pozwalała jej na jakie takie zajmowanie się dziećmi, obecnie wychodziła przed świtem i wracała wieczorem, a tak była nieustannie utrudzona, że sprawy domu wymknęły się jej kolejno jedna po drugiej i nie było sposobu, by temu zaradzić.

Amelka i Józek...

Amelka i Józek są narzeczonymi. Z początku Anna za nic nie chciała o tym słyszeć.

— Jesteście za młodzi! — powtarzała surowo.

Ale Amelka, jakby jej rozum odjęło, wróciła do swej metody z okresu konkurów Rogulskiego, płakała spazmatycznym szlochem, napastowała matuskę prośbami, molestowaniem, błaganiami.

— Józek, matusko, tylko Józek... Jest mądry, jest silny, dobry, najładniejszy ze wszystkich. Mamuniu, pozwól!

Schudła, zmizerniała, przestała się śmiać, wyglądała na prawdziwie nieszczęśliwą. Policzki jej straciły swą olśniewającą świeżość, oczy zaczerwienione od nieustannie wylewanych łez miały wygląd żalosny i wzruszający.

— Mamo, pozwól! My się kochamy i jak nam nie pozwolisz się pobrać, Józek powiedział, że... zastrzeli mnie i siebie! Zobaczysz!

Było nieznośnie i smutno. Dnie i noce nabrzmiewały wzajemną urazą i uporem. Wreszcie, jakoś na wiosnę, właśnie po owym skasowaniu drugiej zmiany w dziale banderoli, matuska wyczerpana pracą i kłopotami — ustąpiła.

Amelka uspokoiła się od razu i kolejno zaczęła objawiać swoje nowe „ostatnie, jedyne w życiu“ marzenia.

— Matusko najdroższa, tak bym chciała, żeby Józek poznał naszą rodzinę, wujka Julka, ciocie, dziadków... Widzisz, kochana, opowiadałam mu, kim są, jak miesz-

kają. Tu było o tobie tyle różnych wstrętnych plotek, a przecież my naprawdę byliśmy bogaci, prawda?

— Czy ty, Amelciu, nie rozumiesz, że ta rodzina, o której mówisz, właściwie dawno przestała być naszą rodziną i osobiście nie uważam za stosowne odgrywać komedii zbliżenia tylko po to, aby przekonać twego narzeczonego... I wiedz, że my, to jest twój ojciec i ja — nigdy nie byliśmy bogaci.

Ale Amelka wie swoje i niesposób odwieść ją od raz powziętych zamiarów.

— Amelka wyszła? — matuśka wróciła tego dnia z pracy z klóciem w piersiach i dziwnie ciężką głową. Ciszę pokoju wyznacza drobne cykanie zegara i zgłuszony turkot wozów na szosie.

— Był Józek?

— Czekał na szynach, aż Amelka zje obiad.

Anna zdecydowanym ruchem odsuwa od siebie zupełną, której nawet nie spróbowała.

— Tak mi strasznie żal Amelki. Jestem bezsilna, ale wiem, jestem jak najgłębiej przekonana, że to nie jest odpowiedni dla niej mąż.

Justyna zdaje sobie sprawę, że to, co matuśka w tej chwili mówi, jest dopuszczeniem jej do zagadnień poważnych, dorosłych, nie przerywa też ani słowem.

— W ogóle ci ludzie nie podobają mi się, i matka, i siostry, za dużo w nich pretensji i zakłamania...

Amelka nie chciała jednak tego zrozumieć za nic w świecie. Żadne słowa matuśki nie odnosiły skutku, ani łagodne, ani surowe, ani łzawe.

Nawet choroba Anny, ostre zapalenie płuc, nie zdołała zmienić decyzji, a nawet odwlec zapowiedzianego na połowę sierpnia ślubu.

Ostatecznie doszły nawet do skutku owe „wymarzone” wizyty: u dziadków, wujostwa Katerłów, cici Naci, Ziuty i Neli. Amelka była dumna i szczęśliwa.

Dziesiątego sierpnia pani Godlewska, najlepsza w osadzie krawcowa, przysłała ślubną suknię, a piętnastego odbył się ślub Amelki z Józkiem w miejscowym kościele.

Ceremonia ślubu, pięknie ubrana Amelka, matuśka, goście, życzenia, przyjęcie, zapach kwiatów — wszystko to przeniknęło do umysłu Justyny jakby podbarwione uczuciem przykrości. Chce się jej po prostu płakać. Amelko, czemuś wyniosła tę o Józka ponad nas?

Na przyjęcie weselne przyszło sporo gości: wujek Julek, ciocia Nacia, matka i trzy siostry Józka, pani aptekarzowa Ziemska, pani Hanna Michalska, koleżanki Amelki, koledzy Józka.

Siedzą przy rozsuniętym stole i zdawać by się mogło, wszyscy są jednakowo zadowoleni i radzi sobie. W stojącym w rogu tremie odbijają się twarze tych, co siedzą u szczytu stołu: państwa młodych, Juliana Katerli i matki Józka. Twarze co chwila zmieniają wyraz i swoje miejsce: twarz Amelki uśmiecha się i raz jest wyżej, raz niżej, twarz Józka kołysze się na kształt wahadła: ku Katerli i ku żonie. Twarz Julka jest czujna, obraca się na wszystkie strony, zniża, unosi, skłania na boki, mówi, słucha, jest dobrotliwa, wybacząca. Tylko twarz Józkowej matki jest nijaka i nieruchoma, mała, szara, zmięta.

Edzio Michalski zaprasza Justynę:

— Wypij wina, przecież jesteś teraz dorosła, kiedy Amelka już wyszła za mąż.

Edzio jest w ósmej klasie Miejskiego Gimnazjum i Justyna bardzo go lubi, nie chce, żeby jej na próżno prosił, bierze więc kieliszek pełen ciemnego płynu i wypija jeden mały łyk.

— Czemu ty, Justyno, jesteś dziś smutna i... dziwna? Może zazdrościsz Amelce, co? Przyznaj się zaraz.

Po raz drugi ujmuje Justyna kieliszek i smakuje wino. Chciałaby opowiedzieć Edziowi o tym, że nie lubi Józka, że wydaje się jej niemiłym i takim jakimś... przytąjonym,

ale trudno jest jej mówić, milczy więc i w dalszym ciągu patrzy w lustro.

Goście piją wino i koniak. Dyrektor Katerla mówi coraz głośniejsze — dla całego stołu, i coraz ciszej — dla pani Ziemskiej, aptekarzowej; pochyła ku niej głowę i o coś prosi, ale ona nie może czy nie chce zrozumieć sensu prośby.

Ciocia Nacia i jej mąż — Ireneusz, którego Justyna nigdy przedtem nie widziała, siedzą sami sobie, nie biorąc żadnego udziału w ogólnej rozmowie. Ciocia nagarnia coraz z półmisków jakieś potrawy i przysuwa sobie i mężowi kieliszki.

Justyna wie, że ciocia Nacia jest pianistką, odczuwa więc do niej pewną szczególną sympatię, chociaż dzień dzisiejszy ukazał jej krewną w zupełnie nowym świetle.

Ciocia Nacia podarowała Amelce w kościele, zaraz przy składaniu życzeń, kolczyki — szafirki z brylantami.

O te kolczyki zrobiła się cała awantura, bo już w drodze z kościoła do domu Amelka pochwaliła się prezentem przed siostrą Józka — a ta natychmiast orzekła, że są fałszywe.

Amelka rozgniewała się.

— Ty się tam znów znasz! Moja ciotka jest tak bogata, że stać ją na prawdziwą biżuterię! Nigdy, przenigdy nie ofiarowałyby sztucznej!

— Jednak te kolczyki są fałszywe.

Amelka poczerwieniała z oburzenia i natychmiast chciała zapytać ciotki, jak jest naprawdę. Ale matuska nie pozwoliła. Z całym spokojem wyjęła klejnot z ręki córki i powiedziała:

— Czy to nie wszystko jedno, jakie są? Są ładne, daj uszko, to ci je zapnę.

W tej chwili Amelka na pewno zapomniała o całej sprawie, ale Justyna musi o tym pamiętać... Kolczyki ledwo są widoczne spoza włosów i gazy welonu; są małe, błysz-

czące, z ciemnym środkiem, są podobne z daleka do tych, które sprzedawała matuśka Tatarowi w Charkowie.

...M a t u ś k a ! Przesuwa się właśnie poza siedzącymi z tacą pełną filiżanek. Justyna towarzyszy jej kochającym spojrzeniem. Anna w swojej czarnej aksamitnej sukni, upięła włosy w koronę i usiłuje uśmiechać się do gości, ale twarz jej jest blada i zmęczona, a oczy zapadnięte i bez blasku. Nie ma w niej nic z weselnego gwaru i weselnej radości.

Przy stole robi się ruch. Odsuwają talerze, sięgają po kawę. Przy sposobności zwracają się z uprzejmymi uwagami do gospodyni: O przyjęciu, że było „takie wystawne“, o Amelce, że „jest urocza“, o Józkę, że „doprawdy można powinszować takiego zięcia“.

Jej odpowiedzi są gładkie, okrągłe i Justynie wydaje się, że przygotowała je sobie uprzednio i teraz kolejno wypowiada na głos, nie szukając słów ani w myślach, ani w sercu.

— A może pani woli herbatę? — matuśka stoi za krzesłem Józkowej matki. Matka Józka jest maleńka, zupełnie siwa i ma uniesione ku górze brwi, jakby się nieustannie czemuś dziwiła.

Anna ustawia przed nią filiżankę i zaraz zwraca się do aptekarzowej.

Pani Ziemska — młoda wdówka — jest uosobieniem załotności. Bierze filiżankę z rąk matuśki i ustawia ją przed Katerlą.

— To dla kochanego pana dyrektora, czy osłodzić?

Zapytany śmieje się i całuje powyżej łokcia rękę sięgającą po cukier. Zaczynają znów szeptać nachyleni ku sobie blisko.

O północy podjechała bryczka Blacharskiego, ugodzona do przewiezienia państwa młodych do ich nowego mieszkania, wynajętego uprzednio na Żeraniu, zaraz potem

wyszła reszta gości i wkrótce zostali już tylko we troje: Anna, Justyna i Paweł.

— Ty idź spać, bo za cztery godziny musisz wstawać, ja rano wszystko zmyję i posprzątam, połóż się, kochana — uprosiła Justyna matuskę i zaraz położyła się sama obok niej, ale nie mogła mimo wielkiego zmęczenia zasnąć. Czuła się nieswojo i smutno.

Myśli ślizgały się kolejno od wydarzenia do wydarzenia, od obrazu do obrazu... Suknia Amelki była śliczna, ile razem było osób? Naraz Anna zaniosła się suchym, urywanym kaszlem i myśli Justyny, spłoszone, zatrzymały się przy matusce.

— Skąd masz pieniądze na to wszystko? — zapytała matkę któregoś wieczoru, gdy Amelka uszczęśliwiona wypakowywała kupioną „wyprawę” — ręczniki, prześcierała, poszewki.

— Wzięłam pożyczkę — odpowiedziała krótko Anna.

Ostatnio matka chorowała często i Justyna z trwogą obserwowała, ile wysiłku kosztowało ją coranne wstawanie i jak zmieniona wracała z fabryki.

Za pożyczone pieniądze — kupiła radość Amelki, zadowolenie Józka, aprobatę jego matki, uśmiech na twarzach uczujących gości...

Wszystko razem zatem było jakby udaniem, kłamstwem. Udany był uprzejmy uśmiech śmiertelnie zmęczonej matutki, życzenia wujka Julka i tych... Ireneuszów, którym na pewno wcale nie zależało na losie Amelki i nic im było do spraw matutki. Kłamstwem była oschła życzliwość matki pana młodego i jego, ciekawych wszystkiego, sióstr, kłamstwem była jej własna wymuszona mina i słowa, którymi świadomie zagłuszała niepokój, kłamstwem były nawet iskrzące się w świetle lampy — kolczyki.

Dlaczego ludzie kłamią? Kto ich tego nauczył i co ich

do tego zmusza? Dlaczego naprawdę jest inaczej: biednie, smutno, ciężko?

— Czemu ty, Justyno, jesteś taka dziwna? — zapytał ją przed kilku godzinami Edzio. Domyślił się widocznie, że i ona udaje.

Zegar wydzwonił powoli trzecią i Justynie zupełnie znieenacka przypomniał się brzęk sanek na zaśnieżonej szosie, tamten ranek czysty i świeży w swej surowości i... Albin. Zaciśnęła mocno powieki i wtuliła twarz w poduszkę.

ROZDZIAŁ XVI

Zaraz po wakacjach Justyna zapisała się też do chóru w towarzystwie „Rozwój”. Chodzą na próby raz w tygodniu razem z Marylką, Cesią i Janką. Próby odbywają się w poniedziałki. Sala jest duża, ciemnawa i brudna. Próby prowadzi chórmistrz, pan Anastazy Krupa, który jest równocześnie organistą. Na codzień wygląda ów Krupa na pijacynę, ma sinawą twarz, krótkowzroczne, przekrwione oczy i niepewne ruchy, ale gdy gra, jest na pewno — artystą zakochanym w muzyce. Siada do fortepianu jakby niechętnie, z ociąganiem, ale wystarczy, aby jednym palcem dotknął klawisza, by ulec natychmiastowej przemianie. Coś w nim ożywa, zapala się. Prostuje zazwyczaj zgarbione plecy, nogą w przydeptanym sandale naciska pedał i uśmiecha się radośnie, niemal dziecinnie. Na sali mało kto zwraca uwagę na grę Krupy, młodzież nie przerywa rozmów, ktoś rozdaje nuty „Pieśni wieczornej” — Moniuszki, ostro skrzypią drzwi, wpuszczając spóźnionych.

Justyna staje o krok od fortepianu — i słucha, i patrzy. Melodia wypływająca falą dźwięków spod płasających po klawiszach dłoni Krupy wprowadza ją w przedziwny

świat muzyki. Gdyby móc samej grać... dla siebie i dla innych.

Już są prawie wszyscy. Nuty rozdano — teraz ustawiają się „głosami“ w półkołu.

Pan Anastazy urywa melodię, równocześnie wraca do swej zwykłej postaci: garbi się, kurczy, maleje, twarz przybiera wyraz osowiały.

— No, to zaczynamy, proszę się skupić, bliżej, jeszcze bliżej...

Wstaje, odwraca się do zebranych, wsuwając po omacku krzesło pod fortepian.

Justyna traktuje dnie próby chóru jak jakieś szczególne święta, cieszy się nimi z góry i niecierpliwie czeka ich nadejścia.

Amelka i Józek od dnia ślubu przestali przychodzić na „śpiewy“. Mieszkanie na Zeraniu w sposób, niejako naturalny, wyrwało ich z koła ludzi, z którymi do niedawna żyli na codzień.

Amelka co prawda przychodziła do biura, ale tylko przez pierwszy miesiąc, bo później Józek nie życzył sobie, by „jego żona pracowała“, i tak jakoś ułożyły się stosunki, że na Pelcowiźnie bywała z rzadka i zawsze na krótko.

W domu zrobiło się od razu dziwnie pusto i cicho. Paweł w miarę dorastania miał coraz mniej czasu na naukę i rozmowy z Justyną, a coraz więcej własnych spraw. Rano wstawał niechętnie i ledwo obmywszy twarz wołał o śniadanie. Był nieustannie głodny i demonstrował to hałaśliwie przy każdej sposobności. Zaraz po szkole, wypchawszy kieszenie chlebem albo pieczonymi ziemniakami, wychodził „na chwilę“ przed sień i już, jakby kamień wpadł w wodę, przepadał do wieczora. Najczęściej chodził na plac fabryczny albo nad Wisłę. Matuśka martwiła z przerażenia, bo widywano go w tartaku, gdzie robotnicy ulegali coraz wypadkom, tak tam było ciasno i nie-

bezpiecznie. Krzyczała też na niego, a nawet groziła biciem, ale to niewiele pomagało. Stawał naprzeciw niej chudy, namarszczony, w krótkich majtkach ściągniętych rzemykiem, i patrzył uparcie w jej twarz swymi uważnymi, szarymi oczyma.

— Ty się o mnie, mamó, nie bój, przecież ja niedługo będę miał jedenaście lat, Manius Dypciów to już szedł się uczyć na ślusarza — i zaraz skręcał ku innym tematom. — A czy ty wiesz, co mówił rudy Willi?

— Nic mnie to nie obchodzi i powtarzam ci, że jeśli jeszcze raz pójdziesz do tartaku, dostaniesz w skórę.

— Mówił, że jak psy Zielińskiego nie przestaną po nocy ujadać, to je „własnoręcznie wytruje“.

O tych psach Zielińskiego — nocnego stróża — mówiło się od czasu do czasu na terenie fabryki, że są „czujne“, ale i „nieznośnie rozszczekane“, a sam Zieliński zaznaczał przy każdej sposobności, że nim złodzieja poczną — „wyszczekają go na kilometr“.

— Nic mnie to wszystko nie obchodzi i proszę, zapamiętaj moje słowa, za tartak — w skórę!

Justyna umiała na pamięć cały fabryczny dzień: o piątej wstawanie, śniadanie i za kwadrans szósta do pracy — a o czwartej trzydzieści obiad i powrót do fabryki, gdzie się robiło tzw. „zestawienia“. Godziny poobiednie były najcięższe, bo wtedy pracowała druga zmiana i cała hala dygotała od ruchu maszyn i wibrowała wielkim hałasem, a matuśka była już tak zmęczona, że nie mogła się skupić, nie mogła zapanować nad rozprzęgającymi się myślami i omdlałością rąk. Marki plątały się, gubiły, cyfry skakały przed oczyma, trzeba było liczyć i sprawdzać bez końca.

Któregoś dnia Justyna poszła z nią razem i pomogła w rachunkach, nazajutrz — też poszła i od tego dnia zaczęła chodzić zawsze. Siadała przy dygocącym stole i z coraz większą wprawą liczyła marki i skrzynie oban-

derolowanych pudełek, wpisywała dane na arkuszach, sumowała, mnożyła. Około siódmej wracały razem do domu i natychmiast po kolacji kładły się spać.

Jednego wieczora, a było to już pod koniec zimy, Justyna wyszła z banderolowni wcześniej, żeby zdążyć na próbę chóru. Od pawilonu, w którym pracowała Anna, do szwajcarni można było iść na skos wydeptaną w topniejącym śniegu dróżką albo chodnikiem koło magazynu i tartaku. Justyna idąc myślała o Anastazym Krupie, fortepianie i muzyce. Nagle naprzeciw niej stanął Paweł. Był tak wyraźnie zmieniony, że zatrzymała się zaskoczona i zapytała:

— Co się stało?

Kiwnął głową, ale nie powiedział ani słowa. Tknięta złym przecuciem wzięła go za rękę i ruszyli w stronę domu.

— Szli tak szybko, że prawie biegli. Justyna zapomniała o próbie. Ręka brata wydała się jej naraż jakas mała, a i on cały młodszy i bardziej dziecinny, niż to było w istocie.

W mieszkaniu było ciepło od napalonego pieca, zacisznie i zwyczajnie.

— No, więc co się stało?

— Zapałki, calusieńkie skrzynie zapalek! — wybuchnął nagle, podnosząc głos do krzyku. — Wiesz? Znalazłem!

Nie zrozumiała. Chłopak był tak poruszony, że trzęsły mu się wargi, a oczy błyszczały jak u kota.

— Znalazłeś? Coś ty, Pawle? Mów porządnie, bo w tym, co opowiadasz, nie ma sensu.

— Mówię ci, calutkie skrzynie zapalek, pochowane w śmieciach, może z dziesięć może ze dwadzieścia!

Uspokoił się trochę po wyjawieniu odkrytej tajemnicy. Odetchnął raz i drugi i zaczął od początku:

— Bo Maniś Dypcio obiecał nam zrobić okucie do

saneek, to ja powiedziałem Jankowi, że przyniosę drzewa, no i poszedłem dziś do tartaku po to drzewo na sanki. Majster powiedział, żeby poszukać na kupie, że tam są listwy od skrzyń. Szukałem, a tu, patrzę, pod śmieciami skrzynia, ja ciągnę, a ona pełniusieńka, zabita gwoździami, zwyczajna skrzynia z zapalkami. Rozgrzebałem dalej — druga... dużo, cała masa.

— Mówiłeś majstrowi?

— Coś ty? Przecież to na pewno naumyślnie pochwane.

— Kto by mógł tam je ukryć?

— Złodzieje!

Na roztrząsaniu tego zagadnienia zaszła dzieci Anna. Wysłuchiwała dokładnie relacji Pawła i zamyśliła się.

— Bez wątpienia wykryłeś, synku, złodziejstwo — stwierdziła poważnie — ale przy okazji wydało się, że byłeś w tartaku, a tego ci zabroniłam, mamy zatem do załatwienia dwie sprawy: wykryć złodziei i tobie dać w skórę.

Ale nie wybiła go. Zakazała jednak surowo mówić komukolwiek o wykrytych skrzyniach i mimo późnej godziny poszła zaraz do Sendka.

Jedno było pewne — złodziejem mógł być tylko ktoś z terenu fabryki, ktoś, kto się czuł bezpiecznie i pewnie i mógł się poruszać po placu i w budynkach o każdej porze dnia i nocy. Plan złodzieja też zdawał się prosty: skrzynie ukryte w śmieciach czekały na wyniesienie na zewnątrz i mogły być wywiezione właśnie z owymi odpadkami, z których od czasu do czasu uprzątnano plac.

Sendek postanowił wykryć wszystko na własną rękę. Zależało mu zaś na tym szczególnie, bo w ostatnich czasach coraz częściej czepiała się go dyrekcja, co było nieomylnym znakiem rychłego wyrzucenia z fabryki, a równocześnie otrzymał wyraźne polecenie partii, by się właśnie w tej fabryce utrzymać, by rozpoczętą wśród ro-

botników robotę prowadzić dalej. I oto nadarzała się sposobność, która mogła zmienić nastroje w stosunku do niego.

— Pogadamy z Górnickim, z Onufrym i myślę, że uda się nam przypilnować ptaszka — zatarł ręce z zadowolenia i zaciągnął się głęboko fajczanym dymem.

— A i Pawelek, który się tak popisał, musi nam pomóc...

Uśmiechnęli się do siebie serdecznie.

— Żle wyglądacie — zwrócił się na odchodnym do Anny — mizernie i jakoś smutno, nie trzeba się dawać biedzie — przerwał i zmarszczył czoło, jakby się nad czymś zastanawiał.

Anna wyciągnęła rękę na pożegnanie. Ujął jej dłoń i przytrzymując w swojej powiedział z niezwykłą powagą:

— Myślałem, czy nie czas, abyście wstąpili do partii... bo, widzicie, wtedy łatwiej i piękniej się żyje.

Paweł od powstania fabryki uganiał się po placu, płatał wśród robotników, myszkował po wszystkich kątach i dziurach, toteż nikt nie zwrócił uwagi, że i teraz, od czasu do czasu, wdrapywał się na zsypiska odpadków i grzebał wśród żrzyneków, papierów, wiórów i trocin.

— Jeszcze są — meldował Sendkowi albo matuśce dumny z tego, że dopuszczono go do konspiracji.

Pilnowanie platform wywożących śmieci wziął na siebie Sendek, a muru na zewnątrz fabryki — Górnicki i Owczarek, którzy co noc dyżurowali kolejno na szosie, cierpliwie czekając na złodzieja.

Dzień mijał za dniem bez żadnej odmiany.

— Matuśko, pamiętasz, jak ci mówiłem, że rudy Willi obiecał otruć psy starego, pamiętasz? — przywitał Annę podniecony Paweł w sobotę po jej powrocie z pracy.

Matuśka jednak, jak się okazało, wiedziała o tym już od rana. Rzeczywiście tej nocy ktoś struł obydwu psy dozorczy Zielińskiego i mimo natychmiastowej pomocy nie można już ich było odratować. Przez kilka minut zanie-

pokojone robotnice rozmawiały o tym wypadku rano, ale wkrótce wiadomość utonęła w jazgocie maszyn i zwykłym pośpiechu pracy.

— To podlec z tego rudego! Aza miała mieć szczenia-kil — dokończył swoje chłopak.

— Cirocki? A skąd wiesz, że to zrobił Cirocki?

— No przecież sam to mówił, nie pamiętasz?

Do mieszkania Anny wchodziło się przez drewnianą sionkę od strony oficyny, w której zajmował pokój Cirocki, i z tego właśnie postanowił skorzystać Sendek. Do samego zmroku kręcił się po warsztacie i placu, jak to zresztą często czynił, pracując po fajrantach, a następnie, nie doczekawszy się wyjścia Cirockiego z magazynu, wstąpił do Anny, usadowił się z nieodstępną fajką w sionce i rozpoczął czaty.

Godziny mijały wolno. Około dziesiątej dzieci poszły spać, a wkrótce potem pogasły światła w oknach Kaniaków, Pódzki i Königów. Pięc po dwunastej zaryczała syrena i na podwórze przyniosło mdły gwar wychodzących z drugiej zmiany robotników.

Ganek, którym musiałby wracać magazynier, tonął w ciemności. Był koniec marca, niespokojny, chmurny czas przełamywania się zimy i wiosny. Dał porywisty wiatr, stare topole skrzypiały żałośnie. Niebo usłane niskimi chmurami, bez księżycy i gwiazd, rozplywało się w jednolitej, niespokojnej czerni i łączyło się z ziemią w bezkształtną, przedziwną masę. Z podwórza, poza szumem wiatru i głuchym szarpaniem gałęzi, nie dochodził żaden głos.

Około drugiej Sendek zaczął się niecierpliwić. Jego podniecenie udzieliło się i Annie.

— Czyżby go już złapali? No, nie wiem, ale głowę dałbym sobie uciąć, że to jednak on. Chyba nie wytrzymam i pójdę do Zielińskiego, było nie było, przewiem się... Ale jeśli właśnie nasz Zieliński jest w spółce?

Annie jednak to przypuszczenie nie trafiało do przekonania. Stróż robił wrażenie uczciwego człowieka, Cirockiego wyraźnie unikał, a co najważniejsze, gdyby istotnie współuczestniczył w złodziejstwie, po cóż by truł własne psy?

Jedno było pewne: Cirocki nie wrócił na noc do swego mieszkania. Ale mógł i dotąd siedzieć w magazynie albo lazić po terenie fabrycznym, jak mu się to nieraz zdarzało, gdy chciał przychwycić stróża na drzemce; mógł jeszcze z wieczora iść do szynku, jechać ze względu na dzień wypłaty do miasta, lub po prostu spać na wiórach w tartaku.

Z szosy nie dochodził żaden głos, żaden turkot. Wiatr łłukł się w dalszym ciągu między oficynami i nagiął skrzypiące konary starych drzew. Po czwartej mimo nadal panujących ciemności i ciszy zniecierpliwiony Sendek poszedł do szwajcarni „przewiedzieć się“, co i jak, a Anna czekając jego powrotu przysnęła z wielkiego zmęczenia.

Tymczasem Górnicki z Owczarkiem czuwali na zewnątrz fabrycznego muru. Górnicki, który przez długi czas pełnił obowiązki nocnego stróża, znał doskonale teren fabryczny, jak również wiedział dokładnie, o której godzinie i w jakim miejscu dozorca musi nakręcić zegar kontrolny.

Rozmawiali ze sobą skąpo. Do zejścia robotników z nocnej zmiany kręcili się obydwaj na tyłach posesji w pobliżu zapasowej bramy, licząc na to, że tu właśnie, korzystając z ciemnej nocy i wichru, podjechać może samochód czy wóz i wywieźć łup. Ale brama wydawała się być zamknięta naглуcho, a rozhuśtany krąg światła, rzuconego przez najbliższą latarnię z placu fabrycznego, ukazywał ciągle jednakowo pustą przestrzeń.

Po zakończeniu pracy i wygaszeniu lamp w halach i pawilonach fabryka ucichła, opustoszała. O pierwszej

piętnaście usłyszeli wreszcie chrapliwy kaszel starego Zielińskiego, nakręcającego zegar w budynku szwajcarni.

— Teraz pójdzie do garażu, stamtąd do biura, obejdzie oddziały i po drugiej znów tu go będziemy mieli — zauważył Górnicki.

— Wiesz co, Onufrek? Jak sobie pomyślę, że tego drania możemy nakryć, to aż mi się w głowie kręci, jakbym wypił...

Owczarek rozumiał mówiącego. Sam czuł, że go dławi w gardle z wielkiego wzruszenia. Niczym było dla nich niespanie od wielu nocy, przejmujący wiatr, deszcz i błoto wobec nadziei, jaką karmili serca.

— Żywego czy umarłego, ale go dostanę — obiecywał sobie Górnicki, a taka była w nim zawziętość, że ręce zaciskał w pięści.

Doszli do rogu. Latarnie placowe, kołysane wiatrem, rzucały poza mur skąpy, rozproszony blask. Najwidniej było koło szwajcarni, ale szwajcarnia była daleko, o jakieś sto pięćdziesiąt kroków od drugiej zapasowej bramy, umieszczonej mniej więcej w połowie długości frontowego muru.

— Onufrek? Wiesz? Ja bym radził tak: ty obejdz sobie dookoła, a ja popatrzę na front, za jakieś pół godziny się zejdziemy. Wiatrzysko wyje, że stąd samochodu nie usłyszysz, a tak — już ich mamy.

Dochodziła druga i za mały kęs czasu stróż powinien znów wrócić ze szwajcarni. Rozstali się i każdy poszedł w swoją stronę. Było tak ciemno, że Górnicki dopiero zupełnie z bliska dostrzegł, że brama jest uchylona. Serce zabiło mu gwałtownie. Przewyciężył jednak wielkie poruszenie i przylgnął do jednego z betonowych słupów, by samemu nie być widzianym, a równocześnie móc obserwować. Czas podzielił się na ułamki sekund.... Nagle o dziesięć kroków przed nim na szosie ukazali się dwaj

ludzie. Górnicki, nim dojrzał, już poznał w jednym z nich magazyniera.

W milczeniu zniknęli za bramą i po dwóch, trzech minutach ukazali się znów, dźwigając na plecach skrzynie.

Górnickiemu wydało się, że naraz wszystka krew ściekła mu do nóg, które w jednej chwili zrobiły się ciężkie jak z ołowiu i dziwnie sztywne, równocześnie myśli uciekły z mózgu, a całe ciało stało się słabe i bezwolne.

Złodzieje wyszli na szosę i natychmiast wsiąkli w ciemność. Górnicki poruszył palcami rąk, odetchnął głęboko. Od tyłu dni i nocy imaginowana scena rozgrywała się wreszcie naprawdę... Nim zdążył zebrać jako tako rozpierzchłe myśli — tamci wrócili po raz drugi. Brama nie wydała najłżejszego skrzypnięcia. Wiatr stłumił kroki. Pierwszym, co zastanawiało Górnickiego, było pytanie, dokąd są wynoszone skrzynie?

Domy po drugiej stronie tonęły w jednolitej czerni, jak zresztą wszystko poza wyznaczonym skąpych latarniami terenem fabrycznym. Za domami płynęła Wisła... Wisła?!

Bez sekundy zastanowienia nagłym ruchem oderwał się od kryjącego go słupa i skoczył na szosę. Po omacku przelazł przez rów pełen obrzydliwego błota, jednym sussem dostał się między parkany Nobla i już był nad Wisłą. Było tu tak ciemno, że wyczuł raczej, niż dojrzał, nadchodzących tuż za nim ludzi.

Rzucił się w bok, ocierając nieledwie o głośno sapiącego pod dźwigany ciężarem magazyniera. W tej minucie nie myślał, nie zastanawiał się nad niczym, zapomniał o wszystkim, co nie było Cirockim, zabójcą Walerki, szpiclem, denuncjatorem, złodziejem!

Światło latarki omiotło w jednym momencie wysoki w tym miejscu brzeg, czarną wodę i łódź rybacką, tłukącą się na wysokiej fali.

Drugi z idących schodził ostrożnie w dół. Wszystko razem nie trwało dłużej jak trzy — cztery minuty. Ciroc-

ki potknął się, zachwiał, zaświecił latarkę i w tym momencie dojrzał czający się o krok cień człowieka. Ostry blask pozwolił się im poznać. Drugim był Grzelak.

— Donnerwetter! Du Schwein!... — wycharczał Cirocki.

Kopnął z wściekłością skrzynię, którą rzucił z pleców, i wyciągnął swe potężne ramiona, gotowy do walki.

Jego olbrzymie ciało zwałilo się na Górnickiego. Zaczął bić na oślep, wreszcie uchwycił przeciwnika za gardło i zacisnął palce na jego szyi.

Nagle Górnicki przestał się bronić. Palce Cirockiego sięgnęły widać krtani i przygniotły ją do kręgosłupa. Po chwili dławienia Górnicki dziwnie zeszywniał, a jego kończyny zaczęły drgać...

Magazynier puścił go nagle i gwałtownie szarpnął się w tył, Górnicki zachwiał się, runął i całym ciężarem stoczył się do rzeki.

Milczący dotąd Grzelak krzyknął przeraźliwie. Zbiegli do łodzi i Cirocki, nie mniej przerażony od świadka zbrodni, zaczął na oślep macać wiosłem, szukając naokoło topielca.

Woda ogromna i wzburzona, jak zwykle o tej przedwiosennej porze, rwała z szumem tak potężnym, że głużył zawrodoenie wichru.

Obydwaj byli jednakowo wzburzeni, ale Cirocki pierwszy odzyskał zimną krew. Po resztę skrzyń nie było bezpiecznie wracać. Pogasili światła, ściągnęli do łodzi porzucony na brzegu bagaż i powiosłowali jak najspieszniej w stronę Młocin.

Owczarek tymczasem obszedł uważnie tyły fabryki, zatrzymał się przy wschodniej bramie i nie spiesząc zawrócił ku szosie. Na wychodzącego zza rogu rzucił się wiatr i przeniknął głębokim, wstrząsającym dreszczem. Minął drugą bramę, nie zwróciwszy najmniejszej uwagi na to, że jest ledwo przymknięta, i wypatrując Górnickiego doszedł do szwajcarni: w świetle padającym z okien

budynku przekonał się, że i tu nikogo nie ma. Zawrócił natychmiast i teraz już prawie biegiem puścił się w stronę, z której przed chwilą wrócił. Ale Górnickiego nie było nigdzie.

Ogarnął go niepokój, przeszukał szosę i rowy po jednej i po drugiej stronie, znów zawrócił, ale tym razem mijając bramę podszedł już do niej blisko i przekonał się natychmiast, że jest otwarta.

W pierwszej chwili błysnęła mu myśl, aby wejść na teren fabryczny, ale zaraz uświadomił sobie, że najrozsądniej będzie czekać na miejscu.

— W razie czego mogliby mnie pomówić o spółkę, psie syny...

Zapalił papierosa i przylgnął do muru. Po pewnym czasie jednak zaczęła go dziwić cisza i pustka, uchylił nawet szerzej bramy i zajrzał na plac. Teraz z każdą mijającą sekundą rósł w nim niepokój. Obliczając na pamięć miniony czas doszedł do wniosku, że musi być chyba blisko rana i że Zieliński niedługo powinien według ustalonego rozkładu znów nadejść do szwajcarni.

Po paru minutach, usłyszawszy znajomy kaszel i ciężkie kroki, zaczął walić pięściami w drzwi.

— A któż tam znowu? Zara, zara!

Pierwszą rzeczą, która uderzyła Owczarka, był zupełny spokój Zielińskiego — ten na pewno o niczym nie wiedział.

— Nic nie słyszeliście?

— Com miał niby słyszeć?

— Górnicki tu nie wstępował?

W tej chwili nadszedł do szwajcarni Sendek. Owczarek opowiedział wszystko od początku. Zieliński nie wierzył własnym uszom.

Zaraz też ruszyli we trzech na teren fabryki. Znaleźli rozgrzebane śmieci, dwie zostawione skrzynie i otwartą od wewnątrz bramę, ludzi jednak nie było nigdzie.

W kwadrans później o tym, co się stało, zawiadomiono telefonicznie posterunek policji i administrację fabryki: Kaniaka, Pódzkę i Königa.

Do późnego rana trwały poszukiwania, ale bez żadnego rezultatu. Przy sposobności ujawniono jedynie, że Cirocki nie nocował u siebie.

Trzy dni szukano Górnickiego. Szukała go zrozpaczona żona, Józia, zięć Sikorski, Owczarek, Sendek, przyjaciele, znajomi, policja... Zniknięcie jego poruszyło robotników fabryki i całą okolicę. W pierwszej chwili większość wiązała jawnie zaszle wypadki z osobą magazyniera, ale gdy ten podczas przesłuchania policyjnego wykazał niezbiecie, że fatalną noc spędził u córki Grzelaka, domysły się zachwiały, snuto coraz nowe przypuszczenia, podawano coraz bardziej fantastyczne rozwiązania zagadki, kołowano, gubiono się...

Dopiero czwartego dnia około południa Wisła wyniosła ciało na brzeg tuż za Tarchominem, a mniej więcej w dwa tygodnie później przedostało się, niewiadomą drogą, do publicznej wiadomości orzeczenie komisji sądowo-lekarskiej, że nieszczęśliwy przed utonięciem został zadławiony.

Wobec ponurej zbrodni sama kradzież, która się z nią wiązała, wydawała się czymś drobnym, prawie nieważnym. Górnicki znany był od początku w fabryce jako ideowy działacz robotniczy i człowiek o wielkiej sile charakteru; jego uczciwość i spokojne usposobienie sprawiały, że nie miał innych wrogów prócz ludzi o przeciwnych przekonaniach politycznych, toteż ten i ów zastanawiał się, czy zabójstwo nie zostało właśnie dokonane na tym tle.

Śmierci nieszczęśliwego jednak niesposób oddzielić było od owej kradzieży zapalek. Kim był zatem złodziej?

Dyrekcja rozpoczęła śledztwo. Przesłuchiowano robot-

ników, stróża, Annę, Owczarka, a nawet Pawła. Sprawę przejął sąd i wszystko utknęło na martwym punkcie.

Mijały dnie i tygodnie. Wiosna robiła się na świecie chłodna i dżdżysta. Zbliżał się dzień Pierwszego Maja. Jakoś w tym czasie na głos zaczęto mówić o obniżkach płac, które miano lada dzień ogłosić. Wzburzenie wśród załogi fabrycznej rosło, ale ludzie byli bezsilni, bo zewsząd dochodziły słuchy o redukcjach w przemyśle, zamykaniu drobnych warsztatów, podnoszeniu cen na cukier, węgiel, materiały... Powtarzano też uparcie, że fabrykanci przekreślili jawnie ośmiogodzinny dzień pracy i niektórzy, jak to rozpowszechniło się w fabrykach łódzkich, narzucają robotnikom po dwanaście i szesnaście godzin pracy i że, co było zupełną nowością, masowo likwiduje się związki zawodowe, które dotychczas w pewnym stopniu mogły bronić robotnika.

Mimo nie sprzyjających warunków postanowiono uczcić dzień święta zebraniem i pochodem na Pragę dla wzięcia udziału w manifestacji przygotowywanej przez robotników fabryk broni „Granat” i „Pocisk”. Uradzono ogłosić zbiórkę zaraz po fajrancie w przeddzień święta.

Zdziwienie i niepokój ogarnęły wszystkich, gdy pod koniec kwietnia hale i warsztaty obiegło pisemne ostrzeżenie dyrekcji, zakazujące, pod rygorem natychmiastowego zwolnienia z pracy, urządzania jakichkolwiek zebrani w obrębie fabryki. Każdy robotnik i robotnica zobowiązani byli do złożenia podpisu na liście, stwierdzając tym samym, że znają treść ostrzeżenia.

Dzień święta był chmurny i zimny. Ludzie zebrali się w wielkim, około tysiąca dwustu osób liczącym tłumie na szynach kolejki, szosie i na placyku przed szwajcarnią. Między nimi a terenem fabrycznym stał czerwony ceglany mur, rozdzielony na równomierne prostokąty betonowymi słupami. Wśród przybyłych byli robotnicy z „za-

palkowej“ i z huty Sawickiego, z klejarni Fuchsa i z giserni Frankowskich z Żerania.

Justyna szła akurat na próbę chóru, toteż postanowiła odprowadzić pochód do Warmińskiej. Dobiegła do szwajcarni, aby wydostać się na zewnątrz, ale drzwi budynku zastała na głucho zamknięte, mimo że za dnia nigdy tego nie stosowano.

Zawróciła ku biurom, by się rozejrzeć za szwajcarem, i spostrzegła, że między garażami kręcili się policjanci. Nie zdziwiło jej to zbytnio, bo od czasu kradzieży policja kilkakrotnie zjeżdżała do fabryki dla prowadzenia dochodzeń. Minęła warsztaty, okrążyła budynek administracji, wszędzie napotykała tylko granatowe mundury i gotowe do strzału rewolwery.

Tymczasem gwar dochodzący z ulicy ucichł, by za chwilę wybuchnąć serią zgodnych okrzyków: — Niech żyje! Niech żyje!!!

Gdzież jest ten szwajcar? Nagle ogarnęła ją trwoga. Teraz dopiero uderzyło ją to, że nigdzie nie spotkała nikogo poza przyczajoną policją, drzwi biur i warsztatów były zamknięte, że plac fabryczny był zupełnie pusty i cichy. Pomyślała o tłumie, który przed chwilą widziała poprzez siatkę ogrodzenia i nagle za wszelką cenę zapragnęła znaleźć się wśród tamtych ludzi.

Bez namysłu pobiegła pędem na tyły podwórka, w miejsce gdzie teren fabryczny oddzielał od przykościelnego cmentarza mur łączący się z siatką frontu pod kątem prostym. Rozejrzała się dokoła i wspięła do góry. Akurat ruszał pochód. Szli miarowym, spokojnym krokiem. Nie było w nich żadnego wahania, żadnego lęku. Justyna odetchnęła głęboko i poczuła się zupełnie bezpieczna. Szczypały ją podrapane o drut kolczasty, rozciągnięty nad siatką, ręce i kolana, ale wcale tego nie czuła.

Szły dziewczęta z sieczkarni i pakowalni, z pudełkar-

ni, suszarni i z działu banderoli, szli stolarze z tartaku, mechanicy, robotnicy placowi, tragarze i furmani.

Za „zapałkową“ sunęła huta, dalej robotnice z klejarni i wreszcie, jakby cały drugi pochód, szli ósemkami ludzie z fabryki Spiessa z Piekielka. Wśród idących dostrzegła Justyna natychmiast Józję Sikorską i Górnicką, Sendka, matuškę, Grzelaka...

Przeskoczyła rów, włączyła się w tłum i razem z innymi pomaszerowała w stronę miasta.

Koniec części drugiej

MARIA BONIECKA

NA
JARMARKU
ODPUŁ
STOWYM



ROZDZIAŁ I

Bursa, w której mieszkał Janek, brat Ziułki, przyjaciółki Justyny, mieściła się obok Muzeum Pedagogicznego na Starym Mieście na ulicy Jezuickiej.

Dziewczęta minęły pusty o tej porze plac Zamkowy i doszły do wąskiej, ciemnawej uliczki.

Janek Głogowicz jest dużo starszy od Ziułki, ma dwadzieścia osiem lat i jest zupełnie do niej niepodobny. Na płaskiej twarzy ostro rysują się kości policzkowe, nos i usta, ale wszystko sprawia wrażenie czegoś niepełnego, niewykończonego — Janek ma jasne, rzadkie włosy, niezmiernie łagodne, wyblakłobłękitne oczy z nikłymi brwiami i wąskie, blade wargi, skłonne do uśmiechu, wyrażającego łagodną dobroć, zmęczoną i nieśmiałą.

Jest szczupły, szary, trudny do zapamiętania.

— O, Ziuła! Jak się masz?

Głogowiczówna przychodziła do bursy dość często i nic jej tu nie dziwiło, Justyna była tu dziś po raz pierwszy i czuła się nieco zaskoczona.

Siedzieli w pięciu na dwóch przysuniętych blisko do siebie łózkach, zasłanych pledami, i rozprawiali zawzięcie.

Ziuła ucałowała Janka i przedstawiła Justynę.

— To Justyna, moja przyjaciółka.

Na krótką chwilę zapanowało milczenie.

Pięć nazwisk, pięć ukłonów, pięć uścisków ręki.

— Siadajcie... o tu, po kawalersku.

Justyna przysiadła onieśmielona na kancie łóżka, teczkę ułożyła na kolanach, na teczce zaplotła ręce i zgodnie ze swym zwyczajem zaczęła przyglądać się wszystkiemu ciekawie.

Po przerwie, wywołanej wejściem dziewcząt, studenci wrócili do poprzedniej namiętnej dyskusji.

Byli rówieśnikami i przyjaciółmi, ale wywodzili się z różnych środowisk i nie było wśród nich dwóch, którzy by myśleli tak samo. Mózg każdego z nich działał według własnych przyzwyczajień. Połączyło ich i wyosobniło spośród gromady kolegów pewne duchowe pokrewieństwo, pewien swoisty sposób rozumowania.

Wszyscy byli pozbawieni przesądów, byli wrogami wstecznicstwa, fanatykami wiedzy i postępu.

Rozmawiali o wojnie. Od czegokolwiek rozpoczynaliby dyskusję, ześlizgiwali się nieuchronnie na ten podniecający ich szczególnie temat.

— Żadnej wojny, rozumiecie? Żadnej! Nigdy! Nie wolno zabijać nikogo... Nie istnieje uprawnione zabijanie. Nie mogę myśleć o tym, że są ludzie, którzy z satysfakcją zatapiają bagnę w brzuchu niemieckiego żołnierza czy angielskiego, czy rosyjskiego, jakiego chcecie — wygłaszał swe namiętne credo Dawid.

Wacław był innego zdania. Był w gruncie rzeczy cichym zwolennikiem wojny. Rodzice jego posiadali fabrykę okuć żelaznych w Warce, fabrykę, która przyniosła wielkie dochody, pracując do niedawna dla przemysłu wojennego.

Ze spokojnym uśmiechem przysłuchiwał się entuzjastycznym wywodom przyjaciela.

— Po co gorączkować się „za” i „przeciw”, kiedy omawiana sprawa nie zależy od nas? Walka między obowiązkiem a osobistą wolą jest według mnie frazesem. Gdy nie ma wyboru, spełnia się obowiązek bez wygła-

szania frazesów. Nie twierdzą, aby to obowiązek umilało, przeciwnie...

Wacław ani pochwalał, ani oskarżał. Rozsądek dziedziczącego posiadacza mówił mu, że gdy już puszczone zostaje koło wojny, najprzezorniej jest dać się wkręcić w tryby — innej drogi nie ma.

— Skoro muszę się bić — nic mi nie przyjdzie z tego, że jestem przekonany, iż mógłbym się był nie bić. Poszukiwanie tych, którzy ponoszą odpowiedzialność, to stracony czas.

— „Odpowiedzialność“ to jest właśnie to jedyne, najważniejsze, zasadnicze słowo — przerwał mu namiętnie Marek, trzeci spośród przyjaciół.

Był wątpliwy, nerwowy. Oskarżał wszystkie rządy świata, polski zaś szczególnie. Ratunek dla ludzkości widział jedynie w całkowitym przewrocie społecznym. Nienawidził wojny, lecz z radością byłby oddał życie w wojnie klasowej. Jego czarne oczy, rozszerzone od przeżywanego wzruszenia, wydawały się nienaturalnie ogromne i błyszczące.

Czwarty spośród nich, Stanisław, z chłodną rozumą przysłuchiwał się tej walce na słowa. Syn małego sklepikarza z Białegostoku, wyrwany z rodzinnych stron przez jakiegoś szkolnego wizytatora, któremu zaimponował swymi zdolnościami, przedwcześnie pozbawiony opieki rodziny, przywykł od dawna do liczenia tylko na siebie. Chudy, dziobaty, z niepomrotnie odstającymi uszami, żył tylko dla siebie. Stał się filozofem analizującym własne stany wewnętrzne, zagłębiającym się w egotyzmie z pasją i rozkoszą równocześnie.

Według niego ci trzej przyjaciele, z których każdy stał za własnym płotem, na własnej miedzy, tworzyli jedno; wszystkich trzech nazywał w myśli pogardliwym mianem „tłumu“. Czyż nie pomniejszali siebie, chcąc dzielić dążenia innych? Dla każdego z nich „tłum“ wyrażał

co innego, tak, to była prawda, ale dla niego tłum był zawsze tylko tłumem bez indywidualnego oblicza.

Janek Głogowicz mówił z pewnym trudem, jakby szukał słów, jakby potykał się o własne spiętrzone myśli. Z natury był nieśmiały. Ilekroć chodziło mu o wygłoszenie swego sądu, odczuwał jakby wewnętrzne drżenie. Pocucie własnej słabości obezwładniało go. Usiłował wyślawiać się w sposób stanowczy i przejrzysty, ale nie mógł zapanować nad jękającym się głosem i drganiem powiek.

— Zapewne i ci, którzy wywołali ostatnią wojnę i nadal jej wagę narodowej, wielkiej potrzeby, myślą, są przekonani, że mieli rację. Ci, którzy doprowadzili do owego wstrząsającego konfliktu, żądając ofiar od nas wszystkich. Ale to ich nie usprawiedliwia. Pamiętać jednak musimy, że źródłem zła nie są ludzie, źródłem zła jest ustrój.

Sciany pokoju są brudne, podrapane, z licznymi śladami po gwoździach. Naprzeciw drzwi wejściowych jest duże, niczym nie przesłonięte okno, wychodzące na pusty w tej chwili ogród. Od tego okna idzie do pokoju chłód i mrok.

— Kapitalizm, jako system, zbankrutował już dawno!

Naprzeciwko Justyny siedzi Marek, oczy jego wydają się teraz jeszcze czarniejsze i większe.

Obok Janek smaruje chleb masłem i zaprasza: — Proszę jeść! Czym chata bogata!

Justyna słyszy jego słowa i chce podziękować, powiedzieć, że jest zaskoczona ich serdecznością i że tamta dyskusja poruszyła ją do głębi, że sprawy, o których mówili, są jej znane, bliskie, że i ona pamięta wojnę jako biedę, poniewierkę, lęk i rozpacz, że matka jej jest robotnicą fabryczną, ale utkwione w nią oczy Marka hamują bieg myśli i wiążą głos.

— Pani jest chyba pierwszy raz w takim kawalerskim

mieszkaniu? w takim pokoju, gdzie są dwa krzesła i pięciu lokatorów? — Janek uśmiecha się łagodnie.

Justyna mówi, że tak, i że ona sama bardzo chciałaby być studentką, chciałaby pójść na uniwersytet.

— I na pewno tak będzie. Ja pamiętam doskonale, jak byłem taki jak Józefka i miałem podobne marzenia, a teraz? marzenie się spełniło, ale już jestem łysy.

Janek wyraźnie chce stworzyć żartobliwy nastrój, Justynie wydaje się jednak, że traktuje ją trochę jak dziecko, na przekór więc poważnym i smutnym myślom śmieje się głośno.

W tej chwili Dawid woła przez stół:

— Teraz zagraj nam Marku!

Justyna drgnęła.

— Zagraj, mamy przecież gości!

Marek długo wyciera usta papierową serwetką, długo podnosi się z krzesła, długo otwiera skrzypiące drzwi szafy.

Skrzypce... On gra na skrzypcach...

Smyczek błyszczał w zapadającym coraz gwałtowniej mroku, a natchniona twarz chłopca pochylała się nad skrzypcami, jakby sama była urzeczona siłą i pięknem melodii.

Justyna przymknęła powieki, skrzyżowała ręce na pierśsiach jakimś obronnym ruchem i słuchała całą sobą.

Niepostrzeżenie przeszedł do melodyjnego miniaturowego utworu własnej kompozycji, którego szczególny powab leżał w kontraście między prymitywnymi, jakby dziecinnyymi środkami, a namiętym, niemal wyrafinowanym sposobem, w jaki owe środki były uwydatniane, akcentowane.

Marek urwał grę nagle, krótko, burzliwie, bez echa.

Pierwsza przerwała głęboką ciszę Ziułka:

— O Boże, to było... to było piękne i dziwne...

Marek bez słowa złożył troskliwie skrzypce w futera-

le, rozluźnił napiętą cięciwę smyczka, zatarł nerwowo ręce.

Nikt nie prosił o „więcej“. Podniosły nastrój udzielił się nawet Wacławowi, mało skłonnemu do głębokich wzruszeń. Prawdziwy, wielki talent urzekł ich wszystkich, zbliżył do sztuki, wyzwolił od samych siebie.

Justyna oddycha lekko i szybko. Czuła jeszcze ciągle falisty głos skrzypiec, zerwany w zwyczajnym spazmie fortissima. Czy to było szczęście?

Chce się jej płakać. Ułożyć ręce na stole, twarz schować w dłoniach i płakać, głośno, długo, ze szlochaniem.

Janek uważnie patrzy na jej kurczącą się twarz. Nagle jego ręka dotyka jej zaciśniętych na kancie łóżka palców. Dotknięcie jest bardzo lekkie i przyjazne. Justyna rozkurcza palce, chwytą dużo powietrza w otwarte usta i zwraca twarz ku Jankowi.

— Pani kocha muzykę?

Justyna pochyliła nisko głowę i usiłowała przełamać w sobie tamto wzruszenie.

Jest już mroczno. Krótkie listopadowe poobiedzie przesunęło się niepostrzeżenie w pełny wieczór.

— Jezus, Maria! to już noc, Justyno!

Ziuta zrywa się ze swego miejsca i gorączkowo naciąga płaszc. Uroczysty nastrój pryska. Studenci się śmieją: noc, jaka noc? jest dopiero po szóstej.

Wacek na do widzenia chce koniecznie, naśladując w tym Janka, ucałować Ziótkę. Ziótka śmieje się głośno i odpycha natręta.

Janek przy pożegnaniu trzyma długo rękę Justyny w swojej dłoni i kilkakrotnie powtarza:

— Bardzo dziękujemy, bardzo dziękujemy!

Na ulicy jest zimno. Justynę przebiega dreszcz. Jej żakiej jest krótki i nie ma kołnierza.

Latarnie są już zapalone. Plac Zamkowy wygląda z daleka jak jasny wielki kwadrat.

— Odprowadzę cię do mostu, bo i tak wracam tramwajem.

Z góry w dół idzie się prędko. Ziułka wzięła Justynę pod rękę.

— No, jak ci się podobalo u chłopców? U nich zawsze jest wspaniale, to są zupełnie wyjątkowi ludzie!

Justyna milcząc przyciska ramię Ziułki na znak potakiwania.

— Ale to wszystko jeszcze nic, zobaczysz, jak jest na prawdziwych zebraniach.

Są koło cukierni na rogu Krakowskiego Przedmieścia i Nowego Zjazdu. Okna cukierni jarzą się od zapalonych wewnątrz lokalu świateł. Justynie przypomina się momentalnie scena z któregoś z bardzo odległych dni. Ona z Amelką i matuska stoją na kraju chodnika, tuż obok jezdnii, a ze schodków cukierni schodzi mecenas Rogulski, wysoki, ciemno ubrany... Rogulski, który też był muzykiem...

I nagle Justynka, sama nie wiedząc dlaczego, zwierza się Ziułce.

— Czy ty wiesz, że ja też uczę się muzyki? Uczę się grać na fortepianie, ach, jak bardzo chciałabym umieć grać. Biorę lekcje u naszego organisty, on jest prawdziwym artystą.

Chciałabym być pianistką, a nie nauczycielką, bo to jest okropne uczyć, ciągle powtarzać te same rzeczy i słuchać tego samego, co się już wie i czego się nie może zmienić, jak tabliczka mnożenia czy reguła trzech. Codziennie przychodzić do szkoły, do klasy, do rozhałasowanych dzieci. Podlegać tej całej skrzypiącej maszyni szkolnej, nad której biegiem czuwa dzwonek i sakramentalne: „Uważajcie, dzieci, cisza!”

Ziułka zupełnie nie rozumie przyjaciółki.

— Jak to okropne? Przesadzasz, Justyno, dwoje spośród mego rodzeństwa pracuje w szkole: Jadzia jest na-

uczycielką i Janek, i każde z nich jest zupełnie zadowolone. Żeby tylko dostać etat! Jak masz etat, to już jest wszystko w porządku. Oczywiście otrzymanie posady nie jest sprawą prostą, szczególnie w mieście, ale jak się ma trochę protekcji w kuratorium, można to załatwić. Ja bardzo lubię dzieci, przepadam za dziećmi, a ty?

— Lubię, oczywiście, ale to coś innego lubić, a coś innego je uczyć. Nie, ja nie chcę być nauczycielką!

Ziutka zwalnia kroku, jest szczerze zdziwiona.

— Jak to? nie rozumiem, no to po coś zdawała do seminarium?

Justynka patrzy na zbliżający się most i powtarza w myśli: „po co? po co?” Ach, jakie to wszystko jest poplątane, jak trudno o tym mówić.

— Bo, widzisz, to się tak złożyło...

ROZDZIAŁ II

W środku nocy budzi Justynę chłupot deszczu. Szyby okienne delikatnie dzwonią od uderzających w nie gęstych kropli, monotonnie i żałośnie.

Justyna słucha deszczu. W pokoju jest zupełnie ciemno. Przedmioty, ściany, sufit i podłoga zlały się z sobą w jednostajną czarność.

Ach, ten deszcz! Od samego słuchania go robi się zimno. Młode, rozgrzane snem ciało Justyny wstrząsa dreszcz, odruchowo podciąga wysoko koldrę i zamyka oczy.

Ale sen spłoszony szmerem deszczu nie chce wrócić. Justyna zaczyna myśleć o dniu, który przyjdzie.

Do szkoły jeździ się teraz pierwszą kolejką o godz. 5,50, trzeba wyjść z domu w ciemność i deszcz, przejść przez pustą szwajcarnię i szynami dojść do stacji. Jest tak czarno, że nie widać kałuż przyczajonych w wydep-

tanych zagłębieniach między podkładami. W wagonach kolejowych pałą się małe naftowe lampy. Dają one brudnożółte światło i chyboczą się w takt ruchu kół. Pierwszą kolejką jeżdżą robotnicy do fabryk, przekupki z bańkami i handlarze z wędlinami. Z tobołków bije ostry zapach kwaśniejącego mleka i przenikliwy odór czosnku. Tą samą kolejką jadą uczniowie i uczennice do szkół, w których lekcje zaczynają się o wpół do ósmej.

Najgorsze jest to ranne wstawanie, tak ciemno i zimno! Justyna zrywa się pierwsza, wychodzi zaraz do kuchni i przy małej lampce ubiera się pośpiesznie. Później rozpala ogień, drobno połupane drzazgi leżą w piecyku. Na nie kładzie się garść odpadków zapalczanych, oblanых siarką i parafiną, duży żółtobłękitny płomień daje zaraz przedsmak ciepła.

Buciki Justyny są bardzo zniszczone. To są buciki po matuśce, czarne kortowe, okładane lakierem, wysoko sznurowane. Są trochę za duże; przetarty kort tu i ówdzie obnaża podszewkę. Justyna wie, że buty przesiakają na deszczu, ale chodzi tylko o to, aby dojść do szkoły, w szkole kładzie się miękkie pantofle.

Sześć godzin lekcji... W środku „duża pauza“ w sali na pierwszym piętrze. O 2,45 pośpieszny marsz do stacji i powrót do domu. Nazajutrz — to samo, i pojutrze, i za tydzień...

Justyna słucha deszczu. Krople muszą być duże, bo padają ciężko i można je doskonale wyróżnić, choć jest ich tyle i choć padają równocześnie.

We wrześniu matuśka musiała budzić Justynę, co rano dotykała lekko jej twarzy i powtarzała: „Justynko, piąta!“ Justyna otwierała oczy i widziała nad sobą matusińską twarz, która w burości zaczynającego się dnia wydawała się jasna i świeża, głos przychodzący do Justyny przez próg umykającego snu był młody i rześki.

Ale razem z jaśniejącym niebem twarz matki gasła, a głos załamywał się w zmęczony, schrypnięty szept.

Matuśka wraca z fabryki wieczorem. Myje długo ręce i grzeje je nad ogniem, zsunawszy na bok rondel z zupą.

— No, i cóż tam, dziecko? Paweł jadł? Jak tam lekcje?

Justyna opowiada o kolejce i o lekcjach, o koleżankach, o wystawach sklepowych i o Zlutce, że jest najmilsza z ich całego kursu, chociaż wie, że matuśka tak naprawdę to myśli o zupełnie czymś innym, myśli o fabryce, o tym, że mają skasować dział banderoli, bo całe przedsiębiorstwo ma wykupić Monopol Państwowy, i o tym, że dziś znów nie mogła wyliczyć się z dwunastu marek metalowych, że ją nieznośnie bolą oczy...

Ale teraz Justyna budzi się sama, budzi się zawsze o jednej porze, na długo przed piątą, budzi ją deszcz albo wiatr, albo cykanie zegara, albo cisza...

Jest nieprzejrzenie ciemno. Wyciągniętą ręką Justyna sięga łóżka matuśki. W jej nogach śpi Paweł, już zupełnie duży, jedenastoletni Paweł. A taki był zawsze mały... Jak budowali fabrykę, jeździł z furmanami po cegły i piasek, a matuśka bała się, że go gdzie zgubią. Albo podczas wojny, kiedy to chodzili na kanały wypatrywać bitwę...

Justyna widzi w wyobraźni tamte sceny, które wydają się bliskie przez swą wyrazistość, a równocześnie są bardzo odległe przez mnóstwo nowych przeżyć, oddzielających jakby długą drogą tamten czas od tego, który jest.

Zegar powoli bije czwartą. Matuśka wzdycha przez sen.

Matuśka, matuśka! Paweł mówi „mama“, a Amelka „mamusia“... Amelka przychodzi rzadko, zawsze sama i zawsze na krótko. Ostatni raz widziała ją Justyna na stacji w Warszawie, ze dwa tygodnie temu. Wracała ze szkoły, a Amelka przyjechała z Żerania. Było kilka minut do odejścia kolejki, więc przywitały się i trochę rozmawiały. Amelka przyjechała, żeby spotkać się z Józkiem, który miał czekać na nią w restauracji „Węglińskiego“ na Krakowskim. Amelka śmiała się urywanym, jakby

zmęczonym śmiechem. Twarz jej pod cienką warstwą pudru była woskowoblada, a ciemne orzechowe oczy patrzyły przed siebie obojętnie i z rezygnacją. Amelka miała na sobie swój wyprawowy granatowy kostium, jej białe rękawiczki były trochę przybrudzone i jakby za obszerne; w ogóle wszystko wydawało się na niej za obszerne, i żakiet, i szara jedwabna bluzka, i czarne pantofle. Jasne włosy Amelki okrywał mały czarny kapelusz, podkreślający bladość czoła i policzków. Miała nową torebkę z miękkiej szarej skóry, ze srebrnym monogramem. Justynka opowiadała o seminarium, patrzyła przy tym na Amelczyną torebkę.

— Prawda, że ładna?

— Śliczna!

— A ty masz taką starą teczkę. Ach, to jeszcze ta moja! Boże, ile ona ma lat?

Już konduktorzy chodzą wzdłuż wagonów, zaraz kolejka odjedzie. Amelka prędko otworzyła swoją nową torebkę i wyjęła z niej 20 złotych.

— Weź, Justynko, kup sobie teczkę, weź!

Justyna chowa za siebie ręce i odsuwa się od siostry zażenowana. Amelka trzyma w wyciągniętej ręce pieniądze i powtarza:

— Weź, niemądra, no weź...

Amelka ma białe przezroczyste zęby, równe i gęste. Usta jej uśmiechają się trochę smutno, a trochę po dawnemu, figlarnie:

— No, weź!

Justyna lubi starą teczkę, zresztą to też prezent od Amelki.

— Schowaj pieniądze, nie trzeba...

Przed pół rokiem Józek przestał pracować u Nobla na skutek redukcji w dziale administracji i od tego czasu całe dnie spędzał na „szukaniu odpowiedniej posady“, wysiadując po restauracjach i barach.

Justyna wiedziała, że Amelka nie miała pieniędzy, chociaż nie skarżyła się nigdy nikomu, pokrywając niepokój i troski zdawkowym uśmiechem i lekkim żartem.

I w ogóle co do Józka wszystko się ułożyło jakoś nie tak. „Zle trafiła — powtarzano coraz częściej wśród znajomych i sąsiadów — a taka była ładna panna“.

Najpierw zniknął z palca Amelki jej zaręczynowy pierścionek, później obrączka, wreszcie „falszywe“ kolczyki — dar cioci Naci.

Justyna musiała o tym myśleć chowając za siebie ręce przed Amelczyną dwudziestozłotówką i o tym myśli w tej chwili, wpatrując się w ciemność pokoju.

Dawniej sypiały we dwie. Jasne włosy siostry leżały na poduszce blisko jej twarzy. Amelka spała najczęściej zwrócona twarzą na pokój, z ramieniem podłożonym pod głowę. Uśmiechała się przez sen pogodnie i ufnie.

Czy zegar bił już wpół do piątej?

Deszcz niestrudzenie spływa po okiennych szybach i pluszcze na kamieniach pod rynną. Justyna zsuwa się z posłania. Po omacku przechodzi do kuchni. Tu deszcz słychać jeszcze wyraźniej, bo kuchnia jest w przybudówce i ma cienkie ściany.

Justyna trafia ręką na złożone na brzegu kuchni zapal-ki, chucha w szkiełko od lampki, żeby je ogrzać. Brrr, jak zimno! Brązowa aksamitna sukienka jest znoszona do cna, ale to jest nieważne, bo Justynka ma alpakiowy fartuch. Wszystkie uczennice seminarium mają takie fartuchy, zapinane z tyłu na zatrzaski, z rękawami, kieszeniami i paskiem. Fartuch Justyny wisi na ramiączku na haczyku tkwiącym we framudze drzwi. Fartuch okrywa całą sukienkę razem z jej przetartymi łokciami i pocerowaną spódnicą. Najgorsze są buciki. Justyna sznuruje je prędko i myśli o błocie i deszczu.

Ogień trzaska pod czajnikiem. Zegar bije powoli piątą.

Z małej szafki wyjmuje teraz Justyna nakrycia dla

matuśki i Pawła, ściera stół i ustawia chleb w koszyczku z rafii, ser, cukier i szklanki. Jeszcze raz dokłada drzewa i przymyka popielnikowe drzwiczki. Jest jej ciepło, zapomniała o deszczu, którego odgłosy ścichły wśród trzasku ognia i szumu gotującej się wody. Zegar bije wpół do szóstej i zaraz budzi się matuśka.

Justyna kładzie żakiet.

— Justynko, Justynko!

Justyna uchyla drzwi i podchodzi do łóżka matuśki, ledwo znaczącego się w nikłym świetle kuchennej lampki

— Pamiętaj, dziecko, że dziś trzeci, że masz być u wujka...

Słowa są niespokojne, zatroskane.

Justyna całuje matusinę niewidoczną prawie w mroku twarz. Dotyka ustami jej policzków, które są ciepłe, gładkie, pachną snem i pościelą.

Na stacji palą się dwie latarnie na wysokich drewnianych słupach, kilka czarnych w mroku i deszczu postaci ustawia się wzdłuż toru.

Na moście jest zupełnie widno. W górze co kilka kroków pali się lampa, której nie może zasłonić ani deszcz, ani ciemność. Ludzie prawie biegną wąskim drewnianym chodnikiem wśród bryzgających wkoło wodą kałuż. Każdy się śpieszy.

Justyna myśli o poleceniu matuśki. Chodzi do wujka po pieniądze, po dwadzieścia pięć złotych. Te pieniądze stanowią część comiesięcznej opłaty za szkołę.

Myśl o wizycie u wujka Julka przeszkadzała Justynie w lekcjach, towarzyszyła na pauzach, coraz przerywała rozmowy z Ziótką.

Koło południa deszcz przestał padać, a gdy Justyna wyszła o drugiej, niebo poczęło się miejscami odsłaniać, jasnoniebieskie, przezroczyste, dziwnie chłodne w otoku poszarpanych, sinych chmur, sunących szybko z wiatrem.

Biuro wujka Julka mieściło się na Królewskiej w ogromnym, białym budynku, w głębi podwórza.

Justyna idąc po mokrych chodnikach starała się myśleć zupełnie o czymś innym. O Ziućce, o matusce, o nauczycielkach seminarium, ale to się jej absolutnie nie udawało.

W pobliżu Królewskiej zwolniła kroku i z przykrością stwierdziła, że wypełnia ją dziwaczne uczucie, które jest mieszaniną lęku, niechęci i złości, to samo, które odnajdywała w sobie podczas poprzednich wizyt.

Zawsze tak jest, co miesiąc. Serce zaczyna bić coraz prędzej, a całe ciało jakby wiotczeje, wyzbywając się wszystkiej siły. Szerokie drzwi z matowymi szklami, pchnięte lekko, ustępują zaraz. Długi, wysłany miękkim chodnikiem korytarz. Z korytarza drzwi do gabinetów, dużo drzwi. Jest cicho i uroczyście.

Przed nią stoi woźny, Jan. Dziewczyna nie lubi Jana i dlatego wydaje się jej zawsze, że woźny wita ją pogardliwym uśmiechem i jakąś nieszczerą poufalością. Zna ją, wie dobrze, po co przyszła.

— Niech panienka siada. Niech sobie siądzie i odpocznie, bo pan dyrektor i tak teraz nie ma czasu...

Korytarz jest zawsze taki sam i słowa Jana są takie same, i to, co nastąpi później — jest zawsze takie same.

Tylko pierwszy raz było inaczej. Korytarz był też cichy i wysłany miękkim chodnikiem, i Jan miał tak samo odsłonięte w uśmiechu zęby, ale ona sama była inna. Nie odczuwała lęku i przykrości, serce nie biło jej tak mocno, była spokojna, ufna. Myślała, że wujek nie każe jej czekać dwóch długich godzin pod drzwiami gabinetu, że zapyta ją o matuskę, o lekcje; że pokaże mu piątkę z wypracowania, z której była tak bardzo dumna...

Teraz wie, że trzeba czekać, że wujka nic nie obchodzą jej stopnie, że sięga po pieniądze do portfela i liczy je

głośno, rozkładając szeroko na biurku, że drzwi na korytarz, na którym stoi czujny Jan, są najczęściej otwarte, że pieniądze trzeba bezwstydnie zgarnąć palcami z błyszczącego blatu i wyjść z nimi — znów do Jana.

Justyna rozumie, że Jan tak naprawdę nie jest złym człowiekiem, że chce jej okazać życzliwość, umilić i skrócić czas oczekiwania rozmową, że ona nie ma racji, i że niegrzecznie jest milczeć.

Od czasu do czasu na korytarzu rozlega się dzwonek. Jan odchodzi do gabinetów, wraca, otwiera i zamyka drzwi za tymi, którzy przychodzą lub wychodzą.

Czas mija bardzo powoli. Ucho przyzwyczaja się do ciszy i w miarę upływających kwadransów zaczyna wyróżniać w niej nikle głosy. Z boku ktoś pisze na maszynie, stukot jest stłumiony i bardzo niewyraźny, ktoś rozmawia, nie można uchwycić słów, ktoś się śmieje, śmiech ustaje i podnosi się znowu...

Po długim czekaniu Justynie wolno jest wreszcie wejść do wujka. Jan otwiera szeroko drzwi i stanąwszy w nich kiwa ręką, dając jej znak. Dywan tłumi kroki i Justyna nie wie, czy Jan jeszcze jest za nią, czy już go nie ma, czy drzwi się zamknęły...

Gabinet jest duży i piękny. Ma ciemnowiśniowego koloru tapety, dywan okrywający całą posadzkę i kremowe koronkowe firanki.

Wujek unosi się z fotela i wyciąga do niej rękę:

— Jak się masz?

Ale to nie jest żadne pytanie, bo wujek nie chce wcale wiedzieć, „jak ona się ma“, zdawkowe słowa po prostu nie znaczą nic.

Wujek całuje Justynę w policzek, zawsze ją tak całował, głośno, ledwo dotykając wargami jej skóry.

— Widzisz, jak ja pracuję, cały dzień pracuję.

Zaraz po roku 1920 Julian Katerla objął stanowisko jednego z dyrektorów w państwowym przedsiębiorstwie

„Polmin“, równocześnie został mianowany członkiem komitetu wykonawczego rady nadzorczej spółki „Między-miastowe Gazociągi“, oraz stał się jednym z założycieli i współwłaścicieli prywatnego przedsiębiorstwa „Sp. Akc. Gazolina“. Czas wypełniały mu szczerze konferencje, narady, posiedzenia i konsultacje. Zdolny, obrotny, a nade wszystko ambitny, marzył o karierze wiceministra.

— To już dziś trzeci marca, Boże, jak ten czas pędził dopiero był luty, a tyś pewno przyszła po pieniądze, co?

Teraz jest już prawdziwe pytanie, bo wujek zawiesił głos i patrzy pilnie na Justynę, jakby w oczekiwaniu. Justynie robi się gorąco, spuściła głowę i milczy, równocześnie myśli, że wujek przecież to wie, i że to jest okrutne tak kogoś dręczyć.

— Po pieniądze cię matka przysłała?

Justyna unosi głowę.

— Nie, po prostu muszę zapłacić za szkołę.

Uczucie wielkiego napięcia opuszcza ją nagle, jest jej przykro, ale nie nieznośnie. Wujek wyjmuje z kieszeni marynarki portfel i dość długo w nim szuka.

— Masz tu trzydzieści złotych, pięć będziesz miała na swoje wydatki, proszę!

Palce Justyny są nieposłuszne, trzęsą się wyraźnie, jakby na pokaz przed Janem i przed wujkiem.

Papierowe, zniszczone dziesięciozłotówki przylgnęły do biurka i nie chcą dać się ująć drgającym palcom.

— Dziękuję bardzo, do widzenia... Proszę pozdrowić ciocię Lizę i dziewczynki...

Na korytarzu palą się już lampy. Przez krótką sekundę Justyna nie wie, które drzwi wyprowadzą ją na ulicę, ale czuwa nad nią Jan, wyprzedzając o krok otwiera drzwi i zamyka je za nią bezgłośnie.

Justyna wdycha chłodne, wilgotne powietrze ulicy. To już! Już się odbyło!

Włożyła byle jak pieniądze do kieszeni i stanęła przed wystawą na rogu Królewskiej i Krakowskiego Przedmieścia. Na falisto ułożonym zielonym aksamicie stoją wazony i kosze pełne kwiatów. Kwiaty są cudne. Obłożone jasnym mchem subtelne krokusy, z pozatulanymi we włochate, srebrzyste osłonki główeczkami, żółte, gwiaździste żonkile na długich, prostych łodygach, zebrana w pęczki konwalia, biała jak śnieg, i wspaniałe cięte róże, ciemnokrwiste i jasnokremowe.

Kwiaty za szybą są żywe, pachnące. Wszystkie uczucia i nastroje ustępują, w Justynie budzi się zachwyt.

W owym czasie, po ogłoszeniu ustawy o powszechnym nauczaniu, wiele spośród uboższej młodzieży wsi i przedmieść zwróciło się do zawodu nauczycielskiego. Seminarja zdawały się zapewniać otrzymanie posady.

To zdecydowało ostatecznie, że Justyna zrezygnowała z marzeń o konserwatorium i postanowiła zostać nauczycielką. Chciała zarabiać, chciała jak najprędzej pomóc matce.

Kiedy już matuśka omówiła z Justyną sprawę jej przyszłego zawodu, wyłoniła się natychmiast kwestia pieniędzy. Justyna zdała co prawda z „wynikiem bardzo dobrym“ do Państwowego Seminarium im. Elizy Orzeszkowej, ale nie przyjęto jej tam z powodu „braku miejsc“.

Poza seminarium państwowym było prywatne. Justynę przyjęto do jednego z nich, ale opłata miesięczna w sumie pięćdziesięciu złotych przekraczała możliwości matuśki.

— Pomyślę nad tym, córuchno, najważniejsze, że jesteś przyjęta — powiedziała spokojnie, wysłuchawszy relacji Justyny.

Zarobki w fabryce kurczyły się w zastraszający sposób. Przede wszystkim obniżono stawki. Ludzie, zastraszeni

groźbą redukcji, ze wzburzeniem, ale milcząco, przyjmowali zarządzenia dyrekcji. Wzrastała bieda i nie było dnia, aby Anna nie stwierdzała kradzieży kilku marek kontrolnych. Różnicę musiała każdorazowo pokrywać z własnego zarobku, który i tak był niewielki. Ona sama, na domiar złego, zaczęła tracić siły. Trapiły ją kaszle, bezsenność i postępująca głuchota. Po długiej walce ze sobą postanowiła ostatecznie zwrócić się o pomoc do rodziny.

Poszło nadspodziewanie gładko. Rodzice co prawda odmówili otwarcie, ale Julian Katerla zgodził się dawać połowę, drugą połowę ofiarowała wielkodusznie najstarsza siostra Anny — Natalia. Od pierwszego września zaczęły się comiesięczne wizyty Justyny na Królewskiej i na Chmielnej.

Z ciocią Nacią jest wszystko zupełnie inaczej jak z wujkiem Julkiem, do cioci nie chodzi się zaraz po pierwszym, ale dopiero około połowy miesiąca, i nie wystarczy iść raz, trzeba wstępować kilka razy. Chodzi się najczęściej do sklepu.

Ciocia Nacia, a właściwie — jej mąż, Ireneusz, ma sklep jubilerski. Wzdłuż sklepu stoją lakierowane gabloty, w których na aksamicie leży biżuteria.

Ciocia Nacia jest za kontuarem. Jeśli w sklepie są klienci, wtedy mówi się w drzwiach „dzień dobry“ i staje się cichusieńko w kącie między tremem a poprzeczną gablotą i czeka.

Klienci oglądają towar, kobiety najczęściej przymierzają błyskotki, naradzają się, targują — i albo kupują, albo nie... Jeśli kupią — ciocia Nacia ubiera usta w uśmiech i zaraz po wyjściu zwraca się do Justyny: — A... a... a... Justynka!

— Dzień dobry, Justynko!

Jeśli panie nie kupią nic albo w sklepie nie ma kupujących w ogóle, ciocia Nacia też się uśmiecha i też mówi:

— Dzień dobry, Justynko... — ale zupełnie inaczej, ja-
koś gorzko i z nieprzyjemnym zdziwieniem.

— Ani grosza utargu od rana! i w ogóle kompletny za-
stój; a tu każdy czeka na pieniądze...

Prześliczne, małe, alabastrowobiałe ręce, ustrojone
w pierścionki, bezradnym, dziecinnyim ruchem błędzą po
szkle. Zawsze jest tak, ciocia uważa się nad własną dobro-
cią i własnym, przez nikogo nie ocenionym poświęceniem.

Justyna chciałaby przerwać ciociną opowieść o jej pra-
cy i kłopotach, ale jest jej niewypowiedziane niezręcznie,
zwiesza głowę albo ją podnosi i słucha bez słowa.

Ktoś wchodzi do sklepu. Twarz cioci odmienia się mo-
mentalnie i ton głosu, i sens słów. Odmiana jest tak
raptowna i tak zupełna, że aż to czasem Justynę dziwi.
Jeszcze trochę czeka, ale czasem od razu wstaje, żegna
się z ciocią i wychodzi.

Niekiedy, bardzo rzadko, w sklepie nie ma cioci, tylko
wujek Iruś. Wujek Iruś jest drugim mężem cioci Naci
i ma dwoje dzieci: Karola i Jadwigę.

Ciocia Nacia, mówiąc o nich, ma grozę w twarzy:

— To krzyż pański na moich ramionach! Jadzia jest
dumna, chytra, leniwa, sarkastyczna i podła... Karol —
to żmija hodowana na sercu.

Wujek Iruś pewno o tym nie wie, bo przy nim tego
ciocia Nacia nie mówi — jest zatem spokojny i zado-
wolony.

Ciocia Nacia jest niska i tęga — wujek wysoki i raczej
chudy, ciocia ma jasne, obfite włosy — czaszka wujka
jest zupełnie łysa i z daleka lśni, jakby była pociągnięta
różową politurą, głos cioci jest piskliwy i wiecznie ubo-
lewający, głos wujka ściszony, miękki i spokojny, ale —
w obojgu jest jakaś wspólna skrzętność, jakaś cicha, nie-
ustanna zapobiegliwość i jednaka umiejętność odmie-
niania twarzy na odgłosy otwierających się sklepowych

drzwi, i ta sama czujność wzroku, ogarniającego porozkładane w gablotkach klejnoty.

Jeśli w sklepie jest wujek Iruś, to zaraz mówi:

— A, to ty? Wstąp na górę do cioci.

Justyna cofa się na chodnik i skręca w bramę.

Ciocia mieszka na trzecim piętrze za pięknymi, brązowymi drzwiami, przybranymi sztukaterią.

Justyna dzwoni do drzwi i czeka. Służąca Magda wpuszcza Justynę do mrocznego przedpokoju, w którym czuć gazem i naftaliną.

— Pani jest w stołowym, ale już po obiedzie, nawet pozbierałam naczynia...

Justynie robi się od razu przykro i zaczyna żałować, że w ogóle przyszła.

U cioci Naci wszystko jest bardzo stare: meble na ruszających się nogach, szafy ze skrzypiącymi drzwiami, lustro o matowych, zielonkawych szybach, ciemne obrazy z poszczerbionymi ramami, tylko fortepian jest nowy.

Ciocia jest zajęta. Wyciera flanelową ściereczką i zawiązuje w bibułki łyżki i widelce. Zawsze tak się robi po obiedzie, codziennie, po każdym obiedzie. Łyżki nie zawięte, byle jak wrzucone do szuflady kredensu — niszczą się.

— Ja właśnie dlatego coś mam, że oszczędzam, ciągle oszczędzam! — powtarza często ciocia Nacia.

Justyna patrzy na jej ręce. Są białe jak jej tiulowy żabot, przypięty do sukni koralową broszką, małe i naprawdę śliczne.

Przed trzydziestu laty Natalia Katerlanka skończyła konserwatorium w Lipsku i przez jakiś czas zadziwiała słuchaczy swą doskonałą techniką.

Wydana młodo za mąż za bogatego kamienicznika, zatraciła się w skrzętności, w gromadzeniu majątku. Jej drugie małżeństwo, niechętnie przyjęte przez rodzinę Katerlów, związało ją ze sklepem jubilerskim, handlem,

środowiskiem kupców i szeroką zamożną klientelą. Muzyka zesła na dalszy plan.

Justyna, patrząc na jej ręce, musiała myśleć o fortepianie. Jej lekcje u Anastazego Krupy były szeregiem odkryć i wzruszeń, które przenikały ją i wstrząsały jej młodą, ciekawie chłonącą świat duszą. Od niego nauczyła się patrzeć na muzykę, na sztukę jak na czarodziejstwo, jak na najdoskonalsze szczęście, jak na promienną wspólność.

Artysta w jej pojęciu nie miał nic wspólnego z przeciętnością, z plugawymi cechami małych ludzi.

Osoba cioci Naci w jakiś bliżej nieokreślony sposób burzyła w niej owo pojęcie, wtrącała w rozterkę i napęniała przykrym niepokojem.

Justyna stała obok skrzynki ze srebrem i pomaga zawiązać łyżki i widelce. Taca pełna lśniących nakryć kojarzy się w jej pamięci z ostatnimi imieninami cioci Natalii.

Co rok ciocia Nacia wyprawiała swoje imieniny. Na imieniny do cioci Naci przychodzi cała rodzina; drzwi z salonu na przedpokój są wtedy szeroko otwarte i ze stołowego do sypialni również.

W salonie stoją w wazonach świeże kwiaty i posadzka lśni złotawym blaskiem, na ścianach płoną boczne świeczniki, kryształowe wisiorki mienią się kolorowo i chwilami wydaje się, że i one świecą, każda szlifowana kropła przezroczystego szkła iskrzy się i jarzy.

Na starych, wyblakłych fotelach siedzą goście, niektórzy stoją. Na tych właśnie imieninach poznała Justyna rodzinę, wszystkie ciocie i wujków, i cioteczne siostry, i kuzynów.

Anna od wielu lat nie była zapraszana na owe zebrania, ale od czasu pewnego rodzaju zbliżenia, jakie nastąpiło między nią a siostrą po rozmowie o dalszej nauce Justyny — Natalia zażądała kategorycznie ich obecności.

Anna zgodziła się, nie chcąc zrażać do siebie siostry, od której był w pewnym stopniu zależny dalszy los córki.

Przyjechały dość późno, bo imieniny wypadły w dniu powszednim. Przyszli prawie wszyscy, jakby się umówili, bo choć drugie małżeństwo Natalii było formalnie uważane za megalians, jej kolacje imieninowe obfitowały w doskonale jedzenie i trunki.

Na otomance siedzi ciocia Liza, żona wujka Julka. Obok niej ciocia Ziuta, druga siostra Anny. Głos cioci Ziuty jest słodki, lepki od zdrobnień i subtelnych niedomówień. Ciocia Ziuta patrzy na Lizę, jakby już nikogo więcej w salonie nie było, jakby były tylko one dwie, patrzy z miłością, z oddaniem, z zachwytem i adoracją. Ale to się tylko tak wydaje, bo gdy do otomanki zbliża się wujek Iruś, ciocia Ziuta momentalnie obdarowuje i jego taką samą miną i takim samym uwielbieniem, spływającym z błękitnych oczu.

Na fotelu pod świecznikiem siedzi pani doktorowa Tercepińska w nurkowym szalu i brylantowej broszce. Pani doktorowa jest najserdeczniejszą przyjaciółką cioci Nacii „jeszcze z pensji“, drugą przyjaciółką solenizantki jest pani Trac, „Jadziuchna“, tęga, trochę ryza pani, zajmująca wraz z czarną taftową suknią półtora antycznego krzesła z rzeźbionym oparciem. Pani Trac jest wdową po mecenasie i jest na imieninach z synem Antolkiem. Ciocia Nacia zna Antolka od jego urodzenia i mówi do niego: „mój kociaku“. Antolek ma trzydzieści pięć lat, jest płomiennie rudy, doskonale odżywiony i apatyczny. Stoi koło drzwi ze Słowikowskim, narzeczoną Janki, najstarszej córki cioci Mani.

Koło fortepianu widać wujka Julka z pięknie połyskującym gorsem koszuli, Zosię, Halinkę i Wandzię, jedy-naczkę cioci Ziuty, z jasnymi włosami, pozwijanymi w loki, i matuszkę.

Matuśka ma żółtawą twarz i nie jest tak pięknie ubrana

jak inni. Od czasu do czasu odgarnia z czoła promień swych prześlicznych włosów i mruży zmęczone oczy, porażone światłem.

I wtedy Justyna usłyszała o matusce po raz pierwszy złe, niechętnie słowa. Stała koło palmy razem z Karolem, pasierbem cioci Naci, i rozmawiała z nim o szkole. Ciocia Ziuta mówiła to i owo do cioci Lizy i nagle zupełnie głośno zauważyła:

— Ze też ta Anna zawsze musi nas kompromitować, ta jej suknia dobra jest akurat do f a b r y k i, ale nie wolno w takiej wchodzić do s a l o n u.

W pierwszej chwili słowa wpadają do uszu Justyny w zupełnym oderwaniu od wszystkiego, co się w tej chwili naokoło niej dzieje. Słowa i delikatny, wibrujący śmiech. Śmiech należy do cioci Ziuty, na pewno, Justyna nie potrzebuje tego sprawdzać.

Zwraca ku siedzącym poblądłą twarz, ale wszystko jest jakby nigdy nic, ciocia Liza przesuwając palce po związającym sznurze pereł, ciocia Ziuta uśmiecha się słodko.

Stargała się cała uciecha z przyjęcia, już jej nie ma. Staje się, jakby otworzyły się szerzej oczy Justyny i dozwolone im było zobaczyć to, czego przed tym nie widziały.

Każdy tu ma w sobie coś podwójnego: coś, co jest dla wszystkich na pokaz, i coś, co jest tylko dla siebie... Poza, maniery, gra...

— Ta mała Anki taka blada, brzydka, no i ten nieszczęsny zez... — słowa jak złe osy znów kłują Justynę, uśmiech zastyga na jej wargach.

Prawe oko Justyny, ilekroć była czymś szczególnie poruszona, rzeczywiście ciągle jeszcze uciekało w bok, ale od lat nikt spośród otoczenia nie zwracał już na to uwagi, tu jednak widzą wszystko.

Do salonu jeszcze ktoś wchodzi i jeszcze. Głośne pocałunki, życzenia, zachwyty nad prezentami.

Na zaproszenie pani domu wszyscy przechodzą do stołowego. Stół jest rozsunięty na całą długość pokoju, zastawiany białym obrusem i zastawiony mnóstwem naczyń ze szkła, porcelany i srebra.

Justyna siedzi obok Karola, Antolka Traca i córek cioci Mani, matuśka zaś obok wujka Irusia i doktora Tadzia, swojego ciotecznego brata.

Magda wspólnie z wypożyczoną na ten dzień pokojówką cioci Ziuty obnosi półmiski dokoła, uśmiechając się do panów.

Goście piją z małych i dużych kieliszków, jedzą. Co raz ktoś życzy cioci Naci zdrowia i długiego życia.

— Panno Justynko, czemu pani nie pije?

To Antolek Trac, jego ręka, trzymająca kieliszek, sunie po obrusie w kierunku Justynki. Antolek jest brzydki, jego tłuste policzki, broda, nos i czoło są upstrzone bladymi piegami, a małe oczy są nijakie, różowe powieki mrugają coraz białymi rzęsami.

Justynka nie chce, aby jego ręka była tak blisko jej talerza, kieliszka i jej własnych rąk, sięga więc szybko po wino.

Antolek mówi do Justyny, że lubi nade wszystko młode panienki, takie właśnie pensjonarki, że za nimi przepada... Znów nalewa wina do kieliszków, powtarza tę czynność kilkakrotnie. Gwar przy stole wzmacnia się.

Justyna ze zdziwieniem spostrzega, że wszystkie osoby jakby się odmieniły, stały się mniej eleganckie i wytworne, a za to głośniejsze, bardziej zapalczywe. Policzki cioci Naci są zupełnie okrągłe i czerwone, oczy wujka Irusia uciekły do reszty w głąb i zostawiły po sobie tylko wąziutkie szparki, przysłonięte mnóstwem drobnych zmarszczek i fałd, wujek Julek z rumieńcami na twarzy mówi coraz głośniej i coraz niecierpliwiej, wąsy nad górną wargą cioci Lizy pociemniały wyraźnie i głowa jej, odstępując od pionowego położenia, pełnego wspania-

łości i majestatu, chyli się to w lewo, to w prawo pospolitym ruchem podsłuchiwania.

Antolek wlał do kieliszka Justyny czegoś z owiniętej rafią butelki, czegoś, co jest palące i gorące jak ogień.

Justyna szybko polyka płyn i długo, ostrożnie ustawia kieliszek na maciupieńkiej kryształowej podstawie. Nagle mruży oczy i wpatruje się w monogram na kieliszku — co to za litery? AK? No tak — AK! — to przecież monogram matuśki!

Na srebrnych łyżkach, na prześlicznych weneckich czarkach do kruszonu, na serwetach i obrusach!

Justyna aż opiera dłonie o kant stołu z wielkiego zdziwienia i bez namysłu zwraca się do cioci Naci skroś wszystkich rozgestykulowanych gości i mnóstwa zdań krzyżujących się nad stołem.

— Ciociu Naciul

W tej samej sekundzie ręka Antolka ogarnia delikatnym ruchem jej kolano.

Justyna przez chwilę nie może pojąć, co się stało, nie może odróżnić tego, co się jej wydaje, od tego, co jest. Wrażenie jest nagłe, zgoła nowe.

Czy to przypadek? Czy on wie, że to zrobił?

Powoli oblewa ją żar, złość, niesmak, oburzenie. Przez chwilę patrzy pytająco na mrugające różowymi powiekami wodniste oczy Antolka i już wle: on to zrobił namyślnie!

Zapomina o monogramach, nagłym ruchem strąca z kolan jego lekką dłoń i drgającym ze złości głosem pyta:

— Cóż pan znowu wyrabia? Czy mam sobie stąd iść?

Antolek udaje skruszonego, ale naprawdę jest po prostu gniewny.

— Pani jest małą złośnicą! Przecież to nic, zupełnie nic...

Ciocia Nacia z widoczną zgrozą patrzy na córki cioci

Mani, pochłaniające łapczywie całe stosy polędwicy, na wujka Irusia, dolewającego coraz z butelek i karafek do kieliszków, i na Magdę ocierającą się przymilnie o ramię doktora Tadzia. Brylanty w jej kolczykach migocą niespokojnie i coraz szybciej.

Ciocia Ziuta, zbliżywszy swą pięknie uczesaną głowę do policzka „ślicznej doktorowej Kasi“, opowiada jej o tym, że:

— Liza znów ma kochanka, znów, a ten biedny Julek jest nieodmiennie nią zachwycony, a do tego, tak przynajmniej mówią, interesy jego niepożądanie się płaczą... Ale jestem przekonana, że Julo da sobie radę!

Katerla dosłyszał widać uwagi siostry, bo jakby w odpowiedzi zaczął wysokim głosem opowiadać z humorem o „doskonałym interesie“ przyjaciela, prezesa spółki akcyjnej „Biała Podlaska“.

— Wyobraźcie sobie, moi drodzy, okrągły milion gotówką!!! Ostatecznie wszystko było jak najbardziej formalne — co tu gadać, przecież każdy wiedział, że jest on prezesem „Białej Podlaskiej“, a że jest i właścicielem dóbr ziemskich tamże i ma na zbyciu tyle to i tyle hektarów piasku, nadających się pod lotnisko, było tylko zbiegiem okoliczności. Za jednym zamachem pozbył się piachu i wziął milion zaliczek! — wypił duszkiem kieliszek koniaku i uśmiechnął się serdecznie do najbliższej siedzących.

— Czekajcie, zaraz, ja go chyba znam... „Biała Podlaska“ to ta państwowa fabryka samolotów?

Poprzez wrzawę głosów niekiedy podpływa ku Justynie głos matuśki. Na żółtawe policzki Anny wybiły się delikatne kolory, a oczy pociemniały od światła i ożywiły się znacznie. Justyna patrzy na nią z wielką miłością.

Doktor Tadzio pod wpływem dużej ilości wypitych koniaków stał się szczególnie serdeczny dla sąsiadów. Najpierw ucałował z wylaniem obie ręce Lizy, a następnie

zwrócił się do Katerli, uściśnął go za ramię i zaczął głośno winszować:

— Julu! widzę ciebie w fotelu ministerialnym, po prostu widzę!

Julian zarumieniał się z wewnętrznego zadowolenia i zwrócił całym sobą do mówiącego, który wywodził dalej:

— No, bo kto powinien siedzieć w Ministerstwie Skarbu czy Przemysłu i Handlu? Tylko wy! przemysłowcy, finansiści! To nie podlega dyskusji. Wy i rząd — to jedno! Pozwolę sobie zatem wznieść zdrowie naszego kochanego brata — pana ministra, Juliana Katerli!!!

Powstał duży gwar, większa część gości uniosła się z miejsc, rozległy się oklaski i entuzjastyczne okrzyki, nawet ciocia Nacia wypila łyk wina i ułożyła twarz do serdecznego uśmiechu, przenosząc zatroskany wzrok z salutki z drobiu na promieniające zadowoleniem oblicze brata.

I wtedy właśnie, w samym środku tej imieninowej kolacji, matuśka stała się nagle ośrodkiem gniewnej i niechętniej uwagi zebranych. Spokojnym, wyniesionym ponad wszystkie inne głosem powiedziała:

— Masz, Tadziu, rację. Wy i rząd — to jedno!

Cisza trwała sekundę, a może dziesięć. Nieoczekiwane słowa Anny zaskoczyły wszystkich do tego stopnia, że przerwali rozmowy, jedzenie, picie, wstrzymali nieledwie oddech.

Ona skorzystała z tej ciszy i dodała z jawną ironią:

— Co za zaszczyt mieć brata — ministra!

Julian Katerla roześmiał się krótkim, nerwowym śmiechem. Napięcie prysło. Wystąpienie Anny usiłowali teraz wszyscy obrócić w żart.

— Zapomnieliśmy, że Anna od dawna zajmuje stanowisko „trybuna ludu“ — dodał zupełnie już opanowany Katerla.

Ktoś zaśmiał się nienaturalnie głośno.

W tej chwili, jakby teraz właśnie i na nią przyszła kolej, zwróciła się do bratowej Liza z dyskretnym pytaniem:

— A jak się powodzi Amelce?

Matuśka zatrzepotała rzęsami i Justyna domyśliła się od razu, że nie dosłyszała. Jej twarz oblekło zakłopotanie i przez chwilę milczała niepewnie, wpatrując się w pytającą.

— Słucham?

Ciocia powtórzyła pytanie bardzo głośno i nie słuchając odpowiedzi zwróciła głowę ku cioci Ziucie, a ta ostatnia, jakby tylko na to czekając, zamknęła sprawę:

— Anka, jak widać, do reszty ogłuchła, to doprawdy przykre... — i zaraz zaczęły ściszoną rozmowę o czym innym.

Justyna słyszała i rozumiała wszystko. Odruchowo uniosła do ust i szybko przelknęła kieliszek koniaku. Karol włożył na jej talerzyk kawałek tortu. Ale Justyna nie może jeść. Jest tak, jakby słowa krążące wokół stołu zapadały w nią i rozrastały się w krzyk.

Justyna wie, że żadne uszczypliwości, żadne naigrzawania się nie naruszają duchowej równowagi matki, żadne przekłete pokusy i zasadzki nie zmieniają jej przekonań.

Patrzy kolejno po twarzach gości... Ambicje osobiste, ambicje towarzyskie, próżność, samolubstwo, wyniosłość, pogarda. Wybitne osobistości w mieście, wybitne osobistości w państwie... Prawem kontrastu pojawiają się na moment w wyobraźni twarze tłumu wyczekującego przed szwajcarnią, wnętrza domów nad Wisłą. Nabrzmiale buntem i gniewem myśli przeszkadzają w słuchaniu tego, co do niej mówi Karol i Antolek, przeszkadzają w patrzeniu, przeszkadzają w mówieniu.

Wszystko naokoło wydaje się płaskie, pospolite, nudne; lampy utraciły nagle cały swój wesoły blask i światło ich wydaje się żółte, na pięknym, olśniewająco białym

obrusie wśród więdnących fiołków wystąpiły czerwone i żółte plamy z uronionych kropli trunków, twarze zatraciły całą swą delikatność i błyszczą teraz czerwienią i potem.

Później ciocia Nacia grała i Justyna po raz pierwszy w życiu zrozumiała, że i muzyka może być pustką, nie wyrażać nic. Ręce pianistki z mistrzowską, doskonałą biegłością fruwały po klawiszach, a twarz uśmiechała się konwencjonalnie.

Panowie zasiedli do kart, panie ściszyły głosy, ale nie zaprzestały poufnych rozmów.

Koncert należał do programu przyjęcia i był jak gdyby jeszcze jednym daniem, które solenizantka podawała gościom w najlepszej formie, w doskonałym gatunku...

— A może ty byś co zjadła? Może jesteś głodna?

Głos cioci Naci przychodzi do niej jakby z wielkiego oddalenia. Justyna podnosi głowę i przez moment rozpoznaje rzeczywistość.

— Nie, dziękuję bardzo, nie jestem głodna.

Ale ciocia jest gościnna i ma dobre serce.

— Jak to nie jesteś? Przecież od rana nic nie jadłaś? O! masz tu kompot, pyszny, pożywny kompot.

Justyna je kompot z małej, poszczerbionej salaterki. Rozgotowany rabarbar ciągnie się klejowato, zielone włókna pachną surowizną i ziemią. Odruchowo krzywi usta od kwasu i zatula nozdrza przed ostrą, nieprzyjemną wonią.

Ciocia schowała łyżki i widelce i przeszła do sypialni.

— Masz pieniądze!

Justyna staje w progu i przyjmuje z rąk cioci dwudziestozłotowy papierek.

— Trudno, obiecałam — to daję, choć i mnie ciężko, jeden Bóg wie, jak mi ciężko! Daję ci tylko dwadzieścia

złotych, bo nie mam więcej, trudno, daj to i też powiedz, że więcej nie masz, żeby ci uwzględnili, żeby opuścili, i tak tyle co miesiąc biorą, że mogliby zrobić to ustępstwo, ularguj jakoś...

Drzwi kasy zamykają się bezszelestnie...

ROZDZIAŁ III

Na samym początku przez pierwsze dwa, trzy tygodnie seminarium w pojęciu Justyny uosobiało sobą chaos.

Panie ze „Związku Pań Dobrych“, patronujące szkole, nauczycielki, profesorowie, woźni, tłum koleżanek, piętra, schody, sale, gabinety, poczekalnie, klasy, korytarze, dzwonki, wejścia i przyjścia oszołomiły ją.

Nowość otoczenia i sytuacji wywołała w niej stan napięcia i zmęczenia.

Justyna straciła pewność siebie, wydawało się jej, że nie ogarnie chyba całości i nie rozezna się w niej nigdy. Uczucie przytłoczenia było w niej tak silne, że zagarnęło i pomieściło w sobie wszystkie inne: lęk, zdziwienie, zakłopotanie i ciekawość.

Seminarium zajmowało parter i cztery piętra i miało niezliczoną ilość okien. Okna wychodziły na ulicę, na podwórze, na skwer i widać było przez nie błękitne albo szare niebo, deszcz albo rozkołysane na wietrze gałęzie drzew.

Wchodzi się do seminarium od strony placyku, na którym rosną kasztany. Drzwi, przez które się wchodzi, są takie jak wszystkie inne drzwi na świecie, ale tylko przy przechodzeniu przez nie tak jakoś zupełnie inaczej bije serce, niecierpliwie i prędko, jakby je ktoś nagle spłoszył.

Na drzwiach wejściowych są dwie tabliczki: „PRYWATNE NAUCZYCIELSKIE ŻENSKIE SEMINARIUM

ZWIĄZKU PAN DOBRYCH“ i „ZWIĄZEK PAN DOBRYCH“.

Na pierwszym piętrze mieści się ogromna sala z galerią i dwudziestoma oknami, umieszczonymi na dwóch poziomach.

Na tę salę schodzą uczennice na dużą pauzę, na śniadanie, na lekcje gimnastyki i godziny śpiewu — tu również co rano odbywa się wspólna modlitwa, zebrania „pań dobrych“, koncerty i „wieczory artystyczne“ oraz raz do roku rekolekcje.

Na drzwiach mniejszych sal umieszczono małe tabliczki: kurs I, kurs II, kurs III...

Jeden schodek w dół i korytarz rozszerza się w klasę z dużym oknem. Przy ścianach są ciasno ustawione stoły o podnoszonych blatach, nad stolami wiszą szafki — jest to miejsce ćwiczeń fizyczno-chemicznych, dalej „pokój nauczycielski“, „gabinet dyrektorki“, „gabinet lekarza“ i „gabinet przyrodniczy“.

Schody wiodące na „górkę“, bo tak nazywają uczennice czwarte piętro, są wąskie, malowane czerwono. U ich szczytu znajduje się mała platformka z balustradką, gdzie przechowuje się dekoracje z przedstawień i mieści się archiwum „samorządu szkolnego“; stąd też wiodą drzwi do biblioteki seminarium.

Każda z uczennic mimo jednakowego stroju ma swoją własną sylwetkę, swój głos, swoje ruchy i swoje myśli.

Na II kursie, gdzie znalazła się i Justyna, jest ich sześćdziesiąt. Hela Tutkalska, spod okna, jest maleńka i ma zupełnie białe włosy, a na twarzy krosty, jej kołnierzyk jest zawsze brudny; a Wacka Bursówna jest chuda, ma wylupiaście oczy, mówi jak mężczyzna niskim, donośnym głosem, Hela Szelechowska posiada twarz, szyję i ręce jakby wyrzeźbione w przezroczystej porcelanie, czarne włosy i czarne oczy, a Marysia Raszkówna wyróżnia się dwukolorowymi brwiami, tuż koło nosa są czarne, koło

skroni białe; Zosia Witkówna jest duża, wysoka i tęga, ma ciemną twarz, grube wargi i białe mocne zęby, a jej siostra, Mita, koścista, niska, z płowymi włosami i bezręsyimi oczyma.

Justyna siedzi na pierwszej ławce w środkowym rzędzie obok Ziuły Głogowiczówny. Podczas lekcji ma klasę za sobą, ale wystarczy, aby wyszła z ławki i odwróciła się, aby wszystkie dziewczęta mieć naprzeciw siebie.

Na wielkiej pauzie zawsze są tańce. Zaraz po śniadaniu wstaje od nauczycielskiego stołu „madame“ albo pani Maria Laskowska, nauczycielka fizyki i chemii, przechodzi na ukos salę i siada przy fortepianie. Przeważnie tańczy się walca.

Pod ścianą siedzą nieodmiennie: pani dyrektorka z surową twarzą, w granatowym fartuchu i brązowych butach, wysoko sznurowanych, pani Stefania — siwa, szczupła, ze złotym grubym łańcuchem na szyi — nauczycielka polskiego, pani Kolasińska — wesola, pulchna nauczycielka rysunków, ksiądz prefekt Ściegosz w prałatowskiej, lamowanej fioletem sutannie i pani Wanda w pince-nez — nauczycielka przyrody, historyczka — pani Zofia, delikatna, jasna blondynka, i taka sama blondynka, tylko wysoka, pani Julia — matematyczka i jeszcze inni. Piją herbatę i rozmawiają.

Ci zza stołu w niczym nie przypominają nauczycieli Justyny ze szkoły powszechnej, są raczej podobni do ciotek i wujów z imienin Naci — twarze ich są uśmiechnięte i czujne, a równocześnie pełne godności i obce.

Pod samym oknem siedzi panna Janka Muszanka — wychowawczyni II kursu. Panna Janka jest średniego wzrostu, szczupła, o szarej twarzy, mówi z lekkim kresowym akcentem. Jest młoda i starannie udaje powagę i dostojność. Natychmiast po dzwonku wchodzi do klasy, z ogromnym dziennikiem w sztywnych okładkach pod pachą, i ucisza dziewczęta.

Panna Janka jest równocześnie nauczycielką gimnastyki na wszystkich kursach. Na szyi ma wtedy zawieszony metalowy gwizdek i podczas ćwiczeń wydaje nim rozkazy. Gromada przybranych w szarawary dziewcząt rozbiega się albo nieruchomieje wokół niej, a ona lekko przymyka oczy, wydyma policzki, odrobinę czerwienieje i gwizdże.

Ona też sprawdza obecność i prowadzi tzw. „godziny wychowawcze“.

Jest ostatnia sobotnia godzina. Dziewczęta są znużone, a jednocześnie pełne myśli o jutrze, o niedzieli. Panna Janka siedzi na katedrze. Ściąga usta i zaczyna mówić:

— Dziś omówimy zagadnienie szczególnej wagi. Będzie to zagadnienie kształcenia wewnętrznego — kształcenia naszej woli — naszej mocy.

Justyna patrzy na twarz mówiącej i wydaje się jej, że wychowawczyni się śmieje. Na przekór temu, co mówi i co usiłuje pokazać skupioną twarzą, uśmiech zaczął się w kątach jej ściągniętych ust i w zmrużonych oczach.

Na jednej z takich godzin wychowawczyni zaproponowała wprowadzenie „ćwiczeń woli“.

Dziewczęta przyjęły myśl bez entuzjazmu, bo akurat przyszły mrozy i zaczął się sezon ślizgawki.

— Więc ćwiczmy swą wolę ciągle i nieustannie! Najpierw przez drobiazgi, małe akty wyrzeczenia się, podporządkowania, świadomego wyboru...

Długo wywodziła, zawile, co i jak. Sam problem był dosyć niezrozumiały i nudny. Stało na tym, że na następnej godzinie wychowawczej każda opowie, co zrobiła w przeciągu tygodnia w dziedzinie wzmocnienia swej woli.

Dziewczęta oczywiście nie brały tego na serio, po prostu zmyślały owe uczynki, „dokonywane z pobudek świa-

domego chcenia“. Najpierw robiła to każda sobie, w tajemnicy.

Na zebraniu wstawały kolejno i opowiadały: „spieszyłam się bardzo do koleżanki, ale — przeprowadziłam niewidomego przez jezdnię“, „odmówiłam sobie przyjemności pójścia na ślizgawkę“, „nie rozmawiałam na geografii“, „bawiłam się całą niedzielę ze swą małą siostrzyczką, choć tego nie lubię...“

Duże, prawie dorosłe dziewczyny mówią głośno, z poważnymi minami o dziecinnych sprawach, cała historia wydaje się czymś sztucznym, niepotrzebnym.

Ale przed następnymi sobotami było jeszcze gorzej i jeszcze mniej poważnie. Dziewczęta przed dzwonkiem na korytarzu po prostu umawiały się, co która powie: — ty o chłopcu stróża, że go uczysz, a ja o milczeniu przed snem, że się ćwiczę w wytrzymałości; ty, że odmawiasz sobie deseru, a ja, że nie klóć się ze służącą...

Justynie najpierw chciało się śmiać, a potem ogarniało ją upokorzenie i wstyd — wstyd za dziewczęta, które nie mówią prawdy, i za wychowawczynię, że daje się oszukiwać, że nie dostrzega sztuczności i wymyślności faktów, nie wyczuwa komedianstwa, ukrytego niedbale w byle jak dobieranych słowach, i że nadal sili się na udawanie powagi, że zainicjowała podobną imprezę...

Justyna, nagle zapytana, przypomina sobie, jak to z nią było, gdy wybierała sobie zawód, i o tym, że zwyciężyła siebie. Może to jest właśnie świadoma wola? poświęcenie najgłębszych pragnień...

Alé panna Janka nie daje jej dojść do słowa, nie ma czasu wyczekiwać na odpowiedź.

— Justyna jest krnąbrna i nie bierze udziału w życiu klasy, jest dzika, skryta i złośliwa, tak, jest złośliwa! Doskonale widziałam jej uśmiešky podczas wypowiedzi koleżanek. To samo odnosi się i do Głogowiczówny. Będę musiała zwrócić na was szczególną uwagę.

— Ależ to wszystko razem jest śmieszne, niewypowiedzianie śmieszne! — wybuchnęła Ziuta. — Dobrze dla dzieci z ochronki. Jest tyle poważnych zagadnień, tyle wspaniałych tematów, dlaczego...

Wychowawczyni niecierpliwie uderzyła płaską dłonią o katedrę:

— Dość! Głogowiczówna zapomina, że jest uczennicą seminarium! Seminarium w y c h o w u j e nauczycielki, nie tylko je k s z t a ł c i! Nie dorosłaś widać umysłowo do tego, co tu wspólnie od kilku tygodni roztrząsamy, nad czym pracujemy...

Ziuta w bezsilnej złości zaczęła szarpać róg fartucha. Między nią a nauczycielką leżała nieprzebyta przepaść. Głogowiczówna poza matematyką, z której miała z reguły piątkę, uczyła się miernie, a raczej nie uczyła się wcale. Była inteligentna, ale jej inteligencja chodziła najczęściej po manowcach. Jeśli złośliwy duch podsuwał jej mnóstwo pomysłów, którym nie umiała się oprzeć, kierowała się kaprysami, przelotnymi zainteresowaniami. A jednak, rzecz dziwna, chociaż była przeciętną uczennicą, koleżanki, a nawet nauczyciele liczyli się z nią — wzbudzała ciekawość.

Wśród dziewcząt, których osobowość drzemała jeszcze w karności szkolnej, wśród w z o r o w y c h nauczycieli, których zarówno wiedza, jak i inteligencja zdawały się butwieć — ten leń o pulchnej, piegowanej twarzy, krótkowzrocznych oczach i wijących się włosach, mający wybuchy szczerości i silnej woli, żył we własnym świecie, świecie stworzonym przez ludzi w niczym nie przypominających „Związku Pań Dobrych“ i całego zbiorowiska, noszącego nazwę „Seminarium Zeńskiego“.

Justynę pociągała ta bogata natura, która ją zdumiewała, od której się uczyła. Zresztą i ona, podobnie jak Ziućka, odczuwała coraz gorętsze uczucie niezależności i skłonności do buntu.

Zaraz po pierwszych tygodniach ich koleżeńskie stosunki przeszły w przyjaźń. Miały wspólne namietności — od miłości do muzyki i prób pisanie poezji, aż do intymnych skrupułów moralnych i upajającego, co dzień rosnącego pragnienia życia.

Jednakowo wzburzone wyszły z klasy i milczące zaczęły spacer wzdłuż korytarza. Wreszcie Ziuta zwierzyła jej tajemny sekret:

— Chłopcy powiedzieli, że możemy przyjść na ich zebranie...



Każda nauczycielka jest inna i każda lekcja jest inna. Na polskim jest cicho i pracowicie, na rysunkach — wesoło. Na rysunki przychodzi pani Kolaśńska zwana przez uczennice „Kundzią“ albo „Petronelą“. Wysoka, szerokościasta, głośna i serdeczna. Przyjaciółką pani Kolaśńskiej jest pani Wanda — przyrodniczka. Różni się między sobą wszystkim: pani Wanda jest maleńka, szczupła, śmieje się rzadko, jest wymagająca i drobiazgowa. Pani Wanda została przezwana jeszcze przez I kurs „Amebą“ i tak już zostało, a że jest maleńka, spieszczono z czasem „Amebę“ na „Amebcię“.

Dwa razy tygodniowo klasa, podzielona na grupy, ma przyrodę w gabinecie przyrodniczym: jedna grupa zostaje na robotach z panią Wiernucką, druga idzie na zoologię do „Amebci“. Dziewczęta przechodzą po cichu przez dwa korytarze i zajmują miejsca przy stołach, na których stoją mikroskopy.

— Ameby — pełzaki. — Gromada — Amoebina. — Rodzaj — jednokomórkowe — korzenionózki.

Nie dostrzeżona okiem drobina, przykryta szkiełkiem, zaczyna żyć pod mikroskopem.

Pani Wanda wymienia kolejno nazwy polskie i łaciń-

skie, kształt, przemiany, znaczenie, sposób rozmnażania się, powinowactwa i przynależności.

Życie ma swe proste mechanizmy, we wszystkim istnieje ład i porządek, hierarchia, miliardy bytów, materia...

Justyna z początku przyglądała się pani Wandzie z odzieniem złośliwej nieufności.

Pani Wanda jest mała, brzydka i śmiesznie zwija włosy w koczek, który z kolei chowa pod włosy i podpina szylkretową szpilką.

I te ćwiczenia, tak naprawdę, są porządnie nudne z całą kolejnością drobiazgowych obserwacji i notatek. Ale na którejś z lekcji pani Wanda podeszła do ich stołu i jedynym nieznacznym ruchem małych, zwinnych palców na-
stawiła mikroskop.

— Popatrzcie no teraz!

Justyna pochyliła się niechętnie. Zabarwiona na fioletowo kolonia polipów ożyła nagle. Maleńkie kielichy o naciętych, wywiniętych krajach, cieniutkie łodyżki, migający ruch rzęsek... Oko nie może się oderwać od oglądanego! Jeszcze i jeszcze...

Justyna podnosi głowę i patrzy prosto na twarz nauczycielki, patrzy olśnionymi oczami, twarz „Ameby“ jest bardzo spokojna, poważna, brzydka, zwyczajna.

Od tej lekcji, od tej chwili Justyna polubiła przyrodę i panią Wandę.

Prócz profesora śpiewu są jeszcze dwaj wykładowcy: pan Rański—historyk i ksiądz prałat—Mikołaj Ściegosz.

Prałat zawsze się spóźnia na lekcję. Jest średniego wzrostu, ma krótką, grubą szyję, ciemnoczerwoną, skłoną do sinienia twarz i krótkowzroczne oczy, przykryte pince-nez w złotej oprawie, ze zwisającym na piersi czarnym jedwabnym sznurkiem, zaczepionym luźno o guziczek sutanny. Ręce zaplata na piersiach i nieustannie kręci wielkimi palcami młynka.

Nim zacznie mówić, ściąga wargi w mięsisty ryjek

i przez jakiś czas szeleści obracaną językiem sylabą: szta... szta... To: „szta, szta“ i pospieszny młynek wielkich palców występują nieodmiennie i są najbardziej charakterystyczne dla całej postaci prefekta.

Temat lekcji jest trudny i mało zrozumiały. Chodzi o liturgię, o szaty kościelne. Ksiądz prałat każe otworzyć książki i wyznacza: „Odtąd — dotąd, moje drogie...”

— To sobie przeczytacie, szta, szta, moje drogie...

Ksiądz Ściegosz jest doktorem teologii, badaczem i teoretykiem, wielokrotnie podróżował do Ziemi Świętej i poświęcił się studiom nad chorobami tropikalnymi. Któregoś dnia przyniósł do klasy pierwszy tom dzieła „O stanie zdrowotnym Centralnej Afryki“, napisanego przez siebie, i w środku lekcji zaproponował wspólne przeczytanie kilku rozdziałów.

Wacka Bursówna stanęła pośrodku klasy i unosząc demonstracyjnie tom do oczu zaczęła czytać basowym, dudniącym głosem. Ksiądz prałat oparł się plecami o poręcz krzesła, westchnął, zwolnił ruch palców i wygładził w błogim uśmiechu fałdy policzków.

Grube, spierzchnięte wargi zwilżał coraz językiem, wielkie palce obracał z uwagą i dostojeństwem. Jego łysiejące od czoła siwe włosy przeświecały mocną różowością skóry.

Lekcje religii są do siebie podobne jak paciorki nawlezione na jedną nitkę, związaną końcami w krąg — krótkie zadawanie lekcji z dokładnym wyznaczeniem: „stąd — dotąd“, trzy uczennice wywołane do odpowiedzi, jedna po drugiej, według listy, i wreszcie „Stan zdrowotny Centralnej Afryki“!

Głośnie czytanie trwa z reguły do końca godziny.

Z rozkładu lekcji — rachunki wypadają przeważnie po religii. Na rachunki przychodzi do klasy panna Julia, właściwie „panna Juleczka“. Wbiega trochę spóźniona, spiesząca się i niespokojna.

— To już był dzwonek, co? jak?

Przekrzywia jasną głowę z krótko obciętymi włosami na lewe albo prawe ramię i oczy kieruje na klasę.

Zaaferowana otwiera dziennik i wywołuje pierwszą lepszą z uczennic do tablicy, dyktuje zadania.

Dziewczęta z ławek podpowiadają wywołanej, pytania mnożą się w nieskończoność, wszystko jest coraz bardziej zawile i splątane. Za chwilę będzie dzwonek, a nikt nie dobrnął do końca, nikt: ani ta, co stoi przy tablicy, ani Ziuta Głogowiczówna, która jest najlepszą matematyczką w klasie, ani Lodka Pesz, ani żadna od pierwszej do ostatniej ławki — ani nawet panna Julcia.

Przekrzywia głowę i czeka razem z całym kursem na to, co „wypadnie“, ale właśnie nic nie chce „wypaść“ nic, w co by można uwierzyć — raz 1 kg kawy kosztuje 12 i $\frac{1}{2}$ tys. zł, a raz ułamek złotych.

— Nie, nie, musiałyśmy się gdzieś pomylić!

Odpowiadająca uczennica do reszty zdeorientowana wyciera długie, schodkowato zbiegające w dół tablicy słupki dzielenia. Zaraz jest dzwonek i zadanie ma być rozwiązane w domu.

Justyna nie znosi liczenia ani zadań, ani geometrii.

Są jeszcze i inne lekcje: jest historia, wykładana przez pannę Zosię, i geografia przez pannę Henrykę, i kaligrafia z panią Zienko, i fizyka z panną Marią.

Każdy dzień od rana do 2,30 rozdzielony jest godzinami lekcji, ujętych w ramy długobrzmiących dzwoneków, których dźwięk słychać równocześnie na pierwszym, drugim i trzecim piętrze.

Uczennice II kursu doskonale orientują się w stosunkach panujących w seminarium. Po drobiazgach, po nic na pozór nie znaczących słowach, gestach, uśmiechach dochodzi się do ustalenia i sklasyfikowania osobowości nauczycieli i praw rządzących szkołą, wykrywa się wza-

jemne konflikty, tarcia i animozje. I tak: pani Wanda unika księdza prałata, a on jej, nie mogą się wzajemnie znosić. Pochylona nad mikroskopem, preparatem owada czy ryby, uzbrojona w lancet i pensetę, jednym zdaniem przekreślała niekiedy całe wywody prefekta o stworzeniu świata, nie napomykając o tym ani słowem. Była ścisła, oszczędna w dowodzeniach, na wskroś empiryczna. Najbliższą jej była „Kundzia“, o której krążyła właściwie niczym nie uzasadniona plotka, że „uwielbia Woltera“.

Nie entuzjazmowały się prałatem również — fizyczka i nauczycielka geografii pani Henryka.

Zdecydowane stronnictwo prefekta stanowili: Julia, dyrektorka, profesor śpiewu Wincentowicz i Jańca; oni to nadawali ton szkole.

Całą tę grupę cechowała oschłość, maskowana sztuczną serdecznością, rutyna i nieufność w stosunku do młodzieży.

Inni spośród wykładowców pojawiali się razem z dzwonkiem w klasie, dopełniali swych obowiązków i odchodzili z doskonałą punktualnością automatów. Nie wiedziało się o nich prawie nic.

W pokoju nauczycielskim na stole, ustawionym pośrodku sali, w wazonie stoją srebrnoróżowe, puszyste bażki. Delikatne aksamitne grudki przylgnęły do brązowych prętów — gałązki są smukłe i końcami nurzają się w wodzie. Naokoło stołu, pod piecem i przy oknie, stoją panie-nauczycielki.

Jest już po lekcjach i Justyna jako dyżurna przyszła do gabinetu sprawdzić plan godzin na jutro.

Nauczycielki rozmawiają między sobą. Prawie wszystkie mają łagodne, układne twarze i powagę, żadna z nich nie dostrzega sprawdzającej plan Justyny. Między nią a nimi stoi trzysta sześćdziesiąt podobnych do siebie, ubranych w czarne fartuchy z rękawami, uczennic i ich własna dorosłość — mądra doświadczeniem, obojętna.

ROZDZIAŁ IV

Justyna wracała ze szkoły najczęściej kolejką, odchodzącą ze stacji „Most-Jabłonna” — o 2,45. Tego dnia spieszyła się bardzo, bo miała wyjątkowo dużo lekcji do przygotowania.

Nadchodziła wiosna. Na kasztanowych drzewach obok domu dróżnika, tuż za stacją, siedzą wróble i krzyczą głośno, gałęzie drzew są zupełnie bezlistne, ale cała korona wydaje się już jakby powleczone żółtozielonawym nalotem, pierwszą barwą słonecznych dni.

Justyna dochodzi do kościoła, koło furtki kościelnej stoi zakrystian, „dziobaty Feliks” stoi, jakby na coś czekał, bo rozgląda się pilnie, główne drzwi kościelne są otwarte i widać przez nie doskonale ciemne wnętrze.

Feliks odpowiada Justynie „dzień dobry” i daje jej znak, by się zbliżyła.

— Czy to Justyna nie wie? Umarł przecież stary Branich, weteran, zaraz go przywiozą.

Justyna aż się oparła o sztachety kościelnego ogrodzenia:

— Pan Branich? pan Teodor?

Justynie natychmiast przypomina się wszystko: siwe włosy, błękitne oczy o łagodnym, dziecinnyim wyrazie, zwędlę usta i pomarszczone, jak jesienne jabłko, policzki. I mundur z wypustkami, i rogata czapka z orłem i gwiazdką.

Przed kościołem zbiera się gromadka ludzi, parę kobiet, kilku Żydów i grupa dzieciaków.

Justyna czuje gorący żal po zmarłym. Był taki dobry. cichy, pogodny, ufny i nikomu nie zawadzający. Był dzielny, był odważny.

Justyna poznała dokładnie historię powstania styczniowego z książek i z lekcji, ale jeżeli odczuwa kult dla bohaterstwa tamtego czasu, to właśnie poprzez niego, po-

przez swego „znajomego weterana“, łagodnego pana Teodora Branicha.

Kościelny Feliks każdemu oddzielnie opowiada, jak to miał w zwyczaju, o sobie, że wypożyczył kościółek, że otworzył, że czeka na pana Branicha, co go zaraz przywiozł, że on już taki jest, że wszystko musi zrobić porządnie, dokładnie, a już co do kościoła, to i nie wypada inaczej...

Rzeczywiście zaraz przywieźli nieboszczyka na zwyčajnym chlopskim wozie z wysokimi, drewnianymi bokami, spoza których z daleka wcale nie było widać niewielkiej, czarnej trumny. Musiała być lekka, bo ludzie dźwigali ją wysoko i ponieśli szybko do kościoła.

Feliks wszedł na schodki katafalku i położył na trumnie granatową rogatą czapkę pana Teodora.

Pani Branichowa uklękła i pochyliła się nisko, garbiąc zupełnie swoją szczupłą, kościstą figurę. Ludzie stanęli w samych drzwiach.

Pan Teodor umarł... Stary już był, bardzo stary i nie nie słyszał od dawna... Ale i to jest nieważne właściwie... Ważne jest tylko to, że się umiera, umiera się w różnych okresach życia, że wszystko zostaje, jak było, a tylko kończy się jakieś jedno istnienie.

Justyna przechodzi powoli przez szwajcarnię i w zamysleniu zawraca ku domowi. Dzikie wino nie zasłania siatki oddzielającej podwórze od szopy, bo jest dopiero przedwiośnie i cały widok leży odsłonięty. Wszystko jest jak co dzień, jak zawsze, tyle tylko że umarł pan Branich, stary weteran, głuchy, siwy, o łagodnej twarzy.

Justyna spogląda na szosę i na domy, na żelazną siatkę na czerwonej podmurówce... Jak się Branichowie tu sprowadzili, nie było tej siatki i nie było bocznicy kolejki, i fabryki, tylko studnia z żurawiem, żłoby i restauracja Kłoseckich. Jakże to już dawno!

Między rowem a szosą po wydeptanej ścieżce jedzie

ktoś na rowerze. Justyna patrzy na szybko zbliżającą się postać — już jest tuż, to Urban!

Zeskoczył lekko i pobeigłszy kawałeczek skręcił przez mostek i przez szyny do samego ogrodzenia.

To Urban, student, brat Albina... stoi o kilkanaście kroków za siatką i uśmiecha się przyjaźnie.

— Dzień dobry!

Justyna mimo woli robi kilka kroków przed siebie.

— Ze szkoły?

Justyna mówi „tak“ i zaraz nawraca do tego, o czym myśli:

— Umarł pan Branich, weteran — z żalu drżą jej wargi.

O dwa metry przed nią stoi Urban i widzi dokładnie jej smutek i poruszenie.

— Nie trzeba myśleć o śmierci...

Oczy Urbana są zielonawe, przezroczyste i głębokie.

— Każdy przecież musi umrzeć i tylko to jest ważne, jak się żyło. O, proszę spojrzeć wkoło: tor kolejki, fabryka, te lipy... wszystko to dzieło ludzkich rąk, ludzka praca. Może niejeden spośród tych, którzy mozolili się nad nią, już odszedł, ale ślady ich zostały, dzieło ich życia trwa, służy innym...

Justyna patrzy w twarz Urbana poprzez oczka żelaznej siatki, na jego mocno związane szczęki, wąskie wargi i zęby niezwykle białe i równe, odsłonięte w uśmiechu, patrzy i myśli, że cokolwiek by się mówiło, sama śmierć właśnie jest ważna, sama śmierć, to, co przychodzi nieodwołalnie i odcina teraźniejszość od przyszłości, jak nieubłagany miecz.

Przez jakiś czas stoją naprzeciwko siebie bez słowa. Po chwili Justyna przypomina sobie, że już jest późno i że trzeba przygotować obiad, żegna więc Urbana i odchodzi.

Nazajutrz był pogrzeb. Przyjechała z Warszawy dele-

gacja weteranów dorożką, były wieńce, światło i kwiaty i ksiądz przemawiał na cmentarzu. Pani Branichowa miała czarny kapelusz z welonem i woalką na twarzy, słuchała z powagą kondolencji i coraz wzdychała głośno.

Matuśka zwolniła się o trzeciej z fabryki i była też na pogrzebie.

Zaraz po ceremonii przystąpiła do niej pani Paulina i z wielkim ubolewaniem zaczęła skarżyć się na swój los.

— Umarł, nieborak. I do tego na trzy dni przed pierwszym, tak, złociutka, tak! i emerytura przepadła! Żeby te trzy dni, żeby te trzy dni sobie pożył, toby wypłacili, a tak — nic! Tyle pieniędzy!

Jest bliska płaczu.

Matuśka mówi o samotności i o tym, że mąż to jedyny, prawdziwy przyjaciel, ale pani Paulinie w tej chwili nie o to chodzi, strzepuje nerwowo rękoma i nawraca do swej „wielkiej straty“.

Justyna przyłączyła się do orszaku pogrzebowego na Toruńskiej — wracając ze szkoły. Matuśka opowiadała Justynie o Związku Weteranów. Nie wszyscy, którzy brali udział w powstaniu, chodzą w mundurach i należą do Związku, dziadek Wincenty nie należy...

— Dziadek Wincenty?

— Tak. Ojciec, mimo że bił się w 1863 roku, zapomniał o tym, jak i o wielu innych rzeczach... — dodała z gorącością.

Na przejeździe wracający z pogrzebu zbili się w gromadkę, bo szlaban był opuszczony, na torze manewrował pociąg.

Pani Branichowa zaczęła natychmiast od początku:

— Żeby poczekał z umieraniem choć te trzy dni, a tak, przepadło! Cała miesięczna renta, jakby ją w błoto rzucił...

Pani Branichowa mówi przez cały czas. Justyna do-

piero teraz uświadomiła sobie ten fakt. Matuśka od czasu do czasu pyta:

— Jak, jak? no, nie dosłyszałam.

— Justynka dorasta, tak, tak, moja złociutka, nawet już kawalerowie zerkają przez parkan, a jakże, a taka była niedawno malutka, o, tycia...

To o niej, o tym wczorajszym spotkaniu z Urbanem...

Teraz już i matuśka dosłyszała, ale widać przyjęła to zupełnie naturalnie, bo uśmiecha się nadal serdecznie i kiwa lekko głową na znak potwierdzenia.

Ale pani Branichowej widocznie nie chodzi wcale o fakt dorastania dzieci matuśki, tylko o Urbana, bo po chwili nawraca:

— Bo to sama widziałam kawalera z Justynką, i to ładnego kawalera, ho, ho!

Matuśka patrzy z uśmiechem na Justynę, widać po jej twarzy, że słyszała słowa pani Branichowej, słyszała i teraz pyła o coś oczyma.

Czemu serce tak wali, jakby chciało zagłuszyć inne głosy, czemu do policzków uderza fala gorącej krwi. Przecież to nic... Przecież to nic złego, nie ma powodu odczuwać zawstydzenia i Justyna mówi zaraz, jak to było.

Matuśka już wszystko wie, ale pani Branichowa stroi plamiastą twarz w chytry uśmiech i tonem stręczycielskim zaczyna wychwalać Urbana:

— To porządny kawaler, nie można mu nic zarzucić, grzeczny i przystojny, aż miło popatrzeć, i już po woj-sku. W sam raz, w sam raz, złociutka!

Justyna nie wie, do czego się odnosi to „w sam raz“, ale jest jej przykro za panią Branichową, która z taką łatwością przeszła od myśli o zmarłym mężu do plotek i cudzych spraw.

Koło szwajcarni pożegnały się i matuśka z Justyną skręciły do domu, na ścieżce koło garażów Anna zatrzymała się i wskazując na dawne mieszkanie Branichów, powiedziała:

— Szkoda pana Teodora, bardzo szkoda, był zacnym, uczciwym człowiekiem.

Zaraz po obiedzie Justyna zaczęła odrabiać lekcje. W kuchni Paweł gra na organkach, przytupując nogą, ciągle ten sam motyw z walca „Na falach Dunaju“.

Matuśka zmywa naczynia, rąbie drzewo, zamiata, jej lekkie kroki słychać to bliżej, to dalej, błędzące, niestruzione...

Justyna powoli głuchnie na odgłosy domu — szybko, starannie wpisuje do zeszytu ćwiczenia, pochyla twarz nad książką... Cyfry, rysunki, wykresy, daty, nazwy krajów, imiona, czyny, zdarzenia, formuły... Pamięć jest jak gąbka, nasiąka, nasycy się, rozpręża, oczy przebiegają wiersze jeden za drugim, jeden za drugim. Justyna lubi uczenie się.

Późnym wieczorem odkłada do teczki zeszyty i książki na poniedziałek, zasłania lampę papierem od strony matusiego łóżka i zaczyna czytać. Czytać „swoją“ książkę, nie szkolną. Zawsze wieczorami tak czyta i to jest najmiłsze w całym dniu, ten czas czytania.

Naokoło jest bardzo cicho, w mieszkaniu, na podwórku i na szosie. Za oknem czasem pada deszcz, czasem śnieg, czasem zawodzi wiatr — za kręgiem światła leży mrok, a książki są cudne. Reymont, Prus, Żeromski, Gogol, Maeterlinck, Andrzej Strug...

Zegar bije godziny coraz szybciej, coraz bezlitośniej. Oddech Justyny jest pospieszny albo powolny, zależnie od uczuć, jakie rodzą się w serdecznym współzyciu z bohaterami powieści. Czas mija.

ROZDZIAŁ V

Pani przełożona „Prywatnego Żeńskiego Seminarium Pań Dobrych“ nie jest młoda, nie jest elegancka — chodzi w granatowym, satynowym fartuchu, wysoko zapiętym z przodu, i w brązowych sznurowanych butach, jest średniego wzrostu, ma ciemne włosy, siwiejące na skroniach, niestaranie zebrane w mały, sterczący koczek, zapięty na druciane szpilki, oczy jej, zupełnie pozbawione brwi, są duże, bardzo niebieskie, okrągłe i jakby umieszczone trochę za płytko. Te oczy widzą dosłownie wszystko. Ich wielka jasność i przenikliwość sprawiają, że patrzącego w nie mimo woli ogarnia zażenowanie.

Często zatrzymuje pierwszą lepszą uczennicę na schodach albo na korytarzu i jakby nigdy nic pyta ją ostrym, mocnym głosem:

— Jak się nazywasz?

Spłoszona dziewczyna staje naprzeciw, oblewa się gorącym rumieńcem i odpowiada jękając się.

— Jak? mów po ludzku!

Pomieszanie uczennicy rośnie, oczy przełożonej wnikają do jej wnętrza i płaczą do reszty myśli.

Twarz przełożonej jest tak nieruchoma, że przypomina zastygłą maskę z wypalanej gliny. Żyją w niej tylko oczy. Skupiona w sobie, masywna, robi wrażenie, że siła jej jest niewidoczna, dopóki nie sięgnie, aby jej użyć, i jest tak wielka, że potrafi porazić i zmiażdżyć każdego.

Po takim jednym spotkaniu przełożona wie o owej uczennicy wszystko, wie i pamięta. I na sesji podczas klasyfikacji, i później przy podpisywaniu cenzur, i na przyszły rok, i przez całe pięć lat. — Ach, to ta? ta, co nie umie nawet dokładnie wymienić swego nazwiska? I ma upudrowany nos? To skandal, żeby uczennica seminarium używała pudru!

Justyna nie lubi pani przełożonej. Wyczuwa w niej

naturę oschłą, pedantyczną, skłoną do uraz. Przekonała się również, że przełożona jest niesprawiedliwa. Jej niesprawiedliwość i oschłość ujawniła się przede wszystkim w sprawie woźnego Franciszka.

Franciszek Pękala jest starszym woźnym w Seminarium. Zajmuje się dzwonkami i sprzątaniem trzeciego piętra, prócz tego do niego należy konserwacja instalacji elektrycznych. Woźny Franciszek jest gruzlikiem. Ma delikatną, prawie przezroczystą twarz, podkrążone oczy o smutnym wyrazie, zapadniętą klatkę piersiową i bardzo chude, nienaturalnie białe ręce. Franciszek jest żonaty i ma troje małych dzieci, bladych, z wyraźnym piętnem krzywicy, brzydkich. Mieszka z żoną i dziećmi w suterenie, zupełnie ciemnej, do której się schodzi prawie piętro w dół.

Justyna była tam i po prostu przeraziła się tego mieszkania. Było to przed samym Bożym Narodzeniem. Któregoś dnia po lekcji rysunków kilka dziewczynek z ich kursu zostało z „Kundzią“ na ubieranie choinki. Czekwały w sali na umocowanie drzewka w drewnianym stojaku na estradzie. Franciszka nie było. Pani Kołasińska posłała Helę Tutkalską na parter, aby go przywołać, ale i tam nie było woźnego.

— Idź, Justyno, do niego do mieszkania; i niech weźmie piłę, bo może trzeba będzie obciąć...

Justynka zbiegła na dół i tam od starej odźwiernej, „babci Sobieskiej“, dowiedziała się, że do „pana Franciszka“ idzie się „bez sionke koło klozetów i zara schodkami w dół, tylko pomalu, bo tam ciemno, a schody nieporęczne“.

Wybiegła w fartuchu, bo to było zupełnie bliźutko z sieni.

Tu mieszka Franciszek. Tu, obok piwnic z węglem. Izba jest niewielka i mroczna. Naprzeciw drzwi pod samym sufitem jest maleńkie, zakratowane okno z odrobi-

ną śniegu na szybkach. W progu stoi komoda, przykryta szydełkową serwetką, nad komodą wisi obraz święty, a na małej półeczce stoi zapalona lampka. Mała okruszyna czerwonego światła nie rozprasza cienia, przeciwnie — nasila go. Pod ścianą przy stole Franciszek je obiad. Na kolanach ma najmłodsze dziecko — rocznego Stasia, na kufrze siedzi pięcioletnia córka, która je z jednego talerza z ojcem. Pękalowa stoi obok ze średnim synkiem na ręku, chorym na koklusz Piotrusiem. Izba jest pełna zaduchu kwaszonej kapusty i zjelczałego tłuszczu, wilgoci i stęchlizny.

Justyna jest tak zaskoczona, że w pierwszej chwili zapomniała, po co tu przysła.

— Niech panienka spocznie, proszę...

Franciszek w pośpiechu dojada z talerza.

Oczy Justyny przyzwyczały się już do mroku i widzą wyraźnie całe wnętrze izby. Dwa drewniane łóżka z kolorową pościelą, przy drzwiach gliniana kuchnia z czarną płytą fajerkową. Pękalowa wygarnia z saganka kłuski na blaszaną miseczkę.

— Stasiu, ukłoń się panience, no... powiedz ładnie: „dzień dobry“.

Stasia zsuwa się z krzesła i na swoich żałosnie krzywych nóżkach zbliża się wstydliwie do Justyny.

Justyna głaszcze ją delikatnie po główce, włosy Stasi są bardzo jasne, prawie białe, i miękkie. Justyna chciałaby wziąć Stasię na ręce i przytulić jej główkę do twarzy, chciałaby powiedzieć im wszystkim coś bardzo miłego i wesołego, coś, co by ich uradowało, ale krępuje ją własna niemoc, słowa uciekają z pamięci, a myśli stają się bezwładne i żalosne.

Wychodzą ze stancji i zaraz jest wszystko jak zwykle. Franciszek cichy, uprzejmy i pracowity, słucha uważnie rozkazów pani Kolasińskiej i wypełnia je dokładnie.

Świerk pachnie żywicą, lasem i szeroką, wolną prze-

strzenią... Mieszkanie Franciszka jest okropne i jak to się dzieje, że starszy woźny „Seminarium Pań Dobrych“, które z urzędu zajmują się propagowaniem filantropii, mieszka w takiej norze? W tym tkwi jakaś potworna niesprawiedliwość...

Ale sprawa woźnego Franciszka, nie była czymś odosobnionym. Były jeszcze inne historie, na przykład z odźwierną Sobieską, zwaną przez wszystkich „babcią“, której zajęciem było pilnowanie parteru.

Twarz Sobieskiej była niby upieczone w piecyku jabłko — rumiana, pomarszczona i okrągła. Małe, niedowidzące już oczy, otoczone niezliczoną ilością bruzd i fałd, bezzębne usta, uśmiechające się dobrotliwie, garbate od wielkiego utrudzenia plecy, starcze, bezsilne ręce i ledwo suwające się nieposłuszne nogi były obrazem pełnej starości, niedołęstwa i wzbudzały litość.

Babcia siedzi na ławce między wieszakami i oknem i pilnie wpatruje się w drzwi. Na odgłos dzwonka albo pukania podnosi się i drecze, by otworzyć.

— Dzień dobry łaskawej pani, dzień dobry!

— Dzień dobry panienczel

— Dzień dobry szanownemu księdzu prałatowi!!!

Sto — dwieście razy na dzień wstaje z ławki, otwiera drzwi i powtarza: „Dzień dobry!“ Robi to zawsze jednakoowo chętnie i zawsze uśmiecha się najserdeczniej przy swoim powitaniu.

Prefekta, prezeskę Związku i panią przelożoną całuje z namaszczeniem w rękę i pomaga im zdjąć palta i kałosze, przyklękając na obydwie kolana u ich nóg.

Aż raz zdarzył się wypadek, skradziono z wieszaków palto panny Julii i drugie, jednej z uczennic. Palta były stare, o tym wiedzieli wszyscy, ale to, jak się okazało, nie miało żadnego znaczenia. Wypadek przeraził babcię bezgranicznie.

— O, Jezu, Jezu, jakie nieszczęście!!! Państwo kocha-
ni!... Najdrożsi!...

Przełożona natychmiast po wypadku wezwała do kancelarii Franciszka, młodszego woźnego — Józefa i Sobieską. Rozmowa była nadspodziewanie krótka.

— Palt na parterze pilnuje Sobieska. To należy do jej obowiązków wymienionych w umowie. Palta trzeba odkupić, i to dziś, zaraz. Kasa seminarium wyłoży na razie potrzebną na to sumę, którą następnie strąci się z pensji odzwiernej.

— O, Jezu!... Pani wielmożna! pilnowałam jak ten pies...

— Ale nie upilnowała Sobieska. Proszę tu podpisać...

Przełożona patrzyła na staruszkę swymi okrągłymi, wypukłymi oczyma, z których wyczytać było można bez trudu, że wyrok jest nieodwołalny.

Ręce babci tak były roztrzęsione, że nie mogła w nich utrzymać pióra, stawiając trzy krzyże...

Plakała przez tydzień żałośnie, po cichu — plakała rano, w południe i po obiedzie. Łzy ciekły po jej pomarszczonej, okrągłej twarzy, mieszały, ściekały spod zapuchniętych, czerwonych powiek i gubiły w czarnej chustce, zawiązanej pod brodą.

— Taki pieniądz... Co miesiąc, co miesiąc, a za co jeść? Mój Boże... Żeby choć na ten chleb... — Skarga rozplywała się w ledwo dosłyszalnym szlochu.

„Odkupione“ palto pani Julii było granatowe, z wysokim fokowym kołnierzem i szerokimi mankietami z futra, na jedwabnej podszewce i podwójnej watolinie, uczennicy też granatowe, z szarym barankiem.

Było ciągle jeszcze zimno i chodziło się „po zimowemu“, więc codziennie „babcia“ oglądała załzawionymi oczyma tę „swoją stratę“.

Panie Wanda i Kolasieńska zaczęły, oddając babci pal-

ta, zostawiać w jej palcach niewielkie datki. Zwyczaj ten z czasem przejęli i inni...

A i z samą Justyną postąpiła kiedyś przełożona niesprawiedliwie. Było to tak:

Podczas wielkiej pauzy dziewczęta jadły w sali na pierwszym piętrze drugie śniadanie, Justyna była „dyżurną od kwiatów“, więc została na górze i podlewała rośliny na korytarzu i w klasie, biorąc wodę z kranu w „korytarzu fizycznym“.

Na korytarzu były pootwierane okna — było jasno od słońca i zupełnie pusto. Z dołu dolatywał gwar wielu głosów z górującymi ponad wszystkim dźwiękami walca, granego na fortepianie przez madame. Nagle z gabinetu przyrodniczego wyszła pani Wanda i nie zatrzymując się na korytarzu skierowała wprost na schody. Drzwi wyjściowe, zostawione otwarte przez „Amebę“, trzasnęły mocno.

— To skandal! To jest skandal, żeby w ten sposób zamykać za sobą drzwi! Wróć się w tej chwili i zamknij je jeszcze raz porządnie!

Justyna odwraca się — zaskoczona; w jednej ręce trzyma konewkę do połowy napełnioną wodą, w drugiej suchy liść pelargonii — żółty, pomarszczony, zbrudzony ziemią. Przed nią stoi pani przełożona, jej kości policzkowe są pokryte czerwonymi plamami, zęby błyszczą spod odchylonych warg, a okrągłe, niebieskie oczy mają w sobie doskonały chłód.

Skąd się przełożona wzięła na korytarzu? I przecież to nie ona... Justyna chce powiedzieć, że to nie ona, że nie pójdzie zamykać drzwi, że to jest po prostu śmieszne, ale równocześnie ze słowami powstają w niej pomieszane uczucia: złości, przekory, wewnętrznej niemocy i wreszcie, niewymownie przykre, niezwalczonej uległości. Ale jednak nie, nie pójdzie, nie pójdzie za nic...

Przełożona w pierwszej chwili jest tak zdziwiona nie-

posłuszeństwem uczennicy, że aż jej szyja pokrywa się czerwienią, a ręce strzepują niespokojnie fartuch.

— Słyszałaś?! Ty, ty, jak się nazywasz?!

W Justynie rośnie uległość i jak fala zalewa sobą wszystko inne.

Chwilę patrzą na siebie i Justyna ma świadomość poniesionej klęski, bez słowa ustawia konewkę na parapecie okiennym, odwraca się, przechodzi do drzwi, otwiera je na całą szerokość i powoli, ostrożnie zamyka, cicho i bardzo uważnie, trwa to nieskończenie długo...

To tak jest? To wystarczy mieć władzę, by kogoś złamać? Dlaczego nie mówiła? Nie usprawiedliwiła się? Było z nią tak jak z babcią Sobieską... tylko że tamto było stokroć okrutniejsze, brutalniejsze.

Ręce Justyny drżą, a powieki mrugają, jakby poraził je blask. Już nie ma pani przełożonej — już poszła.

Właściwie panna Janka Muszanka — wychowawczyni ich kursu, jest podobna do przełożonej, tylko że wszystko w niej jest jakby pomniejszone; dziewczęta wyczuwają to doskonale i próbują się jej przeciwstawiać.

Panna Janka lubi zdyscyplinowane uczennice, wojskową postawę, energiczne ruchy, zdecydowanie. Naładowana teoriami pedagogicznymi operuje gotowymi ocenami charakteru i skłonności. Nie uznaje konfliktów, subtelności, razi ją wszystko, co wykracza poza normę.

Justyny nie lubi. Nie lubi jej za różne rzeczy, za to, że się przyjaźni z Ziutką.

— Zbytnią przyjaźń między dziewczętami prowadzi często do zboczeń, degeneruje psychikę, wypacza wyobraźnię — powtarza kwaśno przy każdej sposobności, ale nie lubi jej przede wszystkim za to, że nie płaci pełnej taksy za szkołę.

Sprawa pieniędzy w ogóle wikłała się coraz bardziej. Przede wszystkim chodziło o muzykę.

Początkowo lekcje Justyny u Anastazego Krupy miały

charakter dorywczy. Zostawali od czasu do czasu po próbie chóru w pustej sali towarzystwa „Rozwój“ i organista tłumaczył jej przez pół godziny sposób odczytywania nut, stopniowo jednak przeszli na systematyczne spotkania dwa razy w tygodniu.

Anna postanowiła to uregulować i któregoś dnia poprosiła organistę o lekcje fortepianu dla córki. Oplatę umówiono na trzydzieści złotych miesięcznie. Justynie wydawało się, że jest już zupełnie, doskonale szczęśliwą! Uczyła się grać... Przez pierwsze dwa miesiące Anna dawała jej pieniądze, ale jesień niosła za sobą dodatkowe wydatki na dom i Justyna na razie wpłaciła Krupie z pieniędzy otrzymanych od wujka Julka na szkołę. Tak się zaczęło.

Najpierw zalegała w seminarium, następnie wpłacała częściami, aż po dwóch kwartałach drugiego roku, na skutek podania złożonego w sekretariacie, zarząd „Związku Pań Dobrych“ wpisał ją na listę uczennic, korzystających ze zwrotnego stypendium. Justyna zamiast opłaty — podpisywała co miesiąc w obecności przełożonej i wychowawczyni odpowiedni kwit na pożyczoną sumę.

Tak się złożyło, że właśnie przez to doszło między Justyną a wychowawczynią do przykrej sceny, o której trzeba było potem długo myśleć.

Wczesną wiosną kortowe buciki Justyny, okładane lakierem, podarły się tak, że już nie można było w nich chodzić, podarły się doszczętnie, po prostu rozlazły.

Matuśka obejrzała je dokładnie, a następnie wyjęła z bielizniarki aż dotąd przechowywane wśród bielizny szylkretowe pudelko z wachlarzem ze strusich piór i pojechały we dwie do miasta. Wachlarz był prześliczny i Anna dziwiła się szczerze, że ocalał w jednej z szuflad toalety.

Za ten wachlarz kupiła matuśka Justynie brązowe

półbuciki na płaskich obcasach, wygodne i naprawdę ładne. Justyna wcale się z nich nie ucieszyła.

— Ty tak lubiłaś wachlarz... — powiedziała z żalem do matuśki.

— Wierz mi, że w ogóle nie pamiętam, że go miałam. Wieczorem trzeba będzie spody pantofli posmarować tłuszcem, to je uodporni na wilgoć...

Nie myślała o sobie, jak co dzień, jak zawsze. Dla Justyny pantofle stały się jak gdyby jeszcze jednym symbolem bezmiernej matczynej miłości. Postanowiła specjalnie je oszczędzać. Właśnie te pantofle zwróciły uwagę wychowawczyni.

Co dnia po ostatniej godzinie lekcyjnej dziewczęta parami schodziły do szatni. Justyna z Ziutką zmieniają pośpiesznie obuwie. „Jańcia“ spaceruje pomiędzy ławkami zajętych przez obuwające się. Justyna wyjmuje z worka swoje nowe półbuty.

— Są bardzo zgrabne — mówi Ziutka i radzi — sznurowadła schowaj do środka.

— Ja zawsze chowam, to dużo eleganciej, to tak po męsku, sportowo.

Panna Janka przygląda się bucikom z wyraźną niechęcią, wreszcie daje znak uczennicy.

Justyna kładzie żakiet na teczce i staje naprzeciw panny Muszanki. Twarz wychowawczyni wydaje się w mroku zupełnie bezbarwna.

— Masz nowe pantofle, Justyno?

— Tak, nowe.

Historia pantofli jest dla Justyny czymś bliskim i smutnym zarazem. Pytanie wychowawczyni jest jak hak, ciągnie za sobą wspomnienia.

Panna Janka patrzy na Justynę z dezaprobatą i lekko kiwa głową — ruch ten wyraża zdziwienie.

— Są na pewno bardzo drogie, widać to. Ile kosztowały?

Justyna nie wie, co ma powiedzieć, równocześnie chce przedstawić pannie Jance, jak to było, ale od czego zacząć? Od starych kortowych bucików po matusce czy od wachlarza, leżącego od lat na półce bieliźniarki. Zaczyna od bucików.

— Poprzednie buciki były podarte i przepuszczały wodę...

Ale panna Janka nie jest widać tego ciekawa, bo przerywa Justynie w pół słowa i jakby kończąc zaczęłą myśl dodaje prędko i urągliwie:

— Dziwi mnie to niezmiernie, że uczennica, która nie płaci za szkołę, która jest *z a d a r m o*, ma na takie drogie pantofle.

Przez sekundę jest tak, jakby ktoś oblał Justynę od stóp do głów ukropem, parzącym warem. Jaki wstyd, upokorzenie, obnażenie tajemnej udręki, schowanej na samym dnie serca, ukrytej przed własną myślą, urastają gwałtownie w uczucie niezwalczonej antypatii.

Panna Janka nie wie, co zrobiła, chłodno i wzgardliwie przygląda się rumieńcom Justyny, jej drgającym wargom i spokojnie zsuwa spojrzenie po jej szczupłej, wąskiej postaci aż ku pantoflom i jeszcze raz taksuje je krytycznie.

— Są zresztą nieodpowiednie dla uczennicy seminarium, zbyt jaskrawe — dodaje jeszcze pełnym niezadowolenia głosem.

Justyna nie towarzyszy jej oczom w oglądaniu nieszczęsnych pantofli, bo boi się odemknąć powieki, by nie wypuścić spoza nich łez, gorzkich łez złości i buntu.

Ziutka słyszała wszystko, wszyścusiśienko, i Baśka Wachocka, i mała, czarna Lodka Pesz, bo siedziały zbyt blisko, aby uronić choć słowo z przemowy wychowawczyni.

— Ach, nie bądź głupia, Justyno, ona przecież taka jest, uszczypliwa. Na jej krzywych nogach to i te by się wydawały nieszczególne.

Baśka Wachocka śmieje się głośno, dopłatając spokojnie warkoczy.

— Co dzień mi to powtarzają i ona, i przełożona: jesteś za darmo... za darmo... a co było, jak nie zdałam?! O Jezul! i myślisz, że sobie coś z tego robię, przecież to i tak tylko pożyczka, przecież musimy podpisywać kwity, że jesteśmy winne, nie martw się, ściągną ci z pensji co do grosza...

Ale Justyna nie może się tak łatwo pogodzić z tym, co dopiero ją spotkało. Milczy wzburzona.

Tak się jej te bućki podobały, tak je lubiła, tak się z nich cieszyła, a teraz patrzy na nie ze złością i niemal wzgardą.

W seminarium jest więcej dziewcząt, które nie płacą. Seminarium finansuje właściwie „Związek Pań Dobrych“.

Do Związku należy wiele starszych, eleganckich pań, które w większej części posiadają piękne tytuły i nazwiska. Raz do roku zbierają się wszystkie na walnym zebraniu i otwierają uroczyście „nowy okres wzmożonej działalności“. Na takie zebrania związku zapraszane są również uczennice, wolno im zajmować miejsca na galerii, gdzie muszą zachowywać się bardzo cicho.

Panie mają futrzane okrywki i czarne suknie. Idą kawaleczek na sztywnych, chudych nogach i długo wybierają sobie miejsca, certując się wzajemnie i prześcigając w przymilnych skinieniach i uśmieszkach. Ich postacie na tle wielkiej, widnej sali, pełnej zieleni i blasku, wydają się marionetkowe, sztuczne, kruche.

Z galerii nie widać twarzy zebranych, chyba że któraś odwróci się ku drzwiom albo podniesie spojrzenie na galerię. Twarze te są dziwnie podobne do siebie, jednostajne i wszystkie zwiędłe, blade. Ponadto cechuje je wszystkie jakiś wspólny im wyraz dobroci, łagodności, miękości. To są „Panie Dobre“.

Przewodniczy najczęściej zebraniu księżna Poraj-Kmitowa. Ma cichy głos o nabożnym, modlitewnym brzmieniu i oczy zakryte szklami.

Sekretarka — baronowa Kurakiewicz, odczytuje porządek dzienny.

Justyna patrzy z drugiego piętra, pochylona w dół, opierając dłonie na poprzeczce balustrady. Jest na zebraniu po raz pierwszy.

Głowy „Dobrych Pań“ z góry wydają się wszystkie jednakowe, krągłe, sztywno ustawione na karkach, siwe i — och! — lyse... Siwizna zupełnie biała albo szara prześwieca połyskliwą różowością nagiej skóry. Justyną wstrząsa dreszcz obrzydzenia. Widok jest niesamowity i ma w sobie coś odrażającego.

Ziuta chichocze po cichu, osłaniając usta, bo i ona odkryła tajemnicę głów „Pań Dobrych“.

W tej chwili pani przełożona zwraca twarz ku szepczącym i dziewczęta momentalnie milkną. Sprawozdania są nudne i długie, chciałoby się uciec na korytarz, ale nie można, bo najłżejszy hałas podniesiony na galerii slychać od razu na sali, a to znów wywołuje uwagę czuwającej nieustannie przełożonej. Trzeba więc stać w niewygodnej, zgiętej ku przodowi pozycji i patrzeć na głowy pań siedzących na dole.

Justyna mimo woli ogląda twarze kobiet, rozmieszczone przed nią jak na ogromnym ekranie, i wydaje się jej, że na każdej z nich widnieje osobliwe napięcie, jakby wszystkie te kobiety pochłonięte były własnym wewnętrznym życiem i niczym więcej. Ta pożąda zbawienia fanatycznie, żarliwie, tamta władzy, te łakną pieniędzy, owe popularności. Nagle nawiedziła Justynę wstrząsająca myśl: wśród wartkiego prądu życia każdy dba tylko o siebie, o własne zadowolenie, o własny dobrobyt, każdy pamięta tylko o własnym istnieniu. Życie innych ludzi jest tylko tłem dla własnej egzystencji, inni nie liczą się. Czy

w imię własnych interesów, własnego zadowolenia gotowi byłiby ci wszyscy tu poświęcić innych, zniszczyć cudze szczęście, oszukiwać, kłamać? Nawet ci najszanowniejsi? Myśl ta sprawiła Justynie bolesną udrękę.

*

Jest piękny dzień letni. Ulica oglądana z trzeciego piętra wydaje się być zanurzona w słońcu. Na placyku kwitną kasztany ostatnimi spóźnionymi kwiatami. Na zielonych liściach, zwisających od gorąca, leżą opadłe gwiazdki białoróżowych płatków, najlżejszy chyba liść strąca kwiatuszki w dół, lecą nikłą chmurką aż do samych kamiennych płyt, którymi wyłożony jest plac. Wiatru prawie nie ma. Przez szeroko otwarte okna słychać oddalone dzwonki tramwajów i ściszony gwar uliczny.

Zaraz się zbiegnie po schodach na parter, otworzy podwójne drzwi do sieni i wyjdzie na plac. Zaraz się stąd odejdzie. Od jutra będą wakacje, wolny, długi, złoty i niebieski czas lata.

Dziewczęta niepokoją się cenzurami. Dwanaście nie zdało. Mała Hela Tutkalska i Elżunia Klejówna — córka kamieniarza, i Zosia Lisowska, i Blaskówna...

„Ameba“ postawiła wbrew wszelkim przewidywaniom tylko osiem dwójek, ale Wincentowicz — dziewiętnaście ze śpiewu i pani Stefania chyba ze dwadzieścia, ale ostatecznie nie dwójki okazały się najważniejsze, ale opinia pani przełożonej.

Justyna rozmawia z Ziutką.

— Gdybym nie zdała, rzuciłabym seminarium!

— Swoją drogą w tym roku sieją niemiłosiernie, Janek mówi, że nauczycieli jest za mało, ale etatów brak...

Umilkły, bo do klasy weszła wychowawczyni.

Głogowiczówna dostaje cenzurkę siódma. Pochylają się obydwie nad rozłożonym na pulpicie arkuszem:

— Dobry — to sprawowanie, pilność — dobry, z polskiego — trója, rachunki — bardzo dobry. Grunt, że zdałam!

Jeszcze raz odczytują stopnie i obydwie wzdychają z ulgą.

Teraz Justyna idzie po swoją cenzurę, panna Janka krzywi usta w uśmiechu, który nie wiadomo czy jest życzliwy, czy współczujący, czy ironiczny... Justyna wraca do ławki i kładzie złożony papier na pulpicie, i czeka, aż jej palce pozbędą się drżenia.

— Jeśli nie zdałam, rzucę seminarium — powtarza jeszcze raz w myśli.

Ciekawe ręce Ziułki otwierają złożony arkusik i już, już wszystko jest wiadome: promowana na kurs trzeci...

Cenzury są już rozdane i teraz panna Janka ma przemowę. Odsunęła się z krzesłem od katedry, uderzyła otwartą dłoń w jej kant i surowym tonem zaczęła:

— Więc skończył się rok szkolny, rok nauki, a przede wszystkim pracy — nad sobą. Nie będę wam tu wyjaśniała zasadniczych problemów etyki chrześcijańskiej, bo mam nadzieję, że nie są one wam obce. Chcę tylko jeszcze raz podkreślić, że Państwo i Kościół budują przyszłość naszego narodu na m o r a l n o ś c i n a u c z y c i e l a... Szczytny zawód nauczyciela — wychowawcy wymaga od was...

Wyjaśniła z kolei rozwlekle i zawile rolę ćwiczeń woli, opanowania zmysłów i uczuć poprzez świadome ćwiczenie, poprzez nieustanne czuwanie nad sobą, swoją jaźnią.

Nareszcie w jakiejś chwili skończyła i zaraz potem podniósł się gwar rozmów.

— Ile ci dał „Wicus“?

— Trójkę? i mnie dał trójkę, no powiedz, czy to nie świństwo? Wacka Bursówna też ma trójkę i Zośka Rol, przecież to jest chryja. My... i one! „My“ — to znaczy Mitka i Justyna, „my“ to są te, które mają dobry słuch

i szybko czytają nuty, a Rol i Wacka nie mają słuchu i zupełnie nie dają sobie rady z solfeżem.

Panna Janka już wyszła z klasy i dziewczęta nie krępując się głośno narzekają na poszczególne nauczycielki i ich „niesprawiedliwość“.

Nagle Helka Szelechowska wskoczyła na katedrę i przekrzykując dookolny gwar zawołała:

— Jadę na wakacje do Urli, sama! Jadę do pensjonatu! Dziewczęta nie zwracają uwagi na jej wołanie.

— Jadę sama do Urli, tam jest ładnie! Macocha mi daje pieniądze!

Od razu wszystkie mówią o wakacjach, które przecież — już są. Uczennice seminarium rekrutują się poważnie z prowincji, z małych powiatowych miast, i teraz rozjeżdżają się do rodziców. Ziutka i Hela Tokarczyk, i Bielicka, i Marysia Raszkówna, i Nieskórska, i Stenia Bańkiewicz jadą do swych domów do Małkini, Płocka, Garwolina, Zamościa i Sarn. Od tych rozmów o wyjeździe zmienia się od razu nastrój w klasie. Oceny i w ogóle szkoła schodzą na drugi plan, wymienia się pociągi, dworce, przesiadki.

Justynie robi się przykro i smutno. To już jutro! Zobaczą się dopiero we wrześniu! Dyżurne rozdały worki od pantofli i kostiumy gimnastyczne, zdjęły firanki pozносиły kwiaty doniczkowe do sali, gdzie ustawione rzędami na ławkach będą pielęgnowane przez woźnych podczas długich, gorących dni lata.

Zeszły wolno po schodach. Justyna szczupła i drobna, z ciasno zaplecionymi warkoczami, Ziuta okrągła, pulchna, z niesfornymi włosami, które w słońcu są odrobinę ryże. Minęły ciemny parter.

— Do widzenia, babciu!

— Do widzenia, do widzenia panienczkom!

Ulica jakby czekała na dziewczęta z całym swym ciepłem i światłem. Okrążają powoli przykościelny plac

z roniącymi kwiaty kasztanami i podchodzą do rozbiegającego się w prawo i lewo chodnika.

Chcą sobie jeszcze coś powiedzieć, coś, co jest pełne znaczenia i co należałoby zapamiętać na długo, ale oczy urzeczony pięknem dnia przeszkadzają w sunących leniwie myślach...

Teczka razem z pantoflowym workiem i kostiumem gimnastycznym wydaje się Justynie tak lekka, jakby jej w ogóle nie było, i nogi niosą same... Myśli odrealniają się i jak ptaki umykają w marzenie.

Mija Krakowskie Przedmieście i schodzi w dół Zjazdu. Przed nią Wisła przykryta żelaznym mostem, który wygląda jak zawieszona w powietrzu ogromna ażurowa klatka, za Wisłą niski brzeg, płaski i dziwnie mały z daleka.

ROZDZIAŁ VI

Jest sierpień i ziemia praży się w gorącym słońcu. Powietrze jest ciężkie, gorące, tylko niekiedy przelotny wiatr od Wisły porusza leniwie liśćmi zmęczonych upałem drzew i chłodzi ziemię, z której rośliny wyssały wszystką wilgoć.

Justyna wyszedłszy przed dom usiadła na chwilę na ławce i przymknęła porażone słońcem oczy. To już minęła połowa wakacji, jej drugich wakacji od czasu wstąpienia do seminarium. Znów przesunął się rok w przeszłość... Nie działo się nic szczególnego w tym ostatnim czasie, a jednak pod gładką na pozór powierzchnią otaczającego ją życia rozwijały się dalej wypadki, dojrzewały zdarzenia, zaogniały się sprawy i dorastali ludzie.

Nieruchome od dłuższej chwili powietrze rozciął nagle przykry ryk fabrycznej syreny.

Chrapliwy, wibrujący ciężko głos spłoszył wypoczywa-

jące myśli. Drgnęła i otworzyła oczy. Pojedynczy robotnicy, ci, którzy pracowali na placu i w garażach, ukazali się pierwsi na drodze wiodącej ze szwajcarni, tuż za nimi posuwał się już cały tłum. Szli z pośpiechem, ale kroki ich były jakieś niepewne, stawiane z wysiłkiem. Ręce zwisały im ciężko wzdłuż ciała, plecy wyginały się mimo woli w łuk.

Justyna знаła ich prawie wszystkich: z fabryki, ze szkoły, z prób chóru, z bliskiego sąsiedztwa.

Po obiedzie podlewało się grządki.

Cały placyk między ogrodzeniem a dróżką przy budynkach był przez dyrekcję fabryki oddany Annie do użytku.

Justyna pospiesznie zmyła naczynia i woła na Pawła:
— Pawle! Pawle!

Upał dnia mija powoli. Głos Justyny ma w sobie czekanie, zawisa w ciszy i trwa nawołujący. Ale Pawła nie ma, nie ma go przynajmniej w zasięgu jej głosu. Czeką jeszcze chwilę na ścieżce, wreszcie wynosi z sionki wiadra i konewkę, którą ustawia w bruzdzie, i idzie do studni po wodę. Teraz chodzi się do „nowej” studni, która jest o pięćdziesiąt kroków od domu naprzeciw biurowego budynku.

Justyna kręci korbę, a wiadro zjeżdża na łańcuchu w dół, już słyhać plusk, jeszcze jeden obrót i ciężar łańcucha spycha wiadro do wody, pogrąża je, zatapia...

Justyna wyciąga ramiona i pochyla się nad otworem studni. Wiadro jest ciężkie, opiera się je o drewnianą studzienną ścianę i dźwiga w górę, by nie zaczepić dnem o deski, teraz trzeba wyciągnąć drugie...

Justyna wraca wolnusięńko. Jakże te wiadra są ciężkie! Pierwsze dziesięć kroków idzie się i myśli o podlewaniu — że najpierw fasolę i bób... następne kroki rozciągają się w uważny, mozolny chód, ręce naciągnięte sztywno drętwiąją od zakurczonych palców poprzez staw

łokciowy i przedramię aż do ramion, a później zaczyna ją rwać tępy, niezwalczonym bólem.

Jeszcze kawałek... jeszcze... głowa odpręża się do tyłu, oczy przymykają, wysilek zaczyna walczyć z postanowieniem, wola ustępuje bezsile. Jeszcze pięć kroków... Myślenie pierzcha przed omdłością ramion i bólem dłoni. Droga jest czymś nieskończonym, czymś, co się za nic nie da osiągnąć. Ale Justyna chce nade wszystko...

Wiadra już stoją naprzeciw ławeczki tuż koło okrągłego klombu. Justyna oparła się plecami o mur ściany i oddycha szybko, zdziwionymi oczyma mierząc drogę od studni do ławki, i nagle widzi jej całą krótkość, prosta dróżka, kawałeczek ścieżki obrzeżonej z prawej i lewej strony zielonością.

Odetchnęła głęboko i zaraz wzięła się do podlewania. Woda z wiadra do konewki przelewa się szerokim srebrnym strumieniem, z szumem i pluskiem.

Od samej ziemi bije parną falą miękkiego żaru. Przeczyste krople padają na liście, kwiaty, łądygi, zsypują się w dół i lśnią. Justyna wraca na ścieżkę i napełnia znów konewkę. Jej stopy są nagie, zbrudzone ziemią, nierzają się z rozkoszą w ciepłej, miękkiej zieleni.

Naprzeciw niej za siatką ogrodzenia staje Urban.

— Dzień dobry, panno Justynko!

Zaskoczona ściągnęła w dół sukienkę, by okryć gołe kolana. Jest jej miło, że zatrzymał się, że ją dojrzał i że chce porozmawiać, ale przecież ona jest boso!

— Jeśli wolno, pomogę pani, bo naprawdę lubię podlewanie...

Justyna nie wie, czy się zgodzić — może przyjdzie Paweł, to jej pomoże, on pewno już idzie, to nie jest zresztą nic ciężkiego.

W tej chwili zaczerwieniła się gwałtownie, bo uświadomiła sobie, że skłamała, ale tak się to jej powiedziało. Urban uśmiecha się serdecznie i naprasza:

— Niech pani pozwoli, bo jak nie, idę bez pozwolenia!

Justyna milczy przykucnąwszy nad grządką bobu, którego kwiatuszki wyglądają jak małe motyle, oblegające rojem wysoką łądę. Usłyszawszy cichy zgrzyt opon rowerowych na miękkim piasku i wyraźne kroki, zerwała się z bruzdy i skoczyła w poprzek zagonów ziemniaczanych do sionki.

— Pantofle, prędko pantofle! matuśko!

Anna siedzi w kuchni i dryluje wiśnie na konfitury, palce ma zafarbowane sokiem, jest w fartuchu, i w pierwszej chwili nie może pojąć, co tak poruszyło Justynę.

— Co się stało, kochanie?

Justyna usiadła na stołeczku i ocierając nogi ręcznikiem wciąga na wilgotne stopy pantofle, szare płócienne, świąteczne.

— Idzie tu Urban...

Anna rzuca do salaterki wiśnie i patrzy na córkę uśmiechając się łagodnie.

— Przyczesz włosy, Justynko...

Ale już jest za późno. Urban ustawia rower obok ławki i zaraz staje w progu.

Matuśka myje ręce i z ręcznikiem w dłoniach zwraca się ku wchodzącemu.

— Prosimy! Bardzo mi miło pana poznać.

Urban jest wysoki, ma szerokie ramiona, prosto osadzoną głowę i szczere spojrzenie, rozchyła wargi w uśmiechu i Justyna widzi jego białe, równe zęby; robi dwa kroki ku Annie, pochyla się nisko i całuje jej rękę.

— Więc podlewamy zagony! Przydałoby się trochę deszczu, dłuższa susza może zaszkodzić owocom.

Matuśka się śmieje.

— Justyna uparła się codziennie podlewać, bardzo poważnie traktuje swoje zobowiązanie, ale myślę, że i tak mszyce nam zjedzą plony.

Głos matuśki jest delikatny i miękki, Urban mówi wy-

rażnie, dobitnie, jak człowiek zupełnie dorosły, świadomy tego, co się kryje w jego słowach. Justyna z zadowoleniem uświadomiła sobie fakt, że matuśka doskonale słyszy go, bo ani razu jeszcze nie potrzebowała wtrącić swego kłopotliwego: „że jak?“, „słucham“.

Anna wyjaśnia, że studnia daleko i że to noszenie wody jest ponad siły Justyny.

— Ale ona już taka jest! uparła się i nosi tę wodę bez końca, przecież to tyle wiader...

Wyszli razem przed dom i po chwili Urban pochylał się nad studnię.

Justyna milczy zdziwiona — towarzyszyła mu do studni i śmiała się, gdy śpieszył się przy korbie, śmiała się, gdy chwycił wiadro, sięgając całym sobą w głąb studziennego lochu, śmiała się, gdy unosił je lekko w górę, by nieść, ale teraz nie może się już śmiać, musi się dziwić.

— Nie ciężko?

— Nie, przecież to wcale nie jest ciężkie.

Justyna ma chęć zapytać, jak długo mógłby nieść te wiadra, ale jej samej wydaje się to pytanie naiwne i dziecinne.

Ostatnie pełne wiadra wnosi Urban do sieni.

— Żeby pani nie dźwigała!

— Czas byłoby wreszcie skanalizować te nasze nieszczęsnne przedmieścia...

— Myślę, że to nieprędko nastąpi.

— Teraz pan odpocznie, proszę bardzo! — Siadają na ławce przed domem.

Justyna milczy. Maciejka pachnie upajająco, i rezeda, i groszek, i nasturcje... Cały ogródek świeżo wykąpany pachnie, wonie snują się falami.

— Co dzień podlewa pani wszystko?

— Co dzień. Chyba że pada deszcz, ale czasem pomaga mi Paweł, razem nosimy wodę.

— Ja też lubię ogród. Zresztą to, właściwie, moje zajęcie. Pracuję od dwu lat u swego szwagra na roli. Uprawiamy warzywa, bo to się lepiej opłaca.

— Ale poza tym pan jest na politechnice, prawda?

— Tak, kończę za rok.

Rozmawiali z coraz większym ożywieniem. Justyna opowiadała o swojej szkole, o lekcjach muzyki, o tym, że chciałaby jak najprędzej skończyć seminarium i rozpocząć pracę.

Wrócił Paweł. Paweł jest wysoki, chudy, bosi, bardzo opalony, idzie ścieżką, prawie biegnie poruszony czymś wyraźnie i woła głośno:

— Teraz będzie heca!!! Co się wyrabia, to nie macie pojęcia! Mamo, ty wiesz?!

Justyna czeka, aż Paweł zbliży się do samej ławki.

— O, to jest mój brat, Paweł.

Urban podaje mu rękę i mówi wesoło, że czekają na niego z podlewaniem, ale Paweł ledwo na nich spojrzał, gwizdnął przeciągle i wpadł do sieni wołając swoje:

— Mamo, co się wyrabia! Żebyś wiedziała, co się wyrabia!

Anna posłała go do rzeźnika po wędlinę i teraz, zdziwiona jego wzburzeniem, podniosła ku niemu oczekującą twarz.

— Mamo!!! To Cirocki zamordował Górnickiego! Cirocki! Już go aresztowali!

Od pamiętnej zbrodni minęło trzy lata. Sprawa wykrycia zabójców utknęła na martwym punkcie. Policja od dawna zaprzestała poszukiwań, a i ludzie porzucili już temat zagadkowej śmierci dawnego stróża.

Fabryka jak potworny polip wciągała ludzi coraz głębiej w swe nienasycone trzewia, zabierała im nie tylko wszystek czas i siły, ale miażdżyła wolę, oglupiała, narzucała im stan podobny do letargu, nie zostawiając na nic miejsca w ich życiu. Dziesięć godzin dziennie ob-

sługiwali z wytężonym pośpiechem maszyny, dźwigali skrzynie, prażyli się w gorącu kotłowni, oddychali powietrzem zatrutym siarką, wysłuchiwali pokornie wrzasków i przekleństw majstra, które dziwną mocą górowały nad piekielną wrzawą maszyn, i z lękiem spoglądali coraz na hale, plac, szwajcarnię, skąd mogli być mimo swego posłuszeństwa i pokory jutro przepędzeni... Z dnia na dzień rósł w nich niepokój, który potęgował się w miarę kończącego się tygodnia, niepokój przed redukcją. Od jakiegoś bowiem czasu coraz wyraźniej dawały się odczuć ograniczenia w przemyśle. Nie mówiło się jeszcze o kryzysie, ale coraz częściej zamykano mniejsze zakłady, komasowano działy, ograniczano liczbę robotników. Jednocześnie kasowano urlopy, podnoszono normy. Robotnik był wydany na łup właściciela warsztatu czy fabryki, a zagrożony utratą pracy i rosnącą drożyzną, najczęściej milczał.

Ludzie pracujący w fabryce „Płomyk“ coraz częściej przebąkiwali o sprzedaży całego monopolu zapalczanego koncernom zagranicznym, co musiałoby spowodować nieodwołalne zamknięcie fabryk.

— Pójdziecie won! — stało się zawołaniem powtarzanym przy każdej sposobności przez majstrów i administrację.

— Poczekaj, ty! Wszystkich się was rozpędzi na cztery wiatry! — powtarzał najczęściej swą twardą, brutalną mową z niemieckim akcentem magazynier Cirocki.

— Obrósł w pierze — mówili o nim robotnicy. — Osadził się w siodle... — Istotnie, nie tylko utrzymywał swe stanowisko magazyniera, ale sprawował, teraz już zupełnie jawnie, rolę szpicla na terenie fabryki.

Brutalny i bezwzględny nie liczył się z nikim i z niczym. Maltretował robotnice, śledził, węszył, szukał zaczepki, prowokował do wystąpień i korzystając z najdrob-

niejszych wykroczeń przeciwko zarządzeniom dyrekcji wyrzucał z pracy bez wypowiedzenia.

Ludzie nienawidzili go i bali się, a on żył szeroko i dostatnio. Właściwie nikt nie wiedział, czy Willi był kawalerem, ale sam się zawsze podawał za człowieka wolnego. Jeszcze w pierwszym roku istnienia fabryki związał się z córką Grzelaka, wdową po sierżancie żandarmerii, „kulawą Różką“, jak ją nazywali w osadzie. Ostatnio jednak zaczął coraz częściej przesiadywać wieczorami w restauracji Kłoseckich i coraz natarczywiej zabiegać o względy dwudziestoletniej Ludki.

Restaurator nie chciał płoszyć stałego klienta. Ścisnął mu rękę i witał serdecznie, uśmiechając się wyrozumiale:

— Pan kierownik na nas łaskaw! Prosimy do sali... Ludka, podaj panu kierownikowi duże piwo!

I tego poobiedzia przyjął go życzliwie jak zwykle.

— Panna się mnie nie musi bać... — zaczął Willi swe zalecanki, ujmując palcami podbródek dziewczyny, gładki i jasny.

Ludka zachichotała, ustawiając kufle na tekturowej podstawce. Cirocki wypił piwo i zażądał wódki. Dziewczyna kręciła się wśród gości jak zwykle, i jak zwykle nic sobie nie robiła z amatorów magazyniera.

Salkę wypełniał dym papierosowy, ckliwy odór piwa, czosnku, duszonych cynaderek i gorzałki. Przy stolikach i wokół bufetu tłoczyli się goście. Gwar zmieszanych głosów to zacichał, to nabrzmiwał. Muchy brzęczały sennie, zataczając drobne kręgi pod sufitem. Było nieznośnie gorąco.

W kącie salki pił Grzelak w towarzystwie głuchego Frietzkego. Od jakiegoś czasu i on przychodził tu częściej i pił więcej. Gryzła go troska o córkę.

Jego zażyłość z magazynierem urywała się w tym miejscu, w którym zaczynała się sprawa Różki. Nigdy z nim o tym nie rozmawiał, ale rosło w nim rozgoryczenie i żal.

Związał się z Cirockim od samego początku, służył mu, myszkował wśród robotników, zdradzał towarzyszy, przybierał postać sprzymierzeńca i bez skrupułów wydawał w ręce denuncjatora wszelkie ich zamysły i najbardziej tajemne poczynania, ale robił to bez jakichkolwiek wyrzutów sumienia. Jego natura nie wzdragała się przed żadną podłością. Taki już był, ale co do córki, to kochał ją zwyczajnie, po ludzku, głęboką, serdeczną miłością. Była mu jedyną naprawdę bliską i drogą istotą. Cierpiał nad jej kalectwem, nad jej wczesnym wdowieństwem, nad jej samotnością.

Sam dopomógł Cirockiemu zadomowić się u niej, ba, pilnował, aby go wdzięcznie przyjmowała! Łudził się, że magazynier prędej czy później zostanie jego zięciem. Z czasem stało się to jego ambicją, której za nic nie chciał się wyrzec. Przymykał oczy na przelotne romanse Willego, na jego uganianie się za robotnicami, ale sprawa z Kłoseckimi miała inny charakter. Ludka była młoda, świeża, o restauratorze od dawna mówiło się, że miał pieniądze, tu mogło się skończyć tylko ożenkiem i widać było, że ku temu zmierzały coraz wyraźniej obydwie strony.

Tego dnia, nim nadszedł Cirocki, Grzelak był już zupełnie pijany. Fietzke był głuchy, więc nie odzywali się do siebie ani słowem, wypróżniając na zmianę kieliszki i kufle. Kłosecki obsłużył gości pijących przy bufecie i przysiadł się na chwilę do stolika magazyniera.

Ktoś wrzucił do automatu pieniędzy i szafa zgrzytając i charcząc trafiła wreszcie na starą melodię: „Usta milczą, dusza śpiewa, kochaj mnie!”

Grzelak siedzący pod ścianą miał magazyniera naprzeciw oczu. Nałane, ceglastej barwy policzki rudego Wilhelma błyszczwały od potu, a gęsto rozsiane piegi robiły wrażenie kropli rdzy, pokrywających jego mięsisty nos, niskie czoło i zwisającą w fałdach skórę szyi.

Grzelak nie mógł zrozumieć słów, jakimi tamci do siebie mówili, bo wypita wódka i piwo szumiały mu w głowie tępym, coraz donioślejszym pulsem. Chciał wyjść z sali, chciał się choćby odwrócić, żeby nie patrzeć na ich serdeczną zażyłość, ale nie mógł.

Jego kark, barki, nogi wydawały się sztywne, a wola nim zdążyła zamienić się w czyn, rozlewała się mdłą falą goryczy i zmęczenia. Zaloty Cirockiego ciągnęły się już od kilku miesięcy i Grzelak obserwował je ze swego kąta spod ściany z coraz tępszym bólem, z coraz głębszym żalem.

W tej chwili do restauracji weszli nowi goście, wśród których Kłosecki dostrzegł starszego posterunkowego. Przedpeńskiego, dopił więc pośpiesznie kieliszek miętówki i przeszedł na swe zwykle miejsce za bufetem. Przez salę przesunęła się Ludka z tacą pełną zakąsek i kufla piwa. Grzelak przyjrzał się z napiętą uwagą jej długim, zgrabnym nogom, osłoniętym suknią tylko do kolan, jasnej twarzy, wąskim ramionom i ledwo rysującym się biodrom.

Cirocki przywołał ją niecierpliwym gestem. Zaśmiała się przekornie, usłużyła gościom i już miała minąć magazyniera w drodze powrotnej, gdy ten chwycił ją za łokieć i przyciągnął do siebie.

Grzelak aż zachłysnął się gniewem. Widział rudowłosą rękę tamtego, gładzącą plecy dziewczyny. Znał ten ruch. Tak właśnie gładził Willi plecy Różki w pierwszych dniach ich miłości.

Ludka patrzyła mu przekornie w oczy, zaskoczona i nierada. Usiłowała zrzucić rękę magazyniera ze swych pleców, ale on ogarnął jej kibić i starał się przyciągnąć bliżej.

Gwar w pierwszej sali podniósł się znacznie. Grająca szafa zaciniała się śmiesznie na ostatnich tonach walca, z szosy przyływał turkot wozów i głośny krzyk wróbli.

Grzelak nie hamował już w sobie złości i żalu.

— Toś ty taki?! Psu tyś brat, nie mnie... gad tyś, a nie mój kum... To już Różka dla ciebie nic? nic a nic?

Jak smagnięty batem poderwał się, zebrał rozpaczliwie wszystkie siły i ruszył spod ściany, ściskając oburącz butelkę z nie dopitą wódką. Kiedy znalazł się o krok od Cirockiego, wyrzwał go między oczy z odległości wyciągniętego ramienia. Krzyk dziewczyny wyzwolił w nim mściwą siłę. Odrzucił butelkę i ręce oblane wódką zanurzył w rudych włosach majstra, zwalając się na niego równocześnie całym ciężarem.

W jednej chwili otoczyli ich ludzie, Willi kopnął napastnika w brzuch i oderwawszy jego ręce od swych włosów począł go systematycznie bić pięściami po twarzy, piersiach i ramionach, wreszcie sięgnął mu do gardła.

Ból oślepił Grzelaka, ale go nie wytrzeźwił, i wtedy to, pod wpływem wściekłości, rozpacz i koszmarnego wspomnienia, sam nie wiedząc, co mówi, wykrzyczał tajemnicę śmierci Górnickiego...

W sali było ponad dwadzieścia osób i wszyscy słyszeli zduszony, daremnie tłumiony wrzask Grzelaka. Zeznania oszalałego z bólu i wściekłości stolarza miały w sobie tyle potwornej grozy, że w pierwszej chwili nikt nie mógł uwierzyć w ich prawdziwość.

Pierwszy zorientował się w sytuacji starszy posterunkowy Przedpełski. Mechanicznym ruchem spuścił pasek czapki pod brodę i sięgnął po rewolwer. Skopany, pokrwawiony Grzelak ledwo dyszał...

Wiadomość o niebywałym zajściu w oberży Kłoseckich błyskawicznie przedostała się na ulicę i zgromadziła na rogu Toruńskiej tłum żądnych wrażeń. Stamtąd przyniósł ją Annie Paweł.

Kiedy w jakiś czas później usiedli przy nakrytym stole, żadne z nich nie myślało o jedzeniu.

Matuśka opanowała się pierwsza, unosi wysoko cukiernicę z grubo rżniętego szkła, napelnioną po brzegi kostkami cukru, i próbuje się uśmiechnąć podając ją przez stół Urbanowi.

Jest jeszcze widno, ale zza otwartego okna bije już pierwszym zielonawomodrym zmrokiem. Justyna patrzy na Urbana, na Pawła i na matkę oczyma rozszerzonymi od zgrozy, tak jej strasznie żal tych wszystkich ludzi: Górnickiego i Walerki, Ludki, kulawej Różki i nagle robi się jej tak, że już nie może nad sobą zapanować i wybucha głośnym, dziecinnyim płaczem.

Ponieważ zrobiło się zupełnie ciemno, Anna zaproponowała zapalenie lampy, wstała od stołu i przeszła obok Justyny do kuchni po zapalki, jej kroki w niewytłumaczony sposób uspokoiły córkę. Otarła szybko twarz z łez i zawstydzona spojrzała na Urbana.

Siedział naprzeciw i zdawało się jej, że przez cały czas nie odrywał od niej wzroku. Poprzez mrok dojrzała jego błyszczące źrenice, obróciła głowę w bok, obiegła spłoszonym spojrzeniem sprzęty pochowane w mroku i z ulgą stwierdziła, że wszystko jest na swoim miejscu. Zwyczajność otoczenia podziałała na nią kojąco, ale równocześnie uderzyła ją dysharmonia między tym, co dzieje się wewnątrz człowieka i co może być przerażeniem, cierpieniem, rozpaczą — a obojętnością rzeczy martwych, ich niezmiennością.

— Jak to może być, że mimo dokonywanych zbrodni, mimo śmierci... właściwie nic się naokoło nie zmienia? — powiedziała prawie szeptem.

*

Od tego dnia Urban zaczął przychodzić często; przyjeżdżał rowerem od strony Warszawy albo wyskakiwał z kolejki, jadącej z Jabłonny, tuż naprzeciw ich domu.

Jeśli Justyna była przed sienią w ogródku albo siedziała na ławce, albo niosła od studni wodę, zaraz wiedziała, że przyjechał, bo słyszała jego ucieszony głos:

— Dzień dobry, panno Justynko!

W minutę później stawali naprzeciw siebie i witali się serdecznym uściskiem ręki.

Prawie zawsze była jakaś robota, w której Urban chętnie pomagał matusce. Najczęściej rąbał drzewo albo nosił wodę. Niekiedy wyszukiwał sobie roboty dodatkowe. Zreperował okiennice, które nie wiadomo dlaczego wypadły z zawiasów i nie chciały się domykać, dorobił klucz do studni, zalutował dziurę w misce, która miała przerdzewiać dno, oprowił szczotkę, wyregulował zegar...

Justyna najczęściej czeka na Urbana przy ogrodzeniu. Nie wie nigdy na pewno, czy on przyjdzie, ale mimo to czeka. Dawno minęły wakacje i dni zaczęły się skracać coraz szybciej, coraz widoczniej.

Tego dnia po raz pierwszy rano był pierwszy przymrozek i most wydał się pociągnięty szklistą, białą barwą. Taki sam nikły szron srebrzył chodniki i trawnik przed gmachem hotelu Bristol i pomnikiem Mickiewicza.

Justyna wróciła do seminarium z pewnym wzruszeniem. Pogodziła się już do pewnego stopnia z myślą o swym przyszłym zawodzie, jej rozterka wewnętrzna uciszyła się. Wchodząc do budynku szkoły uświadomiła sobie, że przez wszystkie dni wakacji w jakiś nieuchwytny, ledwo wyczuwalny sposób tęskniła za tym miejscem.

Znajome korytarze, schody froterowane od góry do dołu, wysokie, widne sale, wszystko trochę uroczyste, trochę obce, trochę za duże, a równocześnie pełne żywych wspomnień.

Dziewczęta schodzą się powoli i opowiadają do samej modlitwy o wakacjach. Żadna nie mówi o lekcjach, dzwonek, nauczycielkach, widać, że to zgubiło się w masie nowych przeżyć i doznań i musi minąć jakiś czas, aby wróciło na dawne miejsce.

Nauczycielki są takie same, jak były ostatniego dnia lekcyjnego, mają ten sam wygląd, te same słowa, te same suknie i ten sam uśmiech: chłodny i nieufny. Po kilku dniach wielki kołowrót codziennych spraw szkolnych ruszył z dawną idealnie rozplanowaną regularnością i było tak, jakby wakacje w ogóle nie istniały.

W ostatnich dniach października, właśnie owego ranka, kiedy to Justyna po raz pierwszy ujrzała szron na kratkach mostu, na wielkiej pauzie obiegła dziewczęta niezwykła wiadomość, nie wiadomo przez kogo przyniesiona do sali: „Pani przełożona się zaręczyła!” Dziewczęta zbijają się w gromadki zaskoczone, niedowierzające.

W połowie pauzy wszystkie uczennice wiedzą o tym, że się zaręczyła „naprawdę”, i znają szczegóły tego niezwykłego zdarzenia.

— On jest wysoki i elegancki, ale łysy — mówi któraś szeptem.

— Ma samochód, taką małą „Tatrę“.

— Jest naczelnym prezesem Zrzeszenia Kół Gospodyń Wiejskich, zajmuje się spółdzielczością, to jest teraz aktualne...

— Takie kooperatywy — tak! to są świetne posady!

Justyna dużo o tym myślała podczas lekcji, a i teraz stojąc przy siatce ogrodzenia, z nogami schowanymi do kolan w zieloności ogródka — i cała sprawa wydaje się jej trochę dziwna.

Jak to z ludźmi jest? Surowa, niechętna przełożona zaręczyła się, ma wyjść za mąż... jest to chyba wielkim przeżyciem, a ona, jakby nigdy nic, przyszła do szkoły na dziesięć minut przed dzwonkiem, stała jak zwykle pośrodku sali podczas modlitwy, przyjmowała interesantów w swoim gabinecie, miała wykład o „prowadzeniu dzienników”, jadła z apetytem śniadanie, rozmawiała, gniewała się. Nic, tylko mały pierścionek na palcu lewej ręki...

Justyna sama o tym nie wie, że niecierpliwi się nieobecnością Urbana. Rozgląda się niespokojnie po szosie i szynach, ale szosa jest w tej chwili pusta. Naraz z daleka słychać gwizd kolejki.

Justyna przytula twarz do chłodnych krat siatki. Dlaczego ona czeka na Urbana? Pytanie czepia się obrazów, uczuć, myślenia.

Jaką Urban ma twarz? Ciemne włosy, czarne brwi, uważne oczy i białe zęby. Oblicze, po którym przebiegają myśli i nastroje. Justyna nagle zdaje sobie sprawę, że tak niewiele o nim wie, że właściwie nie można wszystkiego wiedzieć o drugim człowieku. Ogarnia ją zdziwienie.

Na III kursie seminarium przybył przedmiot zwany „PEDOLOGIA”. Justyna dawno już przeczytała tę niewielką książkę i nie znalazła w niej nic... Waga, wzrost, serie tekstów sprawdzających pamięć, zdolność kojarzenia, normy dla dzieci z miast i wsi, z rodzin inteligentnych, środowisk robotniczych, chłopskich... Sztuczny podział na tych bardziej zaawansowanych w rozwoju umysłowym i na tych mniej...

Ale jej nie o to chodziło. Zakres poznania był czymś drugorzędnym, ją pasjonowały myśli ludzkie i ludzkie doznania, i sposób ich przeżywania, cudze sądy, marzenia, idee... Obserwowała z gwałtowną i niecierpliwą namietnością świat zewnętrzny i niesyta o nim wiedzy usiłowała przejrzeć go do głębi, objąć umysłem istotny sens zjawisk...



Urban przyszedł od strony Żerania, już jest naprzeciw Justyny. Przyniósł kwiaty, całe naręcze kolorowych chryzantem. Justyna jest zachwycona, ale równocześnie żałuje, że tyle ich naścinał.

— Są takie cudne, w wazonie jednak będą żyły krótko. Ciekawe, czy kwiaty czują swą śmierć?

Justyna jest jeszcze pod wrażeniem dopiero co porzucanych rozważań nad istotą cudzych przeżyć.

Zwraca na Urbana pociemniałe od wzruszenia oczy i chce przeniknąć do głębi wyraz jego twarzy.

Ale twarze ludzi są najczęściej takie, jakimi oni chcą je mieć, twarz ludzka modeluje się od wewnątrz i od zewnątrz. Twarz Urbana wyraża w tej chwili tylko radość.

W pokoju robi się pięknie od kwiatów, Justyna dzieli je i ustawia na stole, na tremie, na kredensie i rozmawia z Urbanem o tym, że matuśki nie ma, że poszła do Amelki prosto z pracy. Amelka od jakiegoś czasu często choruje, tak się łatwo przeziębia.

Nie wie, czy poprosić Urbana, żeby usiadł na otomanie, czy wyjść z nim przed dom, przed domem mimo chłodu jest właściwie najładniej. Urban domyśla się widać jej wahania, bo sam proponuje powrót do ogródka.

Jest już późna jesień. Rozwleczone szeroko po niebie białe smugi obłoków, pożółkłe, wątłe liście, reszta trawy i ostatnie kwiaty zapowiadają zimę. Jest ciepło, ale coraz rozgarnia powietrze podmuch wiatru, który wpada za ogrodzenie skądś od Wisły.

W rowie po drugiej stronie szosy siedzi Andzia Dypciówna ze swym narzeczonym, młodym Chojnackim, siedzą tak codziennie nad wieczorem i rozmawiają o czymś żywo, ująwszy splecionymi rękoma wysoko podniesione kolana. Chojnacki jest zecerem, ale rodzice Andzi nie kwapią się z zezwoleniem na ślub jedynej córki. Ale Andzi się widać spieszy, bo jak tylko Chojnacki zaklaszcze na nią przechodząc koło parkanu, momentalnie otwiera furtkę, wita go radośnie, przysiadają w płytkim, zarosniętym trawą i łopianem rowie, już z daleka widać, że im ze sobą dobrze.

Tam siedzi Andzia, a tu na ławce pod białą ścianą do-

mu ona, Justyna, siedzi obok Urbana i myśli o tym, jaki on jest naprawdę. Tylko że Urban nie jest żadnym jej narzeczonym. Ależ, naturalnie, nie jest żadnym narzeczonym! Nagle Justynie robi się bardzo wesoło, myśl o narzeczonym napelnia ją pustym śmiechem.

Narzeczonego ma pani przełożona... Urban wysłuchuje opowiadania Justyny o szkolnej nowinie.

— A na III kursie są nowe przedmioty: botanika, francuski z madame Eleonorą, no i gra na skrzypcach — zmienia nagle temat Justyna.

Wspomnienie muzyki odmienia ją całą. Podnosi głowę i patrzy na Urbana jasnymi oczyma.

— Ze skrzypcami wszystko wypadło wspaniale. Już je będę miała na pewno. Cudowne skrzypce po Adasiu Komornickim. Adaś był moim kuzynem, prawdziwym artystą. Umarł na suchoty w czasie wojny jako młody chłopiec. Ciocia Minia przed swoją śmiercią ofiarowała skrzypce Adasia matuśce; te koncertowe, stare skrzypce pozostawione na przechowanie u wujka Julka, będą dla mnie!

— Kiedy pani Anna je odbierze?

— Pojedziemy w niedzielę!

Urban wie, że Justyna kocha muzykę, że pracuje nad nią dużo, że nie mogła się doczekać lekcji gry na skrzypcach i jest mu tak od tych nowin, jakby jego samego spotkała radość.

— Jak już będę umiała grać, wtedy... wtedy spełni się wszystko to, o czym często marzyłam od najwcześniejszego dzieciństwa, wtedy będę chyba zupełnie szczęśliwa.

Trudno jest tak wybrać spomiędzy poplątanych myśli te, które są właściwe, trudno je zamienić na głośno wymawiane słowa, trudno poukładać w zdania, i to wszystko siedząc obok kogoś, kto nas uważnie słucha, obserwuje z życzliwością i powagą, ale równocześnie z ciekawością.

— Nie wyobrażam sobie, że coś mogłoby mi bardziej odpowiadać, dawać większą radość... Ale matuśka tak strasznie ciężko pracuje, zdecydowałam się pójść do seminarium i zostać nauczycielką. W zasadzie pogodziłam się z tą myślą, z tym, co do niedawna wydawało mi się wprost nieznośne, nudne, monotonne, ogłupiające... Będę uczyła dzieci! Może uda mi się to robić jakoś inaczej, piękniej, ciekawiej.

Umilkła wzruszona niemal do łez.

Gdy wróciła matuśka, Justyna jeszcze nie spała. Siedziała nad książką, choć było już około północy.

— Z Amelką jest zupełnie źle — powitała Anna córkę zduszonym łzami szeptem — jutro odwozimy ją do szpitala...

Zapłakały obydwie, tuląc się do siebie bezradnie.



„Dziś o siódmej u Janka jest z e b r a n i e.”

Jest lekcja geografii, dziewczęta rysują południki i równoleżniki, w klasie cicho, panna Henryka chodząc wzdłuż ławek sprawdza poszczególne prace.

Ziuta otwiera brulion, wpisuje drobno kilka wierszy i podsuwa Justynie: „Ma być odczyt. Koniecznie musimy przyjść, nie wracaj do domu na obiad, wstąp do internatu...”

Justyna przez ostatnie tygodnie żyła w nieustannej trwodze o Amelkę. Zaniedbywała się w lekcjach, nie umiała się skupić, niewymownie męczył ją tłum koleżanek, niechętnie spojrzenia nauczycielek i wesoly gwar na przerwach. Wiadomo już było, że u Amelki rozwinęła się gruźlica i że stan jej był bardzo ciężki.

Anna po wielu staraniach uzyskala bezpłatny urlop i pożyczkę i wywozła córkę do sanatorium w Otwocku.

Sliczna, wesola Amelka gasła, jak gaśnie uroczy dzień

letni, nieznacznie, prawie niezauważenie, ale nieubłagane. Wszystkie siły, całe namiętne pożądanie życia buntowało się w Justynie przeciw bezlitosnej prawdzie. Nie chciała i nie mogła tego zrozumieć. Śmierć z całym swym ponurym ceremoniałem, ze swą grozą nie miała przecież absolutnie nic wspólnego z cudownym śmiechem beztrojskiej, zawsze pełnej naiwnych uniesień Amelki, która ciągle jeszcze wydawała się być dziewczyną czekającą na życie, nie kobietą, z którą los zdążył się już obejść tak okrutnie.

Otępiała, bezsilna, przerażona tym, co nieuchronnie miało nadejść, Justyna zamknęła się w sobie, ścichła, jakby zeszytniała wewnątrz. Ziułka wiedziała, co się z nią dzieje, i chciała jakoś pomóc przyjaciółce, jakoś przeszkodzić w ostatecznym pogrążeniu się w rozpacz.

Z rozmysłem więc zaczęła wciągać Justynę w życie tajnej organizacji studenckiej, której aktywnymi członkami byli mieszkańcy bursy akademickiej na Jezuickiej.

„Będzie Marek, Wacek, Dawid, Urban...”

Tak się jakoś stało, że przyzwyczyły się do regularnego uczestnictwa w zebraniach. Spotkania te odbywały się w różnych miejscach i nigdy do ostatniej chwili nie wiedziało się, czy o siódmej będzie się biegło na Jezuicką czy na Plac Narutowicza, czy do pokoiku hotelowego na Kozią. Poza przyjaciółmi Janka poznały dziewczęta na owych zebraniach całą liczną grupę młodzieży studenckiej, jawnie rewolucjonizującej, łatwo zapalającej się, pełnej entuzjazmu. Dyskusje, prowadzone do późnej nocy, obracały się dokoła aktualnych zagadnień gospodarczych, społecznych i politycznych.

Z początku Justyna nie brała udziału w rozmowach, niewiele interesowała się istotną treścią namiętnych wystąpień. Przychodziła tam zresztą ze swym cierpieniem, ze swym gorzkim przecuciem nieszczęścia.

Tego wieczora zaraz po odczycie na temat: „Honoriusz Balzac — genialny oskarżyciel swej klasy“ zabrał głos Marek. Mówił, jak zwykle nerwowo, zapalając się własnymi słowami. Jego piękne dłonie muzyka zaciskały się kurczowo, a ciemne oczy gorzały.

— Co jest najistotniejszego w klasie wyzyskującej, to ubóstwo serca, jakaś kamienna oschłość! Oschłość, powtarzam, nieludzkość tej zdegenerowanej warstwy ponoszą największą odpowiedzialność za zło, które się dokoła dzieje, za nędzę, wyzysk, za huk armat, za wojny powszechne, za klęski.

Justyna mimo woli spojrzała na mówiącego i dostrzegła, że na jego zaciśniętych rękach wystąpiły nabrzmiałe krwią żyły. Podniosła oczy na uduchowioną, ekstatyczną twarz i nie zdając sobie nawet z tego sprawy, zaczęła chwytać sens słów. Padaly nazwiska: Manheima, Krzywickiego, Kelles-Krauza, Karola Marksa i Lenina. Poruszony umysł Justyny na próżno szukał skojarzeń, usiłował towarzyszyć dyskusji własnym sądem, podpierać przekonanie o słuszności uwag znajomością zagadnienia. Temat był za trudny. Wiedziała o tych sprawach tak mało — prawie nic!

To wszystko, w czym żyła od lat, czym oddychała, czym karmiła swe poznania, było proste i bliskie: bieda, praca, walka, ludzie, ich czyny i przekonania, marzenia i ponoszone klęski, wszystko zrozumiałe i konkretne ograniczało się do poszczególnych pojedynczych osób i zdarzeń... Spoza słów dyskutujących studentów wylaniały się natomiast mgliście jakieś ogólne problemy, jakieś powszechne prawa, jakieś zasadnicze pojęcia.

Czuła powstający w swej głowie chaos, zamęt, ale równocześnie i nieodpartą ciekawość, która wkrótce stała się początkiem p o s z u k i w a n i a.

Ciągle jeszcze nie nadchodził mróz.

Nocami padały deszcze; ranki spóźniały się o wszystkie godziny przepadłego w slocie świtu i schodziły niepostrzeżenie w szare południa, wilgotne i wietrzne. Drzewa zza okien seminarium pożółkły nagle i wyzbyły się liści. Duże, ciężkie gałęzie kasztanów chwiały się na wietrze i mokły na deszczu.

W tym właśnie okresie, w pierwszej połowie grudnia, zaszły w seminarium pewne zmiany, żywo komentowane przez uczennice. Najpierw pani przełożona wyszła za mąż, a zaraz po tym umarł starszy woźny — Franciszek

Równocześnie z nowym woźnym — krępy, niskim, o szerokich barkach — zjawiała się w szkole *intendenta*, różowa, biała i okrągła pani Brańska.

Pani Brańska ma obfity biust, włosy zaczesane gładziutko ku górze i łagodny głos:

— Kochane moje panienczki, moje dziewczątka drogie!

Pani Brańska jest siostrą męża pani przełożonej i od pierwszego dnia otrzymała od dziewcząt nazwę „szpicla“. Od rana do ostatniego dzwonka, oznajmającego koniec lekcji, i jeszcze przez trochę po tym dzwonku pani Brańska pełniła swój urząd, polegający na nieustannej obecności. Po prostu jest wszędzie i zawsze obecna, jest na dole w kacie, zwanym „schowkiem“, w ciemnym korytarzu, w kancelarii, na schodach, na korytarzach, w sali, w gabinecie lekarskim, na galerii i pod drzwiami poszczególnych klas. Chodzi w miękkich filcowych pantoflach i czarnym satynowym fartuchu, uśmiecha się serdecznie i skwapliwie odpowiada na ukłony uczennic.

Justyna zetknęła się z nią bliżej po raz pierwszy po awanturze z profesorem Wincentowiczem.

Była lekcja śpiewu przy fortepianie na sali. Pospiesznie ustawiono ławki naprzeciw estrady, Ziuta z Justyną zaczęły liniować tablicę do ćwiczeń solfeżowych.

Na skraju fortepianu położyły śpiewnik i zeszyty nutowe, przyniesione z klasy przez Ziutę. Były jeszcze na estradzie, gdy wszedł profesor. Przesunął się środkiem między ławkami, schodkami wszedł na podwyższenie i machinalnie sięgnął po śpiewnik leżący na fortepianie. Ze śpiewnika wypadła na podłogę kartka z notatką Janka Głogowicza, ta sama, którą dał Justynie na ostatnim zebraniu na Jezuickiej. Trochę skośne, duże, wyraźne pismo Janka przypominało: Karol Marks i Fryderyk Engels „Manifest Komunistyczny“.

W Justynie wszystko się zatrzęsło z przerażenia, ale opanowała się natychmiast i jakby nigdy nie schyliła się szybko po arkusik. To, co się stało w tej sekundzie, wydało się jej wprost nieprawdopodobne.

Profesor spojrzał na nią pogardliwie, błyskawicznie wysunął stopę i przydeptał papier... Trzeba schylić się nisko, wsunąć palce w szparę między deski podłogi i wyszarpnąć wystrzępioną, zbrudzoną notatkę. Wszystko to trwa przez kilka uderzeń serca. Nikt poza Ziutką nie wie, co się stało i co to wszystko znaczy.

W Justynie wszystko dygoce, wrze... Już stoi wyprostowana. W osypanych kredą palcach trzyma Jankową kartkę. Patrzy na profesora. Przeczytał? Zdążył? Dojrzał z góry...?

Wincentowicz jest wyraźnie wściekły. Zwraca się do sali i mówi ostro:

— Nie widzę krzesła!

Krzesła stoją na estradzie pod ścianą, o pięć kroków od fortepianu.

— Ziuto, krzesło dla pana profesora! — to mówi Justyna, która czuje, że musi coś powiedzieć, wydać z siebie głos, bo jakaś wielka siła tłoczy ją od wewnątrz i jeśli nie wyzwoli się jej w słowach, pocznie dusić...

Profesor otworzył teczkę, wyjął mały notes z nazwiskami uczennic. Zosia Witkówna przeszła na palcach na

estradę i wzięła spod ściany krzesło, bardzo cicho ustawiła je obok fortepianu...

Głos pana Wincentowicza jest teraz lekki, miły. Mówi nie podnosząc oczu znad notesu.

— A pani może ze śpiewów wyjść, prawda?

Justyna nie patrzy na mówiącego, nie patrzy na nikogo, ale wie, że to do niej, przechodzi prędko przez salę i sięga klamki, by otworzyć drzwi. Ale ręka nie ma siły, obsuwa się w dół, drzwi są blisko, białe, gładkie, chłodne. Zbiera w sobie całą moc, wszystką wolę, drzwi ustępują i Justyna widzi przed sobą panią Brańską. Chce ją ominąć, robi mały krok ku ścianie, ale intendentka wyciąga ramiona i zasłania nimi drogę. — Moje Kochanie!

Biust pani Brańskiej jest miękki, ciepły. Justyna przyciśnięta do niego ciasno jest po prostu obezwładniona.

— Opowiedz mi wszystko, najmilsza! Opowiedz od samego początku, o co poszło, o co właściwie poszło? może ty małe biedactwo!

Na schodach jest pusto i cicho, na sali zaczęła się lekcja, krótkie uderzenia w klawisze i śpiew uczennic cierpliwie powtarzający: do... mi... sol... si... do...!

Pani Brańska prowadzi Justynę przez wszystkie piętra, otwiera biblioteczny pokój i wpuszcza dziewczynę do środka.

— No, opowiedz!

Justyna gniecie między palcami nieszczęsną kartkę, ciągle jeszcze trzymaną w zakurczonej ręce. Jest już zupełnie spokojna, lęk i wzburzenie ustąpiły bez śladu. Przygląda się pani Brańskiej. Gruba warstwa pudru pokrywa jej czerwoną, porowatą twarz. Oczy otaczają wianuszki drobnych, ruchliwych zmarszczek. Usta nie domykają się w uśmiechu.

— Więc o co poszło?

Justyna nie ma nic do opowiedzenia, nic do wyznania, ale w całej pani Brańskiej jest tyle z natręctwa, tyle źle ukrywanej obludy, że chce się jej pozbyć za wszelką cenę.

— Zachowałam się niewłaściwie... niegrzecznie.

— No widzisz, moje ukochane dziecko, no widzisz. To przecież pan profesor, a wy się tam do niego na pewno wdzięczycie, uśmiechacie, może czasem która mrugnie, a tu przecież powaga... autorytet.

Justyna zaprzecza gorąco:

— Ach, nie! My go nie lubimy, profesor Wincentowicz jest arogancki, lekceważy nas, żadna się nie wdzięczy do niego!

Intendentka gładzi Justynę po głowie, ale w oczach ma niedowierzanie i chytrość.

— Teraz dziewczęta są takie zepsute, takie rozwydrzone, pozwalają sobie na wiele... na bardzo wiele! Wiesz, ty jesteś jeszcze młodziutka i może nie zdajesz sobie sprawy...

Mówi to jakiś czas, wreszcie zostawia Justynę w bibliotece, zamyka ostrożnie drzwi i odchodzi cicho.

Justyna zna pokój biblioteczny doskonale. Dwa razy w tygodniu mają tu godziny czytania i zajęć bibliotecznych. Niedawne przykre uczucia odstępują od niej, rozwiązują się napięte wzruszeniem myśli i kolejno zatacają w przemożnym, niezwalczonym, wielokrotnie przeżywanym podziwie. Czytać książki! Dużo, dużo! Wyszukać w nich wszystko prawdziwe o świecie i ludziach! Znaleźć nieomyłne drogi przeznaczeń! Ujmować kolejno w ręce ustawione równiutko na półkach tomy, przewracać pomalutku karty, brać w siebie treść cudzej, pracowitej myśli, poznawać nieskończony łańcuch nieustannych przemian.

Justyna bezwolnie staje naprzeciw półek, wybiera spośród innych niewielką książeczkę ze złotą cyfrą na

ciemnozielonym grzbiecie. Na pierwszej żółtawej stroniczce tytuł: „Wybór poezji“ — Leopold Staff. Nagle Justyna odkłada tom, na palcach przechodzi do gabloty z katalogami, szybko przerzuca kartki: Maliszewski... Mały Przewodnik, Marsfeld, Matejko... M A R K S? nie! W bibliotece „Seminarium Pań Dobrych“ nie ma M a r k s a...

Justyna poza matematyką i fizyką ma opinię zdolnej uczennicy, jedynie na religii u księdza prałata Mikołaja Ściegosa jej wypowiedzi budzą grozę i doprowadzają wreszcie do groźnego konfliktu.

Początek sprawy nie miał pozornie nic z tym wspólnego. Tym początkiem były zebrania studenckie i dyskusje w pokoiku Ziuty, w internacie. U Ziuty czytało się „wszystko“ i „wszystko“ komentowało w nie kończących się rozmowach: i Cieszkowskiego, i Nietschego, i Bielińskiego aż po Marksa!

Janek proponował często wyrzucanie części z tych „mądrości“ na śmietnik, ale dziewczęta z uporem i zacietrzewieniem broniły swych praw do samodzielnego wyboru lektury.

Tymczasem lekcje religii były same w sobie. Nie potraçały żadnym słowem, żadną najbardziej ogólną wzmianką o to, co nurtowało umysły młodzieży.

W „Listach“ Róży Luxemburg, artykułach Hercena, dziełach Bebla, Marksa i Lenina dojrzewał bunt. Postać księdza profesora coraz wyraźniej nabierała ostrych cech groteskowości, a lekcje religii były czymś nieistotnym, czymś, co można było dobrze omijać poprzez absolutną obojętność, bierność.

Na którejś godzinie prałat wywołał Justynę.

— Cóż uczennica wie o trądzie w Palestynie?

Justyna zaczęła rozwlekle wyjaśniać przyczyny powstania, przebieg i skutki choroby, komentując zagadnienie

ściśle według książki „Trąd w Palestynie“ której autorem, jak wiadomo, był sam Mikołaj Ściegosz.

Dziewczęta drzemią albo czytają, Witkówna odpisuje zadania matematyczne, Ziuta pisze list do domu.

I w tej chwili Justynę coś poniosło. Coś ją zniewoliło. Skręciła ze zwykłej, gładkiej dróżki ustalonych z góry słów, potknęła się o nędzę ludu, ugrzęzła w sprawie „nierównego podziału dóbr przez klasy społeczne“ i już bez żadnego kołowania zaczęła wspinać się po cytatach z Marksa.

Ksiądz prałat oniemiał. Oczy rozwarły się ze zgrozą, wargi rozciągnęły, a ciemnopurpurowy rumieniec objął gwałtownie jednolitą barwą szyję, policzki, nos, czoło i uszy.

— Komunizm?! Co?! jak?! Ty... ty! bezwstydna! Sza...

Justyna jeszcze mówi prędko, jakby w poprzek krzyku księdza.

— Straszliwy wyzysk, nędza, brud, trąd...

Ksiądz prałat wstaje ciężko z krzesła, odpycha je nogą, wyciąga ręce i idzie ku Justynie...

Klasa zamarła w przerażeniu. Justyna oparła dłonie o ławkę, patrzy na rozjuszzonego księdza i czeka.

Jest tuż... tuż... małe bryzgi śliny padają na pulpit. Justynę ogarnia nagle niewypowiedziany wstręt, wstręt i pogarda. Błyskawicznym ruchem wydostaje się z ławki i okrążając księdza przebiega do drzwi.

Na dole jest cicho i chłodno. W drzwiach sekretariatu staje pani Brańska i nagle Justyna uświadamia sobie jasno, co się stało. Co teraz będzie? Teraz wyrzucą ją z seminarium, na pewno wyrzucą.

•

Pani Maria, która miała zwyczaj spóźniać się na wykłady, nadbiegła korytarzem i zaraz zaczęła się lekcja

fizyki. W korytarzu, z którego drzwi prowadzą do pokoju nauczycielskiego, nic się nie dzieje, pani Maria chyba nie wie o sprawie Justyny, bo wyjaśnia ćwiczenia ze zwykłym sobie przejęciem, jakby nic ponad nie nie było ważniejszego, i do wszystkich uśmiecha się jednakowo życzliwie.

Cwiczenia fizyczne trwają dwie godziny bez przerwy.

Napężenie wywołane w Justynie oczekiwaniem na to, co się stanie, opada powoli.

To, na co czekała Justyna, zaczęło się dopiero na godzinie historii. Pierwszą wywołano do kancelarii Manię Raszkównę, tę, która siedzi za Justyną.

Mani nie było do końca godziny, wróciła z twarzą purpurową i zapłakanymi oczyma. Właściwie nie wie, czego od niej chciano.

— Od razu przełożona do mnie, co wiem o tobie? Więc ja mówię, że nic, że mnie koleżanki poza szkołą nie obchodzą, no i dopiero! Przyszła jeszcze Jańcia, zrobiła się żółta jak cytryna i parskala ze złości: „Wy wszystkie takie! To nie wiesz, że ona pożycza uczennicom jakieś obrzydliwe książki, czyta rzeczy potępione przez Kościół, opowiada kłamliwe, nieprawdopodobne historie, szerzy brud i zgniliznę moralną.“ A ja: mnie nic nie mówiła, nic nie pożyczała...

Nazajutrz zaczęło się już prawdziwe śledztwo. Uczennice są kolejno wywoływane z lekcji i stojąc naprzeciwko wychowawczyni w gabinecie przełożonej, odpowiadają na pytanie: „Co wiesz o Justynie?“

Na czwartej lekcji wywołano wreszcie ją samą, przyszła po nią wychowawczyni.

Nad fotelem wisi niewielki obraz, przedstawiający świętą Cecylię z rękoma na klawiaturze organów. Wspomnienie muzyki uspokaja Justynę.

— Możesz opowiedzieć mi wszystko? czy zdajesz sobie sprawę z tego, że jesteś nad przepaścią, że twoje po-

mylone myśli, twoje wiadomości zgubią ciebie prędzej czy później?! Jesteś Polką i katoliczką! Rozumiesz? Nauczyciel winien służyć tylko i wyłącznie Polsce i Kościołowi, rozumiesz? Wyznaj mi wszystko, wszystko!!!

— Ale co właściwie?

— Jak to co? — głos Jańci podrywa się znowu ku górze złością i zniecierpliwieniem. — Jak to co?! no, o tych sprawach, kto cię sprowadził na manowce, z kim obcuje, kto cię karmi tą przekłętą lekturą, kiedy się to zaczęło?

Justyna przygląda się wychowawczyni z mimowolną litością. Przez krótką sekundę jest nawet tak, że chce się uśmiechnąć, ale zaraz robi się jej ogromnie żal panny Janki, która wyraźnie dusi się od wielkiego gniewu, oburzenia i jeszcze jakichś, sobie tylko wiadomych, uczuć. Chce zdjąć grozę z twarzy wychowawczyni, chce wyzwolić jej ręce od bolesnego uścisku, w którym się coraz zwierają, chce jej jakoś pomóc, ale nie wie jak, więc mówi:

— Nie widzę niczego szczególnego w tym, co zaszło na religii i na śpiewach... Żadnych nadzwyczajnych książek nie czytam i poza tym nikt, absolutnie nikt nie deprawuje mojej duszy. Wiele rzeczy wokół wydaje mi się niesprawiedliwych, a wielu ludzi złych i okrutnych. To wszystko... Zachowałam się może... niewłaściwie — przypomniało się jej słowo już raz użyte wobec pani Brańskiej. — Tak, niewłaściwie wobec księdza prałata i do prawdy żałuję tego...

— Nie znasz bliżej, to jest, nie masz żadnych kontaktów z młodzieżą komunistyczną?

Justyna milczy, więc panna Janka dodaje szybko: — Znasz jakich komunistów?

Justyna mówi, że zna, знаła, jak była w Rosji, w Charkowie.

— Miałam wtedy sześć lat, był czas Wielkiej Rewolucji. Mój ojciec już nie żył. Mieszkaliśmy w nędznej suterenie, w takiej jak nieboszczyk woźny Franciszek, moja matka prala strażakom białiznę i zmywała w gar-kuchni.

Panna Janka ma przymknięte powieki i wydaje się, jakby minęła ją największa złość, jakby była przede wszystkim bardzo zmęczona. Cisza, która zapadła po słowach Justyny, trwa nieznośnie długo...

— A czy twoja matka, Justyno, jest rzeczywiście rodzoną siostrą wiceministra Juliana Katerli?

Pytanie jest ciche i panna Janka nie otwiera powiek. Złość, nagle, wielka złość i wstyd za pannę Jankę, za jej fałsz, obłudę, sprzedajność wykwita na policzkach Justyny ciemnymi plamami czerwieni. Zaciśka ręce w pięści, cofa się gwałtownie w tył i woła głośno:

— Tak, tak! Minister Katerla jest moim wujem, jest rodzonym bratem mej matki! — Jakby wypłuła coś obrzydliwie gorzkiego, coś, po czym został w ustach wstrętny smak...

Panna Janka jeszcze coś mówiła głosem, który starał się być łagodny, o „fatalnych wpływach wykołajeńców, o wrogach ojczyzny i zaprzańcach, o szczytnych zadaniach nauczycielki, o potrzebie nieustannego ćwiczenia woli, o tym, że okres pokwitania sprzyja zaostrzaniu konfliktów z otoczeniem...”

Wreszcie zostawiła ją samą. Z kolei weszła przełożona. Skinęła Justynie głową i wskazała krzesło.

— Moja droga — zaczęła i ciągnęła dalej głosem zasmuconym i trochę niepewnym — przyznaję, że bardzo mnie martwisz. Dotychczas raczej broniłam cię. Twoje ostatnie wystąpienie nie było pierwszym, wiesz o tym dobrze. Ale dziś nie wiem już, co mam mówić, i nie wiem, zwłaszcza, co mam myśleć o tobie. Jako ta, której powierzono pieczę nad waszymi charakterami, jestem powoła-

na do tego, aby was strzec przed grzechem, rozumiesz? Zła książka i złe towarzystwo prowadzą do złych myśli, a od tego tylko krok do występnych czynów. Ksiądz prefekt jest ci skłonny przebaczyć, jeżeli stwierdzimy w tobie skłonności do poprawy, chęć do pracy nad sobą... — Była na tyle taktowna, że nie wróciła do sprawy pokrewieństwa z Julianem Katerlą. Umilkła, czekając na skruczę Justyny.

— Możesz odejść — powiedziała wreszcie swym zwyczajnym, ostro rozkazującym tonem.

Pani Stefania przerywa na chwilę czytanie i zwraca ku niej głowę, kiedy Justyna siada na swoim miejscu w klasie.

Ziuta, Marysia Raszkówna i Mita patrzą na nią ciekawie i niecierpliwie, ale ona utkwiała oczy w twarzy pan: Stefanii i nie czuje ich spojrzeń.

Sprawa Justyny była niby kamień rzucony w wodę, w pierwszej chwili wzniosł się ponad nią wysoki, skotłowany bryzg, potem rozeszły się szerokie kręgi na powierzchni, dalekie, coraz dalsze i coraz łagodniejsze...

ROZDZIAŁ VII

We czwartki jeździ się teraz do szkoły ze skrzypcami, bo w te dni są lekcje muzyki.

Od Wisły wieje lodowaty wiatr. Most jest długi, z rzadka oświetlony chyboczącymi się na wietrze lampami, zamarznięta rzeka lśni w dole.

Justyna ma zajęte obydwie ręce, w prawej niesie teczkę, w lewej skrzypce. Futerał jest staromodny, z żelazną rączką, ale skrzypce są wspaniałe, koncertowe. To są skrzypce po Adasiu Komornickim.

Cioci Mini i Adasia Justyna nie pamięta, czasem jednak, gdy patrzy w sali na fortepian, wydaje się jej, że

podpływa ku niej niktą, poznaczona drobnymi zmarszczkami, bardzo łagodna twarz i zawieszona w przestrzeni na coś czeka, ale nim Justyna zdąży sobie uświadomić, że to wspomnienie, twarz rozplywa się i zetraca.

Skrzypce są bardzo stare i bardzo cenne. Pani Gabrińska, nauczycielka muzyki, orzekła stanowczo, że szkoda ich do nauki i można by je korzystnie sprzedać jakiemuś znawcy.

— To jest instrument dla kogoś, kto jest muzykiem, dla artysty. Tobie, moja droga, są potrzebne skrzypce szkolne.

Same lekcje muzyki sprawiły Justynie wielki zawód. Ćwiczenia były nudne, podobne do siebie, nie miały nic wspólnego z prawdziwą muzyką. Nigdy nie nauczy się grać naprawdę, nigdy! Dziewczęta z piątego kursu też nie umieją, chociaż uczą się muzyki trzy lata.

Justyna słyszy w sobie wspaniały koncert Brahmsa, grany po mistrzowsku przez Marka na ostatnim zebraniu na Jezuickiej. Jakże chciałaby umieć sama wygrać na strunach którąś z uroczych pieśni Schuberta, Schumana czy Tostiego... Słodką melodią przeniosłaby ją do innego świata, do świata, w którym nie byłoby umierającej Amelki, złamanej cierpieniem matuśki, „Seminarium Pań Dobrych“, wszystkiego, co ją gnębiło, a równocześnie wciągało jak wir na rzece nie dający się ominąć.

Zawsze, gdy zaczynała myśleć o muzyce, nachodziło ją szczególnie dojmujące uczucie bezsilności...

Mimo że już po siódmej, jest jeszcze zupełnie ciemno. Przenikliwie zimno wstrząsa dreszczem skuloną postać Justyny. Mijając kościół poczuła znienacka chęć znalezienia się w jego wnętrzu.

Przeszła na palcach lewą nawę i uklękła przed kratą malej kapliczki, oświetlonej dwoma chybottliwymi świe-

cam. Nad ołtarzem stoi prymitywna figura Pana Jezusa Ubiczowanego. Postać jest straszliwie smutna. Wokół ustawione w wazonach kwiaty z bibulki, martwe kwiaty, które nie pachną. Kapliczka Jezusa Ubiczowanego jest zamknięta wysoką ażurową kratą i tonie w żółtym świetle świec. Obok, z lewego i z prawego boku figury, są umieszczone płasko na ścianie dwie obite czerwonym sukniem podłużne tablice z wotami. Ubogie srebrne serca, maluchne nóżki i rączki, sznurki czerwonych paciorków i sztucznych perełek rozkładają swoje mizerne bogactwo przed Chrystusem i chcą go ubłagać...

— Czym by go ubłagać o zdrowie Amelki?

Justyna ustawiła przed sobą futerał, oparła oń teczkę, złożyła ręce i próbuje się modlić. Blask świec liże niechętnym lśnieniem srebro wotów. W kościele jest cicho i prawie ciemno. Po pewnym czasie Justyna wstaje z klęczek, podnosi futerał i teczkę i przeżegnawszy się przed głównym ołtarzem wychodzi na ulicę z sercem ciężkim od troski.



Śmierć Amelki i wszystko, co się z nią wiązało, przeżyła Justyna jak w ciężkim śnie, pełnym zwiądów i majaczeń. Czas był jak płynąca niepowstrzymanie rzeka, wchłoniął jeszcze jedno istnienie — zawarł swą niezgłębioną toń ponad nim i poniósł się dalej z jednostajnym, cichym szmerem codziennych, drobniautkich zdarzeń. Justyna wróciła po świętach Bożego Narodzenia do szkoły i z mozolnym trudem usiłowała odnaleźć dawną siebie w środowisku, do którego przyzwyczaiła się już od dawna. Ale to nie było łatwe. I tu czatowało na nią okrutne wspomnienie. Odnawiało się ono przede wszystkim podczas godzin gry na skrzypcach.

Skrzypce po Adasiu Komornickim, „bezcenne koncerto-

we skrzypce" sprzedawała matuśka jeszcze przed pogrzebem Amelki, bo była już tak zadłużona w firmie, że nie można było nawet marzyć o uzyskaniu nowej pożyczki, a pieniądze były przecież nieodwołalnie potrzebne.

Do czasu, w którym będzie miała inne skrzypce, Justyna jest zwolniona z lekcji muzyki. Zostaje w klasie i usiłuje rozwiązywać zadania geometryczne lub uczyć się słówek francuskich. Poprzez podłogę, która jest nad salą, słychać cichy, rozpraszający się dźwięk. Wargi Justyny drżą. Nie ma skrzypiec i nie ma Amelki...

Mimowolnym ruchem zaciera kostniejące dłonie i chce koniecznie dojść sensu po raz czwarty odczytywanego tekstu... Gbyby nie słyszało się tamtych dźwięków, może łatwiej by się było wyzwolić od cierpienia. Próbuje zatkać palcami uszy.

Dziewczęta żalują Justyny, najwięcej serca okazuje jej Ziuta. Po lekcjach co dnia zostają razem przez jakiś czas w klasie. Ziuta siada obok niej na ławce i usiłuje zająć jej myśli zupełnie innymi sprawami.

— Wiesz? zdobyłam nareszcie tę wspaniałą książkę, o której mówił Wacek! Mam ją przy sobie, chcesz, to ci ją dam, ja przeczytam później...

Wyjrawszy przezornie na korytarz, wyciąga z teczki owinięty w szary papier tom Plechanowa „Rola jednostki w historii“.

— Uganiałam się za tym od miesiąca! To jest wspaniała rzecz! Wacek mówił, że po przeczytaniu tego „ma się wreszcie wyklarowany pogląd na zasadnicze rzeczy“. „Wyklarowany“ — to jedno z tych jego niezrównanych powiedzeń.

Słowa są serdeczne, ale Justyna prawie ich nie słyszy, nie trafiają do jej porażonego wspomnieniem serca.

— Nie ma jej już, rozumiesz? Była, dokądkolwiek sięgnę pamięcią — byłal przez tyle lat od początku mego

życia... i choć ostatnio widywaliśmy się tak rzadko, zawsze byliśmy sobie bliskie. I już jej nie ma!

Myśl uderza w pustkę i zawraca spłoszona i przerażona.

W tej chwili do klasy wchodzi panna Janka i każe natychmiast iść dziewczętom do domu.

Justyna siedzi na stopniu katedry, jakby nie do niej zwracała się uwaga „Jańci“, i bezmyślnie wpatruje się w posadzkę. Ziuta zręcznie chowa rozłożoną książkę i zaczyna się bez słowa pakować. Wychowawczyni chodzi po klasie między rzędami ławek, jej kroki zbliżają się do Justyny i oddalają się od niej, każdy krok uraża jej zmęczone cierpieniem uczucie.

Panna Janka zaczyna mówić:

— Nie wiem, jak można być tak słabym, tak nieopanowanym człowiekiem. Nie przeczę, moja droga, że rodzinę twoją spotkał bolesny cios, ale przecież trzeba umieć to znieść! Jesteś młoda, staraj się z tego otrząsnąć. Powinnaś zająć się nauką, pracą, wypełnić sobie czas systematycznymi zajęciami, zapomnieć. Z rozpaczania nic nikomu nie przyjdzie, zresztą... zresztą nasza religia, nasza wiara daje nam tyle słodkiej otuchy.

Na szybie rozlamal się promień słońca i przeniknął przez szkło. Wąska smuga światła zsunęła się ukosem po parapecie i położyła na posadzce... Powieki Justyny opadły, zakrywając oczy. Nagle na jej kolana zaczynają spadać łzy. Justyna nie może powstrzymać płaczu.

Justyna byle jak wsuwa do teczki książki i zeszyty, machinalnie sprawdzając dłonią pustkę kasetki, już! już można uciec od głosu wychowawczyni, od jej obmierzłej gadaniny. Trzeba zejść do szatni i zaraz potem iść do placu Zamkowego i dalej do ulicy Podwale, bo dziś jest czwartek, a we czwartki Justyna ma dwugodzinną korepetycję. Daje lekcje uczniowi z trzeciego oddziału Szkoły Cwiczeń.

Chłopak jest tępy i leniwy, ale jego ojciec jest zamoż-

nym kupcem i płaci za dodatkową naukę syna piętnaście złotych miesięcznie.

Na dole czeka na nią Ziuta. Jest bardzo zafrasowana stanem Justyny. Coraz spogląda na przyjaciółkę i łagodnie napomina i pociesza:

— Nie martw się tak bardzo! W niedzielę pójde z tobą na Powązki, a to przeczytaj koniecznie, zobaczysz, co to za książka!

Plechanow wędruje do teczki Justyny.

Na ulicy jest widno od śniegu, jednolicie, męcząco biało! Splakane oczy są oślepione blaskiem. Powieki szczypią i kłują, a cała twarz ściąga się i kurczy od nagłego chłodu. Justyna przyciska do boku teczkę i mimo woli wtula się w swój żakiet.

Powoli jej myśli zaczynają reagować na aktualne spostrzeżenia i wrażenia, byle jakie, najprostsze, nieważne: na dzwoniący tramwaj, na brudny śnieg jezdni, na zegar koło księgarni, na którym jest już dziesięć po trzeciej. Przyspiesza kroku.

Jacek nie lubi się uczyć, patrzy na Justynę małymi, żółtymi oczami, pociąga nosem i wyczekuje na „pomysł“, który zaraz mu przyjdzie do głowy i przerwie lekcje.

Justyna mówi cichym, znękanym głosem, mówi ciągle to samo, wybierając mozolnie ze skłóconych, nasyconych cierpieniem myśli proste i najłatwiejsze słowa, mówi o „podmiocie i orzeczeniu“.

— Rozumiesz, Jacku? Uważaj, to przecież nie jest trudne, umiałeś to już na poprzedniej lekcji...

W parterowym mieszkaniu zaczyna się ściemniać i Justyna zapala lampę. Przykry ból powiek przeszkadza myślom. Nie, Jacek nie rozumie!

Czy długo tu jeszcze musi być? Czy czas stanął w miejscu? Czy nie wolno jej zostawić Jacka razem z tym jakimś cudzym, obcym mieszkaniem na ulicy Podwale? Czy nie może być sama z sobą?

Justyna ma nieprzyjemne uczucie zapadania się w dół głęboki i ciemny, na próżno mruga powiekami i zaciska dłonie aż do bólu, obok niej na otomanie leży jej teczka i żakiet, zawsze tak leżą czekając na koniec lekcji, zawsze, w każdy poniedziałek i czwartek...

W każdy czwartek, kiedy mają lekcje muzyki. Ale dziś obok teczki nie leżą skrzypce... Skrzypce zostały sprzedane na koszty pogrzebu Amelki...

Justyna wzdycha unosząc mimo woli ciężar tłoczący piersi. Niestety! Spotkało ich straszne nieszczęście! Pawła, ją i matuskę. Matuska!

Justyna nagle uświadamia sobie całą doniosłość jej wspólnoty z matuską — odpowiedzialności za nią, tego, co obarcza ją teraz dodatkowo — konieczność opieki nad nią.

Myśl jest nowa, ostra, jasna. Jakby nagle jakaś siła wyciągnęła ją z otchłani, w którą zapadała, i postawiła twarzą w twarz z tym, co jest najważniejsze, z czymś od czego nie wolno uciec.

Justyna wpatruje się w Jacka i usiłuje zrozumieć, co on mówi: Z największym wysiłkiem łączy słowa:

— Proszę starannie przepisać to ćwiczenie... w przykładach znowu się mylisz!

I wreszcie:

— No więc, ja już pójdę, już... — chce jeszcze coś powiedzieć, ale krtań jest ujęta jakby w żelazną, ciasną obrączkę, słowa nie mogą się przez nią przecisnąć i muszą zostać wewnątrz.

Jacek jest rad, odprowadza ją do przedpokoju, który jest ciemny i cuchnie stęchlizną, pomaga jej otworzyć drzwi.

Palce Justyny obsuwają się po gładkim zatrasku i nie mogą zupełnie dać sobie z nim rady. Jacek przekręca zamek, uśmiecha się przymilnie i na schodach kłania się jeszcze raz, szurając nogami.

W domu Justyna zastała Urbana. Siedział na skrzynce w kuchni i czekał na nią. Justyna oparła łokcie na kuchennym stole, głowę otuliła dłońmi. Obok Urbana siedział Paweł i uczył się niemieckich słówek, ale tylko na „niby“, bo naprawdę kolorował obrazki w niemieckiej książce, sięgając po coraz inny ołówek do tekturowego pudełka, stojącego na płycie kuchennej.

Justyna ma odrobić lekcje na jutro. Justyna powinna przykręcić lampę, odezwać się do Urbana, bo przecież niegrzecznie jest tak nic nie mówić... ale nie może. Usiadła przy kuchennym stole, dłońmi ciasno objęła pochyloną głowę. Nagle zniewolona wewnętrzną, niezrozumiałą potrzebą wydzierając z serca całą żalność i całe ukrzywdzenie, zamienia je na słowa i oddaje Urbanowi.

— Zawsze wydawało mi się, że to ja jedna mam kłopoty, zmartwienia, to takie nieznośne przyzwyczajenie przeżywania bez końca swych rozczarowań, że muszę cierpieć patrząc na ból innych, że tylko ja dostrzegam tak wiele i tak dokładnie, a ona jest radosna sama z siebie, jest szczęśliwa... Właściwie w jakiś sposób chyba jej zazdrościłam. Była śliczna, zawsze wesola! Teraz widzę, że nie znałam Amelki, nie zadałam sobie trudu, by ją poznać. Odeszła z samego środka naszego życia i teraz już niczego nie można odrobić!

Oczy Justyny są suche i błyszczące, ręce o odwróconych ku górze dłoniach leżą na ceracie stołu, jakby na coś czekały...

Urban pochylił się trochę ku przodowi. Oczy jego patrzą na nią ze współczuciem, przyjaźnią. Justynie robi się odrobinę lżej. Urban długo milczy wreszcie półgłosem mówi:

— To wielka strata! Tylko że nie wolno człowiekowi jednoczyć się ze śmiercią, bo jego celem jest życie... Sam przeżywałem podobny stan, straciłem przyjaciela, którego kochałem. Zginął w 1920 roku. Złe pani robi, wracając

nieustannie do czegoś, co się dokonało i jest faktem nieodwracalnym. Jest zresztą pani Anna, której dramat jest niewątpliwie głębszy i boleśniejszy, a która potrafiła wrócić do pracy, do spraw dnia... Czy pani, panno Justyno, nie podziwia swej matki?

Justyna w tej chwili spostrzega lekkie płatki kopciuch, unoszące się w powietrzu, wstaje więc ze swego miejsca, podchodzi do lampy i przykręca kłot.

Urban odsuwa się na lewy kraj skrzynki, Justyna przysiadła z prawej strony. Są teraz blisko siebie.

Justynie powoli rozkurcza się serce. Wspomnienie podpływa miękką falą i więźnie w cichych słowach, w szepcie wyznania. Justyna pierwszy raz w życiu opowiada komuś o sprawach, do których od dawna nie wracała myślą. Opowiada Urbanowi, jak matuśka od wielu lat kolejno musiała rozstawać się z przedmiotami, do których była przywiązana, i z ludźmi, których kochała...

Nie wiadomo, od którego słowa odmienili temat, zaczęli rozmawiać o muzyce, o lekcjach Justyny u Anasztazego Krupy, o grze na skrzypcach...

— Słyszałem, że na Żeraniu, w kamienicy Mitaków, mieszka jakiś skrzypek-Francuz, że chętnie udzielałby lekcji. Może wybralibyśmy się do niego w niedzielę?

— Teraz nie wolno mi o tym nawet myśleć...

— Jak to? dlaczego? właśnie teraz! nie tylko należy myśleć, ale i działać. Musi pani zacząć prawdziwe lekcje gry na skrzypkach! Proszę się na mnie nie gniewać, to się do czegoś przyznam. Wczoraj rozmawiałem już z tym Francuzem; właściwie sprawa jest załatwiona, to po prostu okazja! I jeszcze coś chciałem pani powiedzieć: mam bilety na koncert...

Justyna od niedawna „odkryła“ filharmonię i teatr i każda tam bytność była dla niej źródłem wstrząsających, niezapomnianych przeżyć.

Jest więc tak wzruszona jego dobrocią i delikatnoś-

cią, że nie sprzeciwia się już niczemu. Urban przed odejściem chce jeszcze koniecznie pomóc jej w algebrze.

— Zaraz to razem rozwiążemy, proszę pokazać...

— Nie, jutro rano odpiszę od Ziuły, zresztą jest już późno!

Ale Urban jest uparty.

Justyna przynosi teczkę z pokoju, ustawiają lampę na kuchennym stole i zasiadają do pracy. Wprzód jednak nim znalazła podręcznik algebry, do rąk Urbana trafiła książka Ziuły: „Rola jednostki w historii“. Żadne z nich nie spostrzegło, kiedy Paweł ułożył się na swym dzieciennym łóżku i zasnął twardo, a wokół zapanowała zupełna noc.

ROZDZIAŁ VIII

W końcu tygodnia bezpośrednio po dzwonku wychowawczyni kazała przyjść Justynie do kancelarii.

Justyna stanęła blisko drzwi i czekała na pannę Jankę.

Muszanka zaczyna zaraz od progu:

— Moja Justynko, więc jak będzie z tymi skrzypcami? Mówiłam ci już, że musisz mieć!

Justyna patrzy na mosiężną klamkę drzwi, patrzy pilnie, jakby chciała nauczyć się jej kształtu na pamięć.

— Musisz mieć na lekcje, widzę, że nie załatwiłaś tego jeszcze. To jest karygodne niedbalstwo i lekceważący stosunek do zarządzeń szkoły...

Justyna słucha, a serce jej zaczyna bić mocno, coraz mocniej, jakby ze strachu przed wspomnieniami, które przyczajone czekają tylko, by je przywołać.

— A może byś je pożyczyła od którejś z koleżanek III kursu? One dziś już miały muzykę, w ten sposób mogła-bys wziąć udział w lekcji.

Justyna zdejmuje oczy z klamki i patrzy na nauczyciel-

kę z wdzięcznością. Wychowawczyni wydyma pogardliwie cienkie wargi.

Przez obydwie godziny muzyki i przez religię myślała Justyna o tym, jak ma ostatecznie załatwić ze skrzypcami, i o tym, o czym wspominał Urban, o prywatnych lekcjach. Jak to zrobić, skąd wziąć na to pieniędzy?

Justyna nie ma pieniędzy. Od dawna już przestała odwiedzać wujka Julka i ciocię Nacię, a pieniądze za lekcje z Jackiem oddawała matusce. Może poprosić kogoś, żeby pożyczył? ale kogo? Ziutka nie ma takiej sumy, a może Cesię Truskolaską, która pracuje od dawna jako maniakiurzystka w zakładzie fryzjerskim, albo Urbana? Weźmie dodatkowe korepetycje, zarobi... i odda.

Nazajutrz była niedziela, Anna jednak poszła jak zwykle przed szóstą do fabryki, bo musiała sprawdzić wczorajsze obliczenia, w których tkwił chyba jakiś błąd, gdyż w żaden sposób nie mogła dojść wieczorem liczby wydanych marek, a Justyna pobiegła do rabinowej, bo ta przyszła po nią wczoraj małą, rudowłosą Salusię. Paweł jeszcze śpi.

Justyna sprzątnęła mieszkanie i wyszła. Do rabinowej jest bardzo blisko.

W sionce, gdy zapukała, robi się ruch, ktoś idzie — człapiące, leniwe kroki.

— To ja!

— Już, już otwarte, zaraz, zaraz...

Głos jest skwapliwy, ale drzwi ciągle są zamknięte. Na dachu stojącej naprzeciw bożnicy siada wrona. Justynie przypomina się nagle, jak kilka lat temu przybiegała tu razem z Pawłem, Anką Dypciówną i małym Jucewiczem w soboty, by cierpliwie podglądać modlących się. Tłum mężczyzn, ubranych w białe-czarne koszule, wysokim, jęczącym głosem wołał o coś do Boga, wołał natarczywie, długo... Było to tajemnicze i straszne! Wystarczyło, aby chór zacichł a spłoszone dzieci dopadały rowu. W rowie

była zielona trawa i łopian, po dachu bożnicy chodziły, jak teraz, spokojne, poważne wrony.

Nareszcie drzwi się otwierają.

— Aj, to pani! mamunia się ucieszy, mamunia tak oczekiwała na panią. Salusia, idź, zawołaj mamunię!

Rabinowa ma trzy córki: Małkę, która ma narzeczonego pana Okręta — „ón jest kupiec“, Igę, która wpuszcila do sionki Justynę, i małą, rudą Salusię.

Wchodzą do ciemnowej kuchni.

— Niech panna Justyna siada, proszę, proszę! A może kawy? A może ryby? My mamy delikatny interes do załatwienia, zaraz się powie! Iga, przynieś rybkę!

Rabinowa cmoka, dziwi się, zachwyca, kołuje.

To ona jest nauczycielką? to ona się już tak wykształciła? Aj, nauka to jest szczęście, to jest coś! Ja to wiem, mój mąż jest wykształconym człowiekiem.

W kuchni pachnie olejem, gotowaną rybą i czosnkiem. Justyna pije kawę, je rybę, potakując cierpliwie, bo bardzo lubi rabinową.

— To Justynka jest już tak jakby całkiem dorosła?! Tak, tak, czas nie stoi na miejscu, ale ucieka. Mówią, że Justynka ma narzeczonego, kawalera?

Justynka chce zaprzeczyć, ale rabinowa nie dopuszcza jej do głosu.

— A bo to co złego? taka ładna panna! i uczona! A co do tego interesu, to Salusia chce się nauczyć czytać, i Iga, Iga umie, ale nie tak raz, dwa — Justyna jest nauczycielką... a ona, rabinowa, da jej po dziesięć złotych za miesiąc od każdej. — Czy Justyna się zgadza? Wczoraj byłam u Idłowej, to ona mi mówi: Estera, ty nie marnuj dzieci, ty je ucz! naprzeciwko mamy nauczycielkę, ty ją poproś...

Justyna myśli o Jacku z Podwala i o kochanej, wiernej Idłowej, o jej nieustannej życzliwości i o tym, że dni będą coraz dłuższe, że dziś po obiedzie umówiła się z Ur-

banem, aby iść do tego skrzypka, co mieszka u pani Mitak... i jest bardzo wzruszona...

Rozmawiają jeszcze chwilę o dniach i porze lekcji, o tym, że Salusia jest „takie nerwowe dziecko“, a Iga jest „delikatna“ i „ma szyk“, Justyna żegna się wreszcie i wychodzi.

Śnieg na torze kolejkowym jest rozcięty wzdłuż równą linią szyn. Stal lśni pośród białości stężalym zimnem. W szwajcarni dozorca wyjrzał ku Justynie z maleńkiej, zadymionej łoży i powiedział z wyraźną przyganą:

— Ktoś tam do was przyjechał, jakiśś z Warszawy, tak się tu kręca, jakby to nie była fabryka, a plac Kercelego!

Justyna zdziwiła się. W pośpiechu okrążyła dom. W kuchni na Pawłowym łóżku siedział wujek Ireneusz — mąż cioci Naci. Przywitała go zaskoczona niespodziewaną wizytą i chcąc pokryć wyraźne zmieszanie, zaczęła zapraszać do pokoju.

— A gdzie matka?

— W fabryce, ale lada chwila powinna nadejść, przeprowadza dodatkową kontrolę.

Zmieszanie Justyny rośnie, bo najpierw: po co ten prawie nieznajomy wujek do nich przyjechał? Była pewna, że matuśka już jest w domu, a i Paweł powinien dawno wstać, a nie leżeć prawie do południa.

Wujek ogląda swój sztywny, czarny kapelusz z białą atlasową podszewką.

Paweł uniósł głowę z poduszki i patrzy na gościa z natarczywą ciekawością, widząc go zresztą po raz pierwszy w życiu.

— Bo przyjechałem specjalnie, bo tego... bo widzisz, umarł wasz dziadek — Wincenty Katerla!

Justyna przysiadła na skrzynce.

Wujek Ireneusz złożył ostrożnie melonik na zestawio-

nych kolanach, pogładził różową łysinę i dokończył urzędowym tonem:

— Pojutrze jest pogrzeb o dwunastej z kościoła na Powązkach. Zona poleciła mi powiadomić o tym waszą matkę, bo pewno tu gazet nie czytacie!

Paweł opuścił głowę na posłanie. Justynie zrobiło się naraz zimno. Chce zapytać o szczegóły śmierci dziadka, ale nie wie, od czego zacząć, wstaje ze skrzynki i dokłada węgla pod fajerki.

— A kiedy dziadek umarł?

— Przedwczoraj w nocy. O, on był już bardzo kiepski ostatnio. Dożył ślicznego wieku. Kto wie zresztą, co mu ostatecznie zaszkodziło? Według mnie — kąpiele! Za dużo było tego jeżdżenia po „badach“, po zagranicach, ale to trudno orzec na pewno! Nie będę czekał, bo zaraz mam kolejkę!

Sprawdził godzinę i wstał.

— Do widzenia!

Justyna nie wie, czy pobiec do matuśki, czy na nią czekać. Dziadek Wincenty — matusin ojciec, wysoki, chudy, z siwymi włosami i małą brodą, osłaniającą część twarzy, małowówny, obojętny. Już nie pamięta, kiedy go po raz ostatni widziała, ale musiało to być dawno, bo powstać dziadka zatarła się w jej pamięci prawie doszczętnie.

Matuśka wróciła zmarznięta i zmartwiona.

— Ach! jaki mróz!

Pije prędko gorącą herbatę i opowiada:

Musiałam się przerzucić, znów mi się nie zgadzają te przekłete marki! Robię się wręcz do niczego! Nie mam pojęcia, jak to się dzieje, ale brak mi pokrycia dla czterdziestu skrzynek...

Justyna nieustannie myśli o tym, co musi zaraz matuśce powiedzieć. Kilka razy otworzyła już usta i miała zacząć, ale coś ściągало jej wargi i nie puszczało słów. Matuśka oparła nogi na małym stołeczku i grzeje ręce

nad blachą kuchenną. Jej twarz ma w sobie cały ogrom przeżytego tak niedawno cierpienia. Jest skurczona, blada, podobna do twarzy rzeźbionych w drzewie.

Teraz Justyna musi już zacząć, musi, żeby nie wiem co, przełknęła głośno ślinę i wydała jednym tchem:

— Matuško, umarł dziadek Wincenty, przedwczoraj w nocy, we czwartek będzie pogrzeb o dwunastej na Powązkach, był u nas wujek Ireneusz!

Anna cofnęła ręce znad rozgrzanej płyty jakimś gwałtownym, bolesnym ruchem, zwróciła twarz ku córce, utkwiała w niej spłoszone źrenice i zaraz pochyliła się głęboko. Wydobywająca się spoza nieszczelnych fajerek czerwoność ognia spływa z jej policzków i czoła, a oczy otwarte szeroko nabierają w siebie blasku.

Justynę ogarnia wielka litość. Przytula się do matuśki i płacze razem z nią. Płacze nad nią, nad jej cierpieniem, a obydwie właściwie raz jeszcze płaczą nad śmiercią Amelki, bo śmierć dziadka Wincentego łączy się w jakiś naturalny sposób z ostatnimi przeżyciami i pogłębia smutek, który nie chce ustąpić z ich domu.

Na pogrzeb pojechali kolejką o dziesiątej rano i przy moście spotkali się z Urbanem. Do kościoła przyszli wcześniej.

Na wysokim, obitym czerwonym aksamitem katafalku pośrodku kościoła stała trumna z dziadkiem Wincentym. Ciężka, metalowa, bogato rzeźbiona. Na trumnie, na stopniach katafalku i niżej na posadzce kościelnej leżały wieńce. Całe stopy cudnych kwiatów.

Powoli zaczęła się schodzić rodzina. W pierwszym rzędzie siedzi babcia Waleria w futrze na żółtych lisach, okryta z tyłu i z przodu krepą, w ogromnym skunkowym kołnierzu, obok niej: ciocia Nacia, Mania, Ziuta, Nella i Wita, wszystkie pięć w karakułach i w welonach na twarzy. W drugim rzędzie zajęli miejsca: wujek Julek z żoną i córkami, dalej wujek Janek, mężowie cioc

i wszystkie córki cioci Mani, i siostrzeńcy dziadków, i ich dzieci, krewni, kuzyni, przyjaciele, których Justyna nie zna i których nigdy nie widziała. Kościół wypełnia się szybko.

Jest straszliwie zimno. Ludzie kaszlą dyskretnie. Na-bożeństwo ciągnie się długo. Justyna usiłuje się modlić, ale nie może, bo wszystko jej przeszkadza: westchnienia matuśki, śpiewy księży przy ołtarzu, gra na skrzypcach z chóru, tłum ludzi uroczystych, eleganckich, ustrojonych żałobnie, kwiaty poukładane w więdnący stos i — trumna, wyniesiona ponad wszystkich, ciężka, rzeźbiona, razem ze swym straszliwym, niepokojącym, szczelnie zamkniętym wnętrzem.

„Śp. Wincenty Florian Katerla, uczestnik powstania 1863 r. Obywatel m. Warszawy ur. 19 lutego 1844 r. zm. 19 lutego 1926 r.“ — oznajmia tym, co ciekawi — trumienna blacha.

Justyna klęka obok krzesła i czeka... na żal po dziadku. Biała szarfa z mory obsunęła się z ostatniego stopnia katafalku i leży na płycie posadzki, litery na szarfie są złote, gotyckie, szeroko rozstawione w słowo: „w n u c z k i“. Oczy Justyny ślizgają się po złocie liter, suną w górę i w dół, drugi koniec szarfy utonął wśród kwiatów leżącej obok wiązanki z białych i żółtych olbrzymich chryzantem, Justyna szuka oczami tego drugiego końca, o, jest! — „d z i a d k o w i“. Serce Justyny bije mocno, równo. Pochyliła głowę i znów oczy jej odczytują wyraźnie cały tekst: „K o c h a n e m u d z i a d k o w i — w n u c z k i“.

Nie! ona nie kochała dziadka Wincentego! nie kochała go nigdy! Był surowy, obojętny, nie miał litości nad matuśką, nad nikim... Przezornie chował siebie i swoje pieniądze, jak skąpiec, skąpiec nie chce miłości niczyjej, pożąda tylko bogactw! A teraz już go nie ma, leży w zamkniętej trumnie, ustawionej wysoko, ale był — był długo,

był już wtedy, kiedy jej nie było na świecie, kiedy nie było matuśki! Był i odszedł, minął, ale zostali po nim ci tu... Ród Katerlów, zamknięty klan! Ród Katerlów... Rozrośli się, okrzepli, utyli, dokupili domów, placów, antycznych mebli, obrazów, sreber, pomnożyli konta bankowe, dołożyli kosztowności do safesów.

Dwóch synów podparło nazwiska powagą stanowisk, córki dodały splendoru rodzinie poprzez mężów: doktor, inżynier, kupiec pierwszej gildy...

Tylko matuśka, tylko jedyna Anna zawiodła nadzieje Wincentego. Nie wniosła w ród — nic, prócz wstydu i skandalów, ale ona właściwie dawno przestała się liczyć... Czy matuśka jest jedną z nich?

Kim właściwie jest jej matka? Dlaczego tu przyszła? Czy poza ludzką, zwyczajną miłością, która się rodzi i umiera, która z czegoś wyrasta — z marzenia albo tęsknoty, z cierpienia albo samotności, jest jeszcze jakaś inna? miłość wspólnej krwi?

Na złożone ręce Justyny padają dwie łyzy żalu. Justyna machinalnie ściera je końcem rękawa i podnosi głowę. Rodzina siedzi pośrodku nawy kościelnej. Siedzi wygodnie, oparta plecami o wyściełane poręcze krzeseł i foteli.

Kobiety w czerni, mężczyźni z gołymi głowami, o mocnych karkach.

Babcia Waleria, wdowa po nieboszczyku Wincentym, Waleruchna, jedynaczka właścicieli Cechszyna i Cechszynka, Kuskowa i Górnych Stawisk.... Dla niej to, jak się jeszcze niekiedy poufnie mówiło w rodzinie, ojciec dziadka Wincentego — Florian, sprzedał warsztat bednarski razem z terminatorami i klientelą, zmienił nazwisko Kamenta na Katerla, zerwał raz na zawsze ze wszystkim, co nie było „prawdziwym państwem“... Jego syn — Wincenty — nie potrzebował się już niczego zapierać i z niczym zrywać. Skończył Szkołę Główną, był architektem, mó-

wił płynnie po francusku, żona jego była Stawska de domo... Budował ludziom domy, a sobie kupował je gotowe.

Reprezentował nową warstwę ludzi, dla których pieniądze już nie tylko był narzędziem w dochodzeniu do czegoś, ale celem samym w sobie... Na ramionach babci Walerii i na podłodze obok krzesła leży krepa. Babcia nie płacze, tylko od czasu do czasu kiwa głową i wtedy krepa faluje, co daje złudzenie, że cała babcia lekko drży.

Plecy ciotek są bliźniaczo podobne: pięć karakułowych palt, pięć żorżetowych welonów. Obok krzesel stoją córki Julków, cioci Ziuty i cioci Mani. Coraz szepczą, niecierpliwiąc się wyraźnie.

Teraz księża śpiewają chórem, a przy ołtarzu robi się niebiesko od dymu kadzidła. Goście pośpiesznie wstają z krzesel i z ławek.

Grób rodzinny Katerlów, z czarnego marmuru, obszerny i bogaty, jest koło czwartej bramy.

Justyna szła obok matuśki, prowadzonej przez Urbana i Pawła. Szła na zeszytniałych od zimna nogach w tłumie, który posuwał się bardzo wolno zaśnieżoną aleją cmentarną. Zaraz po złożeniu trumny do grobu, nie czekając na koniec uroczystości, wyszła z cmentarza i pojechała na Podwale do Jacka.

Po lekcji Justyna wstąpiła jeszcze na Warecką do Ziućki do internatu i do domu wróciła dopiero o siódmej. Matuśka była u pani Ziemskiej, poszła odnieść jej żałobny kapelusz, po raz drugi wypożyczony na uroczystość pogrzebu.

Paweł siedział w kuchni i czekał na Justynę.

— Ach, Justyno! ty nie masz pojęcia, jacy oni podli, ta cała rodzinka! Jak wyszliśmy z cmentarza, wszyscy pojechali do „Jaśnie Wielmożnego Pana Wiceministra” na obiad. Istna szopka! Kłaniali się sobie, przyglądali, a sztywni byli wszyscy, jakby kije połknęli! Zaczęły się

mowy, a potem działa! No, nie masz pojęcia... i wiesz co? — Paweł jest tak wzburzony, że aż zacina się i przez krótką chwilę jest cicho, bo Justyna przestała jeść i czeka. — Wszystkie pieniądze już rozdrapali, a mamie nie dali ani grosza! Nic a nic! Babka powiedziała jeszcze: „Ty, Anno, swoje wybrałaś! Taki posag i taka wyprawa, a i to ważne, że wszystko zmarnowałaś!” A ciotka Ziuta i ta cała Nacia, i sam pan minister klócili się ze sobą jak dziady na odpuszcie! Może zresztą dałoby się coś utargować, ale mama nie upomniała się o nic słowem, jakby w ogóle cała sprawa w niczym, ale to w niczym jej nie dotyczyła! To babka tak rozporządziła: „Jułeczek się tym zajmiej a po mojej śmierci będziecie się jeszcze raz dzielić u rejenta”. Chciałem się tam z kim pobić! a my to co? a nasza matka to nie ich córka?

Justyna nie może jeść obiadu, nie smakuje jej. Przegarnia łyżką w talerzu i coraz chce przerwać Pawłowi, żeby już nie mówił, ale on rozzłościł się na dobre, ma wypieki na policzkach i błyszczące oczy i musi wypowiedzieć koniecznie te wszystkie słowa, które urodziły się w nim w czasie wizyty u rodziny i które teraz nie dają mu spokoju.

— Jakaż ta babka jest podła! Ona i wszyscy! Jak ja ich nienawidzę! Nigdy, nigdy nie chcę już ich oglądać!

Łyżka obsuwa się po brzegu talerza z głośnym dźwiękiem, Justyna przerywa mu, ostatecznie zniecierpliwiona:

— Przestań nareszcie, Pawle, bo to wszystko jest obrzydliwe!

Siedzą naprzeciw siebie w ciemnej kuchni, oświetlonej tylko małą lampką, zawieszoną wysoko między drzwiami i szafką. Paweł już dawno przerósł siostrę, długie, chude nogi w przykrótkich nogawkach oparł o stół, na którym siedzi Justyna.

— Musisz zrozumieć, że mnie ci ludzie nic a nic nie

obchodzą. Są mi obcy! I czy ty myślisz, że matuśka wzięłaby od nich pieniądze?! Od babki czy od kogokolwiek?! Chociaż jeden grosz?! Nasza matuśka?!

Teraz i żrenice Pawła ciemnieją od zmieszanych uczuć, a wargi zaczynają mu drżeć.

— Jak to, przecież to się należało po dziadku, przecież to powinno być dla wszystkich, sprawiedliwie, jednakowo, przecież mama była taką samą jego córką jak i tamci, ani lepszą, ani gorszą!

Justyna odsuwa gwałtownym ruchem talerz na środek stołu, zaplata ręce na piersiach i mówi twardo:

— Matuśka nie wzięłaby żadnych pieniędzy! na pewno! nigdy! — i przelękając głośno ślinę dodaje jeszcze: — Dlatego właśnie, że jest inna, zupełnie inna! lepsza! Ona nie dba o ich parszywe pieniądze, o ich skąpe i chciwe bogactwo, rozumiesz?

ROZDZIAŁ IX

Zaraz po Nowym Roku obiegała place i hale fabryczne z dawna wyczekiwana wieść, że wreszcie wyznaczono termin sprawy Cirockiego. Przeciwno magazynierowi, który od owego pamiętnego zajścia w restauracji Kłoseckich przebywał w więzieniu śledczym, występował prokurator, oskarżając go na podstawie zeznań Grzelaka o zabójstwo Górnickiego i współuczestnictwo w kradzieży zapalek.

Ludzie z pasją wrócili do dawnych sporów i komentarzy. Przypominano sobie różne szczegóły dotyczące „Rudego“, jego kompromitujące historie miłosne, jego wrogi stosunek do ogółu robotników, jego rolę dyrektorskiego szpicla, jego obcość.

— Powinni go obwiesić, zbója!

— Aha! zobaczycie, że mi włosy na dłoni wyrosną, jak

dostanie więcej nad sześć, siedem lat! — reflektował zapalających się Sendek.

— Za morderstwo! Wykluczone! nie wiecie, co gadacie, dwadzieścia latek i ani dnia mniej!

— Sprawiedliwości by chyba na świecie nie było, żeby bandytę dało się wybronić!

— A toś w sedno utrafił! Sprawiedliwości nie ma, i to nie od dziś!

Aresztowanie magazyniera było dla dyrekcji fabryki bardzo nie na rękę.

Wilhelm Cirocki, faworyt Kagana, jawny pupil Spółki, okazał się złodziejem i mordercą. Należało za wszelką cenę nie dopuścić do zbytniego rozgłosu całej sprawy albo nadać jej inny kierunek. Wieści o opłaconych przez dyrekcję adwokatach i innych wysiłkach, czynionych w kierunku zatuszowania sprawy, okazały się prawdziwe, dowodem czego było wystąpienie doskonale zorganizowanej obrony.

„Górnicki komunista i prowokator napadł na Cirockiego, czałował zresztą na magazyniera od dawna, czując, że jego wywrotowa działalność na terenie fabryki była wykryta właśnie przez oskarżonego. Śmierć była nieszczęśliwym zbiegiem okoliczności. Występując w samoobronie, w ciemnościach, Cirocki przyczynił się jedynie do niej mimo woli, nieświadomie, a śmierć prowokatora w żadnym razie nie była zbrodnią...”

Sendek słuchając tych gładkich — podpartych gęsto takimi zwrotami jak: „czerwona zaraza“, „rak, toczący organizm pracującego proletariatu“, „dobro ojczyzny“ i „dobro fabryki“ — wywodów, mienił się na twarzy i zaciskał pięści, tak że bieleły mu paznokcie...

Nie zdziwił się też, będąc przygotowany wreszcie na wszystko, że w sumie zbrodniarz otrzymał najniższy wymiar kary, to jest pięć lat z zaliczeniem okresu śledztwa,

a Grzelak, za współdziałanie w kradzieży — sześć miesięcy.

Robotnicy przyjęli decyzję sądu z oburzeniem, protestując głośno. Szczególne podniecenie podsycali jeszcze coraz częściej powtarzane wieści o planowanej przez rząd transakcji między szwedzko-amerykańskim koncernem Kreugera a Bankiem Gospodarstwa Krajowego.

Rozgoryczenie rosło, rozlewając się z dnia na dzień coraz szerszą falą buntu. Jutro stawało się niepewne. Na próżno aktywiści zalecali czekanie z masowym strajkiem, o którym przebąkiwano tu i ówdzie, do wyjaśnienia sytuacji.

— Na wszystko przyjdzie pora! — powtarzał Sendek. — W obecnej chwili nie pozostaje nam nic innego, jak czekać. Czego możemy dziś dokonać? Niczego! Zastrajkujemy i co? Tysiące ludzi straci pracę, a na ich miejsce przyjmą innych na obniżonych do połowy stawkach! Czy nie tak, towarzysze?

Sendek wiedział, co mówi.

Wreszcie powtarzane uporczywie od dłuższego czasu wieści o umowie z Kreugerem znalazły pełne potwierdzenie. Na mocy ustawy został w Polsce wprowadzony i wydzierżawiony szwedzko-amerykańskiemu koncernowi — Monopol Zapalczany.

Specjalnie utworzona Spółka Akcyjna dla Eksploatacji Polskiego Monopolu Zapalczanego, należąca do koncernu Kreugera, wykupiła istniejące na terenie całej Rzeczpospolitej fabryki zapalek.

Tysiące robotnic i robotników zaczęło pracę dla obcego kapitału. Jednocześnie Monopol uzyskał prawo wykupienia fabryki chloranu potasu oraz wybudowania nowych fabryk potasu i fosforu. Cena zapalek raptownie skoczyła w górę. Na rynku powstała konsternacja. Równocześnie, bezpośrednio po transakcji, część fabryk zapalek została natychmiast unieruchomiona.

Skurczenie produkcji pociągnęło za sobą redukcję robotników. Groza bezrobocia w jednych wywołała chęć działania, u innych wyzwoliła lęk, apatię i pokorę.

Fabryka na Pelcowiznie na razie nie ograniczyła produkcji, przeciwnie — uruchomiono drugą i trzecią zmianę, ale to nie uspokoiło ogarniętych paniką ludzi. Wszyscy wiedzieli, że kryje się za tym jakaś katastrofa.

Wreszcie działacze partyjni postanowili urządzić otwarty wiec i przede wszystkim zapoznać robotników z sytuacją na rynku zapalczanym. Przemawiać miał i przygotować ludzi do ewentualnej walki Owczarek, który zaraz po aresztowaniu Cirockiego i Grzelaka wrócił do pracy w fabryce w charakterze elektromontera.

Zebrali się przed szwajcarnią, bo ciągle jeszcze obowiązywało zarządzenie dyirekcji, zabraniające zebrzań na terenie fabryki. Po ujawnionej zdradzie Grzelaka, który od lat mienił się komunistą, towarzysze partyjni zachowywali szczególną ostrożność, toteż i ten wiec miał oficjalnie charakter wyłącznie informacyjny; organizatorom chodziło zresztą rzeczywiście o to, aby nie doszło do jawnych demonstracji, które by dały pretekst do interwencji policji, od dawna powiadomionej o dacie zebrania przez dyrekcję fabryki.

Onufry Owczarek zmienił się bardzo przez ostatnie lata. Stracił dawną porywczosć, dojrzał wewnętrznie. Jak niegdyś, nie mógł ścierpieć i dziś powolności, marnotrawstwa czasu, próżnej gadaniny, bezsensownych kwestii, nieszczeroci, ale umiał w porę zmilczeć i zachować swój sąd na odpowiednią okazję.

— Towarzysze i towarzyszki! — zaczął podniesionym głosem, by zapanować nad gwarem tłumu. — Robotnik, który przez dziesięć godzin dziennie obsługuje maszynę, staje się jak gdyby jej częścią, a że maszyna jest częścią fabryki, on sam staje się też częścią fabryki, należy do niej, a ona do niego! Co my wiemy o fabryce, której

częścią jesteśmy? Cena zapalek wzrosła, a nasze dniówki spadły; czy coś się popsło w fabryce, czy może to my gorzej pracujemy? To nie to, towarzysze! Tylko że nowy nasz właściciel, a jest nim nowa spółka, musiał tak skalakulować cenę zapalek, aby oprócz opłaty monopolowej, miał tyle to a tyle czystego zysku.

Mówił spokojnie, płynnie, beznamiętnie. Ludzie ścichli i skupili się bliżej mówcy. Ci spośród słuchających, którzy ulegli już dawniej strachowi albo byli bierni z natury czy jawnie sprzyjali polityce kapitału, zaczęli trącać się łokciami, pokaszliwać, a następnie pojedynczo, po dwoje — troje wycofywać na szosę i rozpraszać w uliczkach.

Nie ulegało wątpliwości, że Owczarek demaskował stanowisko rządu i położenie robotnika, a przecież nie każdy chciał tego słuchać, nie każdy chciał się narażać... Zastraszeni — ale w sumie nie było takich wielu, byli w swym niepokoju i bezładzie posępnym przeciwieństwem walki i płomiennego entuzjazmu reszty, która ogromnym, ciasnym kołem otoczyła małą trybunę, i wstrzymując oddech chłonęła słowa Onufrego.

Justyna przyjechała tego dnia z Warszawy razem z Urbanem i doszedłszy szwajcarni wmieszała się z nim w gromadę robotników. Wysłuchali do końca przemówień Owczarka, Sendka i następnych, licznie dopominających się głosu. Dzień był ciepły i pogodny. Resztki śniegu dawno znikły z rowów i trawników. Szła wiosna.

W jakiejś chwili Justyna mimo woli spojrzała na Urbana stojącego bliżej trybuny ustawionej zaledwie o kilka kroków od portierni. Urban słuchał ze zmarszczonymi brwiami i z surowo zaciśniętymi wargami. Nie lubiła u niego takiej twarzy.

Wreszcie więc zakończył się długimi oklaskami.

— Czy nie przeszlibyśmy się kawalek, panno Justyno? Jest tak pięknie — zaproponował Urban nieśmiało.

Poszli powoli najpierw środkiem szyn, a później ścieżką między lekko zieleniejącymi polami. Urban milczał. Twarz miał ciągle jeszcze chmurną, posępną.

Gdy chcieli powrócić do rozmowy prowadzonej w kolejce, spostrzegli, że myśli ich zrobiły od tamtych chwil już długą drogę i dlatego żadne nie wiedziało, jak do nich nawiązać.

Naraz Justyna poczuła gwałtowną potrzebę zwierzeń, po prostu musiała zacząć mówić.

— Coś chciałabym panu powiedzieć, że mną to jest tak jakoś dziwnie, nie umiem oderwać uwagi od tego, co odczuwam, i dlatego... i stąd często popadam w stan jakiegoś otępienia. Nie przestaję marzyć... To, o czym marzę, należy wyłącznie do mnie. Nie muszę tego dzielić z innymi, ale równocześnie chciałabym wiedzieć, co myślą inni, co się kryje we wnętrzach ludzi...

Zamilkła i palcem wskazała na słoneczną plamę, w zasięgu której na żdźble trawy niby żywy k'ejnot poruszał się mały błyszczący żuczek.

— Dawniej, jeszcze w szkole powszechnej, miałam takie dni, tygodnie, gdy wydawało mi się, że zwariuję, tyle rzeczy mieszało mi się w głowie... czułam się niezrozumiana, niezrozumiana przez wszystkich i inną... W takich okresach nie mogłam się nawet uczyć, zresztą i teraz... Czytam! czytam jak opętana! pan przecież wielkiersze i powieści, polskie, francuskie, i dzieła naukowe... rozprawy...

W jej opowiadaniu o sobie nie było żadnej zarozumiałości, ale przepełniona własnymi sprawami, jak każde młode i silne stworzenie, czuła szczególne zadowolenie w analizowaniu siebie pod spojrzeniem bliskich, uważnych oczu przyjaciela. Radość, jakiej doznawała, była widać zaraźliwa, bo spojrzenie słuchającego rozjaśniało się zwolna.

— Byłam coraz inna — wywodziła dalej — owe zmia-

ny następowały jedna po drugiej, co kilka dni, niekiedy co kilka godzin nawet, a każdej z nich towarzyszył jakiś wybuch, jakieś przesilenie wewnętrzne, które stanowiło najczęściej przekreślenie poprzedniego przesilenia... Tak było zresztą jeszcze niedawno... Czytałam Ewangelię i Stary Testament albo wpadałam w pozytywizm, zamęczałam się nad Comte'em. Czytałyśmy z Ziutą Emersona! Na koniec opętał nas Plechanow, to jego dzieło, zresztą pan sam powiedział, że to są rewelacje! Wpadałyśmy w szal! Rano zdawało nam się, że jesteśmy zakochane w klasykach, wieczorem przysięgałyśmy na wierność romantykom, a w sekrecie jedna przed drugą brałyśmy dyżury w gabinecie przyrodniczym naszej „Armebci“ i godzinami siedziałyśmy nad mikroskopem i inkubatorem. Nazajutrz wszystkie książki wydawały się puste, obrzydliwe! Były nawet takie dwa tygodnie, że zaczęłam rozczytywać się w geometrii. Byłam o krok od ostatecznej decyzji, aby zacząć poważną pracę nad odkryciami nowych praw w dziedzinie fizyki i chemii, mających zburzyć wszystkie ustalone pojęcia. Potem próbowałam naśladować Norwida, zaczęłam pisać wiersze i dramaty filozoficzne. Ale, co chyba już jest najmniej wiarygodne — zaczęłyśmy we dwie pracować nad traktatem na temat „Powszechnej reformy szkolnej“ — wzorowanej na szkolnictwie w Związku Rad. Mamy ten traktat!

Chwilę milczała i pół żartem, pół serio, bez cienia zarozumiałości, stwierdziła:

— Byłam zawsze trochę inna jak wszyscy... ale wewnętrznie czuję, że ani ja, ani Ziuta nie dorosłyśmy jeszcze do tego, aby naprawdę zrozumieć najprostsze rzeczy, albo tak myśleć jak taki Sendek, Janek Głogowicz czy Owczarek.

Słońce gwałtownie zsunęło się za nieruchome, od dawna kalekie skrzydła wiatraka, ustawionego na wzgórku

nad samą Wisłą. Powiało surowym chłodem przedwiośnia.

— Ot i teraz — zabrzmiał znów głos Justyny — to, co mówili tamci, i cały tłum słuchaczy, cała fabryka, i firma Nobel, i klejarnia Fuchsa, i tamci z huty Sawickiego wydają mi się obiektami, przedmiotami zewnętrznymi, częścią świata, a nie częścią mnie... Z matuską na przykład jest jakoś inaczej, ona jest naprawdę częścią tych ludzi spod szwajcarni, pojmuje pan? Ona ich nie obserwuje, nie analizuje, ale czuje razem z nimi, kiedy tak będzie ze mną? kiedy?!

— Jak pani zacznie z nimi naprawdę żyć, a przede wszystkim jak przestanie pani być dzieckiem, Justyno! Justyna westchnęła.

— Więc nie jestem jeszcze dorosłym człowiekiem?

Wracali wolno w kierunku szwajcarni. Urban spoglądał ku niej, uśmiechając się łagodnie. Twarz jego straciła całą surowość, czoło pozbyło się zmarszczek, tęczywki zajaśniały.

Rozmawiali serdecznie o różnych sprawach. Tuż przed szwajcarnią Urban zapytał:

— Czy pani zna język rosyjski?

— Rozumiem wszystko, ale mówię słabo, zapomniałam...

— Chodzi mi o czytanie... Mam dla pani jedną książkę, ale trzeba by ją przeczytać do soboty, w sobotę muszę ją niestety zwrócić, jest tłumaczona na język polski i przez to wiele traci, dlatego należałoby ją właściwie poznać w oryginale. Chodzi mi o wiersze Włodzimierza Majakowskiego.

Rozstali się jak para konspiratorów.

Anna zaraz po wiecu poszła do Dypciów, gdzie towarzysze partyjni mieli omówić odbyte zebranie, więc Justyna miała dla siebie cały wieczór.

W pośpiechu odrobiła jutrzejsze lekcje, odpytała Pa-

wła z niemieckich słówek i odmiany „nieprawidłowych czasowników“, przygotowała kolację i otuliwszy się starym szalem matuśki, zasiadła przy osłoniętej papierem lampie.

Wiersze wypełniały dość gruby zeszyt. Tłumaczenie, jak mówił Urban, było rzeczywiście marne, przez pierwsze strony brnęła bez entuzjazmu, gubiąc się coraz w gęszczu słów dziwacznie i zaskakująco poustawianych, wracając do poszczególnych zdań, wyluskując treść... Wreszcie zaczęła pojmować myśli autora, dała się im porwać, pochłonać, straciła rachubę czasu.

Kiedy rankiem z zaczerwienionymi oczyma i pośpiesznie pulsującymi tętnami w skroniach szła do szkoły, czuła, że stało się z nią coś niezwykłego. Jeszcze nigdy nie była tak podniecona, nie doznawała egzaltacji tak wzniosłej. Szła po tych samych ulicach długimi krokami, jak zwycięzca.

Podświadomie zdawała sobie sprawę z tego, że owo niezwykle poruszenie nie zachowa się w niej w swym pierwotnym natężeniu na zawsze, ale równocześnie miała niezachwianą pewność, że przeżywane myśli i uczucia złożą w niej ślad, którego nic i nikt nie potrafi już zatrzeć.

Nazajutrz postanowiły z Ziutą rozpocząć systematyczną, wytężoną pracę nad językiem rosyjskim.

Poza tym jakby po raz drugi odkryły poezję, czytając z wypiekami na twarzach Tuwima, Słonimskiego i wielu innych. Wróciły też z nową pasją do dysput nad bohaterami „Róży“, „Przepióreczki“, „Doktora Piotra“.

Tymczasem szła wiosna z całą grozą wypadków, od dawna przygotowanych, wypadków, które w kolejności wydarzeń miały ostatecznie wstrząsnąć całym krajem, ich osadą, a wreszcie osobistym życiem Justyny i jej najbliższych.

Aż któregoś pełnego, wiosennego dnia na ulicach Warszawy zagrały armaty, zaczęto strzelać do ludzi, bom-

bardować domy. Lekcje w szkołach zostały przerwane, zamknięto sklepy, fabryki stanęły. Zawrzało od sprzecznych sądów i opinii zaniepokojonych mieszkańców osady, zebranych przed zamkniętą szwajcarnią.

— Przewrót?!

— Na to, mówiąc prawdę, człowiek jest za głupi!

— Przełom wewnętrzny?

— Co to „przełom“? zwykle draństwo! Król się nam rodzi w Warszawie, rozumiecie, kochani?

— Przecie Pilsudski to socjal! Co to z góry krakać?! o naród mu, mówią, chodzi, o robotnika...

Ten i ów zaklął szpetnie i splunął, ale byli i tacy, co obiecywali sobie rychłe zmiany na lepsze.

— Mówią, że komendant to tęga głowa! Ziemię mają dziedzicom odbierać i fabryki spółkom i wszystko oddawać biednym ludziom...

— Ach! wy capy głupie! dostaniecie jeden z drugim fabrykę, aż się nią na śmierć zadławicie!

— Posłuchaj, baranie, jak tam dzielą ziemię. Słyszysz?

Huk wystrzałów wstrząsa powietrzem i budzi trwogę.

Szosa znów, jak w dwudziestym roku, wałą ciasno ludzi, tłum ludzi. Jedni idą w stronę Warszawy, drudzy wracają z miasta. Jest pogodny, jasny dzień. Nagle koło Nobla zbiera się gromada, zajmuje już cały chodnik, rów i część szosy.

Justyna z Pawłem sadzą ziemniaki na świeżo skopanej grządce. Prawie nie odzywają się do siebie, myśląc o jednym, o tym, co dzieje się w mieście, o kilka kilometrów stąd.

Paweł robi szybko motyką ślady, nie podnosząc znad grządki oczu. Jest zły, bo matuśka wymogła na nim słowo, że bez jej zezwolenia nie oddali się poza teren fabryki.

Tego dnia rano nie odezwała się syrena i nie otworzyła szwajcarnia, a tylko około południa wpuszczono poza

bramę samochód z trzydziestoma uzbrojonymi policjantami, którzy objęli wartę na placu i w budynkach.

Justyna w pierwszej chwili nie zwraca uwagi na gromadzących się naprzeciwko ludzi, myśli o tych, co się biją w mieście, o żołnierzach, o wojsku strzelającym wzajem do siebie, o przechodniach, o mieszkańcach ostrzeliwanych domów, o tym, w imię czego i dla kogo wybuchła cała ta krwawa bitwa na ulicach stolicy.

Huk armat niesie się górą i dołem, rozwała szeroko i głuźnie w nie kończącym się echu. Wtem w poprzek dudniącego głosu wystrzałów przerywa się ostry, straszny krzyk. Krzyk tryska z gromady ludzi, stojących po drugiej stronie szosy.

Justyna, tknięta jakimś nie wytłumaczonym lękiem, biegnie do siatki ogrodzenia, ale stąd nie można niczego dojrzeć, bo ludzie stoją ciasno i zakrywają sobą widok, więc dopada szwajcarni, mija szosę i skacze przez rów, ludzie nie chcą jej puścić, przepycha się do placyku koło bożnicy i od strony Wisły przedostaje na teren Nobla...

O! W piachu drogi leży młody Chojnacki, zecer, narzeczony Andzi Dypciówny, leży z woskowożółtą twarzą, z zamkniętymi szczelnie powiekami, długi, sztywny, z rękoma wyciągniętymi wzdłuż ciała. Obok trupa w kuczki przysiadła Andzia i wsunęła mu ramię pod głowę, ciężką i martwą, zwisającą w dół.

Chojnacki oczy miał szczelnie zamknięte... długie rzęsy tkwiły nieruchomo, jakby były przyklejone do brzegu sinawych powiek. Na prawej skroni znaczył się ślad zeschłej krwi i na prawym policzku, i na zadartej ku niebu brodzie...

Teraz dopiero Justyna dostrzegła, że za prawym uchem zabitego czerniała okropna rana. Ranę też zasypał piasek.

Naraz Andzia złożyła martwą głowę na ziemi i jeszcze raz wydała ze siebie spazmatyczny, przeszywający krzyk, który przeszedł w powtarzane bez końca:

— Zabili go!!! Zabili!

Justyna nie mogła wykrztusić słowa. Wiedziała tylko jedno, popełniono zbrodnię! Oto tuż koło niej na piasku leży zamordowany człowiek, człowiek, który chciał i miał prawo żyć! Który kochał życie, który mu ufał! Leży zamordowany przez ową potworną siłę, która ze ślepą nienawiścią i bezmyślnym uporem miażdży wszystko, co się jej przeciwstawia, która za każdą cenę pożąda władzy nad takimi jak oni, ludźmi z przedmieść, wsi i nędznych osad.

Zebrani głośno wyrażają Andzi swe współczucie. Niektóre kobiety płaczą.

Trudno się zorientować, w jakich okolicznościach spotkała biedaka śmierć, bo jedni mówią, że zginął na barykadzie, inni, że go raniło, przechodzącego ulicą.

— Żył, ale nim go donieśli, skończył! — wyjaśnia Janek Dypcio blady ze wzruszenia.

— To te Piłsudskiego żołnierze — zdrajcy strzelili do niego! Rzeź urządzili! Tak to się doczekaliśmy, sami Polacy się rzną i strzelają do swoich jak do psów.

Andzia jakby ocknęła się, uklękła blisko ciała, prędkim ruchem podłożyła obydwie ręce pod głowę narzeczonego i dźwignęła ją jeszcze raz ku górze, z rozdzierającym szlochem.

Wieczorem wstąpił Urban wracający z Warszawy i poszli we dwoje w kierunku Zerania.

Strzały już ucichły i gdyby nie pamięć tego, co się działo przed kilku godzinami, świat wydawałby się nie odmieniony w niczym. Pole, jak okiem sięgnąć, zieleni się młodym zbożem. Długi dzień kończy się delikatnym, przezroczystym zmrokiem. Justyna idzie obok Urbana wąską ścieżką, wydeptaną między zagonami.

— Co się teraz stanie?

Urban tłumaczy wytworzoną sytuację.

— Nowi ludzie obejmują władzę, nie są oni w zasa-

dzie ani lepsi, ani gorsi od tych, którzy byli do dziś, może mają w sobie więcej cynizmu, więcej pewności siebie, to wszystko!

— I po to trzeba było zabijać ludzi? Przecież to jest straszne, w tym brak logiki! Taki Chojnacki już nie żyje, a ilu takich zamordowano dzisiaj? Nowi ludzie przychodzą do władzy, ale system zostaje ten sam, dla systemu Chojnacki i tysiące mu podobnych w ogóle się nie liczą, nie są ważni.

— Ważni są ci, którzy mają dość siły, by uchwycić władzę! I o to właśnie chodzi, żebyśmy my urosli w taką siłę!

Justyna wiedziała, jak głęboko Urban przeżywa sprawy, o których mówi... Twarz jego znów miała ten surowy i ponury wyraz, którego nie znosiła.

— Pali się! To lęk przed rewolucyjnym ruchem robotniczym przyspieszył dzisiejsze wypadki!

Justyna zwróciła ku mówiącemu zarumienioną wzruszeniem twarz:

— Rewolucja w zasadzie też opiera się na zadawaniu śmierci! A przecież człowiek jest najważniejszy! Śmierć jest czymś bezsensownym! nie mogę tego pojąć... według mnie nie powinno się zabijać człowieka.

Urban mimo woli rozkurcza twarz i uśmiecha się lekko;

— No tak, ale są różne przyczyny, dla których się szafuje śmiercią, ludzie między sobą to jakb pojęcia współrzędne, a idea i człowiek to pojęcie nadrzędne i podrzędne.

Powoli ściemniło się zupełnie. Naraz Justyną wstrząsnął dreszcz. Od pola powiało chłodem, a ze wspomnienia wynurzył się jeszcze raz natrętny obraz: nad zielonym rowem gromada ludzi i w środku ciało Chojnackiego, z pochyloną nad nim rozpaczającą Andzię.

ROZDZIAŁ X

Justyna jeszcze raz od początku opowiada Ziućce o tym, jak dostała od Urbana skrzypce. Zostały po lekcjach jako „Komisja dekoracyjna“, by zdjąć w auli firanki do prania. Siedząc na oknie w słońcu.

— Przełożona zatrzymała mnie na schodach i kazała przyjść do kancelarii na parter, myślałam, że znów czekają mnie jakieś pretensje. W kancelarii była Gabrysińska, skrzypce leżały na stole, ale nie pomyślałam ani przez sekundę, że są dla mnie, sekretarka kazała mi podpisać, przeczytałam kwit: „Niniejszym kwituję odbiór 1 (jednej) pary skrzypiec — Firma Canich, Krakowskie Przedmieście...“ Mówię ci, w pierwszej chwili chciałam po prostu odwrócić się i wyjść, wyjść i puścić za sobą drzwi, żeby trzasnęły i żeby zadygotały im tam te wszystkie rozłożone na stole papiery i ściany, i skrzypce! Żeby się tam wszystko zatrzęśło! Wiesz przecież, że chciałam je sobie sama kupić, składałam pieniądze, to mi zabrało całą radość, przekreśliło całą mozolną drogę, wszystko na nic, i moje lekcje, i tajemnica, i niespodzianka! gdy naraz zupełnie przypadkiem zauważyłam, że oglądany przez Gabrysińską instrument nie jest „skrzypcami do nauki“ za czterdzieści pięć złotych, że są to zupełnie inne, stare... jakieś takie podobne do moich.

— No i? — Ziućka patrzy na nią z uśmiechem.

— I nie zrobiłam nic z tego, co chciałam, zapytałam tylko, komu jestem „winna wdzięczność“, podpisałam kwit na złość sobie samej! Słowo ci daję, na złość sobie samej, i przełożonej, i Janci, na złość wszystkim!

Justyna wydycha głośno powietrze, jakby wyzbywała się w ten sposób resztek złości, która wtedy w niej gościła.

— Myślałaś jeszcze oczywiście, że to szanowna dy-

rekcja wyasygnowała z kasy mistrzowi Canichowi tyle to a tyle i kupiła ci koncertowe skrzypce?

— Przełożona uśmiechnęła się obłeśnie i zapytała mnie z kolei: „Jak to? to twój kuzyn cię nie uprzedził?”. To „kuzyn“ było podobne do syku węża. Na szczęście w czas się opamiętałam i wyłgałam gładko jak z nut...

Przyjaciółki śmieją się serdecznie. Ich twarze są blisko siebie, oddzielone odrobiną wysłonecznionego powietrza.

Twarz Ziułki jasna i delikatna, upstrzona drobnymi piegami, odmienia się łatwo pod wpływem przeżywanych wzruszeń.

Twarz Justyny szczupła, z głębokimi cieniami pod oczyma, robi wrażenie szczególnie mizernej, zmęczonej...

Wreszcie śmiech przepada, dziewczęta poważnieją. Chwilę nie mówią nic. Dobrze jest tak siedzieć na parapecie w otwartym oknie, z kasztanowymi gałęziami tuż obok i ze słońcem na ramionach i plecach, które prawie niedostrzeżenie przesunęło się już odrobinę w lewo i objęło teraz fortepian. Czerń wieka jest powleczonea złotym pyłem.

Justyna czuje policzek Ziułki obok swego i naraz wykrzykuje:

— Urban jest wspaniały!

Cała skomplikowana machina seminarium szła z dawną ustalonym trybem, ale bardziej wrażliwe uszy od pewnego czasu zaczęły wyróżniać w jej rytmicznym biegu zgrzyty, niepokojące dźwięki, jakby odradzające się dalekie echa strzałów majowych, które na jakiś czas zatrzymały mechanizm szkolnych godzin, zdeorientowały panie ze Związku i grono profesorów, ogłuszyły babcię Sobieską i przysporzyły pracy woźnym, zasypując klasy, gabinety i korytarze szkłem z rozbitych szyb.

Takim obcym głosem na przykład, który zaskoczył fałszywym brzmieniem dziewczęta, była krótka pogadanka, wygłoszona wkrótce po krwawych wypadkach przez nauczycielkę historii. Miało to miejsce na sali zaraz po odmówionej wspólnie modlitwie porannej.

Pani Zofia w cichych słowach wyrecytowała komentarz do „aktualnej sytuacji“.

— Pewne elementy hamujące rozwój... rozkwit naszej drogiej ojczyzny zmusiły do użycia wojska, na szczęście powrócił już spokój, praca i miłość dla ukochanej Polski, jej świetność i potęga winny...

Frazesy szeleściły sucho. Pani Zofia, nieśmiała i delikatna z natury, kurczowo zaciskała ręce i śpieszyła się wyrazić, chcąc jak najszybciej skończyć wyuczoną przemowę.

Na drzwiach sekretariatu „Związku Pań Dobrych“ bezpośrednio po uruchomieniu szkoły ukazała się kartka z dyskretnym wyjaśnieniem: „Biuro z powodu choroby sekretarki nieczynne aż do odwołania“. Równocześnie nowy woźny zaczął nosić demonstracyjnie swą czapkę legionisty podczas godzin urzędowania, mimo że na dole na najbardziej widocznym miejscu wisiał, jak dawniej, portret Ojca Świętego, a na świecie zrobiło się już lato suche i gorące.

Profesor Rański i Wincetowicz, panie: Stefania, Gabrysińska i nauczycielka geografii od czasu do czasu, od niechcenia, wtrącali słowa o „nowym porządku rzeczy“, o „Wodzu“, o „zasługach wojska“, o „perspektywach ojczyzny“ — wreszcie któregoś poranku na zebrane w sali na modlitwie dziewczęta spojrzały surowo z zawieszonego nie wiadomo kiedy na głównej ścianie portretu — oczy WODZA.

Okres konsternacji minął. Fakty dopełniły się. Sytuacja klarowała się. Do zarządu „Związku Pań Dobrych“ weszły dokooptowane na półrocznym zebraniu dwie gene-

rałowe i pułkownikowa. Dziewczętom coraz częściej i coraz wyraźniej podsuwano pod rozagę pojęcia: „obok miłości i pokory wobec Boga — miłość i pokora wobec władzy“!

Godziny gimnastyki nasycone zostały musztrą, a ostre gwizdki „Jańci“ miały w sobie zdecydowaną nutę zwycięskich fanfar.

Jednocześnie dokonywać się zaczęły nieznacznie pewne przegrupowania zarówno wśród personelu wychowawczego, jak i uczennic, a nawet administracji. Pani przełożona, której mąż w jakiś bliżej nieznan sposób łączył się przez „Spółdzielczość“ z „Niezależną Partią Chłopską“, miała od następnego roku szkolnego ustąpić swego stanowiska baronowej Kurakiewicz, z domu Rothe, wdowie po pułkowniku-legioniście; nauczycielki: panna Wanda — przyrodniczka, pani Kolasińska i nauczycielka fizyki — pani Maria były edwo tolerowane. Profesor Rański i polonistka — pani Stefania nie czuli się pewnie i dlatego demonstrowali przy najblahszej okazji swoją lojalność, przy czym pani Stefania posunęła się tak daleko, że godziny przeznaczone na zapoznanie uczennic z Wyspiańskim poświęciła któregoś dnia w całości Józefowi Piłsudskiemu, wychodząc zręcznie od trawersacji „Legionu“.

Nowy woźny, który od jakiegoś czasu chodził w maciejówce, awansował jednego dnia na intendenta seminarium na miejsce zwolnionej „na własne żądanie“ pani Brańskiej; wśród uczennic do końca roku szkolnego wybiły się zdecydowanie córki wojskowych i urzędników państwowych oraz ziemian.

Czas mijał, nowość sytuacji powszedniała, ale dziewczęta dorastały i coraz częściej oceniały ludzi i zdarzenia z własnego punktu widzenia.

Twarz Ziuty mieni się słońcem, słowa są prędkie:

— Ale według mnie winno być zupełnie inaczej! Ja

uważam, że to należało do samorządu! Na to mamy przecież samorząd, żeby wspólnie pracować, żeby sobie wzajemnie pomagać, żeby wyrobić w sobie odpowiedzialność, nie mogę się pogodzić z tym, że to wszystko jest tylko pozą, kłamstwem, pustą formą! Urban jest przemily, wspaniały! ale to do nas należało! Złożyłam od siebie, jako przewodniczącej kursu, wniosek do Zarządu Głównego, na zebraniu delegatów klas referowałam to samo ustnie, bo, widzisz, mnie chodziło nie tylko o twoje skrzypce, mnie chodziło o kompetencje samorządu... I co z tego wyszło? Skrzypce wykupuje ci Urban, a do samorządu szkolnego należy doglądanie porządku w ubikacjach na dole przez asystowanie przy załatwianiu się dzieci podczas przerw... śmiech!

Ale z tego nie można się tylko śmiać. Przecież są już dorosłe, wkrótce wyjdą ze szkoły. Ziuta zapala się łatwo. Jest gwałtowna i namiętna, nie uznaje kompromisów i biernego wyczekiwania.

— Tak jest ze wszystkim! Weźmy program, którym nas karmią przez całe pięć lat, albo a t m o s f e r ę, klimat, który cuchnie rozkładającym się trupem! Tysiąc wzorów, formułki gotowe na każdą okazję, teksty i testy, a wszystko razem starzyzna, która nie ma już nic wspólnego z dzisiejszym czasem, brrr! Stare mumie, muzealne za- bytki! Albo te nasze lekcje pokazowe, te wyuczone na pamięć konspekty, które ci rozrywa pierwsze lepsze pytanie ucznia drugiego oddziału! Ta nasza Szkoła Cwiczeń, ten dobór dzieciaczków e l i t y! Idź do powszechniaka na Wolę albo na Bródno, do szkoły, gdzie się nie płaci za synalka pięćdziesięciu złotych miesięcznie! Idź i zobacz tamten „poziom“ i „wyniki“, mówię ci, flaki mi się przewracają! Zresztą dobrze, powiedzmy, że każda z nas trafiwszy do tej czy innej szkoły da sobie jakoś radę, powąchawszy prawdziwego życia, jakoś tam się do niego dostosuje, nauczy się go, ale weźmy inną stronę

tego samego medalu. S e m i n a r i u m — co to w ogóle za szkoła? co ona ci daje?! My nie możemy przecież iść na uniwersytet ani na politechnikę, ani do WSH, ani do SGGW — nigdzie, rozumiesz? nigdzie, bo po skończeniu seminarium nie mamy matury!

— Mamę maturę, przepraszam, tylko że ta matura się nie liczy! — Justyna zeskakuje z parapetu okiennego i staje naprzeciw Ziułki.

— Przecież wiedziałaś o tym dawno, wiedziałyśmy wszystkie i o tym programie, i o atmosferze, i o „perspektywach“!

— No tak, ale wtedy myślałam tylko o tej posadzie, którą można było dostać po skończeniu!

Ziułka opiera nogi o ławkę ustawioną pod oknem i milczy długo, jakby coś rozważała, i naraz zaczyna mówić prędko, nieskładnie, zapalczywie:

— Muszę ci jednak to powiedzieć, to, o czym nikt jeszcze nie wie, czego sama nie rozumiem! Widzisz, zakochałam się! Tamto z Wackiem czy z Dawidem było dzieciństwem! Wszystko dotąd było dzieciństwem! Zakochałam się naprawdę! Na Boże Narodzenie, jak byłam w domu! On jest właściwie z Piątku, ale od wielu lat mieszka w Łomży, jest porucznikiem... kuzynem żony Antka.

To było na Boże Narodzenie... wtedy, kiedy ona, Justyna, przeżywała swój własny dramat, śmierć Amelki. Każdy na swój sposób cierpi... źródła cierpienia są różne, ale cierpienie jednakowo boli. Justyna poważnieje od zwierzeń Ziułki. Zna z opowiadań całą jej rodzinę, więc wie, że Antek jest jej najstarszym bratem, od wielu lat żonatym.

— Jest bardzo przystojny, będzie lekarzem, studiuje medycynę, ma jeszcze rok do skończenia, od września ma być na stałe w Warszawie... A ja co?! Ja nie mogę być lekarzem ani inżynierem, ani niezym! Ja będę nauczycielką „szkoły powszechnej“, która jeśli chce mieć posadę,

musi jechać na Kresy, bo dziś seminarium nie może ci nawet zagwarantować pracy...

Justynie nasuwa się pytanie, które natychmiast wypowiada głośno:

— Ale czy on ciebie kocha, Ziućko?

Ręce Ziućki płoszą się nagle i zaczynają bezradnie błądzić po parapecie, widać, że ręce tego nie wiedzą i twarz nie wie, cała twarz razem z oczami i piegami, które natychmiast gasną i nieruchomieją.

— Bo, widzisz, wtedy wszystko byłoby bardzo proste i zwyczajne! Jeśli ciebie kocha, to już nic, możesz sobie być czymkolwiek, to nie jest ważne i nic od tego nie zależy! Skończysz szkołę, a on swoją medycynę, rzuci wojsko i pobierze się. Właśnie na Kresach potrzebni są nauczyciele i lekarze, sama zresztą wiesz!

Ziućka łączy swoje ręce w ciasny uścisk, podnosi je do piersi i pochyla nisko głowę.

— Ja tego nie wiem, Justyno... Nic nie wiem! Nie znam jego uczuć! Siły tych uczuć. Tak naprawdę nie powiedzieliśmy sobie nic! Po raz pierwszy w życiu dzieją się ze mną podobne historie! Nie mogę myśleć o niczym innym. Tęsknię i marzę... rozumiesz? Poprzez tę tęsknotę i marzenia wydaje mi się, że wiem o nim wszystko, że jesteśmy podobni do siebie, że nic nas nie dzieli, a tyle łączy! A przecież tak nie jest... Mówiłam ci przecież, jak jest u nas! Pozornie — rodzina jak tysiąc innych! Antek jest kupcem i Marynka, mają swoje sklepy, swoje książki PKO, swoje zebrania w „Klubie Obywatelskim miasta Piątku“... „miasta“! — wydeła pogardliwie wargi i parsknęła krótkim śmiechem. — Ojciec, ponieważ walczył w Rosji po stronie rewolucji i mówiąc wtrąca dość często słowa rosyjskie, ma w osadzie oficjalny tytuł „bolszewika“, o Jan-ku wiesz sama... Matka i Jadźka nie liczą się, są nijakie, a ja?

Justyna wiedziała z własnego doświadczenia, że zwie-

rzającemu się nie należy przerywać, nie należy zadawać pytań. Wiedziała również, że po zwierzeniach następuje jakby wewnętrzne oczyszczenie, uspokojenie, milczała zatem obserwując promień słońca obejmujący wieko fortepianu i czuła, że ogarnia ją coraz głębsza fala współczucia. Biedna Ziuta!

— Ja tego nie wiem! Potrafi być bliski, jak nikt na świecie... potrafi myśleć tak jak ja. Zresztą nie wiem! Często mówi o karierze, że czeka go w wojsku! Rozumiesz? Nie rozmawialiśmy nigdy o małżeństwie, a poza tym jego rodzice są bardzo zamożni, mają młyn i nigdy nie pozwolą mu ożenić się z nauczycielką, panną bez posagu! Jakie to wszystko śmieszne i głupie! Że też musiałam się w to uwikłać!

Justyna nie przeżywała jeszcze uczuć, które wstrząsnęły Ziutą, ale podświadomie odczuwała ich doniosłość. Chciałaby nade wszystko pomóc przyjaciółce, ale nie wie jak... Wreszcie przypomniła się jej scena sprzed miesięcy, kiedy opanowana była przez wielkie cierpienie i Ziuta usiłowała wyrwać ją z kręgu bolesnych myśli.

— Mówiłaś o posadzie... — zaczęła nieśmiało, jakby bała się natręctwem swego głosu urazić płaczącą — więc to jednak prawda, że obecny rocznik znów nie ma o co zabiegać w kuratorium! Podobno w ogóle nie będą przyjmowane podania dotyczące województw centralnych.

Ziuta zaperzyła się od razu:

— Zostają Kresy! na Kresach są dla nas posady! Przecież na miejsce tych zamkniętych szkół białoruskich i ukraińskich trzeba uruchomić — ileś tam — polskich.

— No, widzisz! naszym rocznikom nie grozi jeszcze zupełne bezrobocie! Przeciwnie, czekają na nas. Nie we wszystkim nasz rację. Ja się sama, z dobrej woli, będę starała o te osławione Kresy, tylko że przedtem muszę opanować język. Tak! Mimo ustawy zabraniającej „używania języka białoruskiego w szkołach nie tylko jako wy-

kładowego, lecz jako »pomocniczego« chcę się właśnie nim posługiwać...

Ziuta popatrzyła na Justynę z nie ukrywaną ironią. Słowa przyjaciółki nie miały w sobie nic nowego, obydwie jednakowo знаły ten temat i dyskutowały nad nim wielokrotnie, ale dziś w przeddzień ich ostatnich wakacji, w godzinie poufnych zwierzeń, wydał się on impulsywnej, łatwo zapalającej się dziewczynie szczególnie nie-realny.

— I pomyśl, że są wśród nas takie idiotki, które są głęboko przekonane, że jadąc tam będą „utrwalaly i gruntowały polskość!“ A ja ci powtarzam, choćbyś tam pojechała z ukraińskim, białoruskim i żydowskim, z Plechanowem i Leninem w teczce — zdechniesz! Bo albo trafisz do obozu, albo zadziobią cię swojacy na miejscu, a'bo sama się powieszisz... Tam trzeba by kupą! Związać się z ich organizacjami, no, w ogóle jakoś inaczej, „Silaczki“ były przeżytkiem już za czasów młodości Żeromskiego.

Justyna objęła ramieniem szyję przyjaciółki i przytuliła się do niej serdecznie.

— Nie wiem, nic nie wiem! Gubię się w tym. Nie mogę dać sobie rady! Boję się!

Nagle Ziuta, składając ręce jak do modlitwy, poprosiła:

— Jedź, Justyno, ze mną na wakacje do Piątku!

Justyna, zaskoczona propozycją, uśmiecha się niezdecydowanie.

— Jedź! jedź! Nie masz pojęcia, czym to dla mnie będzie, ciągle jestem sam na sam ze sobą, rozumiesz?

W tydzień później, zaraz po pierwszej lekcji, Ziuta, która dotychczas ani razu nie wróciła do tej sprawy, podsunęła przyjaciółce list. List był od siostry Ziotki — Marynki i dotyczył przyjazdu Justyny na wakacje.

„Uprzejmie zapraszamy twoją koleżankę, pannę Justynkę, przywieź ją, Józiu, koniecznie, to będzie wam we dwie weselej. Miejsca jest przecież dość i w ogóle żadnej

różnicy nam nie zrobi... Ojciec i matka są zdrowi... Na razie nie sezon, więc czasu wolnego jest dosyć. W sklepie, jak to w sklepie, sama wiesz...”

Dopiero w kilka dni po tym liście Justyna w rozmowie z matuszką wtrąciła niby od niechcenia:

— Matuško, Ziuta Głogowiczówna zaprosiła mnie na wakacje do siebie do Piątku...

Siedzą we troje na ławeczce przed domem, bo jest i Urban. Anna przebiera szczaw na jutrzejszy obiad. Zdanie utknęło w środku milczenia i choć nie było pytaniem, zdaje się czekać na odpowiedź.

Anna unosi z kolan przetak i ustawia go ostrożnie na ławce.

— Na całe wakacje, kochanie?

— Na całe, na dwa miesiące! Piątek jest małym miasteczkiem, właściwie mieszka się tam jak na wsi...

Matuška się zastanawia. Urban też milczy.

Justyna mówi o tym, o czym dowiedziała się od Ziuty, że Głogowiczowie mają swój własny domek i ogród, krowę, ule, że zaraz za ogrodem jest rzeka i że ona sama wolałaby mimo wszystko zostać w domu.

Justyna nie wie, dlaczego mówi tak dużo, a tamci oboje milczą.

Wreszcie matuška zwraca się do Urbana i jakby o jedynym i tym samym myśleli, skłania lekko głowę i potwierdza:

— Tak, to prawda! Justyna jest bardzo mizerna od jakiegoś czasu!

*

Trzeba zapakować zieloną fularową sukienkę, układaną w szerokie plisy, i białe płócienne pantofle, i kremową sukienkę kretonową i piaskowy płaszcz.

Justyna bierze też czarny satynowy kostium do kąpieli

i duży słomkowy kapelusz. I książki. Całe mnóstwo książek. Wybierały je we dwie z Ziutką w szkolnej bibliotece i u przyjaciół na Jezuickiej.

— I jeszcze skrzypce...

Przy moście, jak to było umówione, spotkała Urbana. Idą wolno Nowym Zjazdem pod górę ku Krakowskiemu Przedmieściu, on niesie walizkę, ona skrzypce.

— Będzie nam bez pani smutno, Justynko!

Justyna uśmiecha się żałośnie.

— I mnie będzie smutno! już teraz jest mi nieswojo i tak naprawdę to już wolalabym nie jechać! no, ale... i przede wszystkim to, że przyrzekłam Ziutce, że jestem jej potrzebna...

— Będziemy czekał na listy, prosimy o listy, dobrze? I proszę nie czytać za wiele, proszę odpoczywać! kąpać się, pić mleko, chodzić na wycieczki!

Justyna wszystko przyrzeka. Urban ma swoje pilne sprawy, więc rozstają się przed dworcem, gdzie już czeka Ziuta.

Justyna w ostatniej chwili chce powiedzieć mu coś bardzo serdecznego, coś ważnego, ale przeszkadza jej przytłaczający ruch i słońce zalewające szeroką falą ulicę, uśmiech przyjaciółki i jakiś wewnętrzny niepokój. Urban mocno ściska jej ręce i powtarza kilka razy:

— Proszę pamiętać, proszę pamiętać!

Pociąg pędzi przed siebie, jakby nic go nie obchodziły wszystkie czekające nań pola i lasy, i małe ciemnozielone stawy, zarośnięte sitowiem, i pochowane w sadach wsie, i stadka gęsi, i białe-czarne krowy, i bose dzieci z zadartymi z zadziwienia głowami i niebo barwy wyblakłych chabrów...

Obrazy zbiegają się, wyciągają wzdłuż toru i czekają cierpliwie na nadejście pociągu, ale on ledwie nadbiegnie,

mija, ucieka, obrazy cofają się w tył, cofają się, ustępują, rozbiegają...

Justyna musi o tym myśleć i robi się jej tak smutno, jak w momencie pożegnania z Urbanem.

Na ławce tuż obok okna siedzi Ziuta mrużąc jak kot oczy w słońcu, przy niej zajął miejsce młody kleryk, z twarzą białą i różową, zawstydzony jakiś i ciekawy zarazem, naprzeciw nich posapuje tęgi, czerwony, astmatyczny pan w szarym ubraniu i w koszuli w niebieską kratę.

Justyna uśmiecha się do Ziuty, do kleryka i do pana w kraciastej koszuli.

— Jeszcze pół godziny i już Kutno!

Kleryk spuszcza oczy, jakby w słowach Ziuty było coś, czego nie powinno się głośno mówić, pan spod ścian potakuje głośno.

Ziuta przysuwa się do kleryka zupełnie blisko i zaprasza Justynę.

— Siadaj trochę!

Z Kutna do Piątku jest dwadzieścia osiem kilometrów i w każdy czwartek i poniedziałek czeka na stacji bryczka piątkowskiego furmana Śmekury, wszyscy o tym wiedzą i przyjeżdżają najczęściej w te dni.

Dziś jest czwartek.

Kleryk, obrzuciwszy szybkim i wyraźnie ciekawym spojrzeniem nagie ramiona Ziuty, spuścił zawstydzone oczy i wtrącił półgłosem:

— Ach! to nam wypada razem droga, bo ja do Czerniec, a panie?

— Do Czerniec? Naturalnie! jedziemy razem! Pan... ksiądz — Ziuta roześmiała się krótko — ksiądz wysiądzie koło Trynosów, a my aż do Piątku...

Kleryk poczerwieniał mocno. Umilkli.

Jeszcze trochę, jeszcze rozległe kartoflisko pokopane w wąskie, wysokie grzędy, jeszcze jakieś parkany, zapaso-

we tory, stosy belek, kilka murowanych parterowych domów i już! Kutno!!!

Justyna stoi koło walizek, a Ziuta poszła z klerykiem poszukać Smekury. Astmatyczny pan zszedł ostrożnie ze stopnia wagonu, ostatni raz rozejrzał się po peronie, skinął Justynie głową i wszedł do budynku stacyjnego.

— Jest nasz Smekura! Chodź, Justyno! Masz skrzypce? A teczkę?

Przed stacją na brukowanym podjeździe stoją furmanki. Ziuta opowiada prędko o kleryku, który zabrał skwapliwie ich walizki i układa je teraz na bryczce.

Bryczka jest zaprzężona w dwa konie, stare, zajęzione. Parciana uprząż, powiązana sznurkami, zwisa w strzępach i ledwo się trzyma.

Smekura ustawia walizki, wygładza siedzenie i poklepuje konie. Jest wysoki, chudy, cały zarośnięty siwymi włosami, brak mu zębów, oczy ma małe, czerwone i zaropiałe, a nos wielki i garbaty — ale razem jest w nim coś sympatycznego, coś, co wzbudza zaufanie. Śmieje się głośno, pomaga dziewczętom wsiąść, przeprasza kleryka za to, że będzie do niego tyłem, cmoka na konie i wykręca z podjazdu w ulicę.

Koła bryczki wpadają coraz w nierówne koleiny drogi wiejskiej tuż za mostem, siedzenia razem z oparciem i żelaznymi poręczami trzęsą się i skaczą nieustannie raz w górę, raz w dół.

Smekura macha batem i podciąga lejce, ale i tak konie idą, jak chcą, bryczka rzuca się niespokojnie, drzewa ustępują wolno w tył, zboże kloni się falisto pod wiatrem, słońce grzeje i świeci prosto w twarze dziewcząt.

Ziutka wyraźnie przypadła klerykowi do gustu. Coraz pochyla ku niej krótko ostrzyżoną głowę, jasną i okrągłą, podobną do kuli, z ożywieniem opowiada uśmiechającej się dziewczynie o ludziach i sprawach z okolicy, o księżach i o dziedzicach, o stosunkach we dworze Czerniec-

kim i o tym, co się zdarzyło w Kaczeńcach i w Trynosach, a czego Ziuta jeszcze nie wie.

Kleryk jedną ręką przytrzymuje żelazną poręcz, prawą oparł o poprzeczkę z tyłu za plecami Ziuty. Jego oczy od czasu do czasu obejmują szybkim spojrzeniem jej różową twarz, roześmiane usta, wijące się złotawe włosy; natychmiast potem przymykają się lekko, jakby nigdy nic, jakby chowały się przed słońcem.

Justynę ogarnia uczucie wielkiego spokoju, błogości. Wyobraźnia powoli wymyka się wspomnieniom, zmysłom, niepewnościom, oczekiwaniu, zostaje tylko sama leżąca blisko, wchłaniana zmysłami rozległość, nasycona ciszą.

Justyna przestaje się zastanawiać, czy jeszcze daleko i co będzie za zakrętem, opiera plecy o chyboczącą się nierówno poprzeczkę, przymyka powieki i jest jej wszystko jedno, jest jej dobrze. Konie jadą powoli... Ach! gdyby można zatrzymać w sobie na zawsze te piękne obrazy, te uczucia doskonałego spokoju i ciszy...

W jakiejś chwili kleryk rozejrzał się pilnie dokoła i ożywił. Mówi teraz prędko i głośno:

— Bardzo miło, to bardzo miło tak jechać w towarzystwie, czas minął jak jedna chwilka! Już Trynosy! Jaka szkoda, że nie wysiadamy razem.

Smekura woła na konie:

— Prry! co wam tak pilno?! Stańta! no! stańta!

Kleryk patrzy na dziewczętą, nie, właściwie tylko na Ziotę, patrzy, jakby teraz dopiero spostrzegł całą jej młodą, świeżą postać, jej błyszczące, zmrużone oczy, drobne zęby, miękki zarys białej szyi i wysokie piersi.

Powieki kleryka są grube, mięsiste, różowe, a rzęsy rzadkie i zupełnie płowe. Powieki te są nieposłuszne, nie chcą osłonić ciekawych oczu. Zestawił bagaże z bryczki, ułożył je pod drzewem i wrócił jeszcze raz.

Ziuta śmieje się głośno:

— No to już! Ksiądz jest już w domu! A my jeszcze taki kawał! Do zobaczenia! — i ponieważ żegnany ciągle jeszcze wpatruje się w nią, jakby na coś czekał, dodaje, pochylając się zalotnie:

— Przyjdziemy do kościoła w niedzielę! Niechże Smekura jedzie! Do widzenia!...

Jakby kto zdmuchnął klerykowe patrzyenie. Powieki przez sekundę trzepotały i nagle opadły całym ciężarem na ciekawe, niecierpliwe źrenice. Kiedy kleryk odsłonił oczy, były już pokorne i zmęczone nieśmiałością.

— Niech będzie pochwalony!

Smekura pogania konie z nową energią.

Cienie drzew wydłużyły się, upał osłabł.

W pewnej chwili koła wydostają się na bruk, droga zmienia się w ulicę.

— A gdzie zajechać? Przed dom czy na Rynek?

Ziuta woła:

— Na Rynek! Niech Smekura jedzie na Rynek!

Z Justyny opada senność i spokój, natychmiast przypomina sobie, że w Piątku nikogo nie zna, że zaraz spotka się z nowymi ludźmi i ich skomplikowanym, odmiennym od swego życiem. Rynek jest duży, kwadratowy, otoczony ciasno ustawionymi domami, kamienie bielą się w różowym od zachodzącego słońca powietrzu. Smekura wykręcił w lewo i stanął przed piętrową kamieniczką z żelaznym balkonem na froncie.

— No, zajechalim, panno Józiu! Fajn zajechalim...

Justyna dopiero w tej chwili zauważyła, że zatrzymali się przed sklepem, na którego progu u szczytu trzech drewnianych schodków wyciąga do Ziuty ramiona jej siostra — Marynka, a może to nie ona? e! chyba ona!

Smekura wyjmuje worek z obrokiem spod przedniego siedzenia, pstra kura podchodzi do samych nóg końskich. Ziuta przytuliła się gwałtownie do Marynki; na przemian całują się i rozmawiają z ożywieniem.

Marynka ma piękne, duże włosy i opaloną, szczupłą twarz. Na drzwiach sklepu tkwi szyld na biało malowanej blasze:

„GALANTERIA I MATERIAŁY PISMIENNE“
MARIA GŁOGOWICZ

Justyna stoi obok bryczki i nie wie, co ma robić. W tej chwili czuje wyraźnie swą zbyteczność, tu, przed sklepem Marii Głogowicz kończy się to, co było do tej chwili znajome, bliskie i zwyczajne, a zaczyna — to, o czym się nic nie wie, i czego się trzeba trochę bać.

— Justyno! Justyno!

Justyna robi krok, potyka się niezręcznie na wystającym kamieniu, podnosi głowę i zaraz potem czuje ciasne objęcie Marynki.

— Cieszymy się bardzo! bardzo! Jak to dobrze, że przyjechałyście razem!

Usta Marynki całują jej policzki i włosy, a cała Marynka jest tak blisko, że słyszy się mocne i równe bicie jej serca.



Na śniadanie pije się mleko, dużo mleka, bo „trzeba nabrać cery“, i je razowy chleb z serem albo z miodem.

Je się w „stołowym“ przy długim sosnowym stole, ustawionym koło skrzyni pod oknem. Skrzynia jest podobna do kufra, ma lekko wypukłe, malowane w kwiaty wieko i kute z żelaza zamki, na szczycie wieka wśród kwiatów wyróżnione są litery M.W. — Marianna Wójcik. Marianna Wójcik to matka Ziutki, a ta skrzynia to jej „wyprawna“.

— Pełna była „strojów“, a wszystko samodzielnie!

Pani Marianna szeroko rozstawia palce lewej ręki, wyliczając kolejno:

— Święteczny — to raz, ślubny — to dwa, codziennych trzy, to razem pięć.

Matka Ziutki jest wysoka, chuda, ubrana z miejska w długą spódnicę czarną i szarą bluzkę, z falbaną w pasie, na spódnicy ma fartuch biało-różowy. Jest siwa i ma żółtawą, pomarszczoną twarz. Pod szerokimi brwiami okrągłe oczy, błyszczące i młode, są oczami Ziutki i Marynki.

Justyna przerwała jedzenie i słucha. Głos pani Mariany jest miękki, łagodny, wybiera kolejno z pamięci to „wszystko dawne i owoczesne“ i opowiada o tym dziewczętom.

— Jak byłam u ojców, mieliśmy piękne konie, najlepsze w całej okolicy, w całym łowickim. Z czego, jak z czego, ale z koni to już znali Wójcików!

Siedzi Ziutczyna matka na krześle z wysokim oparciem, zakurcza kolejno wyliczające palce i opowiada o swych sukniach. Jest gościnną, serdeczną, pracowitą, ruchliwą, ale równocześnie jakby żyjąca dniem wczorajszym, wspomnieniem. Miała szesnaście lat, jak szła za Józefa Głogowicza, czeladnika stolarskiego z Kutna. Rodzice — gospodarze ze wsi podłowieckiej — wyposażyli ją, opatrzyli i pobłogosławiwszy wyprawili do miasta, do męża, a gospodarzkę rozdzielili między synów.

Józef się wyzwolił, dorobili się własnego pięknego warsztatu, ale cóż, mąż jej nie był człowiekiem jak inni, szukał czegoś po świecie, nosiło go to tu, to tam...

— Józka nie miała pięciu lat, jak pojechał do Kijowa, osiem lat nie wracał!!! Osiem lat byłam ni panna, ni wdowa...

Wtedy to właśnie przeniosła się z Kutna do Piątku, bo „w małym mieście łatwiej żyć“... Dzieci dorosły, starsze poszły na swoje...

— A kiedy wrócił, to jakby już nie ten. Fachowiec z niego taki, że fabrykę swoją mógłby mieć, a on co?

Na starość żyją jak te dziady. A i ten cały Piątek, nie wiadomo co, ni wieś, ni miasto. Pani Marianna, idąc za mąż, miała ambicje, myślała, że w mieście wykieruje ich Józef na „p a ń s t w o“.

— Nie to, żebym biedę za nim miała, ale wszystko ułożyło się jakoś nie tak. Józefowi jakby na niczym nie zależało...

Po powrocie Józefa z Rosji rodzina jeszcze raz wypożyczyła Mariannę, pomógł Antek i Marynka i otworzyli fabryczkę mebli w Piątku, która zaczęła przynosić duże dochody, ale Józef wszystko pozmieniał po swojemu. Zrobił spółdzielnię. Własność żony i dzieci rozpiisał między robotników, zrzekł się zysków, nawet kierownictwa nie przyjął. Przez pierwszy rok szafy i stoły spółdzielni miały wielki popyt i fabryczka szła, planując na przyszłość rozszerzenie produkcji, ale wkrótce fabrykanci mebli z Kutna, Łowicza i Łodzi postanowili „skończyć z piątkowską hołotą“. Rzucono na rynek towar z magazynów, obniżając gwałtownie ceny, spółdzielnia musiała skapiłulować. Maszyny zlicytowano za zaległe podatki.

— Jeszcze przykrości i wstydu się człowiek najadł...

Zaraz po śniadaniu idą dziewczęta nad rzekę. Najpierw przez sad, w dół do łąki, i przez łąkę do wody. Sad Głogowiczów leży za domem mieszkalnym i „fabryką“, jest duży, ma około trzech mórg. Rozdziela go na pół szeroka zwirowana aleja, obsadzona kępami bladożółtych irysów i wysokimi krzakami floksów. Na białej ścianie domu rośnie szlachetne wino, starannie uprawiane przez Józefa.

Justyna z Ziutą biegną aleją w dół. Są boso, w jasnych sukienkach, z małymi parasolkami „od słońca“ i książkami, z którymi się w ogóle nie rozstają. Justyna pierwsza przechodzi przez dziurę w parkanie, mija leszczynowy zagajnik i pędem zbiega do rzeki. Jak tu ślicznie!

Siada na brzegu, nogi zsuwa do wody, która przyj-

muje stopy cichym pluskiem, jest zimna i przezroczysta jak nie barwione szkło.

Ziuta siada obok, umieszcza otwartą parasolkę na piasku tak, aby na książki nie padało słońce, i przyłożywszy dłonie do ust, krzyczy:

— Hop, hop!

To tak z uciechyl

Słońce zaczyna grzać coraz mocniej, wiatr z sadu przepadł na łące, utknął w trawie i kwiatach.

Justyna zanurza rękę w wodzie, zamyka w garści chłód i przezroczystość, krople lśnią w słońcu, strzepnięty bryzg iskrzy się i barwi.

Na zakręcie widać drewniany most, po którym od czasu do czasu przechodzą ludzie, widać ich, ale nie można rozpoznać, kto idzie, nie słychać również ich kroków i słów; wędrujące sylwetki, wyniesione trochę nad niskie bariery mostu, są poprzez oddalenie nieme i podobne do siebie.

— Wiesz? to tatuś ten most zbudował, namówił ludzi z fabryki i na własny koszt go zrobili. I most, i żłoby w Rynku, i ogrodzenie na placu straży ochotniczej, wiesz, tam pod cmentarzem, a teraz tatuś zakłada park! Sam opracował projekt i zebrał wśród robotników z gorzelni i browaru pieniądze na drzewka, miasto dało tylko plac, właściwie nie miasto, a gmina, bo to był plac gminny... Zabiegał staruszek o to ze trzy lata! Tłumaczył, prosił, pisał, molestował.

Justyna była w parku, widziała, są tam nowe, białe lakierowane, wygodne ławki i maleńkie drzewka o wątych pniach, poprzywiązanych słomą do zielonych palików.

— Tylko że drzewa rosną tak powoli, chyba za dwadzieścia lat będzie tam dopiero jak w prawdziwym cielistym parku, a tak bym chciała, żeby tatuś nacieszył się nimi, żeby mógł je oglądać jako stare, piękne drzewa...

Od mostu brzegiem łąki ktoś ku nim nadchodzi, widać

go coraz wyraźniej. Ziuta nagle urywa w pół słowa, wyjmując nogi z wody i okrywa je gwałtownie krajem sukienki. Justyna patrzy na nią zdziwiona, ale naraz wszystko wie. Zbliżający się jest wojskowym — to Tadeusz!

Wczoraj wieczorem biegła Ziuta do Antków na Rynek, bo Marynka wspomniała o przyjeździe Kamińskiego, i na pewno umówili to dzisiejsze spotkanie.

Tadeusz jest może o dwadzieścia kroków. To on jest taki?

Justyna znów zanurza rękę w wodzie. Ziuta ma jasne rumieńce na policzkach i cichy, prędkie uśmiech na wargach.

— Witam, witam piękne rusalki!

Ziuta wyciąga rękę, drugą usiłuje przytrzymać brzeg sukienki, zatulony wokół mokrych nóg.

— Jak pan nas tu znalazł?

Tadeusz łamie swą wąską, wysoką postać nad ręką Ziuty i całuje ją z nieco sztucznym wdziękiem.

— A to jest właśnie Justyna, moja przyjaciółka!

— Jestem zachwycony!

Justynie chce się śmiać z tej całej ceremonii.

— Panie zażywają kąpeli? Wyglądacie naprawdę jak nimfy!

Teraz Justyna musi się śmiać na głos ze wszystkiego od razu, z tego, że jest taki wysoki, sztywny i elegancki, że ma na nogach lakierowane buty, że pocałował Ziutę w rękę, że mówi wyszukanymi słowami i że Ziuta ma na twarzy wielkie pomieszenie, a przecież na pewno wiedziała, że tu się spotkają.

Śmiech Justyny pryska wokół jak strząsane z rąk krople wody. Ziuta w pierwszej chwili jest zaskoczona zachowaniem przyjaciółki, ale zaraz śmieje się razem z nią, i Tadeusz się śmieje...

— Pani jest urocza, Justyno!

Jakby przez ten śmiech, unoszący się nad łąką, a może

tylko tak sobie, gęsi poderwały się nagle, otwierając szeroko skrzydła z głośnym gęganiem. Cała łąka drga ich namiętnym wrzaskiem. Ziuta wyciąga ręce do Tadeusza:

— Proszę mnie podnieść! Justyno, idziemy na spacer!

— Idźcie sami, moi mili...

Ziuta jest wesoła i już ani trochę nie zakłopotana.

— Justyno! no chodź! nie marudź i nie bądź niedobra!

Ale Justyną owładnęła pustota: podnosi wysoko w garściach wodę i przelewa ją ze śmiechem; a gdyby tak cisnąć wodę w stronę porucznika? Sto ciemnych śladów po stu kroplach, małe okrągłe plamki na mundurze... nie, nie, mógłby się obrazić, kto go tam wie, jaki jest naprawdę?

Idą wzdłuż rzeki, oddalając się coraz bardziej od mostu. Ziuta idzie między porucznikiem a Justyną. Za sadem księdza proboszcza nie ma już łąk, tylko pole. Rzeka skręca w lewo, teren się obniża, a brzeg zarastają olchy i wiklina.

Tadeusz rozmawia z Ziutą o wspólnych znajomych.

— Razem ze mną przyjechał Alek Gutmajer, syn krawca z Rynku, zna go pani? prawda?

— Alka? naturalnie! przecież razem chodziliśmy do szkoły.

— Za rok będzie lekarzem! Ach! jak on się wyrobił towarzysko, chyba go pani nie pozna. Nigdy bym nie uwierzył, że ten właśnie Alek kiedyś będzie moim kolegą, a jednak... bo my — lekarze, a szczególnie lekarze wojskowi, musimy przecież reprezentować jakiś poziom.

Justynie naraz z niezmierną ostrością przypomina się pamiętna rozmowa z Ziutą, właściwie nie przypomina, bo nie zapomniała o niej ani na chwilę, ale obnaża się przed nią jej istotny sens. Ów Tadeusz Kamiński, którego rodzice mają młyn i wywodzą się ze szlachty — przenigdy nie pozwolą na ślub syna z nauczycielką, porucznik, lekarz w przyszłości... Jest taki, że szkoda dla niego Ziuty,

wesołej, szczerzej, zdolnej do uniesień i poświęceń, wiernej, odważnej. Tak! ale ona go mimo wszystko kocha! Bo to jest na pewno miłość!

Ziuta idzie lekko, jakby ją niósł schowany w zbożu, prawie niewidoczny wiatr, głowę zwraca ku Tadeuszowi i cała nagina się ku niemu z oddaniem i pokorą — na jej twarzy jakby się ułożył różowy obłok, czoło, oczy, nos, usta, policzki przeświecają delikatną, ciepłą barwą szczęścia, między odchylonymi wargami błyszczą drobne zęby, włosy rozwiewają się wokół policzków i opadają na uszy w małych loczkach. I ręce Ziuty są kochające, lewą przyciska do piersi zamkniętą teraz parasolkę, prawą objęła Justynę i przytula ją do siebie, jakby w tym ruchu chciała oddać przyjaciółce część wypełniającą ją czułości. W całej Ziutce jest jakaś delikatność, jakaś wzruszająca kokiecateria, słodka niemoc i niecierpliwe czekanie na szczęście.

Tadeusz idzie równym, wojskowym krokiem, idzie w takt swych słów.

— My, lekarze, stoimy ponad uprzedzeniami wyznaniowymi i rasowymi, oczywiście, ale środowisko społeczne to zupełnie coś innego, nad tym nie można przejść do porządku dziennego...

Justyna ma nieodpartą wrażenie, że Ziuta nie interesuje się słowami mówiącego, że cieszy się jedynie ich brzmieniem, melodią, że chwyta je wprost z warg Tadeusza i syci nimi słuch.

W jakiejś chwili Tadeusz zdjął czapkę, przyglądał miękkie, faliste włosy i wsunął rękę pod ramię Ziuty. Zaśmiała się cicho.

Wracają przebytą dopiero co drogą, krajem pola.

Ręka Ziuty zaciska się na dłoni Justyny. Krzyk gęsi niesie się szeroko łakami po jednej i po drugiej stronie rzeki.

•

Moja Jedyna, Najukochańsza Matuśko, Pawle i Pannie Urbanie!

Piszę do Was ciągle, a Wy do mnie tak mało! Tu jest dobrze, ślicznie i wesoło, ale brakuje mi Was, Najmils! Jest ciągle tak gorąco, że po dwa razy na dzień kąpiemy się w rzece. Mamy okres dojrzewania malin, wyjadamy więc wszystkie nasze, a jak się da, to i do proboszczowych sięgamy poprzez płot. Opaliłam się już na brązowo i ciągle jeszcze mam nadzwyczajny apetyt. Nadal nasz młody doktor towarzyszy nam na spacerach i pożycza książki. Czytamy jeszcze raz „O pochodzeniu gatunków“ Darwina, ale nie wieczorami, tylko w czasie wędrówek po łąkach albo nad rzeką, jak sobie tego życzył pan Urban. Poza tym pływamy, gramy w piłkę, pasjonujemy się zielnikami, no i gadamy bez końca!

A co w domu? w fabryce? Ciągle myślę o Tobie, Matuśko! Dziś jestem sama, bo Ziułka pojechała na chrzciny do swojej ciotecznej siostry, razem z rodzicami i panną Marynką, do Borku Szlacheckiego na wieś o dziesięć kilometrów stąd, więc już w ogóle nie mogę sobie dać rady z tęsknotą i niepokojem. Napisz, Matuśko, o wszystkich i o wszystkim...

Justyna kończy list i wybiega z nim na uliczkę. Poczta jest w Rynku tuż obok sklepu Marynki.

Wracając spotkała Janka. Janek nie pojechał na chrzciny, zaraz po śniadaniu poszedł do Alka Gutmajera i teraz właśnie wyszedł z kamieniczki krawców, której biała ściana rysuje się ostro na tle zielonych drzew małego sadu.

— Gdzie pani tak wędruje, panno Justynko?

Chwilę idą obok siebie. Na rogu Janek proponuje spacer.

Janek jest taki sam jak w Warszawie, blady, trochę smutny, szczupły, z płowymi włosami i szarymi oczami o znużonym spojrzeniu.

Idą środkiem jezdni. Przed domkami siedzą ludzie na ławkach albo na schodkach. Janek kłania się znajomym, uśmiechając się do wszystkich życzliwie.

Za mostem kończy się właściwie miasto, drogi rozbiegają się głębokimi koleinami, werżniętymi w suchą glinę.

Na łące pasą się krowy, owce i gęsi. W tym miejscu rzeka jest wąska. Przeszli powoli na drugi brzeg.

Janek siada naprzeciwko Justyny na kamieniu granicznym na szczycie kopca. Od łąki słychać cykanie koników polnych, wołanie pastuchów i wysoki śpiew ptaków, pachnie koniczyną, trawą i ciepłem. Nagle Janek zeskakuje z kopca i siada na trawie u stóp Justyny, teraz Justyna jest wyżej, a Janek niżej.

— Panno Justyno, już dawno chciałem panią o coś zapytać, jeszcze w zeszłym roku w Warszawie, ale nie śmiałem jakoś, zresztą spotykaliśmy się w tak innych warunkach, w takiej atmosferze... w tej chwili może się ośmielę, może potrafię to wypowiedzieć.

Justyna objęła ciasno ramionami kolana, pochyliła się ku mówiącemu i zaczęła nań pilnie patrzeć.

Janek ułożył ręce na kolanach, opuścił głowę na piersi i zaczął po niedużej przerwie, bardzo zmieszany:

— Nie śmiałem jakoś i właściwie może lepiej by było i teraz, i dziś... gdybym w ogóle o tym nie mówił.

Justynie naraz robi się go żal, czuje, że Janek przeżywa jakąś rozterkę, że jest mu ciężko, źle, że coś go trapi, że chce jej zwierzyć część swej udręki, postanawia więc mu pomóc okazaniem serdeczności.

Janek patrzy na nią ściemniałymi źrenicami, błyszczącymi mocno na tle szklistych białek. Słowa, które dotąd tak niechętnie ukazywały mozolnie rozwijaną myśl,

nagle tryskają przedziwnym, nieoczekiwanym wyznaniem:

— Pani jest taka cudna, Justyno! ty jesteś taka młoda! I ja nie śmiem zapytać panią o to, czy mi wolno, czy pani zezwoli, czy to, czy...

Justynę nagle obejmuje jakiś dziwny lęk, taki powstający nie wiadomo z czego, może nawet nie lęk, ale przeczucie lęku, jakby padł na nią cień wśród gorącego dnia. Justyna nie wie, co powie Janek, ale nade wszystko nie chciałaby już tego słyszeć. Uniosła wysoko głowę i przygląda się temu, co jest przed nią: domom, kościelnym wieżom, wiązaniom mostu, drzewom rosnącym na skraju drogi, rozległej, zielonej płaszczyźnie, sinawej i błękitnej na krańcach, co już jest tylko niepodzielną dalekością...

A Janek mówi teraz prędko, jakby przebrnął wreszcie zaporę, jakby się wydostał razem ze swymi myślami na gładki gościniec, gdzie wszystko jest wiadome i nie-trudne.

— To właśnie chciałem powiedzieć! I o to panią zapytać już rok temu w Warszawie, ale zawsze było mi za trudno a teraz już pani wszystko wie i zna, i widzi, i może to nie będzie dla niej przykrością i nie przerazi... Więc tak, Justyno! Kocham ciebie! i o to chciałem zapytać, czy mi wolno? czy pani zezwoli? czy to może się stać? czy mogę być szczęśliwy? Justyno?!

Brzmiało to jak pokorna, ale żarliwa modlitwa. Konik polny ukrył się gdzieś tuż, o jedno wyciągnięcie ręki, bo przestrzeń w zasięgu ucha po prostu drga od jego ostrego skrzekotu. Krótka sekunda, jedno uderzenie serca i przeminął już dźwięk słowa... ściany domów, kościelne wieże, drzewa, drewniane filary mostu, wszystko jakby zbiegło się w gromadę i stężało w przerażeniu przed samymi oczami na granicy odemkniętych powiek.

Koniczyny z łąki pachną słodko, brzęk much i cykot koników mają w sobie lenistwo i spokój.

„Kocham ciebie...” Słowa nie miały w sobie nic z czarodziejstwa, nic z radosnego uniesienia, nic z pieśni zwycięskiej i wzniosłej! Były ciche, nieśmiałe, zawstydzone, pytające. Powieki Justyny opadają zwolna, ręce rozplatają się same.

Nagle z ostrą jasnością uświadomiła sobie całą niezwykłość sytuacji, całą jej dziwaczność. Z samego dna jej istoty podnosi się śmiech, mały, swawolny, młody śmiech, rozgarnia niepokój, żal, złość, zaniepokojenie, podnosi się, sięga łaskotliwie oczu, ust, dłoni, Justyna chce go się wyzbyć, chce go zwalczyć, ale po niedawnym wzruszeniu jest niemocna, śmiech już jest na jej wargach, igrający, dziewczęcy.

W tej samej chwili dzieje się coś, czego Justyna najmniej się spodziewała, ręce Janka, szczupłe i delikatne, zaciskają się w pięści z taką mocą, że momentalnie występują na nich wszystkie kości i żyły, a twarz z bladej staje się szara, skurczona i zupełnie obca, kąty ust opadają w dół, a powieki mrugają bezradnie, jakby na próżno chciały osłonić zgasłe źrenice.

Justynie robi się go strasznie żal, uśmiech przepada bezpowrotnie, a litość i poczucie winy mieszają się w jedno i cisną do oczu łzami.

— Panie Janku, drogi panie, proszę się nie gniewać na mnie, ja za nic nie chciałam zrobić panu przykrości...

Jej ręce sięgają Jankowych, zakurczonych boleśnie, gładzą je delikatnie, cierpliwie. Justynie chce się płakać. Ach! ten Janek! taki miły, mądry, dobry... siedzi naprzeciw i wyraźnie cierpi, i to przez nią, przez jej śmiech, czy tylko przez śmiech? Nie chciała go przecież urazić, a stało się właśnie tak! Że też ona nigdy nie potrafi postąpić jak należy, zawsze musi okazać się dzieckiem! Ale przecież nie mogła... nie! tego nie chciała od niego usłyszeć!

— No, niech się pan na mnie nie gniewa, proszę powiedzieć, że nie... no...

Siedzą jeszcze ciągle naprzeciw siebie, wreszcie Janek wstaje i mówi bardzo cicho:

— To ja przepraszam za wszystko... za wszystko. Pani pozwoli, że teraz sobie już pójdę.

Została sama. Janek odwrócił się, wszedł na most i zaczął powoli mijać słupy podtrzymujące barierę, Justyna chce za nim zawołać, ale wołanie więźnie jej w gardle, a całe ciało kurczy się i wiotczeje.



— Jutro jest odpust w Zagościńcu!

Wieczorem Ziuta mówi przy kolacji tylko o tym.

— Marynko, chodź z nami! Ciociu Katarzyno! Janku! Idźmy wszyscy, to byłoby wspaniale! Justyno, pamiętasz naszego księżyka z pociągu? Pamiętasz, jak zapraszał nas na każdą niedzielę do kościoła do Zagościńca? Na pewno go tam spotkamy! Co za pyszna okazja! Janku! przestań być mrukiem! Pójdiesz?

Tadeusz odjechał przed tygodniem do Łomży i Ziuta sztucznym ożywieniem usiłuje pokryć głęboki smutek, jaki ją gnębi.

Marynka zgadza się na pójście pod warunkiem, że powrót odbędzie się furmanką.

— Więc wstajemy raniutko i idziemy całą gromadą!

Dziewczęta śpią w izdebce zwanej „bokówką“, ze ścianami, sufitem i podłogą z białych sosnowych desek; pachnie tu żywicą i świeżym drzewem. Łóżka są zsunięte razem i po zgaszaniu światła można rozmawiać, ile się chce.

Jest druga połowa sierpnia i noce są zupełnie widne od gwiazd. Ziuta przysuwa się blisko. Justyna nie widzi jej twarzy, bo patrzy na drzewa rysujące się wyraźnie czarnym cieniem na niebie.

— Justyno! jak ja strasznie tęsknię! Tęsknota jest czymś materialnym, jej obecność wyczuwam wszystkimi zmysłami.

Justyna milczy, bo wie, że Ziuta nie wypowiedziała jeszcze wszystkiego.

— Tęsknię! I nie mogę sobie dać z tym rady! Pamiętasz naszą pierwszą rozmowę o Tadeuszu? Pytałaś, czy on mnie kocha? No więc kocha! mówił, że kocha, ale cóż z tego, kiedy równocześnie wszystko inne też jest prawdą! On cały, ze swymi pojęciami, przekonaniem, przyzwyczajeniami, upodobaniami i karierą... Ach! Są chwile, w których wydaje mi się, że to nieważne, że będę szczęśliwa. Co jest urojeniem, a co rzeczywistością?

Justyna zwraca twarz ku przyjaciółce i wtrąca:

— To Tadeusz mówił o swojej miłości do ciebie? Mnie się wydaje, że słowa właściwie nic nie znaczą...

Ziuta oddycha prędko i nierówno. Z sadu nie dochodzi żaden głos, żaden najmniejszy szelest, tylko od czasu do czasu skądś, z bardzo daleka, dobiega porwany, zmęczony nieustannym czuwaniem szрек psów.

Szept Ziuty potyka się o westchnienie:

— Masz rację, tak, tak, tak! słowa są pustką.

Siada na posłaniu i chwilę szuka po omacku zapalek, bo w ich „bokówce“ nie ma lampy elektrycznej, wreszcie trafia na pudełko ukryte pod poduszką, zapala świecę i pokazuje Justynie list.

Radosne jest dzisiejsze piątkowe rano, bo przyniosło mi wiadomość o Tobie. Dziękuję Ci, Droga! Czy wiesz, że już znów odczuwam z nieodpartą siłą potrzebę zobaczenia Ciebie, podzielenia się przeżyciami, przejęcia Twoich myśli, oddania Ci siebie, znalezienia się w kręgu ukojenia? Myśl o październiku! Może w tym terminie zobaczymy się w Warszawie. Wyczuwam w rytmie Twoich słów niepokój, wahania, jakieś drgania wewnętrzne...

Ziuto! nie poznaliśmy się dla udręki, nie zbliżyliśmy się dla samobiczowania, przeciwnie, odnaleźć winniśmy w sobie źródło mocy i radości. Czekają nas chwile ciężkie, dzień każdy przynosi w zanadrzu jakiś problem do rozwikłania, ale wszystko się jakoś ułoży... Posyłam Ci fotografię, zatrzymaj ją tak długo, jak zechcesz, chcę i proszę, abyś myślała o mnie tak nieustannie, jak ja o Tobie...

Papier, na którym pisał Tadeusz, jest wytworny, drogi, pismo duże, proste, pewne siebie.

...I nie dręcz się już, Kochaniel! Życie ostatecznie jest tylko dość prymitywnym i niedoskonałym zachowaniem równowagi pośród wielości rzeczy i haseł, a my...

Twarz Ziuty jest schowana w cieniu. Justyna doczytuje prędko gładkie, poprawne zdania. Jest przygnębiona, a jej współczucie dla przyjaciółki zmienia się nagle w tklivość.

— Nie myśl o tym wszystkim i staraj się zaufać samej sobie, przecież jesteś mądra, Ziotko.

Naraz z głębi domu otworzyły się drzwi i dały się słyszeć czyjeś kroki. Ziotka chwilę nasłuchuje.

— To Janek! on zawsze tak po nocy chodził — i przypominając sobie odpust, dodaje: — Ciekawam, czy jutro z nami pojedzie? Ach, gdyby Tadeusz był podobny do naszego Janka!

Justynie naraz robi się wstyd, czuje, jak do policzków podpyływa jej fala krwi i obejmuje je rumieńcem niby palącą obręczą. Unosi szybko głowę i jednym dmuchnięciem gasi świecę, aby Ziuta nie zauważyła jej gwałtownego pomieszania.

— Tak to wszystko się płacze, nie umiem nic postanowić, nie wiem, ale nieraz przychodzi mi myśl, aby rzu-

cić seminarium i przenieść się do gimnazjum, może bym zdała do siódmej klasy. Za dwa lata matura, a potem uniwersytet, wiesz? poszłabym na matematykę, już nie dla Tadeusza... dla siebie. Chociaż wtedy może rzeczywiście „wszystko by się jakoś ułożyło“.

— Ach, nie! Skończmy seminarium i razem jedźmy na Kresy! Zobaczysz, że we dwie zrewolucjonizujemy co najmniej powiat!

— Jakaś ty szczęśliwa, Justyno, że nie pokochałaś dotąd nikogo.

Nazajutrz o rosistym i chłodnym świcie obudziła je Marynka i zaraz potem wybrali się w pięcioro na odpust: ciotka Katarzyna, Janek, Marynka, Ziuta i Justyna. Do Zagościńca idzie się na przełaj przez pola, bo tędy jest najbliżej. Już jest po żniwach i jak okiem sięgnąć ciągną się rżyska. Zaraz za domem skręcili w bok, zostawiając z boku most i łąki, i poszli prosto na siniejący w dali las.

Kościół w Zagościńcu stoi na niewielkiej górze, na zarosłym akacjowymi krzakami cmentarzu, jest drewniany, kryty gontem, z dzwonnicką na szczycie. Sciany, dach, słupki przy głównym wejściu, dzwonnica i mur cmentarzyka są jednakowo stare, koślawe i czarne.

Na zewnątrz muru poprzez szerokość drogi, pod drzewami, pod płotami ciasno i nieskładnie rozłożyły się kramy odpustowe. Z płóciennymi daszkami dla cienia, na skrzyniach, na stołach, na wozach albo wprost na płachtach rozesłanych na ziemi, albo w koszach wystawili przekupnie swój towar. Czego tu nie ma! Gliniane garnki z polewą i bez, buty z cholewami, kożuchy baranie, kiecki i zapaski łowickie, korale, chustki, całe góry żółtych gruszek, obsiadłe przez roje much ciastka, lukrowane pierniki, cukierki, pierogi z twarogiem, jałowcowe piwo w konewkach i kwaśne mleko w baniach... Bliżej kościoła ustawiły się budy dewocjonalników: kolorowe różańce,

książki do nabożeństwa, święte obrazy, figury. Tu znów zabawki...

Tłum dzieciaków ciasno obstał rozłożone gliniane kogutki, organki, fujarki, baty z plecionych rzemyków, drewniane konie, lalki w krochmalonych sukniach, malowane dwojaczki, długie wieńce obwarzanków, piernikowe serca i przedziwne domki z kolorowych, połyskliwych szkielek.

Po paru minutach wspólnej wędrówki Justyna zgubiła się i trochę zaniepokojona zaczęła przepychać się wśród kramów.

Wiatr ustał i wypogodziło się zupełnie. Na drodze i na odpustowym tłumie układało się słońce szerokim kręgiem. Ludzi moc! Chłopi w koszulach zapiętych wysoko ponad grdyką, wyrostki w parcianych portkach i dziewczyny w pasiastych i kwiciastych spódnicach. Przyszli od Łowicza, od Kutna i od łódzkiego traktu, z wielu wsi i przysiółków, bo odpust zagościński słynął od dawna z dużych jarmarków.

Jest coraz goręcej i coraz ciasniej. Justyna zrezygnowawszy z poszukiwań przygląda się kramom i ludziom.

Oto jarmarczni przekupnie, mają układne gesty i słowa zachęty, podobne do zaklęć guślarza...

Towar wdzięczy się przechodniom, ukrywając tandetę w jaskrawych barwach, mamiących oczy.

A tu twarze oglądających... są ciekawe albo pełne pożądanía, albo chytrze myszkujące, albo żalosne, bezradne, albo zbiedzone, szare, głodne...

A tu dziw!

W skrzynce okrytej czerwoną szmatą — t e a t r. Ludzie tłoczą się, wspinają na palce, opierają się wzajem na ramionach, każdy chce zobaczyć owo „cudo“. K u k i e ł k i! Maluchne szmaciane lalki kuszą na wyniesionej ponad ludzkie głowy scenie w śmiesznych podrygach. Nie

można uchwycić sensu słów wykrzykiwanych piskliwym głosem, ale widzowie śmieją się coraz głośniej.

Justyna stoi w gromadzie i patrzy na twarze zachwyconych widzów i na przekupniów, patrzy na cały odpustowy jarmark! Nad stoiskami krążą wielkie błękitne muchy; kurz przydrożny, wzbity wysoko kopytami koni i nogami tłumu, opada teraz szarym pyłem na ludzi, na towary, na dery wozów i przydrożne drzewa...

Niebo, drzewa cmentarne, daleki las, niskie, przysiadłe nad gnojówkami chałupy i wieże kościelne, to tylko podręczna dekoracja, na scenie: kukły, kiwające się pocieszenie lalki. Ktoś porusza sznurkami i dzieje się, że przedstawienie odpustowe trwa...

Nie milknące ani na chwilę, brutalne wołanie podkreśla jeszcze bezwstyd widowiska:

— Moje! Moje!... za grosz takie cudo... za grosz!

Gromada dziewczuch z zagościńskich czworaków przestacza się naraz w oczekujące przed szwajcarnią robotnice fabryczne, a kuglarz kukiełkowy, ogromny chłop z łysą, okrągłą głową, woła głosem majstra Cirockiego — zbrodniarza, złodzieja i zdrajcy:

— Ludzie!... lu... dzie!!! Śpieszcie się!!!

I staje się, że ona — Justyna — nagle odnajduje siebie jakby nazewnątrz ruchliwego, wrzaskliwego koliska, obok tego, co się tutaj dzieje. Przed jej oczyma porażonymi dziwnym, nie przeżywanym nigdy doład poczuciem wyodrębnienia własnej osobowości, obnaża się na moment całe zakłamanie dostrzeganej rzeczywistości. Poprzez natrętny jazgot odbywających się targów, śmiechów, namawiania, poprzez tłoczące się kolory i kształty, przenika ją znienacka dojmujące uczucie pustki i obcości i łączy się w jedno z nieznośnym wspomnieniem lęków, przeżytych upokorzeń i dławiącego uczucia bezsily.

Wywołane prawem skojarzeń jawią się w wyobraźni splecione, postrzępione fragmenty zdarzeń, twarze, uś-

miechy, miny, pozy... udawanie, fałsz, nędza i blichtr, na-
bożeństwo i jarmark, marionetkowy korowód, kukły szma-
ciane, targowisko nieprawdziwości, nabieranie naiwnych,
wyuczone na pamięć widowisko...

To tak jest naprawdę?

Ten, tam, zapatrzony w taniec kukieł, wysoki, żółty,
o zapadniętych policzkach chłop, to przecież — woźny
seminarium, Franciszek, to Franciszkowe głodne uciesz-
nych widoków oczy... a tamta gospodyni, w szerokich
kieckach, to akuszerka, Jabłońska — obydwie zabierają
jednakowo dużo miejsca, obydwie mają w nie domykają-
cych się ustach złote zęby i chytrość w zwężonych od
światła dnia żrenicach.

Wychudła ręka suchotniczego chłopca rzuca do czapki
kuglarza długo ściskany w palcach pieniądz.

Pustka wewnątrz rośnie. Justyna jest sama ze sobą,
jakby zanurzyła się w szumiącej jednostajnej ciszy. Prze-
padają obrazy, myśli, czucia. Czas przestaje płynąć...

Całe bogactwo jarmarczne zszarzało, zgasło, a radosny
gwar roztopił się w błagalnym szepcie krzywonogiego
mialca, uczeplonego małczynej spódnicy.

— Kupcie piernicka... — i żalostnej odpowiedzi, która
zamyka w sobie skargę i gorycz, ale w której nie słychać
jeszcze buntu, dojrzewającego w sercu:

— Ni mom grosy, synecku!

Naraz zaczynają bić kościelne dzwony. Pierwszy rozle-
ga się nierówny głos sygnaturki z drewnianej dzwonnicy
na szczycie dachu i cierpliwie nawołuje ludzi, zaraz za
nim wołają głosy dzwonów umieszczonych na poprzecznej
belce, umocowanej na dwóch słupach w kącie cmentarza.
Głos ten roztrąca tłum, który cichnie, pokorniej i poś-
piesznie zaczyna ściągać na mszę.

Justyna stanęła w cieniu starej akacji pod murem
cmentarnym. Ludzie śpiewają i modlą się zdyszany,
sapiącym szepem. Zaraz po błogosławieństwie zaczyna

się procesja. Klęczący ciasno na stopniach wiodących do kościoła, na dziedzińcu i na drodze powstają, rozstępują się i przepuszczają wychodzące bractwa, chorągwie, obrazy, ministrantów, adoracje, feretrony...

Sunie dostojnie i ważnie nie kończący się wąż śpiewającego ludu. Za gromadką księży snuje się mgłą błękitnawy dławiący kłęb kadzidlanego dymu i cieniutki, jazgotliwy świergot dzwonek, po tym — jest mały pusty kawalek miejsca i zaraz — baldachim, a pod nim podparły ramionami panów-dziedziców ksiądz proboszcz w kapie białej i złotej.

Masa ludzka porusza się wolno, wolniusieńko. Na samym prawie końcu idą Ziuta, Janek, Marynka i ciotka Katarzyna. Justyna przyłącza się do nich i już razem obchodzą cierpliwie kościół, łykając kurz, kadzidlany dym i gorąco. Po nabożeństwie idą do Budnych, gospodarzy z Zagościńca, krewnych ciotki Katarzyny.

W dużej gościnnej izbie jest gwaro. Zeszli się goście odpustowi, by przy kieliszku obgadać sąsiedzkie nowiny.

— U Zubrzyckiego, w gorzelni, jakaś zaraza wybuchła, mówią, że z gorąca, ale prędzej z tych śmierdzących studni, co je mieli zasypać... ludzie mrą niby muchy!

— W Czernicach też coś przebakują o zarazie, księdza wozili dworskimi końmi do Walczaka, może się już paskudztwo rozlazło, byłaby nowa bieda, choć starych dość!

Słowa stają się cichsze, ostrożniejsze, zafrasowane.

— Kogo to Zubrzycki do gorzelni weźmie? Bo powiadają, że ma ruszyć całą parą.

— Kto by mu tam w samą robotę ludzi swoich dawał?

— A bo to się taki pyta, czy ci potrzebny? Że żał bez zime, zapomni i za groszem poleci! A Zubrzycki pieniądza ma, nie bójcie się!

— A cóż to, prawa nie ma, a bo to puściem? Kontrakty przecie są.

— Sami pójdą, niech się ino spiknom, nie taki to teraz naród, żeby się prawa bał i kontrakty respektował, tylko się im przeciw!

Malutkie, grubo rżnięte szklaneczki krążą z rąk do rąk. Głowy kiwają się w potakiwaniu. Dziewczęta jedzą ziemniaczane kluski z mlekiem. Justynie nie chce się jeść, nie chce się rozmawiać, nie chce się śmiać, nie chce się nawet słuchać. W samym centrum jej świadomości tkwi urzekająca w swej prostocie, nieustannie potwierdzana doświadczeniem prawda o istnieniu dwóch światów: świata pieniędzy, kalkulacji, zysków, interesów — i głodnej, chudej, zaharowanej nędzy, ledwo budzącej się z odrętwienia...

Gdy wyszli od Budnych, słońce zapadało za las. Tłum na cmentarzu i na przykościelnej drodze zrzedniał. Starsi w gromadkach siedzą lub stoją przy wozach, obgadując sprawy gorzelni, młocki i sprzętu lnu, młodzież, syta wrażeń, rozbija się na pary, kramarze, ochrypli od krzyków, patrzą obojętnie na snujących się ludzi i pobieżnie obliczają zyski dnia. Zostali sami gospodarze, obuci i z podwodami, piesi i bosi już odeszli...

Zaraz za chałupami wydostali się na drogę pod lasem i tam natknęli się na znajomych z Piątku.

— Siadajcie! siadajcie! Pomieścimy się!

Ziuta z Marynką znajdują miejsce w bryczce aptekarza z Rynku, Katarzyna przysiada się do krewniaków z Podmokrej, a Justyna z Jankiem jadą na wozie handlarza wełny — pana Cybuszka.

Wóz jest głęboki, wymoszczony sianem i usłany kilimkiem. Konie biegną klusem, poganiane leniwo przez woźnicę.

Droga wiedzie najpierw koło lasu, później wsiami, wreszcie skręca w pola. Koła wozu toczą się prędko, równo. Pani Cybuszkowa drzemie zmęczona gorącem,

oparłszy głowę na ramieniu męża, Cybuszek coraz rzadziej woła swoje:

— Maluśkie... wio!

Justyna ma zawieszoną na szyi obarzanek, dwojaczki — odpustowy dar Janka — trzyma w ręce.

Janek milczy. Oczy utkwili w uciekającej drodze, ręce ułożył na kolanach. Justyna też patrzy przed siebie, ale nie widzi mijanej drogi. Nagle chybnięcie wozu zbliżyło głowę Justyny ku ramieniu Janka. Straciła wątek rozmyślań, spojrzała na swego towarzysza i zaraz przypomniała się jej ich rozmowa na łące i tamte jej niezręczne, nie wysłuchane przez niego słowa pojednania; jego późniejsze uparte milczenie i ta jakaś sztuczność, co od tamtego czasu ułożyła się między nimi i przeszkadza, ciągle przeszkadza. Janek ma w swej twarzy coś dziecięcego, jakąś łagodność, naiwność uśmiechu, jakieś zakłopotanie... Justyna wsuwa dwojaczki w siano i szybkim, zaskakującym ruchem kładzie swe dłonie na Jankowej ręce. Ręka Janka drgnęła, oczy objęły twarz Justyny i nagle — jego obydwie ręce uchwyciły jej dłonie i w gwałtownym uścisku podniosły w górę — do oczu, ust, czoła, policzków.

Justyna, spłoszona, chce natychmiast cofnąć ręce, chce je odebrać Jankowi, ale on jest jakiś zupełnie inny, oczy mu szerniały, wargi zacisnęły się mocno, a cała postać przygięta do przodu ma w sobie drapieżność i obcość.

Justyna mówi... mówi... i prosi, ale turkot kół głuży jej słowa. Sekundy rozciągają się nieznośnie. Justyna zamyka oczy i w jakimś momencie czuje, że uścisk Jankowych rąk rozwiązuje się, a na jej zmęczone palce spada łza, jedna... i zaraz jeszcze jedna...

Czyżby to Janek płakał?

ROZDZIAŁ XI

Justyna po raz czwarty z rzędu grała pieśń Schuberta, skomponowaną do słów „Króla Olch“ Goethego. Usiłowała wydobyć ze skrzypiec całe piękno, tajemniczość i niezrównany urok muzyki wielkiego kompozytora, ale ciągle wydawało się jej, że robi to źle, że jej pasaże brzmią sztucznie, że brak w nich wzruszenia i głębi, które są istotą prawdziwej sztuki.

Była niedziela i Paweł, jak się to już od pewnego czasu zdarzało, siedział w domu. Przez ostatni rok zmienił się bardzo, wyrósł, zmężniał. Po skończeniu siódmego oddziału zaproponował Annie, że nauczy się fachu. Wybrał ślusarstwo i poszedł do Sendka na praktykę. Od tej chwili pracował w warsztacie fabrycznym od siódmej rano do wpół do szóstej wieczorem, z półgodzinną przerwą na obiad, a niedziele spędzał w domu na czytaniu książek, które polubił od niedawna.

Justyna grała, a Paweł odłożywszy książkę słuchał.

Anna weszła tak cicho, że żadne z nich nie usłyszało otwieranych drzwi, dopiero jej zmieniony głos zaskoczył ich i spłoszył. Doczekała końca frazy i bez wstępów oznajmiła:

— Justyno! Pawle! chcę z wami pomówić o czymś niezmiernie ważnym, stało się nieszczęście!

Usiadła ciężko na zasłanym łóżku, na białej koronkowej kapie, co nie zdarzyło się jej nigdy. Była niezwykle pomieszana, na jej chudych policzkach widniały wyraźnie ślady łez. Twarz jej nie ma w sobie już nic z dawnej barwy, z łagodnej miękkości, która ją zawsze tak krasila, jest szara, skurczona, z mrugającymi powiekami, zmęczona, ale równocześnie dziwnie twarda, zacięta.

— Zamykają fabrykę! Jutro dostaniemy wszyscy formalne wypowiedzenia na piśmie, rano wysyłamy do Warszawy delegatów Związku Robotników, ale to nie będzie

miało żadnego znaczenia, oczywiście! Od przyszłego poniedziałku fabryka staje!

Paweł z młodzieńczą niecierpliwością wtrącił swoje, dumny z wiadomości, które posiadał:

— To już wszyscy wiedzą! Właściwie to było przewidywane od pierwszego dnia przejęcia fabryki przez monopol, tylko że dotąd nikt nie wierzył, wszyscy się łudzili!

— Dziś w nocy aresztowali Sendka i Owczarka!

Paweł skurczył się, jakby otrzymał dobrze wymierzony, bolesny cios.

Ręce matuśki, czerwone, spierzchnięte, popękane od zimna, poplamione farbą i siarką, trzęsą się bezradnie.

Anna zostaje bez pracy, przepadają pieniądze przynoszone przez nią w każdą sobotę w szarej papierowej kopercie, pieniądze, za które kupują ziemniaki, mąkę, włoszczyznę, chleb... Od przyszłego poniedziałku nie będą o siódmej rano wołali robotników syreną i matuśka będzie mogła spać, odwrócona do ściany, tak długo, jak będzie chciała.

Ale jest jeszcze ta druga sprawa — nieszczęście, jak ją nazwała Anna. Rozmawiają o tym półgłosem, chociaż są sami.

— Mogło to być przypadkowe, może wzięli ich z obawy przed ewentualnymi demonstracjami robotników. Obydwaj byli przecież oficjalnymi działaczami związkowymi. Zamknięcie fabryki da na pewno powód do różnych niepokojów. Może to nie ma nic wspólnego z wykryciem organizacji na naszym terenie?

— Czy wzięli jeszcze kogoś? U Dypciów nie byli?

Justyna nabiera odwagi:

— Może to istotnie tylko asekuracja przed rozruchami, które mogą wybuchnąć po zamknięciu fabryki. A o pieniądzach nie myśl, jakoś będzie, ja zarobię ty odpocznij, wykuruj ręce i uszy, napracowałaś się dość.

Usta matuśki są podobne teraz do ust dziecka, wygi-

nają się w małą podkówkę i nie wiadomo, czy będą się śmiać, czy płakać, a oczy, które zachowały z dawnego szafiru nikłą odrobinę blasku i cień dawnej barwy, patrzą na Justynę z miłością i powagą.

— Justyno, gdyby mnie aresztowano, przyjmij to spokojnie, i ty, Pawle! Wiecie przecież, że wrócę do was, żeby tam nie wiem co! i że wszędzie i zawsze dam sobie radę! Ach! jak to dobrze, że dzieci moje są już duże!

Justyna siada obok matuśki, gładzi jej osypujące się na czoło włosy i prosi:

— Bądź ostrożna, kochanie! Jutro i zawsze! O nas nie potrzebujesz się martwić, ale myśl o sobie... Przecież już jestem dorosła i wiem wszystko! Dawno zapomniałaś o sobie i dlatego...

Włosy matuśki są ciągle jeszcze jak jedwab, miękkie, delikatne, jasne, obfite. Justyna gładzi je z wielką miłością.

Kiedy się jest razem, wszystko wydaje się mniej goźne i mniej ponure. Rozmawiają jeszcze długo o tym, jak teraz będzie, siedząc naprzeciw szarzejącego okna w ciemnym, ciemnym pokoju.

Nazajutrz zaraz po lekcjach Justyna poszła do gabinetu nauczycielskiego z prośbą o płatne lekcje. Czekaając na panią Stefanię uświadamia sobie, że teraz nie będzie już miała czasu na czytanie, że skończą się długie wieczory, spędzane w kuchni na stołeczku pod małą naftową lampą, z plecami opartymi o stygnące kafle, że nie będzie można dwa razy w tygodniu zmieniać książek w bibliotece, że czas rozpadnie się na wędrówkę po zimnych ulicach do cudzych mieszkań, na powtarzanie przez nie-skończoną ilość razy tabliczki mnożenia i przypadków: mianownik — kto? co? dopełniacz — kogo? czego?

Sama nie wie, kiedy zaczyna mówić:

— Muszę pracować, zamknęli fabrykę, matka jest bezrobotna, brat ma dopiero czternaście lat...

Pani Stefania nie wypytywała o nic i nawet nie wiado-

mo, czy słuchała tego, co Justyna mówiła, ale po skończonych lekcjach przywołała ją do siebie i dając kopertę wyjaśniła:

— Pójdiesz z tym do Wydziału Oświaty i Kultury na Hipoteczną. O, tu masz adres. Możliwe, że dostaniesz godziny w szkole wieczorowej. Są to szkoły prowadzone przez Zarząd Miasta. Myślę, że dasz sobie radę!

Justyna jest zaskoczona, patrzy z niedowierzaniem na kopertę trzymaną w palcach, które na przekór woli drżą lekko, i serce jej bije mocno, jakby się czymś strwożyło, jakby ta trwoga była silniejsza od radości. Kłania się nisko, po uczniowsku, i płacze słowa podziękowania z tymi, które chcą zapewnić o „staraniu się“.

Godziny w szkołach dla dorosłych za chorych i urlopowanych nauczycieli były wyjątkowo wysoko płatne i stanowiły nieosiągalne marzenie prawie wszystkich uczennic V kursu seminarium.

Na Hipotecznej dowiedziała się wszystkiego od samego dyrektora wydziału.

— Pani Stefania poleca nam panią jako swoją uczennicę, no dobrze, ale pani jest taka strasznie młoda...

Justyna oblewa się gorącym rumieńcem, w głosie dyrektora nie ma wyrzutu, tylko jakaś udająca troskę poufalość. Jakże chciałaby w tej chwili pozbyć się swej młodości, dziewczęcej twarzy, szczupłych ramion, ledwie rysujących się piersi, głosu wibrującego tak często dziwiącą się światu dziecięcą nutą.

Przyciska do boku szkolną teczkę i mówi:

— Ale od dawna pracuję, udzielam prywatnych korepetycji, zleconych mi przez dyrekcję seminarium.

Dyrektor przygląda się jej z wyraźnie rosnącym zainteresowaniem.

— No, więc spróbujemy! — i przechodząc do tonu bardziej oficjalnego, dodaje kilka uwag:

— Praca w „Ogniskach“ prowadzonych przez nasz

wydział wymaga poważnego przygotowania i doświadczenia. Nauczyciel musi zdawać sobie sprawę, że nasi dorośli uczniowie rekrutują się ze specyficznych środowisk i że tu nie wystarczy samo nauczanie czytania i pisanie. Nie to zresztą jest istotnym celem szkół dla dorosłych! Nam chodzi o p r z e c i w d z i a ł a n i e. Wśród naszych uczniów są różni ludzie: służące, robotnicy, młodzież z terminów, ekspedienci sklepowi, robotnicy, zdarzają się wśród nich i bezrobotni, i wykolejeńcy, wielkomiejskie szumowiny, a wiadomo, jak działa podobny element. Orientuje się pani, że to oni właśnie demoralizują nasz lud, prowadzą go do... — zdjął okulary, przetarł je starannie rogiem chustki i przyjrawszy się jeszcze raz Justynie, skończył szybko — do zguby!

Zrozumiała go doskonale.

— Pani w tym roku kończy „Seminarium Związku Pań Dobrych?” — upewnił się jeszcze.

Justyna podjęła się prowadzić „zastępcze” godziny w szkołach dla dorosłych analfabetów między godziną siódmą a dziesiątą wieczorem. Do trzeciej są lekcje w seminarium, a zaraz potem cztery godziny wolnego czasu, którego jest jednak za mało na powrót do domu.

Justyna zostaje sama w pustej sali i odrabia lekcje na jutro, śpieszy się bardzo, bo na ulicy jest pięknie, a prócz tego obiecała matusce, że pójdzie dziś na obiad do internatu. Pusta klasa wyziębła się szybko.

Justyna powtarza cierpliwie formuły geometryczne, daty, nazwiska... Robi się ciemno, przez duże okna z minuty na minutę wchodzi do klasy coraz mniej światła i coraz więcej chłodu. Wreszcie oczy przestają rozróżniać litery, więc Justyna zapala górne światło i naraz dostrzeża, że dzień już się skończył, równocześnie przenika ją uczucie zmęczenia i jakiejś pustki wewnętrznej, jakiegoś wyczerpania myśli, czczości.

Justyna zbiera książki, rozciera ręce, podchodzi do

okna. Prostuje ramiona, przymyka oczy i przez sekundę „nie jest“, zatrzymuje myśli, zrywa ze świadomością, wyzbywa się wrażeń. Trwa to przez jedno uderzenie serca, natychmiast odnajduje siebie i mimo woli zadaje sobie pytanie: Czy jestem jeszcze dzieckiem, czy już dorosłym człowiekiem? Czym ja jestem?

Budziły się w niej gwałtowne ambicje, przygnębiające i smutne, i radosne, i dumne na przemian. Nie umiałyby właściwie powiedzieć jasno, czego oczekiwała od losu. Żyć! — powtarzała — działać, zwyciężać!

Ulice są długie, i ruchliwe. Justyna nie idzie na obiad, bo jest już późno, kupuje sobie dwie kajzerki i je idąc. Kęsy bułki są zimne, ale w ustach nabierają smaku.

Dziś ma lekcje na Chełmskiej. Idzie Nowym Światem do Książęcej, potem w dół Czerniakowską aż do pustej, zupełnie bezludnej, cichej i trochę strasznej Chełmskiej.

Justyna idzie i myśli o godzinach, które ją czekają. Z początku to było okropne!

Klasa z dziecinnymi ławkami i dorośli analfabeci! Żle uszminkowane kobiety, „panny służące“, szwaczki i sklepowe, robotnicy w nie dopranej odzieży, dozorczy, praktykanci, żołnierze. Mdlący, wilgotny zaduch brudnych ciał, tanich pudrów i dymu papierosowego pozbawiał ją tchu... Przyszli tu, bo się zapisali, bo im ostatecznie wszystko je no, gdzie są. Niektórym chce się spać. Siedzą zgarbieni i drzemią.

Justyna ma dwie godziny języka polskiego za nauczycielkę chorą na grypę. Klasa jest z początku opieszala, nieufna, łatwa do zdrady, zmęczona dniem, który minął.

Justyna przełamuje w sobie lęk i nieśmiałość, krasi wargi uśmiechem i odważnie ogląda twarze siedzących naprzeciw niej. Jasne światło lamp powoli przestaje razić jej źrenice.

— Macie książki do czytania?

— Też coś!

— A z czego czytacie?

— Z tablicy!

Ujmuje kawałek kredy, podnosi rękę i dużymi literami pisze „A n k a n a ł a c e k w i a t y z r y w a”...

Klasa czyta. Palec Justyny wodzi cierpliwie oczy uczniów po drodze liter. Usta układają się w sztuczny kształt odczytywanych dźwięków. Namysł wodzi oczy, modeluje wargi, każe ręką podpieścić brodę.

Justyna cierpliwie czeka. Właśnie ów czas cierpliwego czekania zbliża ich wzajemnie.

Mija godzina... i następna... dużo godzin. Na ulicy Dolnej, Okopowej, Bonifraterskiej, na Bema i na Królowej Kazimierzy, na Żoliborzu... Twarze ludzi z klasy Ia i Ib podchodzą do Justyny zupełnie blisko, obnażają przed nią swoją niezaradność i zagubioną na codzień w niezliczonych doznaniach dorosłego życia — ciekawość wiedzy.

Justyna idzie na Chelmską powtarzając francuskie słówka, ogląda wystawy, słucha dzwonek tramwajowych, gryzie bułkę i nie jest zmęczona, uczucie czczości minęło, nogi rozgrzały się, ramiona rozprężyły, myśli poweselały.

Ostatnia kolejka z mostu w stronę Jabłonny odjeżdża pół godziny po północy i właśnie nią wraca Justyna do domu. Na ławkach w poczekalni stacyjnej drzemia ludzie. Justyna siada jak najbliżej światła, wyjmując z teczek tom Dawida „Wola, inteligencja i zdolność do pracy“ i usiłuje czytać.

Podłoga w poczekalni jest pełna lepkiego, mażącego się błota, naniesiony śnieg, zmieszany z brudem, roztajały, zalega grubą warstwą kamienne płyty i rozplywa się w kałuże i strużki.

Powoli myśli Justyny ustają w biegu, oczy utykają na którejś stronie tekstu i nie chcą wędrować dalej... Za nią jest dzień mozolnej pracy: siedem godzin lekcji w szkole, ćwiczenia w sali na fortepianie, odrabianie lekcji na

jutro i dwie godziny na Chelmskiej... Naraz lodowaty wiatr wpada do salki. Płomień w lampie ucieka w górę, chwilę tłucze się w zamknięciu z okopconego szkła, wreszcie powoli i niepewnie wraca na swoje miejsce. W drzwiach stoją dwie skurczone postacie. Justyna już wie, to są dziewczyny „spod mostu” — obdarte, wynędzniałe, zmarznęte; co wieczór przychodzą się tu ogrzać, te albo inne, ale zawsze podobne do siebie, i co wieczór dyżurny policjant przegania je klnąc głośno!

Justyna przymyka oczy. Ktoś zaczyna kaszleć, kaszel przechodzi w czkawkę. Justyna otwiera oczy i strząsa z siebie senność.

Kto tak kaszle? Zrenice obejmują kolejno ludzkie postacie, tkwiące nieruchomo w mroku sali. Ach, to dziewczyna „spod mostu”. Stoi z tą drugą obok pieca, który już dawno ostygł. Obydwie mają chustki na głowach, obszarpane spódnice i owinięte szmatami nogi. W słabym świetle wydają się być kupą łachmanów. Justyna już nie odwraca od nich oczu.

Na sali jest sporo ludzi, jedni stoją w małej gromadce przy kasie, która jeszcze jest zamknięta, dwóch usiadło na pustym kontuarze kiosku gazetowego, kilku drzemie na ławkach. Na zegarze, umieszczonym nad drzwiami, wskazówki minęły jedenastą.

Nagle drzwi nad schodami otwierają się szeroko, z hałasem, to idą policjanci. Mają kożuchy sięgające ziemi, ustawiają ostrożnie buty utytlane w śniegu na drewnianych schodach, rozmawiają głośno, jakby to nie była noc, jakby im wcale nie chciało się spać. Dziewczęta pod piecem przytulają się do ściany, ale policjanci widzą je już doskonale, stoją pośrodku światła i zaraz jeden z nich woła:

— Won! Won stąd!

Twarz policjanta w żółtości lampy wydaje się dziwnie szeroka, jakby obrzękła. Dziewczyny tulą się do ściany

i na znak protestu, a może prośby, wyciągają spod strzępów chustek gołe ręce i zaczynają je gorączkowo rozcierać.

Policjant robi duży krok w kierunku pieca. Dziewczyny kurczą się. Ludzie z sali patrzą na to, co się dzieje, z zupełną obojętnością, przyzwyczaili się i wszystko jest jak co dzień, jakby nigdy nic, tylko Justyna przeżywa tę scenę zawsze jednakowo boleśnie!

W tej chwili otworzyło się okienko kasy i ludzie ruszyli po bilety, zrobiło się głośno od kroków i to zgłuszyło razy wymierzane przez zniecierpliwionego policjanta. Zakotłowało się pod piecem, rozległ się ostry, przeźliwy krzyk, przekleństwa, tupanie! Dziewczyny przebiegają w poprzek salę i zatrzymują się na schodach. Teraz stamtąd, z góry, dają się słyszeć słowa plugawe, wstrętne! Spływają od schodów podwójnym, prześcigającym się strumieniem, jest w nich nienawiść, urąganie i mściwa złość.

Justyna zaciska ręce w poczuciu dławiącej bezsiły. I ona jest pełna protestu, nienawiści i buntu przeciwko krzywdzie i przemocy.

Policjanci palą papierosy i plują na środek salki. Jakby nie słyszeli wymysłów spadających ze schodów, jakby to było nie do nich; o! zwyczajnie, są „na służbie“, pełnią swą powinność...

Jazda w wyziębionym wagonie jest krótka, a zaraz potem prawie bieg środkiem szyn w stronę domu.

Już z daleka widać, że w kuchni się świeci. Justyna przypomina sobie nagle, że ma pieniądze, że dziś wypłacili jej za lekcje. Niecierpliwe ręce szukają w ciemności drzwi sieni, trafiają na klamkę.

Kuchnia jest pełna ciepła, woda w czajniku szumi obok odkrytych fajerek, lampa nad skrzynią ma rozkręcone światło. Anna czeka na Justynę. Paweł śpi w swym, ciągle jeszcze tym samym, dziecinny łóżku.

— Nareszcie, kochanie! Tak mi się dłużyło czekanie na ciebie... Mam gorącą zupę.

Justyna w palcie i w czapce, cała chłodna od mrozu, różowa od biegu i wzruszenia, szuka przez moment w teczce, staje naprzeciw matki i wyciąga rękę:

— Małusko! Są pieniądze, popatrz!

Anna patrzy na córkę, jej oczy zmęczone czuwaniem mrugają szybko. Nagle zbliża się do Justyny, omija jej wyciągniętą dłoń i obejmuje ją ciasno ramionami:

— Schowaj, dziecko, bo widzisz, nie wiadomo, co się może zdarzyć. Dziś aresztowali Mariana i Andzię. Chciałam koniecznie doczekać twego powrotu i omówić z tobą wszystko... Teraz jest już pewne, że wykryli naszą organizację na terenie Pelcowizny... Że to Grzelak...

O świcie przyszli po Annę.



Już od tygodnia pada śnieg. Bez żadnej przerwy, bez odpoczynku! jak okiem sięgnąć, sypią się z nieba na ziemię duże, białe płatki. Wszystko dokoła jest osypane rosnącą z godziny na godzinę warstwą lekkiego puchu.

Po wielu bezsennych, przeplakanych nocach Justyna obudziła się tego rana z uczuciem świeżości i siły. Wstała po omacku, by nie obudzić Pawła, który od tygodnia zaczął terminować w warsztatach firmy „Bracia Borkowscy“ na Grochowskiej, umieszczony tam przez Urbana, i jeździł do miasta dopiero w południe, pracując na drugiej zmianie.

Jest zupełnie ciemno, w powielrzu czai się mróz, śnieg przestał padać. Justyna wychodzi z sieni i od razu zapada się w wysoko nawianą pod próg zaspę.

Jest cicho, ciemno i bardzo zimno, po obydwu stronach szosy ledwo rysują się domy niewyraźnym cieniem. Od dnia zamknięcia fabryki osada jakby pograżyla się we

śnie, w wyczekującym, głodnym i mrocznym letargu. Rano nikt nie palił światła. Okiennice i sienie parterowych domków przy szosie były zamknięte na głucho, nad kominiarni długo nie ukazywał się dym. Dopiero około południa ludzie odgarniali z przejść byle jak śnieg i szli tłumnie pod szwajcarnię, aby „przewiedzieć się, co słychać”.

Głośno mówiono, że „wiosną fabryka ruszy”, że Szwedzi sprzedają „zapalkową” Francuzom, tym samym, co kupili Żyrardów, że „każdy bezrobotny ma być zapisany i dostawać zasiłek”... Ale były to wszystko wieści nie sprawdzone, co dnia inne.

Tymczasem fabryka, pilnowana w dzień i w nocy przez policję, milczała posepną i głuchą, a na drzwiach szwajcarni nieodmiennie tkwiło ogłoszenie: „Wstęp na teren fabryki wzbroniony pod karą sądową”.

Szeptem, poufnie zwierzano sobie jednak i to, że na wiosnę ma być proklamowany powszechny strajk w Łodzi i w Zagłębiu w obronie praw ludu pracującego, że posłowie robotniczy i chłopscy wystąpili w sejmie, żądając bezwzględnie respektowania ustawy o zabezpieczeniu na wypadek bezrobocia, że ruch rewolucyjny w całym kraju, mimo licznych aresztowań wśród działaczy, rośnie z dnia na dzień...

Teraz jest wczesne rano i osada nie obudzona wołaniem syreny drzemie. Na stacji pali się jedna latarnia. W maleńkiej poczekalni czeka gromada ludzi spośród tych, którzy co dnia od rana udają się do miasta w poszukiwaniu pracy. Bardzo powoli zaczyna się rozjaśniać, ale kolejki wciąż nie ma. Ludzie coraz niecierpliwiej wychodzą na zasypane szyny, wyglądają i wracają do poczekalni, by za chwilę wyglądać znowu.

— To przez ten śnieg przekłęty!

— Pewno nie przyjedzie!

Po dwóch godzinach niespokojnego czekania kolejka wreszcie przyjeżdża. Wielkie kłęby pary buchają z komi-

na parowozu ubielonego śniegiem, kolejarze bezradnie biegają wzdłuż wagonów.

Justyna wchodzi do przedziału i w pierwszej chwili nie widzi nic poprzez gęsty, siny dym z papierosów, jest zmartwiona wielkim opóźnieniem, zmarznięta, z nogami zdrętwiałymi od długiego stania.

— Na co jeszcze czekamy?

Z ławki w głębi wagonu podnosi się Urban, Justyna przeciska się między stojącymi w przejściu, ucieszona serdecznie ze spotkania.

— Dzień dobry!

— Kiedy my dojedziemy? Spóźnię się co najmniej godzinę, a mam dziś umówione spotkanie z adwokatem...

— W nocy zupełnie zawiało szyny, ani przejść, ani przejechać...

Robi się dzień. Dopiero teraz widać przez wychuchane miejsca w lodzie zasłaniającym wagonowe okno, że przez noc odmienił się świat. Druty telegraficzne, drzewa, płoty, wszystko, co się nie schowało pod śniegiem, okryła gruba szadz.

Wreszcie powoli ruszają ze stacji. Parowóz z trudem przerzyna się przez zaspy, gwizdże głośno i sapie. Koło drzew, niedaleko Śliwic, znów stają.

— Nie da rady!

Ludzie z desperacji poschodzili w głęboki śnieg.

— Nie pojedziemy! Jak przyślą drugi parowóz, to się zobaczy!

Jedni od razu przechodzą na szosę i idą w kierunku Warszawy dźwigając na plecach banie z mlekiem i worki z mięsem, inni łażą bezradnie w śniegu, jeszcze inni zawracają ku stacji lub przebierają się polem do torów kolejowych na Pragę.

Justyna nie wie, co zrobić. Do szkoły jest już za późno, u adwokata ma być dopiero o pierwszej.

Urban stoi w głębokim śniegu i rozgląda się dokoła.

— Chodźmy przez Wisłę! Znam takie przejście zaraz za Noblem!

Jest cudnie, szadź tkwi w niebieskim powietrzu niby delikatna koronka, rozpostarta sztywno na gałązkach drzew, omiecionych przez wiatr płotach, na słupach, na okiennych ramach. Mijają stację, kościół i cichą, umarłą w bezruchu fabrykę. Justynie już nie jest zimno, teczkę oddała Urbanowi, ręce wsunęła w kieszenie płaszcza, podniosła wysoko kołnierz.

— A może wstąpimy do domu? Zjemy razem śniadanie i zabierzemy Pawła!

Ale Urban woli, by byli tylko we dwoje, więc omijają szwajcarnię i skręcają za bożnicę. Ostrożnie schodzą na lód.

Urban trzyma Justynę mocno za rękę. Naprzeciw nich za Wisłą w przezroczystym powietrzu widać oszroniony las i wieże bielańskiego kościoła. Urban idzie ostrożnie, próbując lodu nogami.

Wymijają łukiem niepewny bielański ściek i zawracają, brodząc w głębokim śniegu, do brzegu umocnionego drewnianymi barierami. Już są na Bielanych! Schody prowadzące na górę są zawiane śniegiem, poręczce barier ustrojone szronem.

— Jaki cudny jest las!

Każda gałązka sosny, każda igła jest przyprószona skrzącą bielą, między drzewami wysoko tkwi chłodny błękit nieba, dołem leży śnieg pofałdowany w garby i jamy. Na wysokim brzegu jest zajazd Bochenka, drewniany, niski dom ze spadzistym dachem.

Urban obchodzi budynek dokoła i mocno stuka do drzwi. W izbie jest ciepło, przytulnie i cicho.

— Teraz coś pani powiem, Justyno! Wczoraj uporałem się z ostatnim egzaminem! Koniec! I nareszcie dostałem pracę, idę do fabryki „Granat“, wie pani... O, tu jest kontrakt!

Siedzą przy stole na wysokich zydlach. Ich twarze są czerwone od mrozu. Palce Justyny, które sięgają przez stół, są zgrabiałe i sine. Patrzy bez lęku na trzymany przez siebie papier, bo zna drogę, którą pójdzie Urban, rozmawiali o niej wiele razy.

— A teraz urządzamy małą ucztę i później razem idziemy do adwokata. Dobrze?

Justyna się zgadza. Szkoła już i tak przepadła na dzisiaj! Jest głęboko, serdecznie wzruszona.

Gospodyni przynosi gorącą herbatę i dwa kieliszki araku. Justyna miesza powoli pachnący, ciemny płyn, patrzy na maleńki obłoczek pary nad szklanką i myśli o tym, że jednak Urban jest niezastąpionym towarzyszem.

Ciche ciepło zajazdu, biały las za oknami, daleki błękit nieba — i blisko niej, tuż naprzeciw, serdeczne, uważne oczy. Jakby już nic więcej, nic z tego, co jest troską, czuwaniem, co jest lękiem i niepewnością... W tej chwili Urban po raz pierwszy dostrzega, że prawe oko dziewczyny ucieka nieznacznie w bok i mimo woli czuje, że zalewa go fala tkliwej czułości.

— Justyno, będziemy przyjaciółmi, dobrze?

Justyna przestaje mieszać herbatę, rozchyła wargi w szczęśliwym uśmiechu.

— Mówmy już sobie „ty“... Chcesz?

Justyna wyciąga przez stół ręce, Urban wzruszony do głębi ogarnia jej obydwie małe dłonie swoimi ciepłymi, silnymi rękami. Śmieją się radośnie.

— A co zrobimy z resztą czasu, Urbanie? Z tymi godzinami, co będą do pierwszej? Dokąd pójdziemy?

Urban, nie puszczając jej rąk, zwraca się ku oknu, poza którym jest cudny, roziskrzony wstającym słońcem świat, i mówi miękkiem głosem:

— Pójdziemy przed siebie, Justyno, chcesz?

Koniec

CENA ZŁ 12,80

